

KOBIETY Z ULICY GRODZKIEJ



Wiktoria

*Powieść o kłatwie, trudnych relacjach rodzinnych,
ale i o konieczności wybaczenia, przywołująca ducha
dziewiętnastowiecznych sag we współczesnym wydaniu.*

LUCYNA OLEJNICZAK

Prószyński i S-ka

[Redacted]

[Redacted]

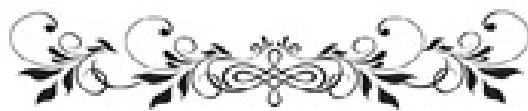
[Redacted]

[Redacted]

[Redacted]

[Redacted]

KOBIETY Z ULICY GRODZKIEJ



Wiktoria

LUCYNA OLEJNICZAK

Prószyński i S-ka

Projekt okładki
Luiza Kosmólska

Zdjęcie na okładce
Hulton Archive/Getty Images

Redaktor prowadzący
Anna Derengowska

Redakcja
Ewa Witan

Korekta
Maciej Korbański

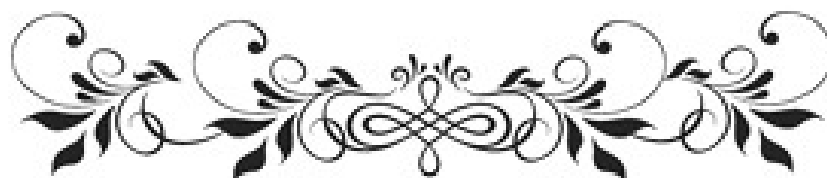
ISBN 978-83-8069-947-2

Warszawa 2015

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
ul. Rzymowskiego 28, 02-697 Warszawa
www.proszynski.pl

Sagę dedykuję mojej wnuczce, Emilce

Część pierwsza



ROZDZIAŁ 1

PARYŻ, WIOSNA 1912

Mroczny peron Dworca Północnego zaludnił się pasażerami przybyłymi z Wiednia. Zmęczona i zeszywniała od niewygód podróży Wiktoria zeszła ostrożnie ze schodków wagonu i potrącana przez tłum przyjezdnych oraz witających ich rodzin, skierowała się w stronę wyjścia. Ciężki kuferek obijał jej się o nogi, ale odrzuciła propozycję pomocy od czekających na okazję tragarzy. Nie wiedziała, jak długo przyjdzie jej zabawić w Paryżu, wołała więc oszczędzać pieniądze. Filip nie miał przecież pojęcia, że ona przyjedzie, mógł więc zmienić adres, wyjechać z miasta, albo... Albo się ożenić.

Tego Wiktoria obawiała się najbardziej.

Znów dotarła do niej cała niedorzeczność tego przedsięwzięcia. Zachowywała się niczym nieodpowiedzialna pensjonarka, a nie jak dorosła kobieta. I na dodatek właścicielka apteki.

Powinna była napisać wcześniej list i oszczędzić sobie podróży, gdyby rzeczywiście miało się okazać, że Filip już założył rodzinę. W końcu przecież był przekonany, że są rodzeństwem, i z taką świadomością wyjeżdżał z Krakowa.

Nie mógł wiedzieć, bo wtedy jeszcze nikt tego nie wiedział, że jego matka, odchodząc ze służby, była w ciąży, lecz nie z Franciszkiem Bernatem, swoim chlebodawcą.

Wiktoria zdawała sobie sprawę, że ryzykuje, ale przyjeżdżając tutaj bez zapowiedzi, mogła przynajmniej spotkać się z Filipem twarzą w twarz. Tęskniła za nim jak szalona, jednak obraz ukochanego zaczynał się zamazywać w jej pamięci. Musiała więc go zobaczyć, choćby ostatni raz, i znów spojrzeć mu w oczy. Niezależnie od tego, co w nich wyczyta.

Żelazne konstrukcje ogromnej dworcowej hali ją przytłaczały. Z ulgą wyszła przed budynek na rozświetloną słońcem ulicę. Jasna, kamienna fasada w kształcie łuku triumfalnego odbijała światło tak, że aż trzeba było mrużyć oczy. Przed przyjazdem do Paryża Wiktoria starała się wyszukać jak najwięcej informacji na temat dworca, dowiedziała się więc przy okazji, że widniejące na fasadzie figury symbolizują miasta, do których można było stąd dojechać. Teraz, przez chwilę zapominając o celu swej podróży, z zadartą głową usiłowała policzyć te większe, odpowiadające miastom zagranicznym, i mniejsze, przedstawiające najdalsze stacje we Francji. Lubiła takie ciekawostki.

Odgłosy ruchliwej ulicy przywróciły dziewczynę do rzeczywistości. Przed budynkiem dworca czekały na podróżnych powozy i dorożki, gotowe zawieźć każdego natychmiast pod wskazany adres. Bezrobotne chwilowo konie stukały niecierpliwie kopytami o bruk, woźnice, jak zdążyła się zorientować, wymieniali uwagi na temat pogody. Podobno jeszcze dzień wcześniej było zimno, a tu nagle, patrzcie, ociepliło się, niemal jak w lecie. W Paryżu było znacznie cieplej niż w Wiedniu, który niedawno opuściła.

Wiktoria zdjęła płaszcz i uśmiechnęła się z nostalgią na wspomnienie chwil spędzonych z bratem. Od chwili ucieczki z Krakowa, po nieszczęśliwym wypadku z bronią, kiedy to Adam przypadkiem zastrzelił

strażnika w kamieniołomie, minęło już kilka lat. Przez ten czas kontaktowali się tylko listownie, Wiktoria miała wciąż w pamięci chudego, niesfornego chłopaka, a tymczasem brat wyrósł i zmężniał. Czekał na nią i Stefanka na dworcu w Wiedniu, z uwagą wypatrując obojga. Kiedy w końcu zobaczył wysiadające z wagonu rodzeństwo, podbiegł do nich z głośnym płaczem. Był już dorosłym mężczyzną, lecz teraz nie wstydził się łez. Długo tulił siostrę na powitanie i na pożegnanie kilka dni później, nie chcąc jej wypuścić z objęć, jakby w obawie, że znowu zniknie na długo z jego życia.

Spędzili ze sobą niewiele czasu, gdyż Wiktoria nie mogła już się doczekać spotkania z Filipem. Warunki, w jakich mieszkał w Wiedniu Adam, też nie sprzyjały dłuższej wizycie gości. Ciasne mieszkanko przy wąskiej uliczce, podobnej do krakowskich, z trudem pomieściło dodatkowych lokatorów, czyli Wiktorię i Stefankę, bliźniaczego brata Adama.

Przez pierwszą noc właściwie prawie wcale nie spali, starając się nadrobić minione lata. Adam był spragniony wiedzy o rodzinie, ukochanym Krakowie i kolegach. W listach nie wszystko dało się opisać, nie o wszystkim też Wiktoria go informowała. Zwłaszcza o sprawach dotyczących ojca. Teraz jednak nie mogła już dłużej ukrywać przed bratem ponurej rodzinnej tajemnicy. Chłopak był zdruzgotany.

– Nie, nie mogę w to uwierzyć. – Objął głowę oburącz, kiwając się przy tym na stołku. – To nie może być prawda. Tatko?!...

Wiktoria, z trudem dobierając słowa, opowiedziała mu całą historię od początku, czyli od nocnych wypraw ojca na „polowania”, przez zamordowanie biednej Anielki, aż do sceny pod kościołem, gdzie Franciszek o mało nie został rozszarpany przez rozjuszony tłum. I o tym, jak traktował swoje służące oraz co robił z ich nowo narodzonymi dziećmi.

Nie szczędziła bratu żadnych szczegółów. Tych dotyczących śmierci i pogrzebu ojca również. Adam miał prawo znać prawdę, musiała mu wszystko przekazać. Nie mogła o tym rozmawiać ze Stefankiem, do którego i tak niewiele z owych tragicznych wydarzeń docierało. Wiedział tylko, że ojciec umarł i nie ma go w domu. Był smutny, bo tatko nie mógł go już pochwalić za pięknie wykonaną pracę. Tego, że ojciec od dawna nie wychodził już ze swojego pokoju i po wcześniejszym udarze nie mógł z nikim rozmawiać, chłopiec zdawał się w ogóle nie pamiętać. Wciąż przeżywał jego nieliczne pochwały, jakby to zdarzyło się kilka dni temu.

– A wiesz – zwrócił się podekscytowany do brata, przerywając Wiktorii w połowie zdania. Trudno mu było się skupić na tak długiej opowieści. – A wiesz, co tatko powiedział wczoraj, jak mu pokazałem swoją figurkę z drewna? No, zgadnij...

Adam spojrzał zmieszany na siostrę; z trudem przyzwyczajał się na nowo do inności Stefanki. Zapomniał o tym przez owe wszystkie lata.

– No, nie wiem – wybąkał niepewnie. – Chyba cię pochwalił.

– A tak, tak! Powiedział, że bardzo ładna i że będzie można ją dobrze sprzedać. Zaraz ci pokażę, poczekaj.

Stefan ruszył w kąt pokoju na poszukiwanie figurki, chwilę później jednak zajął się czymś innym, zapominając, po co w ogóle tam poszedł.

– On już tak... do końca życia?... – Adamowi najwyraźniej trudno jeszcze było przyzwyczaić się do nowej sytuacji.

– Niestety, tak. – Wiktoria spojrzała uważnie na brata. – Żałujesz, że go tu przywiozłam? Powiedz od razu, zanim wyjadę do Paryża. Jeśli nie czujesz się na siłach, żeby się nim zająć, muszę to wiedzieć teraz.

– No co ty... – Adam zmieszał się pod surowym spojrzeniem siostry. – Tak tylko pytam. Z niczego się nie wycofuję. Pojedziesz, jak było ustalone. Jeśli tylko nada się do pracy u stolarza, nie powinno być żadnych kłopotów.

– Co do pracy, jestem zupełnie spokojna. Ma duże zdolności. Co do zachowania, no cóż... Niestety,

trzeba go wciąż traktować jak dziecko. I tak też nim się zajmować.

Obiecał zaopiekować się Stefankiem najlepiej, jak potrafi, a Wiktoria odetchnęła z ulgą. Przez moment bała się bowiem, że będzie musiała odwieźć chłopca do Krakowa i odłożyć wyjazd do Paryża na czas nieokreślony. Na szczęście brat rozwiał jej obawy, chociaż nie była do końca przekonana, czy Adam naprawdę da sobie radę z wymagającym szczególnej troski Stefankiem. Pocieszała się jednak, że może jej pobyt w Paryżu nie będzie trwał zbyt długo i w drodze powrotnej będzie mogła zabrać chłopca do domu.

Jej obawy uspokoiła również nowo poznana narzeczona Adama, Kasia. Ta urocza dziewczyna o krągłych kształtach miała w sobie dużo macierzyńskiego ciepła i serdeczności. Od razu przypadli sobie ze Stefankiem do gustu.

– Nie martw się, kochana. – Objęła na pożegnanie Wiktorię. – Pomogę Adamowi, to w końcu mężczyzna i na opiece jeszcze się nie zna. A Stefanek to takie kochane, duże dziecko. Damy sobie radę. Jedź i szukaj ukochanego. Ja już swojego znalazłam – szepnęła zarumieniona i z miłością spojrzała na Adama.

Kasia spodobała się Wiktorii. Pulchna blondynka o niebieskich oczach i życzliwym uśmiechu ujęła ją od razu. Wiktoria miała nadzieję, że porywczy brat nigdy nie skrzywdzi swojej przyszłej żony. W jej pamięci wciąż jeszcze powracało, niestety, burzliwe dzieciństwo Adama. Jeśli wdał się w ojca, co nie daj Panie Boże, to nie miał łatwego charakteru. Na razie jednak oboje wyglądali na szczęśliwie zakochanych. I oby ten stan trwał jak najdłużej, westchnęła w duchu.

Wiktoria otrząsnęła się ze wspomnień i wróciła do terażniejszości.

Poczuła się już trochę głodna, poza tym chciała znaleźć Filipa, zanim zapadnie zmrok. Sprawdziła godzinę na zegarze umieszczonym na fasadzie budynku dworca, było wczesne popołudnie. Znów ogarnął ją lęk. A co, jeśli nie zastanie Filipa pod adresem, który podała jego matka? Albo...

Machnęła ręką, zła na własne czarnowidztwo, i wyjęła z kieszeni karteczkę z adresem. Zupełnie nie miała pojęcia, gdzie znajduje się widniejąca na niej ulica. Miała nadzieję, że gdzieś daleko, że zyska jeszcze trochę czasu, a poza tym będzie miała okazję pojechać tam nową kolejką podziemną, otwartą kilka lat temu. Ktoś ze znajomych mówił jej, że to naprawdę niezwykle doświadczenie i trzeba je przeżyć osobiście.

Okazało się jednak, że ulica des Petits Hôtels znajduje się całkiem niedaleko dworca. Zapytana o drogę starsza kobieta zapewniła Wiktorię, że można tam się dostać na piechotę, ale z uwagi na bagaż radziła wziąć dorożkę. Dziewczyna westchnęła ciężko, nadchodził czas prawdy i trzeba było się zmierzyć z rzeczywistością. Za chwilę się okaże, czy jej przyjazd miał sens. Skinęła ręką na woźnicę, ujęła w dłoń fałdy długiej spódnicy i wspięła się po schodkach do rozchybotanego powozu. Jazda nie trwała długo, ale staruszka miała rację, z bagażem trudno byłoby pieszo dotrzeć na miejsce.

Z wysokości dorożki Paryż wyglądał pięknie. Mimo wewnętrznego zdenerwowania Wiktoria z przyjemnością przyglądała się spacerującym po ulicach ludziom. Kobiety były bardziej eleganckie i kolorowe niż w Krakowie, chociaż i tam przecież docierała paryska moda. Wiosenne słońce odbijało się w szybach wystaw sklepowych. Dziewczyna szukała wzrokiem aptek, ale jazda trwała zbyt krótko i wydawało się, że w tej okolicy raczej ich nie było. A może wyglądały inaczej niż w Polsce? Postanowiła przy najbliższej okazji to sprawdzić.

Powóz zatrzymał się pod starą kamienicą na wąskiej uliczce. Woźnica odebrał zapłatę, świsnął batem na pożegnanie i po chwili pojazd, przy akompaniamencie stukotu końskich kopyt, zniknął za rogiem.

– A panienska do kogo? – Zza przeszkłonych drzwi wyjrzała konsjerżka, poprawiając dłonią

rozczochrane włosy. Nie pierwszej świeżości bluzkarozchyłała się na jej bujnym biuście. – Phillippe? Ten Polak? Nie, on już tu nie mieszka.

Pod Wiktoria ugięły się nogi. Spełniły się jej najgorsze przypuszczenia. Za chwilę pewnie usłyszy, że Filip wyprowadził się, bo założył rodzinę.

Jednak konsjerżka na ten temat nic nie wiedziała.

– To taki młody medyk, tak? Skończył studia, tyle wiem. Porządny był, nigdy nie zalegał z czynszem, spokojny, żadnych burd, jak to teraz młodzi...

– Nie mówił, dokąd się wyprowadza? – Wiktoria nie zdołała ukryć nuty zawodu w głosie.

– Nie. Przyszedł któregoś dnia, powiedział, że znalazł mieszkanie bliżej szpitala Hôtel Dieu, w którym odbywał praktykę lekarską. I tyle. Nie mówił nic więcej. Raczej był skryty.

Konsjerżce zrobiło się żal zmęczonej i wyraźnie zasmuczonej młodej kobiety. Wyczuwała szóstym zmysłem historię miłosną, a takie najbardziej lubiła. Zaprosiła Wiktoria do siebie na obiad.

– Akurat zjedliśmy, a jeszcze zostało. Panienska z podróży, to pewnie głodna. Porozmawiamy, może uda nam się razem coś wymyślić.

Wiktoria próbowała się wymówić od zaproszenia, ale gościnna i trochę wścibska kobieta nie chciała o tym słyszeć.

– Nie ma mowy. To żaden kłopot, a my, kobiety, powinnyśmy się wspierać.

Zrezygnowana dziewczyna nie opierała się dłużej. Weszła do mieszkania konsjerżki, odświeżyła się trochę po podróży i usiadła za stołem. Nawet nie zwróciła uwagi, co jej podała gościnna gospodyni. Czula tylko, że jedzenie było ciepłe i sycące, ale przełykała automatycznie, zastanawiając się gorączkowo nad swoim położeniem. Przecież mogła się spodziewać takiego obrotu sprawy, jednak cały czas miała nadzieję, że zastanie Filipa pod tym właśnie adresem.

Konsjerżce powiedziała tylko, nie wnikając w szczegóły, że narzeczony wyjechał z Polski na skutek nieszczęśliwego splotu wydarzeń, które ona teraz musi mu wyjaśnić.

– Ale wyjaśniło się na dobre? – Poczciwa kobieta otarła łzę wzruszenia. Oj, jak lubiła takie historie. A jeszcze bardziej, kiedy kończyły się szczęśliwie.

– Tak, na dobre, tylko nie wiem, czy już nie za późno.

– Na dobre wieści nigdy nie jest za późno.

– A jeśli przez ten czas zdążył się już ożenić?...

– Na pewno nie – zaprzeczyła szybko konsjerżka, choć bez większego przekonania.

To przecież możliwe. Młody Polak mógł szukać innego mieszkania, bo zakładał rodzinę. Jego klitka, wynajmowana w tej kamienicy, na pewno nie nadawała się dla dwóch osób. Zwłaszcza że...

Odpędziła natrętną myśl, która właśnie przyszła jej do głowy. Ta młoda dziewczyna od razu wzbudziła w niej sympatię, więc teraz chciała jakoś pomóc. Nie może pozbawiać jej nadziei na samym wstępie.

– Przede wszystkim trzeba teraz znaleźć dla panienski jakieś lokum. Tu nie ma niczego odpowiedniego, a pokój, który wynajmował pani narzeczony, jest już zajęty.

– A może ten ktoś, kto tam mieszka, będzie coś wiedział o Filipie? – ożywiła się nagle Wiktoria.

– Wątpię. On jest trochę... dziwny.

– Mimo wszystko chciałabym zapytać. – Wiktoria z hałasem odsunęła krzesło, wstając od stołu. – Mogę tam pójść? Jest teraz u siebie?

– Noo, chyba jest, tylko nie sądzę, żeby było warto...

– Proszę, chociaż spróbuję. – Dziewczyna złożyła dłonie jak do modlitwy.

Konsjerżka wzruszyła ramionami i poprowadziła ją na schody.

– To tam, na antresoli. – Wskazała brodą majaczące w półmroku drzwi. – Ja tu zaczekam, na wszelki wypadek.

Z początku nikt nie reagował na pukanie i Wiktoria już miała zrezygnować, kiedy nagle drzwi uchyliły się lekko, ukazując jedno oko i kawałek rozczochranej męskiej głowy.

– Co jest? – mruknął nieprzyjaznym głosem mieszkaniec pokoju.

– Przepraszam, chciałabym się dowiedzieć czegoś na temat poprzedniego lokatora. Może pan wie, dokąd się wyprowadził?

– Nie rozumiem. – Głos nadal był nieprzyjazny. – Cóż to za dziwny akcent? Nie można mówić normalnie?

Drzwi otworzyły się na całą niemal szerokość; zobaczyła chudego, rozczochranego i niezbyt chyba trzeźwego lokatora klitki. Na widok pięknej nieznajomej mężczyzna natychmiast zmienił ton.

– A, powitać, powitać uroczą cudzoziemkę! Proszę do środka.

Wiktoria zawahała się. Spojrzała w dół na stojącą na schodach konsjerżkę, a ta pokiwała jej głową na znak, że w razie czego będzie czuwała. Uspokojona dziewczyna weszła do zagraconego pokoiku i rozejrzała się ciekawie. A więc to tu mieszkał Filip? Starła się uchwycić jakiś ulotny ślad, lecz oprócz zapachu nieświeżych ubrań i resztek jedzenia walających się na stole nie wyczuła niczego innego.

– Pani siada. – Jej rozmówca jednym ruchem zrzucił na podłogę dwa buty nie od pary i biały kiedyś sweter. – O kogo konkretnie chodzi?

– Filip Michalski. Medyk z Polski.

– Luc Gourmand. Malarz z Francji. – Z poważną miną wyciągnął dłoń. – Witam w moich skromnych progach.

– Nie – zaprzeczyła ze śmiechem Wiktoria – ja się nazywam Wiktoria Bernat, a Filip to mój narzeczony, który tu mieszkał przed panem.

– A, Wiktoria. Też ładnie. Możemy się zaprzyjaźnić, ja też szukam narzeczonej.

– Ale ja szukam konkretnego narzeczonego. Filipa. – Wiktoria zaczęła powoli tracić cierpliwość. – Znał go pan? Wie pan może, gdzie teraz mieszka?

– Ja miałbym nie wiedzieć? – Luc spojrzał na nią niemal z urazą. – Ja wiem wszystko i o wszystkich. Nikt się przede mną nie ukryje. Chociaż ostatnio ten pani, jak mu tam, Filip, usiłował się schować. Jednak znalazłem go od razu.

– Gdzie się schował? – W głowie Wiktorii zaczęło kiełkować pewne podejrzenie.

– Tam. – Malarz z triumfującą miną wskazał na szafkę w przedpokoju. Z trudem zmieściłaby się w niej para jego butów. Takich, jakie przed chwilą zrzucił z krzesła.

– Aha.

Wiktoria zeszła na dół do konsjerżki, która, tak jak obiecała, cały ten czas czekała na schodach.

– Z nim nigdy nic nie wiadomo – wyjaśniła gospodyni. – Niby nie jest niebezpieczny, ale czasami ma dziwne pomysły. Kiedyś biegał nago po schodach, wołając, że goni ubranie, które gdzieś się przed nim schowało. Chyba za dużo pije absyntu. Jak to teraz artyści.

Wiktoria nie wytrzymała napięcia i zaczęła się histerycznie śmiać.

– Mogłam zajrzeć do tej szafki, może rzeczywiście tam się schował. – Z trudem łapała oddech, w końcu jednak rozpląkała się gwałtownie, kryjąc twarz w dłoniach. – Nigdy go nie znajdę. Niepotrzebnie tu przyjeżdżałam!

– Cicho, moje dziecko. – Konsjerżka przytuliła ją do piersi. – Znajdziesz go i jeszcze będę tańczyła na waszym weselu, zobaczysz. Jestem Włoszką, a my, Włosi, znamy się jak nikt na takich romansowych sprawach. Prawdziwa miłość zawsze zwycięży. Trzeba o nią walczyć. A jeśli się nie uda, to znaczy, że nie była prawdziwa – dodała cicho.

Wiktoria nie zwróciła uwagi na zmianę w głosie kobiety. Otarła łzy i przeprosiła za swoje zachowanie.

Nie miała zamiaru urządzać żadnych historycznych scen, ale napięcie okazało się ponad jej siły. A jeszcze to zmęczenie po podróży.

– Spokojnie, tymczasem dam panience adres mojej kuzynki, która prowadzi mały hotelik przy Rivoli. Niedrogi. Będiesz tam się mogła, moja droga, zatrzymać na jakiś czas, zanim znajdziesz narzeczonego. Wypoczniesz trochę i od jutra zaczniesz szukać swojego Filipa. Najważniejsze, że wiesz, gdzie pracuje. I miejmy nadzieję, że nie zdążył tej pracy zmienić.

Konsjerżka zapisała nazwisko i adres kuzynki na skrawku papieru.

– Proszę. Powie panienka, że przychodzi od Fabioli Montand. Zresztą napisałam do niej kilka słów na odwrocie.

– Marie Walewski? – Wiktoria zawahała się na widok nazwiska na kartce. – Mam nadzieję, że dziwne żarty nie są specjalnością tego domu...

– Ależ nie! – Konsjerżka roześmiała się głośno. – Myśli pani o tej kochance Napoleona? A to dobre, słowo daję!

Wiktoria, która jeszcze nie ochłonęła całkiem po rozmowie z dziwnym malarzem, spoglądała nieufnie na rozbawioną kobietę.

– Nie, moja kochana, to z całą pewnością nie ona. – Konsjerżka nie mogła przestać się śmiać. Klepała się przy tym po grubych udach. – Po prostu mąż mojej kuzynki nazywa się Walewski.

Dziewczyna uspokoiła się nieco.

– To jakaś polska rodzina?

– Nie, chociaż on jest polskiego pochodzenia. To bardzo porządni i uczciwi ludzie. Niedawno urodziło im się dziecko, może więc znajdzie panienka u nich zatrudnienie na czas swoich poszukiwań. Życie w Paryżu sporo kosztuje.

– Będę naprawdę wdzięczna. Miałam nadzieję, że znajdę narzeczonego pod tym adresem i nie zabawię tu zbyt długo. A tymczasem... – Wiktoria westchnęła ciężko, nie kończąc zdania.

– Będzie dobrze, a miejsce jest najlepsze z możliwych – zapewniła ją kobieta. – Wprawdzie jest tu kilka małych hotelików, jak zresztą wskazuje nazwa naszej ulicy, ale tam będzie i taniej, i bezpieczniej. Niedaleko stąd jest lupanar, więc i towarzystwo nieciekawe. Sama panienka rozumie.

Wdzięczna za pomoc dziewczyna pożegnała konsjerżkę, a ta przykazała swojemu nastoletniemu synowi, by odprowadził gościa aż do najbliższej stacji podziemnej kolejki, i wyprawiła ich w drogę. Wiktoria obiecała, że da jej znać, kiedy już znajdzie Filipa.

Chudy chłopak o niewiarygodnie sterczących na wszystkie strony włosach i najszerszym uśmiechu, jaki Wiktoria kiedykolwiek widziała, chwycił ciężki kuferek i ruszył przodem. Oglądał się co chwilę, sprawdzając, czy piękna cudzoziemka za nim idzie i czy nic jej nie grozi. Gdyby nie uszy, jego uśmiech okrążyłby pewnie całą głowę, pomyślała Wiktoria z nagłym rozbawieniem. Cieszyła się, że mimo niezbyt fortunnego początku w Paryżu trafiła od razu na życzliwych ludzi.

Fabiola Montand wróciła do swojej stróżówki i ciężko usiadła za stołem. Nie miała odwagi powiedzieć młodej Polce, że jej naręczony już chyba nie jest sam. Nie wiedziała wprawdzie, czy się ożenił, przypomniała sobie jednak, że szukał większego mieszkania nie tylko dlatego, żeby być bliżej szpitala. Przy przeprowadzce pomagała mu młoda kobieta. Sądząc z ich zachowania, a zwłaszcza jej, z całą pewnością nie była siostrą młodzieńca. Mogła to być jego nowa naręczona.

Jeśli Wiktorię i Filipa łączy prawdziwa miłość, pomyślała, robiąc na piersi znak krzyża, to zwalczą wszelkie przeszkody na swojej drodze.

ROZDZIAŁ 2

Wiktoria wysiadła na stacji Hôtel de Ville i odetchnęła z ulgą. Mimo zafascynowania nieznanym jej do tej pory środkiem lokomocji odczuwała lęk, wiedząc, że znajduje się wiele metrów pod ziemią. Czuła się też zakłopotana z powodu swojego szkolnego francuskiego, z którego do niedawna była taka dumna. W praktyce okazało się, że kilka razy musiała powtarzać pytanie o przesiadkę, zanim w końcu ktoś ją zrozumiał. Nie miała kłopotu w rozmowie z konsjerżką, gdyż dla madame Montand francuski też nie był językiem ojczystym. Z Francuzami było gorzej. Z przykrością zauważyła, że paryżanie nawet nie starali się zrozumieć jej innej wymowy i tak długo się dopytywali, aż wreszcie wypowiedziała potrzebne słowo w miarę poprawnie. Ze zdenerwowania zrobiło jej się duszno, co spotęgowała jeszcze świadomość uwięzienia pod ziemią. Podczas przesiadki na stacji Châtelet Wiktoria z trudem opanowała chęć ucieczki na powierzchnię i przebycia dalszej drogi pieszo. Już wiedziała, że ten sposób przemieszczania się po mieście nie będzie należał do jej najbardziej ulubionych.

Małeńki hotelik państwa Walewski mieścił się u zbiegu ulic Rivoli i du Renard, niemal dokładnie naprzeciwko ogromnego placu ratuszowego i samego ratusza, czyli Hôtel de Ville. Na ulicy, mimo wieczorowej pory, panował jeszcze dość duży ruch, przeważały automobile z siedzącymi sztywno za kierownicą szoferami. Wiktoria poczekała na lukę między jadącymi pojazdami i szybko przeszła na drugą stronę. Bez trudu odnalazła wskazany jej przez życzliwą konsjerżkę adres.

– Oczywiście, znajdzie się dla pani pokój – potwierdziła młoda, zmęczona kobieta za kontuarem, kiedy Wiktoria przekazała jej kartkę i pozdrowienia od krewnej z ulicy des Petits Hôtels. – Nie będzie zbyt duży, ale dla jednej osoby wystarczy. Na jak długo pani się u nas zatrzyma?

Opłata za dobę nie była zbyt wysoka, dlatego też Wiktoria postanowiła zapłacić za tydzień z góry. Później, w zależności od wyników poszukiwań, zdecyduje, co dalej. Jeśli do tego czasu nie znajdzie Filipa, będzie musiała skorzystać z rady Fabioli Montand i spytać o możliwość zatrudnienia się jako opiekunka do dziecka.

Na razie jednak nie podejmowała tego tematu, obawiając się, że kobieta skorzysta z oferty natychmiast. Świadczył o tym jej zmęczony wygląd i niepokój, z jakim oglądała się za siebie, słysząc płacz dziecka dobiegający zza drzwi małej recepcji. Wiktoria nie mogła na razie podjąć pracy, która uwiązałaby ją w tym miejscu i uniemożliwiła poszukiwania. Jak szybko obliczyła, przywiezione z Polski pieniądze powinny jej wystarczyć na jakieś dwa tygodnie, nawet po opłaceniu hotelu. Żywić się mogła skromnie, zresztą nigdy nie miała szczególnych wymagań w tej materii.

Właścicielka dała jej klucz i wskazała wąskie, skrzypiące schody na górę. Pokoik był małeńką klitką na poddaszu, za to z balkonem i pięknym widokiem na Rivoli, Hôtel de Ville i wieżę Saint Jacques po prawej. Z daleka, między drzewami, widać było nawet Sekwanę, połyskującą metalicznie w świetle latarni.

Wiktoria złożyła swój skromny bagaż w kącie małego pokoju, tuż obok zasłony, za którą zauważyła

miszkę i dzbanek z wodą do mycia. Wąskie, czysto zaścielone łóżko zachęcało do odpoczynku, ale najpierw wyszła na balkon, wpuszczając do środka chłodne wieczorne powietrze. Objęła się ściśle ramionami, spoglądając na miasto w dole.

– Gdzie jesteś, Filipie? – szepnęła cicho. – Gdzie jesteś, mój kochany?

Zmęczenie spowodowane długą podróżą i wydarzeniami minionego dnia sprawiło, że obudził ją dopiero głód. Z zaskoczeniem stwierdziła, że jest już prawie południe i przespała ponad dwanaście godzin. Zza uchylonych drzwi balkonowych dochodził szum ulicy. Wąskie, ale zaskakująco wygodne łóżko z pachnącą świeżością pościelą sprawiło, że nadal nie miała ochoty wstawać. Gdyby nie coraz dotkliwszy głód i dyskretne pukanie do drzwi, chętnie poleżałaby dłużej.

– Życzy sobie pani ciepłej wody do mycia? – Na korytarzu stała właścicielka hotelu ze sporej wielkości blaszanym dzbankiem w rękach. Woda musiała być gorąca, bo widać było unoszącą się parę.

Wiktorija napełniła stojącą za parawanem miszkę i z przyjemnością zanurzyła w niej dłonie. Marzyła jej się prawdziwa kąpiel w wannie, taka, jaką często przygotowywała jej Kasperkowa w domu, ale i to było miłą odmianą po wczorajszym pospiesznym opłukaniu twarzy zimną wodą przed snem. Postanowiła przy pierwszej nadarzającej się okazji zapytać właścicielkę o łaźnię.

Po tej skromnej toalecie włożyła czarną spódnicę w delikatne, jasne prążki, specjalnie uszytą przez ciocię Kasperkową na wyjazd do Paryża, oraz białą bluzkę ze stójką i plisowanym przodem. Wyszła na balkon, żeby sprawdzić temperaturę na zewnątrz, i uznała, że jest wystarczająco ciepło na wcięty w pasie, czarny żakiet sięgający do połowy uda. Nie nosiła głębokiej żałoby po ojcu, starała się jednak ubierać raczej na ciemno. Mały, skromny kapelusik, nałożony na upięte fantazyjnie włosy, dopełniał stroju. Niewyraźne odbicie w szybie drzwi balkonowych upewniło ją, że wygląda odpowiednio na spotkanie z miłością swojego życia.

Śniadanie zjedzone w ogródku pobliskiej cukierni wprawiło Wiktorię w dobry nastrój. Czuła, że polubi te francuskie śniadania, tak inne od ciężkich, polskich. Słodki rogalik z dżemem pomarańczowym i mocna kawa z mlekiem – to wystarczyło, żeby nabrać energii. Spoglądając sponad cieniutkiej porcelanowej filiżanki na przechodniów, układała w myślach plan czekającego ją dnia. Nie zamierzała marnować ani chwili.

– Szpital Hôtel Dieu? – Młody, ulizany kelner zastanowił się przez moment. – Tak, to ten na wyspie Cité. Całkiem blisko stąd, można dojść na piechotę.

Wskazał jej drogę i uklonił się, odbierając zapłatę.

Wiktorija przecięła zdecydowanym krokiem plac ratuszowy i skierowała się w stronę Sekwany. Tam, po przejściu przez most, miała iść cały czas prosto Rue d'Arcole, ulicą znajdującą się już na wyspie, aż do Place du Parvis Notre-Dame, przy którym znajdował się szpital. Młody kelner zapewnił ją, że trafi bez trudu, bo nie da się przeoczyć tak wielkiego kompleksu szpitalnych budynków.

Wiatr dmuchający od rzeki wydał jej spódnicę i usiłował zrzucić kapelusik z głowy. Wiktorija przystanęła na moście, jedną ręką przytrzymując nakrycie głowy, drugą spódnicę. Dołem przepływały szerokie barki z węglem i małe łodzie wypełnione czymś, czego nie była w stanie rozpoznać z takiej odległości. Z całą pewnością jednak nie służyły do rekreacyjnych przejażdżek. Ogromna fala powstająca po przepłynięciu dużej barki rozbijała się z chlupotem o nabrzeże.

Młoda kobieta spoglądała z zachwytem na skąpane w wiosennym słońcu miasto po obu stronach rzeki. Wody Sekwany w tysiącach świetlnych refleksów opływały wyspę Cité i Świętego Ludwika, mniejszą, leżącą w pobliżu. Paryż oczarował Wiktorię od pierwszych chwil. Czuła, że mogłaby tu zamieszkać z Filipem. Uśmiechnęła się do swoich myśli. Nie można chyba wyobrazić sobie lepszego miejsca na spotkanie zakochanych.

Starła się nie dopuszczać do siebie żadnych złych przeczuć, lecz niechciana przepowiednia Cyganki nie dawała o sobie zapomnieć: „Będiesz jeszcze szczęśliwa, ale coś na zawsze odmieni twoje życie. Bądź ostrożna”.

Cóż złego mogłoby ją spotkać w tak pięknym mieście? Oczywiście, że będzie ostrożna. Zresztą co to za bzdury. Ona, wykształcona kobieta, miałaby wierzyć we wróżby? Prychnęła rozdrażniona i oderwała rękę od balustrady mostu. Nawet nie zauważyła, że zacisnęła dłonie z taką siłą, aż pobieleły jej palce. Przechodzący obok mężczyzna zwolnił i z zachęcającym uśmiechem uchylił kapelusza. Tak, samotna kobieta stojąca na moście to pewnie wyraźny sygnał dla takich jak on. Wiktoria obrzuciła natręta dumnym spojrzeniem i zła na samą siebie ruszyła w dalszą drogę.

Malownicza Rue d’Arcole zawiodła ją wprost na rozległy plac, przy którym stała katedra Notre Dame. Wiktoria miała ogromną ochotę zajrzeć do środka, jednak postanowiła najpierw pójść do szpitala, który znajdował się tuż obok świątyni. Być może za chwilę spotka Filipa albo chociaż dowie się czegoś na jego temat – ta myśl dopingowała ją do działania. Na zwiedzanie zabytków Paryża przyjdzie jeszcze czas.

Ogromna brama w ogrodzeniu z żelaznych sztachet prowadziła pod arkady, a stamtąd na szeroki wewnętrzny dziedziniec i do głównego wejścia. Wiktoria spytała przechodzącego mężczyznę, wyglądającego na pracownika szpitala, o pomieszczenia administracyjne. To tam zamierzała zasięgnąć informacji na temat Filipa. Pokój, do którego została skierowana, mieścił się na pierwszym piętrze, tuż obok gabinetu głównego lekarza.

Zapukała nieśmiało i nie doczekawszy się odpowiedzi, nacisnęła masywną klamkę od drzwi. Siedząca w głębi przy ciężkim biurku kobieta podniosła zniecierpliwiona głowę z nad papierów i spojrzała surowo na dziewczynę.

– Czy słyszała pani zaproszenie do wejścia? Nie? To proszę zostawić pismo i nie przeszkadzać mi w pracy.

– Nie mam niczego na piśmie. – Wiktoria poczuła, jak ogarnia ją złość. Cerber w długiej ciemnej sukni ze stójką nawet nie pozwolił jej grzecznie się przywitać. – Przyjechałam wczoraj z Polski i szukam kogoś, kto podobno odbywa tutaj praktykę.

– Nie udzielamy takich informacji... – zaczęła kobieta, ale widząc desperację w oczach przybyłej, zmieniła nagle ton. – No dobrze. O kogo konkretnie chodzi? To pracownik gospodarczy czy lekarz?

– Lekarz, Polak. Nazywa się Filip Michalski.

– A, Phillippe Michalski? Przyszły zięć profesora Leblanca? – Kobieta wyraźnie się ożywiła. Widocznie profesor cieszył się tutaj dużym szacunkiem. – Ale... co pani jest? Może wody? Albo wezwę lepiej jakiegoś lekarza?

Błada jak ściana Wiktoria oparła się o brzeg biurka i pokręciła przecząco głową.

– Nie, dziękuję, już w porządku. Jestem po prostu zmęczona po podróży. Gdzie... gdzie mogę go teraz zastać?

– A kim pani dla niego jest? – Pracownica szpitala zjeżyła się na nowo.

Młoda piękna kobieta mogła stanowić jakieś zagrożenie dla przyszłego zięcia profesora.

– Jestem jego siostrą, nie widzieliśmy się od kilku lat. – Wiktoria już się zorientowała, że nie może publicznie wyjawiać prawdziwej natury związku łączącego ją z Filipem. Tylko jemu mogła wyznać prawdę. Chociaż teraz, w tych okolicznościach...

– Niestety, nie ma go w tej chwili. – Wzrok kobiety złagodniał nieco. – Wyjechał z profesorem. I tylko tyle mogę pani powiedzieć, nie jestem upoważniona...

Wiktoria poczuła, jak ziemia osuwa jej się spod nóg. Zupełnie nie wiedziała, co teraz ze sobą zrobić.

Wracać do Krakowa? Czekać? Tylko jak długo?

– Rozumiem. – Z trudem zapanowała nad głosem. – Ale może mi pani chyba powiedzieć, kiedy wróci?

– Prawdopodobnie za kilka tygodni. Wyjechali dopiero wczoraj.

Mój Boże, wczoraj? To nie mogła być prawda, przewrotny los okazał się zbyt okrutny. Spóźniła się o jeden dzień?! Jeden jedyny dzień...

To było ponad jej siły, opadła na stojące obok krzesło.

Kobiecie żal się zrobiło tej młodej, wyraźnie załamanej cudzoziemki. Wyczuwała jakieś problemy rodzinne, do których jednak nie zamierzała się mieszać. Dziwne rodzeństwo. Może doktor Phillippe Michalski chciał się odciąć od tej rodziny? Tym bardziej nie ma prawa ingerować w jego prywatne sprawy. Wróciła do rozłożonych na biurku papierów.

– Pani wybaczy, jestem teraz zajęta. Nie mogę pomóc, ale proszę się dowiadywać. Za jakieś trzy, cztery tygodnie powinni wrócić. Może pani zostawić swoje nazwisko i adres, na wypadek gdyby wrócił wcześniej. Przekażę mu wiadomość natychmiast.

Wiktoria zostawiła adres hotelu państwa Walewski i jak lunatyczka wróciła na ulicę Rivoli, niczego wokół siebie nie widząc. Nawet nie zauważyła katedry Notre Dame, którą zamierzała obejrzeć w drodze powrotnej. Drogę do hotelu pokonała ze spuszczoną głową, zupełnie już nieczuła na urok skąpanego w wiosennym słońcu Paryża.

Zrobiło się bardzo ciepło. Przebrała się w coś lżejszego i zapytawszy właścicielkę hoteliku, gdzie można niedrogo zjeść, udała się do pobliskiej jadłodajni przy Rue du Renard. Jedzenie było niewyszukane, ale, co najważniejsze, tanie. Smaku potraw i tak nie czuła. Pograżona w niewesołych myślach jadła tylko po to, żeby całkiem nie opaść z sił.

Zupełnie nie spodziewała się takiego obrotu sprawy. Miała nadzieję, że dziś w szpitalu w końcu wyjaśnią się sprawy między nią a Filipem, nie przypuszczała jednak, że przyjdzie jej jeszcze tak długo czekać. Jeśli chciała przetrwać ten czas, musiała koniecznie znaleźć sobie jakieś zajęcie. Powrót do domu, zanim rozmówi się z ukochanym, nie wchodził w grę. Zbyt dużo poświęciła, żeby teraz od razu wracać, nie wiedząc, jaka jest jego sytuacja i czy mają szansę na wspólne życie.

Może jeszcze nie wszystko stracone? Musiała się przekonać, czy Filip nadal kocha ją tak jak ona jego. I czy dla tej miłości będzie w stanie zrezygnować ze swoich zobowiązań wobec innej kobiety. Nie miała wyrzutów sumienia, że rozbije jego nowy związek. Filip należał do niej i nikt inny nie miał do niego prawa. Zwłaszcza teraz, kiedy wyjaśniła się sprawa ich rzekomego pokrewieństwa.

Musiała, koniecznie musiała mu o tym powiedzieć.

Opieka nad dzieckiem właścicielki na razie nie wchodziła w rachubę, okazało się bowiem, że to zajęcie dostała uboga krewna z prowincji, która przyjechała do Paryża niemal w tym samym czasie co Wiktoria. Wprawdzie tamta mogła się nie sprawdzić w roli niani, ale żeby się o tym przekonać, trzeba było czasu.

Znów zabrakło mi kilku dni, pomyślała z goryczą Wiktoria, słysząc odmowę. Klątwa matki zdawała się nie tracić mocy. Umierająca Hanka nie wiedziała, że przeklinając Bernata i jego dzieci, sprowadza nieszczęście również na własną córkę. Może gdyby o tym wiedziała, los jej, Wiktorii, wyglądałby inaczej?

– A co pani umie robić? – Właścicielka hotelu starała się jakoś pomóc młodej cudzoziemce. Wiedziała tylko tyle, że ta przyjechała do Paryża za swoim ukochanym i że była to jakaś skomplikowana historia miłosna. – Potrafi pani szyć, prać, prasować?

– Tego akurat za bardzo nie umiem. – Wiktoria uśmiechnęła się smutno. – Jestem farmaceutką,

właścicielką apteki w moim rodzinnym mieście. Prace domowe nigdy mnie jakoś szczególnie nie ciągnęły.

– Farmaceutką? No to ma pani przecież fach w ręku. Trzeba popytać w aptekach, może potrzebują kogoś do pomocy.

Niestety, sprawa okazała się bardziej skomplikowana, niż to na początku wyglądało. Wiktoria nie wzięła ze sobą dokumentów potwierdzających swoje wykształcenie, a właściciele aptek, do których się zwracała, byli nieufni. Ta cudzoziemka wydawała się zbyt młoda, by posiadać odpowiednie kwalifikacje do tej pracy. Poza tym francuski młodej kobiety mógł okazać się dużą przeszkodą w kontaktach z klientami. Tutaj potrzebne było specjalistyczne słownictwo, a Wiktoria, niestety, go nie знаła. Francuski, z którego znajomości tak była dumna w szkole, okazał się wystarczający tylko na co dzień. A i też nie zawsze rozumiała dokładnie, co do niej mówiono. Francuzi mówili zbyt szybko i dopiero musiała się przyzwyczaić do innej wymowy. Z pewnością wystarczyłoby kilka tygodni, żeby opanowała do perfekcji język i zgubiła polski akcent, by móc bez przeszkód podjąć pracę, lecz tak dużo czasu nie miała.

Z żalem i tęsknotą wdychała upajający dla niej zapach odwiedzanych aptek. Nawet nie zdawała sobie wcześniej sprawy, jak bardzo jej go brakuje. Przez moment zatęskniła za Krakowem, Grodzką i apteką „Pod Złotym Moździerzem”. Paryż bez Filipa stracił już dla niej cały urok.

A i tutejsze apteki wyglądały jakby inaczej. Nie czuło się w nich owej domowej wręcz atmosfery, jaką miały te w jej rodzinnym mieście. Wiktoria wychowała się wśród półek z lekami, od najwcześniejszych lat schodziła do ojca, żeby tam bawić się w „swoją aptekę” i sprzedawać cudowne środki wyimaginowanym klientom.

Uświadomiła sobie nagle, że bardziej chyba niż za ludźmi pozostawionymi w Krakowie tęskni za swoją apteką. Za jej niepowtarzalnym zapachem i każdym znanym kątem, za szafkami i szufladami opisanymi po łacinie. Nawet za rysunkami roślin, którymi na życzenie ojca ozdabiała torebki z mieszankami ziół.

– Jedyne, co mogłabym robić w tych aptekach, to rysować zioła na torebkach, tak jak to robiłam kiedyś u ojca. Do tego specjalistyczna znajomość języka nie jest potrzebna – stwierdziła zrezygnowana po powrocie do hotelu. – Ale wątpię, żeby ktoś był tym zainteresowany. Nawet nie proponowałam.

– Umie pani rysować? – ucieszyła się hotelarka. – To świetnie, w takim razie może znalazłoby się zajęcie dla pani. Tylko muszę się skontaktować z przyjacielem mojego męża. Mówił nam niedawno, że jego siostra szuka kogoś na swoje miejsce w wytwórni porcelany. Malowała tam chyba ręcznie wzory na ich wyrobach. Teraz odkryła w sobie artystkę i chce tworzyć prawdziwe obrazy – dodała z lekkim lekceważeniem w głosie.

– Brzmi interesująco, tylko czy ja potrafię...

– A czymże się różni rysowanie czy też malowanie na torebkach od ozdabiania talerzy? Tam też są przeważnie kwiatki, czasem jakieś amorki albo inne Marie Antoniny. – Madame Walewski machnęła ręką ze śmiechem. – Poradzi pani sobie. Jeszcze dziś spytam męża o jego przyjaciela.

ROZDZIAŁ 3

Niemal całe popołudnie Wiktoria spędziła w swoim pokoju, pisząc przy otwartym balkonie listy do braci w Wiedniu i przyjaciół w Krakowie. Obiecała Zosi i cici Kasperkowej odezwać się możliwie jak najprędzej po przyjeździe do Paryża. Wtedy miała nadzieję, że już będzie mogła im opowiedzieć o spotkaniu z Filipem. Niestety, los zrządził inaczej.

Ograniczyła się więc tylko do opisów Paryża i krótkiej informacji, że Filip wyjechał gdzieś z miasta i przyjdzie jej na niego poczekać. Nie wspomniała, że jest zaręczony. Przesądnie uważała, że kiedy już wypowie na głos te słowa, albo choćby tylko napisze, staną się nieodwracalnym faktem. A przecież miała nadzieję, że jeszcze zdoła odmienić los. Może kiedy Filip się dowie, że jednak nie są rodzeństwem, zerwie tamte zaręczyny?

Pisząc te listy, Wiktoria czuła łzy pod powiekami. Zaczynała już tęsknić. Jeszcze nigdy na tak długo nie wyjeżdżała z Krakowa, nie przypuszczała nawet, że będzie jej brakowało tamtych ulic, małych sklepików, dźwięku sygnaturek ze starych klasztorów i tego niepowtarzalnego zapachu. Paryż pachniał zupełnie inaczej, obco.

To nie potrwa długo, pocieszała się, za kilka tygodni znów będę w domu. Na koniec poprosiła bliskich, żeby jej nie odpowiadali. Listy szły zbyt długo, odpowiedź mogłaby jej już nie zastać. Nie przewidywała przecież dłuższego pobytu w Paryżu.

Postanowiła wysłać korespondencję jeszcze tego samego dnia. Zeszła na dół, zapytała o najbliższą pocztę i po chwili znalazła się na ruchliwej Rue Rivoli. Poczta na szczęście była niedaleko hotelu, przy małej uliczce, Wiktoria nadała więc listy i nie bardzo wiedząc, co teraz robić, poszła przed siebie bez konkretnego celu. Miała mnóstwo spraw do przemyślenia, a zawsze łatwiej jej się myślało w ruchu.

Paryż w późnopołudniowym świetle wyglądał pięknie. Kobiety w wykwintnych strojach przechadzały się z wdziękiem po ulicach, osłaniając przed słońcem blade po zimie twarze fikuśnymi parasolkami. Panowie trzymali ręce przy kapeluszach dla ochrony przed wiatrem albo żeby co chwilę uchylać nakrycia głowy przed spotykanymi po drodze znajomymi. Na skwerkach bawiły się hałaśliwie dzieci pilnowane przez młode nianie.

Jeden z malców zsunął się nagle z wózka i z trudem łapiąc równowagę na krótkich nóżkach, ruszył w kierunku ulicy. Nieświadoma tego faktu niania, w przekrzywionym czepku ze wstążkami, siedziała tymczasem na ławce w objęciach młodzieńca w mundurze. Zanim Wiktoria zdążyła zareagować, z krzaków naprzeciwko zakochanej pary wyskoczyła rozsierdzona kobieta, prawdopodobnie matka malca. Porwała dziecko na ręce i podbiegła do zaczerwienionej z emocji opiekunki. Z dolatujących stamtąd krzyków wynikało, że madame miała już wcześniej jakieś podejrzenia, dlatego też ukryła się w krzewach, żeby przyłapać dziewczynę na gorącym uczynku. Adorator niani skorzystał z zamieszania i ulotnił się błyskawicznie, zostawiając swą wybrankę na pastwę rozsierdzonej pracodawczyni.

Wiktoria nie miała wątpliwości, że dla czerwonej jak piwonia dziewczyny był to prawdopodobnie ostatni dzień pracy. Przez moment zastanawiała się nawet, czyby nie zaproponować tamtej kobiecie

swoich usług, doszła jednak do wniosku, że byłoby to niemoralne. Nie miała zamiaru zyskiwać niczego czyimś kosztem. Mogło się przecież zdarzyć, że dziewczyna dostanie jeszcze jedną szansę.

A Filip i jego narzeczona?, odezwał się nagle w jej głowie cichy głosik. Nie chcesz go odebrać tamtej? Jej uczucia cię nie obchodzą?

Wróciła nad Sekwanę, gdzie na bulwarach ciągnęły się kramy bukinistów. Przystawała z ciekawością, przeglądała stare czasopisma, ryciny i książki. Siedzący na stołeczkach sprzedawcy chętnie dawali się wciągnąć w pogawędkę z uroczą cudzoziemką, mówiącą z zabawnym obcym akcentem. Żal jej było wracać do hotelu, wieczór był taki piękny. Z zazdrością przyglądała się spacerującym zakochanym parom.

Od zachodzącego na czerwono słońca powietrze nabrało koloru starego złota. Ciemniejąca na tle nieba katedra Notre Dame po drugiej stronie rzeki wyglądała w tym świetle niczym widoczek malowany akwarelą, jakich pełno było w sklepikach dla turystów. Całe to piękno jednak, podziwiane w samotności, dla Wiktorii straciło swój urok.

Zrobiło się późno, sprzedawcy powoli zaczęli zwiijać swoje kramiki. Niewielkie budki-skrzynki, przytwierdzone do kamiennego nabrzeża, były zamykane na noc, wystarczyło tylko schować do nich książki. Pełna żalu Wiktoria zeszła po stopniach obok mostu i tam usiadła na kamiennym nabrzeżu. Pograżona w myślach o Filipie wpatrywała się w płynącą dołem Sekwanę, aż wilgotny chłód ciągnący od wody przywrócił ją do rzeczywistości. Nie czuła głodu, wróciła więc od razu do hotelu i dość szybko położyła się spać.

W nocy dręczyły ją koszmary, widziała wpadającego do Sekwany Filipa. Zsuwał się z nabrzeża, odrzucając jej pomocną dłoń, jakby nie chciał mieć nic wspólnego z nią, Wiktoria. Jakby w ogóle jej nie znał. Obudziła się wczesnym świtem i nie mogła już zasnąć.

– Mademoiselle, dzisiaj przyjdzie do nas w odwiedziny znajomy męza, proszę być w pobliżu – oznajmiła Marie Walewski wychodzącej na śniadanie Wiktorii. – Powie nam coś bliższego na temat tamtej pracy. O ile nadal jest aktualna, rzecz jasna.

Dziewczyna i tak postanowiła zostać dziś w hotelu, jako że pogoda nie zachęcała do spacerów po mieście. Już w nocy Wiktorię obudził szum deszczu, a potem stopniowo przerodził się w głośne bębnienie o dach. Wstała, żeby przymknąć drzwi balkonowe, gdyż wpadające przez nie krople osiadały na podłodze i stojącym w pobliżu balkonu stoliku.

Zawsze lubiła deszcz, chociaż nastrojał ją melancholijnie. Wróciła do łóżka i oddała się wspomnieniom. Z trudem przypominała sobie szczegóły twarzy Filipa, wciąż jednak widziała wyraźnie jego zielone oczy, wpatrzone w nią z miłością. Słyszała głos powtarzający, że nigdy nie przestanie jej kochać, że „twój na zawsze” i „dopóki starczy życia”...

Musi się z nim spotkać, musi powiedzieć, że nie są rodzeństwem, że nic już nie stoi na przeszkodzie ich miłości. Nic, oprócz nowej narzeczonej... Boże, zaczęła modlić się żarliwie, spraw, żeby nie było za późno!

Obudziła się na mokrej poduszce. Trudno było orzec, czy zmoczył ją wpadający do pokoju deszcz – w nocy wiatr otworzył szeroko drzwi na balkon – czy też łzy. Świat za oknem był szary i ponury, nic nie pozostało z wczorajszego piękna. Widziani z góry przechodnie kulili się pod parasolami, mokre automobile, lśniące jak cielska wielorybów, przejeżdżały ulicą Rivoli, rozchlapując liczne kałuże. Gdyby nie musiała wyjść na śniadanie, chętnie zostałaby w łóżku przez cały dzień.

Informacja właścicielki hotelu ucieszyła ją z dwóch powodów. Po pierwsze, Wiktoria liczyła, że dowie się czegoś o tej pracy, po drugie, zyskała dobry pretekst, żeby zostać w pokoju przez resztę dnia.

Nie miała ochoty na samotne wędrówki po mieście w strugach ulewnego deszczu. Poprzedniego popołudnia kupiła u bukinisty książkę o Paryżu, postanowiła więc, że przejrzy ją w spokoju, by dowiedzieć się więcej o miejscu, w którym zmuszona będzie spędzić jeszcze jakiś czas. Znacznie łatwiej jest zwiedzać samotnie miasto, kiedy się wie, dokąd pójść. Jedynym miejscem, które naprawdę chciała zobaczyć, niezależnie od wszystkiego, był Luwr. Postanowiła, że pójdzie tam, kiedy tylko załatwi sprawę pracy.

Znajomy państwa Walewskich okazał się rudym młodzieńcem z upstrzoną piegami twarzą. Niebieskie oczy spoglądały z wyraźną przyjemnością na piękną cudzoziemkę.

– Pascal Castillon du Manon, bardzo mi miło. – Skłonił się przed Wiktoria, a ona, wbrew samej sobie, zaczerwieniła się pod jego spojrzeniem.

Cofnęła dłoń, którą zdecydowanie zbyt długo przytrzymał ciepłymi palcami, i starając się opanować zmieszanie, przedstawiła się grzecznie. Przez chwilę prowadzili niezobowiązującą rozmowę; nowy znajomy chciał wiedzieć, jak jej się podoba Paryż i jak długo zamierzała tu pozostać. Paryżanie mieli denerwujący zwyczaj wypytywania cudzoziemców o swoje miasto, z góry zakładając, że na pewno się podoba, i to bardzo. Ciekawe, zastanawiała się Wiktoria, co by było, gdyby komuś odpowiedziała, że wcale nie, bo Kraków jest o wiele ładniejszy. Uśmiechnęła się lekko do swoich myśli.

Pascal, który widocznie uznał, że to jego widok wprowadził piękną Polkę w tak dobry nastrój, jeszcze bardziej zaczął jej nadskakiwać. Małżonkowie wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Słyszałem od przyjaciela – przybyły spojrzał przelotnie na hotelarza – że umie pani rysować i szuka pracy. Zgadza się?

– Zgadza.

– A co pani potrafi oprócz tego?

– Mam wymienić wszystkie swoje talenty? Bo rozumiem, że to pan ma być moim pracodawcą? – spytała z lekkim wyzwaniem w głosie.

– No, nie. – Rozbawiła go jej złośliwość. – Ale chciałbym pomóc tak uroczej istocie, a mając więcej informacji, mógłbym...

– Wystarczy, jeśli mi pan opowie o pracy w wytwórni porcelany – przerwała mu spokojnie. – O ile to zajęcie nadal jest aktualne.

Lekko zbity z tropu młodzieniec odchrząknął, żeby pokryć zmieszanie. Dotarło do niego, że gładkimi słówkami raczej nie zdobędzie sympatii młodej Polki.

– Z tego, co wiem, chyba jest, ale szczegóły będzie znała moja siostra. Chętnie panią z nią skontaktuję.

– Będę zobowiązana.

Ku zadowoleniu Wiktorii okazało się, że siostrę Pascala najczęściej można spotkać w Luwrze, gdzie spędzała całe godziny, kopiując dzieła mistrzów. Miała więc okazję odwiedzić to muzeum szybciej, niż planowała, łącząc przyjemne z pożytecznym. Uczynny Francuz obiecał jej tam towarzyszyć, zupełnie już nie kryjąc swojej fascynacji piękną dziewczyną.

Ivonne Castillon du Manon okazała się tak podobna do brata, że Wiktoria nie miała żadnych wątpliwości, kiedy zobaczyła ją stojącą w grupie studentów. Nie była tam jedyną kobietą, ale jako jedyna miała płomiennorude, skręcone w burzę loków włosy i białą, upstrzoną piegami cerę. Błękitne jak u brata oczy spojrzały na Wiktoria chłodno i z lekką wyniosłością. Ivonne właśnie skończyła pracę i zbierała swoje przybory do płóciennego worka.

– Chcesz mi przedstawić swoją nową kochankę? – rzuciła przez ramię do brata. Nie przerwała pakowania, nawet nie zwracając sobie głowy powitaniem.

Zabrzmiało to jak policzek i Wiktoria aż drgnęła nieprzyjemnie zaskoczona. Zupełnie nie wiedziała, czym sobie zasłużyła na taką niechęć siostry Pascala. Poczwała, że oblewa ją gorący rumieniec, i zabrakło jej tchu.

– Ależ Iv... – jęknął młody człowiek, spoglądając przeproszająco na dziewczynę. – Mademoiselle szuka pracy, a ty mówiłaś kiedyś, że potrzebujesz kogoś na swoje miejsce. Pomyślałem więc...

– W końcu zacząłeś myśleć? Czego tym razem użyłeś do tego skomplikowanego procesu?

– Przestań – wycedził przez zęby, wyprowadzony z równowagi. – Nasze rodzinne niesnaski nie powinny obchodzić panny Wiktorii. Powiedz tylko, czy ta praca jest jeszcze aktualna, i pójdziemy sobie, skoro tak cię drażni mój widok.

Wiktoria ocknęła się z odrętwienia. Nie przywykła do tak lekceważącego traktowania i początkowo nie wiedziała, jak zareagować. Dopiero po chwili udało jej się opanować drżenie głosu.

– Przepraszam, jeśli się pojawiłam nie w porę. Proszę zapomnieć o pytaniu brata, chyba nie jestem już zainteresowana. Żegnam.

Skinęła chłodno głową i odwróciła się w stronę wyjścia. Chciała jak najprędzej stąd uciec i zaczerpnąć powietrza. Jak zawsze w chwilach wzburzenia, miała trudności z nabraniem tchu.

Zanim jednak doszła do końca korytarza, dogoniła ją siostra Pascala.

– Proszę tego nie brać do siebie.

Wiktoria odwróciła się niechętnie. Ivonne spojrzała jej w oczy.

– Jestem wściekła na tego łajdaka, a pani niepotrzebnie się oberwało przy okazji. Przepraszam. – Wyciągnęła do niej dłoń o długich smukłych palcach.

Wiktoria z wahaniem podała jej swoją, gdyż wciąż czuła się urażona. Postanowiła jednak poczekać na jakieś wyjaśnienia.

– Wszystko pani wytłumaczę i opowiem o tej pracy. – Tamta zdawała się czytać w jej myślach. – Zapraszam do mnie, ale bez tego... bez mojego brata. Zgoda? – Wskazała ręką na stojącego w korytarzu Pascala.

Z daleka widać było, jak młody mężczyzna zaciska szczęki w bezsilnej złości. Wiktoria była ciekawa, czym aż tak bardzo naraził się siostrze. Zgodziła się towarzyszyć Ivonne do jej mieszkania. Pożegnała się ze swoim towarzyszem, podziękowała mu za pomoc i ruszyła za jego siostrą.

– Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy? – Pascal nachylił się nad dłonią dziewczyny.

– A ja mam nadzieję, że nie. – Ivonne pociągnęła ją za sobą i z zaciętą miną ruszyła przed siebie, mamrocząc coś pod nosem.

ROZDZIAŁ 4

Pracownia malarki mieściła się w dzielnicy Le Marais, niezbyt daleko od Luwru, jednak teraz zbyt daleko z powodu deszczu, który znów się rozpadał, dlatego też siostra Pascala postanowiła, że pojedą koleją podziemną. Po krótkiej podróży Wiktoria z ulgą wyszła na ulicę. Już wcześniej doszła do wniosku, że ten środek transportu zdecydowanie nie należy do jej ulubionych.

Podczas jazdy metrem nie miała nawet czasu, by się zastanawiać, czy wizyta w domu nieznanym kobiecie, obdarzonej dość gwałtownym temperamentem, jest rozsądnym posunięciem. Nie było jednak po temu sposobności, ponieważ Ivonne niemal nie zamykały się usta, zupełnie jakby chciała zatrzeć pierwsze nieprzyjemne wrażenie z Luwru. Mówiła głośno, żywo przy tym gestykulując, czym wzbudzała zainteresowanie otoczenia. Wiktoria, nieprzyzwyczajona do takiego zachowania, sztywniała przy każdym wybuchu tamtej. Co zadziwiające, otaczający ich ludzie byli jakby mniej zbulwersowani zachowaniem impulsywnej Francuzki niż ona.

– Uważaj na tego drania.

Zorientowała się nagle, że jej towarzyszka nadal mówi o swoim bracie.

– To łajdak pozbawiony sumienia, myślący tylko o jednym.

Wyraz twarzy młodej kobiety nie pozostawiał wątpliwości, o jakie „jedno” jej chodzi. Nieco pruderyjna, surowo wychowana Wiktoria zaczerwieniła się gwałtownie.

– Tak, tak, dokładnie to mam na myśli. Uwodzi dziewczyny, a potem rzuca je jak zużyte pędzle.

Ciekawe porównanie, pomyślała rozbawiona Wiktoria. Wyobraziła sobie głowę młodej kobiety, przypominającą pędzel ze sterzącym włosiem, i niemal roześmiała się na głos. Jednak następna informacja sprawiła, że natychmiast odechciało jej się śmiać.

– Przez niego moja najlepsza przyjaciółka popełniła samobójstwo – oświadczyła Ivonne. – Na razie nie mogę jeszcze o tym mówić, więc proszę, nie pytaj.

– Och.

A więc taka była przyczyna niechęci, a nawet wrogości Ivonne wobec brata. Brzmiało to poważnie. Wiktoria poczuła nieprzyjemny dreszcz. Cyganka ostrzegała ją przed jakimś niebezpieczeństwem, może miała na myśli takich ludzi jak Pascal? Postanowiła uważać. Zresztą wcale nie zamierzała kontynuować znajomości z tym człowiekiem. Do niczego nie był jej potrzebny. Znajdzie sobie jakieś zajęcie, za parę tygodni spotka się z Filipem, a potem wróci do domu.

Z ukochanym albo bez niego. Czas pokaże.

Okna wynajmowanej przez Ivonne pracowni wychodziły na obszerne, jasne podwórko przy ulicy Ferdinand Duval. Niskie, półokrągłe pomieszczenie z łupkowym dachem było przybudówką, doklejoną do jednego z budynków. Półokrągła ściana od strony podwórza składała się praktycznie z samych okien. Z uwagi na ilość światła miejsce było idealne na atelier malarskie.

– Zimą trochę trudno tu wytrzymać przez te okna. – Ivonne zdjęła płaszcz i zakrzętnęła się przy żelaznym piecyku. Odsunęła pogrzebaczem fajerkę i ustawiła garnek z wodą. – Wieje przez szpary

i trudno to ogrzać, ale i tak uważam, że lepszego miejsca na pracownię nie mogłabym znaleźć w całym Paryżu. Zwłaszcza za tę cenę. Napijesz się herbaty? – Bez ceregieli zwróciła się na ty do swojego gościa.

– Chętnie. – Wiktoria uśmiechnęła się przyzwalająco. Nie przeszkadzała jej bezpośredniość siostry Pascala, czuła już, że mogłaby się z nią zaprzyjaźnić.

Czekając na obiecaną herbatę, dyskretnie rozglądała się wokoło. Całe pomieszczenie wypełniały obrazy. Część z nich stała pod ścianami, inne były rozpięte na ramach. Wiele z nich dopiero powstawało – na razie były to wielobarwne plamy, zarysy form, a czasami tylko smugi kolorów. Toteż uwagę Wiktorii zwróciło płótno już niemal skończone, przedstawiające prawie gotowy pejzaż.

Zachwycona, podeszła do sztalugi i przez dłuższy czas w milczeniu podziwiała obraz. Przedstawiał szeroką, połyskującą na zielono i niebiesko rzekę, widzianą z drewnianego pomostu. Faktura zniszczonych w wyniku upływu czasu desek oddana była z takim realizmem, że Wiktoria niemal czuła zapach nagrzanego słońcem drewna. Rosnące w pobliżu pomostu lilie wodne otwierały swoje kielichy, ukazując żółte wnętrza, szuwały przy brzegu rzucały prążkowane cienie na płynącą leniwie, rozświetloną słonecznymi błyskami wodę. Po drugiej stronie rzeki ciemniał las.

– Piękne... – szepnęła w zachwycie. – Chciałabym choć przez chwilę tam się znaleźć.

– Ja też... – Ivonne stanęła za nią z dwiema filiżankami herbaty w rękach. – Usiądziemy?

Jedyny wolny od płócien stolik nakryty był ciężkim, brokatowym materiałem, służącym teraz za obrus. Fragmenty tego materiału Wiktoria odkryła na jednym ze stojących pod ścianą obrazów. Tam stanowił tło martwej natury.

– To widok na Sarthe, rzekę mojego dzieciństwa – odezwała się Ivonne po dłuższej chwili milczenia. – Na tym pomoście niemal się wychowałam, tam spędziłam całe swoje szczęśliwe dzieciństwo. Razem z bratem siedzieliśmy w wodzie, do momentu, aż służba wyciągała nas trzęsących się jak w febrze i z sinymi z zimna ustami.

Roześmiała się cicho, jakby na nowo zobaczyła tę scenę.

– Brakuje mi tamtego miejsca – westchnęła. – Nie mogę dokończyć obrazu, bo stale dorzucam jakiś szczegół z pamięci.

Wiktoria nie przerywała. Miała ochotę zapytać, dlaczego Ivonne nie może tam wrócić, bała się jednak, że to zbyt niedyskretne pytanie. Ich krótka znajomość nie pozwalała jeszcze na taką dociekliwość.

– Ale pewnie nie interesuje cię pokręcona historia naszej rodziny. – Ivonne machnęła niedbale wolną dłonią, patrząc przy tym spod zmrużonych powiek na Wiktorię.

– Ależ dlaczego? Jeśli tylko masz ochotę opowiedzieć, chętnie posłucham. Lubię rodzinne opowieści, nawet jeśli są smutne. Sama mam ich kilka w zanadru i też czasami chciałabym komuś o wszystkim opowiedzieć.

– Wiesz co? – Ivonne uniosła się z krzesła i uściskała ją serdecznie. – Myślę, że zostaniemy przyjaciółkami. Nie wiem, dlaczego mam takie wrażenie, przecież dopiero co się poznałyśmy, ale wyczuwam w tobie pokrewną duszę. Mimo że... – wybuchnęła niepohamowanym śmiechem – początek naszej znajomości raczej nie był zachęcający.

Pierwszy raz od przyjazdu do Paryża Wiktoria poczuła się dobrze i bezpiecznie. Przyjazne otoczenie, wygodny fotel i kojący, łagodny głos Ivonne sprawiły, że zapragnęła się zwierzyć tej impulsywnej, ładnej Francuzce. Zanim się zorientowała, zamiast słuchać opowieści o jej rodzinie, zaczęła mówić o swojej. O przekleństwie rzuconym przez matkę na ojca i jego dzieci. O swoich studiach i pracy w aptece. I o miłości do Filipa oraz o tym, dlaczego musiał wyjechać z Paryża i dlaczego teraz szukała ukochanego. Pomięła tylko milczeniem kryminalną przeszłość ojca. O tym nie była jeszcze w stanie rozmawiać z nikim spoza rodziny.

Może oprócz Filipa, o ile by doszło do takiej rozmowy.

– Przekleństwo? – Ivonne aż się nachyliła w jej stronę. – Naprawdę wierzysz w takie rzeczy?

– Sama nie wiem. Czasami mam wrażenie, że ta klątwa działa. Spójrz choćby na historię z Filipem.

Dlaczego nie mogliśmy być szczęśliwi jak inni ludzie? Czemu wszystko musiało tak się skomplikować?

– Dlaczego? Dlatego że twój ojciec nie umiał utrzymać swojego... no, nie umiał go utrzymać w spodniach. Dlatego.

Wiktorija zaczerwieniła się po uszy. Nie była przyzwyczajona do aż tak swobodnych uwag na temat życia intymnego. W Krakowie w jej otoczeniu o takich sprawach się nie mówiło.

– Zawstydyłam cię? Ej no, przestań być taką cnotką. Przecież wszystkie te kłopoty wynikły z powodu ojca i jego chuci, a nie przez tę klątwę.

Ivonne była osobą mocno stąpającą po ziemi i nie wierzyła w siły nadprzyrodzone, klątwy, przepowiednie i tym podobne bzdury, jak sama je nazywała. Uważała, że każdy sam kieruje swoim losem i tylko od człowieka zależy, jak potoczy się jego życie.

– Wykształcona dziewczyna, a wierzy w takie brednie! – prychnęła zniesmaczona.

– Gdybyś była na moim miejscu i widziała losy swojej rodziny, sama też uwierzyłabyś w tę klątwę. –

Wiktorija nie dawała za wygraną. – Nie oznacza to jednak, że mam zamiar poddać się bez walki.

– Brawo! To właśnie chciałam usłyszeć.

Dochodziło południe, ale do wnętrza pracowni nie wpadał ani jeden promień słońca, chociaż całe podwórze było nim rozświetlone.

– Nie masz tu nigdy słońca? – Wiktorija zmieniła temat.

– To północny wschód, więc wpada tylko na chwilę rano. Później są idealne warunki do malowania. –

Ivonne z przyjemnością zaczęła tłumaczyć nowej przyjaciółce szczegóły swojej pracy. – Światło słoneczne nigdy nie powinno wpadać bezpośrednio do pracowni.

– Dlaczego? Przecież im jaśniej, tym lepiej.

– Nie dla malarza. Przy południowej wystawie okien światło będzie się zmieniało wraz z ruchem słońca, a przy północnej pozostanie niezmiennie przez cały dzień. Wyobraź sobie, że model albo martwa natura o każdej porze dnia wyglądają inaczej, bo promienie padają pod innym kątem. Poza tym – Ivonne zapalała się coraz bardziej – od mokrej farby światło słoneczne będzie się odbijało jak od lustra. Zobaczysz w niej wnętrza pomieszczenia i na dodatek będzie raziło w oczy.

– O tym nie pomyślałam – przyznała Wiktorija. – Ale ja do tej pory rysowałam tylko roślinki na papierowych torebkach. Do tego najchętniej przy oświetlonym słońcem oknie.

– Miałaś prawo tego nie wiedzieć. A propos, zapomnieliśmy chyba o głównym celu twojej wizyty u mnie. Naprawdę potrafisz malować i chciałabyś pracować przy ozdabianiu porcelany?

– Tak. Nie wiem, kiedy wróci Filip, a za moment skończą mi się pieniądze przywiezione z Polski. Muszę jakoś się utrzymać przez ten czas.

– Muszę cię zmartwić, zarobki w tej fabryczce nie są nadzwyczajne. Powiedziałabym nawet, że marne.

– Ważne, żeby starczyło mi na opłacenie hotelu i wyżywienie. A co do tego drugiego, nie mam jakichś wygórowanych potrzeb. Zadowolę się byle czym.

– Naprawdę musisz kochać tego Filipa. – Ivonne popatrzyła na nią z zazdrością. – Ja nigdy nikogo aż tak nie kochałam.

– Może jeszcze nie spotkałaś miłości swojego życia. Ja spotkałam i nie zamierzam z niej zrezygnować. Mam tylko nadzieję, że nie jest za późno...

Zapanowała cisza. Obie pogрузyły się we własnych myślach. Pierwsza ocknęła się Ivonne.

– No to postanowione. Jutro zaprowadzę cię do właściciela fabryczki i zobaczymy, czy tamto miejsce jest jeszcze wolne.

– Tylko że... – Wiktorija zawahała się nagle. – Dotarło do mnie właśnie, że owszem, potrafię, ale

rysować jedynie na papierze. Ozdabianie porcelany to chyba coś zupełnie innego, nawet nie wiem, jak się maluje farbami na szkło, jak nakłada wzór. Nie wiem, czy dam sobie radę.

– Dasz. Skoro potrafisz rysować, to i malować dasz radę. Jeśli zaś chodzi o szczegóły techniczne, to nie zapominaj, że masz przed sobą malarkę i osobę, która tam pracowała przez kilka miesięcy. Nauczę cię.

Wiktorია uśmiechnęła się z wdzięcznością do nowej przyjaciółki, w duchu dziękując losowi, że postawił Ivonne na jej drodze. Jeszcze wczoraj widziała wszystko w czarnych kolorach, dzisiaj świat nabrał barw. I nie tylko dlatego, że znalazła się w pracowni malarskiej otoczona pięknymi obrazami.

– Opowiedz mi teraz trochę o sobie – poprosiła. – Do tej pory tylko ja mówiłam i nie dopuszczałam cię do głosu.

– No cóż – Ivonne uśmiechnęła się blado – moja historia nie jest tak barwna i skomplikowana jak twoja. Pewnie się zdziwisz, widząc warunki, w jakich mieszkam, ale moja rodzina jest bardzo zamożna. Mój ojciec pochodził z książęcego rodu, matka ze zubożałej nieco arystokracji, ale maniery ma jeśli nie królewskie, to co najmniej książęce. Chwali się wszystkim dookoła, jakby naprawdę było czym, że któryś tam z przodków ojca stracił głowę na gilotynie podczas rewolucji. Jego portret, jeszcze z głową i w białej peruce z kucykiem przewiązanym ciemną wstążką, wisi w jednym z salonów.

Wiktorია zwróciła uwagę na gorzki i sarkastyczny ton, jakim Ivonne opowiadała o matce.

– Dlaczego więc...?

– Dlaczego potomkini tak znakomitych rodów mieszka w nędznej przybudówce w Paryżu i zarabia na życie malowaniem? Dlatego że jest czarną owcą. Kobiety z rodu Castillon du Manon nie powinny się kalać żadną pracą, a już na pewno nie wybierać zawodu artystki. Malarka, według mojej matki, to to samo co kurtyzana. Jednym słowem, żeby już nie przedłużać, zostałam wyrzucona z rodziny i z domu, dopóki nie nabiorę rozumu. – Skrzywiła się ironicznie.

– A ojciec? Nie stanął po twojej stronie?

– Ojciec był najlepszym człowiekiem pod słońcem i nigdy by na to nie pozwolił. Niestety, kilka lat temu zmarł na serce.

– Bardzo mi przykro. Nie wiem, co ci powiedzieć. I nie chodzi mi tylko o śmierć twojego ojca, chociaż jeśli go kochałaś, musiała to być dla ciebie wielka strata.

Którą nie do końca potrafię sobie wyobrazić, pomyślała ze smutkiem Wiktorია. Ona po śmierci ojca poczuła tylko ulgę. Jakie to niesprawiedliwe.

– To prawda. Do dziś nie mogę się pogodzić z jego odejściem – przyznała Ivonne. – A co do reszty, cóż tu można powiedzieć? Nie mam najmniejszego zamiaru nabrać rozumu i wrócić do domu, by wyjść za mąż za podstarzałego, choć bogatego markiza o obleśnym spojrzeniu i zepsutych zębach, a wszystko to tylko dlatego, że moja matka uznała tego człowieka za doskonałą partię. Nie będę mu rodzić brzydkich dzieci, zajmować się jego domem, dyrygować służbą i przyjmować równie dobrze urodzonych, jak nudnych i nieciekawych członków arystokratycznej rodziny męża.

Ivonne zacisnęła pięści, w jej oczach pojawiły się łzy.

– Chcę malować, czuję, że właśnie to jest moim powołaniem. Nie mam zamiaru wieść próżniaczego życia jak moja matka, ciotki i ich znajome.

Wyjaśniła Wiktorii, że zarabia na życie akwarelami dla turystów, a czasami maluje jakiś portret na zamówienie. Wyjawiała również, że zapisała się na wieczorowe kursy w szkole malarskiej. Szkoła nazywała się Académie Colarossi na Montparnasse i nie dość, że przyjmowano tam kobiety, to jeszcze mogły pracować z nagimi modelami.

– No i tyle. Teraz już wiesz o mnie prawie wszystko. – Westchnęła głęboko, otrząsając się, jakby poczuła zimny dreszcz.

– A twój brat? Czym on się zajmuje?

– Pascal? Głównie sprowadzaniem młodych kobiet na złą drogę, poza tym trochę maluje, trochę gra w teatrze, a trochę w karty, raz wygrywając znaczne sumy, raz je tracąc. Nie brakuje mu pieniędzy, więc nie przywiązuje do nich większej wagi. Jako mężczyzna, zdaniem naszej matki, ma prawo do szaleństw, zanim się ustatkuje, więc mama finansuje jego wszystkie wybryki. I tak po jej śmierci to on zostanie jedynym spadkobiercą, więc bierze jak ze swojego.

– Jak to, jedynym spadkobiercą? A ty?

– A ja zostałam z tej rodziny wykluczona, zapomniałaś? Nie mówmy już o tym. Zgłodniałam, może coś przygotuję?

Wiktoria zerwała się z miejsca.

– Oj, przepraszam! Tak dobrze było mi w twoim towarzystwie, że straciłam poczucie czasu. I przyzwoitości. Nie powinno się...

– Przestań – przerwała jej Ivonne. – Darujmy sobie konwenanse. Mam wrażenie, że znamy się od lat, więc wszystko w porządku. A w ogóle to ja cię zagadałam niemal na śmierć, więc nawet nie miałaś możliwości stąd uciec. Powiedz lepiej, co byś zjadła, bo ja... – zaczęła grzebać w szafkach, robiąc przy tym sporo hałasu – ...bo mam chyba tylko makaron.

– Nie rób sobie kłopotu, naprawdę...

– Czekaaj, czekaaj... – Ivonne wsunęła głowę do szafki i zdawała się niczego nie słyszeć. – Mam też pomidory, oliwę, ser i czosnek. Zrobimy sobie pyszną kolację. I otworzę wino. To świetna okazja, żeby uczcić nasze spotkanie. I początek pięknej przyjaźni, jak sądzę.

ROZDZIAŁ 5

Skromna fabryczka porcelany przy ulicy Vieille-du-Temple wyglądała zupełnie niepozornie i Wiktoria poczuła nawet coś na kształt zawodu. Spodziewała się czegoś większego, bardziej okazałego, tymczasem był to po prostu warsztat, w którym produkowano imitacje porcelany z Sèvres czy Limoges. Wytwarzane tam talerze i wazy ozdabiano delikatnymi girlandami i subtelnymi arabeskami z nieodmiennym motywem centralnym, czyli zalecającymi się do siebie pasterzami i pasterkami z epoki Ludwika XV oraz portretami, wśród których przeważały profile Marii Antoniny. Skutecznie konkurowały z nimi cesarskie orły.

– Ivonne, moja droga! – Właściciel fabryczki, jowialny grubasek z brodą à la Napoleon III, otworzył szeroko ramiona. – Brakuje mi ciebie każdego dnia. Niech się nie ruszę z tego miejsca, jeśli to nieprawda!

– Tak, tak... – Ivonne przymrużyła oko i z przyjemnością odwzajemniła uścisk mężczyzny. – Nikt inny nie chce już tłuc portretów nieszczęsnej Marii Antoniny na talerzach?

– Jak możesz być tak okrutna. Brakuje mi ciebie, promyczku mój, a nie pracownika. Chociaż – dodał szybko – pracownika też. Nie powiem...

– No to może pan już zacząć się cieszyć. Właśnie przyprowadziłam kogoś na swoje miejsce. To bardzo uzdolniona artystka z Polski, Wiktoria. Jak zacznie malować te pańskie skorupy, to nie nadąży ich pan robić.

Wiktoria bała się odezwać, chociaż bawiła ją rozmowa Ivonne z właścicielem warsztatu. Widać było, że ci dwoje bardzo się lubią i doskonale się czują razem. Zresztą, jak już zauważyła poprzedniego dnia, trudno było nie lubić Ivonne. Roztaczała wokół siebie jakąś nadzwyczajną aurę, która przyciągała ludzi. Jedyne, co tylko zaniepokoiło Wiktorię, to owa „artystka z Polski”, ale nowa znajoma, mówiąc to, dała jej dyskretny znak, żeby się nie wtrącała.

– Skoro tak twierdzisz, mój skowronku... – Właściciel fabryczki, monsieur Leroy, udał, że się zastanawia. – No to ją przecież przyjmę. Tylko że interesy teraz nie najlepiej idą i dużo nie będę mógł pani zapłacić – tu zwrócił się już bezpośrednio do Wiktorii.

– Czyli nic nowego pod słońcem. – Ivonne teatralnie przewróciła oczami. – Jak bardzo pogorszyły się interesy od mojego odejścia?

– No, jak by to powiedzieć... nie mogę teraz dać więcej jak dwa sous za talerz, trzy za Marię Antoninę. Wiem, że to niedużo, ale, niestety, już mało kto chce kupować ręcznie malowaną porcelanę. A ja muszę to wszystko jakoś ciągnąć.

– Dlaczego ludzie nie chcą tego kupować? – zainteresowała się Wiktoria. – Przecież ręczne wyroby powinny się zawsze dobrze sprzedawać.

– Postęp, mademoiselle, postęp. Odkąd wprowadzono druk na porcelanie, taką na przykład raz namalowaną Marię Antoninę można mechanicznie kopiować tysiące razy na talerzach. I tamte są o wiele tańsze od ręcznie malowanych. Chyba trzeba będzie w końcu zamknąć warsztat, bo nie stać mnie na zakup

takich maszyn.

– Rozumiem i zgadzam się na pańską stawkę. Raczej nie mam wyboru w tej chwili.

– Głuptasie – strofowała ją Ivonne w drodze powrotnej – trzeba było się targować. To stary sknera, chociaż sympatyczny, i na pewno dałby ci więcej.

– Nie sędzę, on ma rację. Ten jego warsztat padnie lada chwila. Sama prowadzę interes w Polsce i wiem, że postęp zawsze uderza w drobnych wytwórców. Wprawdzie nie zauważyłam tego jeszcze w mojej aptece, ale wśród niektórych naszych dostawców już tak. Poza tym – Wiktoria westchnęła ciężko – mam nadzieję, że to nie potrwa długo, przecież Filip kiedyś będzie musiał wrócić. Ważne, żeby mi starczyło na hotel i skromne wyżywienie. Po prostu będę „tłukła”, jak sama nazwałaś tę pracę, tyle obrazków na porcelanie, ile tylko dam radę.

Ivonne szła obok pogrążona w myślach. Wydawało się, że w ogóle nie słyszy, co mówi nowa przyjaciółka. Nagle stanęła, jakby wpadł jej do głowy jakiś pomysł.

– Do kiedy masz opłacony hotel?

– Prawdę mówiąc, do jutra. Zapłaciłam tylko za tydzień z góry, sądząc, że w tym czasie znajdę Filipa. Pojutrze muszę zapłacić za następny. Wprawdzie mam jeszcze trochę pieniędzy, ale...

– Słuchaj, a gdybyś tak przeprowadziła się do mnie? Będzie nam razem raźniej, poza tym czynsz płacę niewielki, a już podzielony na pół będzie zupełnie niski.

– Sama nie wiem... To kusząca propozycja, ale nie chciałabym ci robić kłopotu. Potrzebujesz spokoju do pracy, tymczasem druga osoba kręcąca się w pobliżu będzie cię rozpraszała.

– Tym się zupełnie nie martw. Jestem przyzwyczajona do towarzystwa. Przyjaciółka, którą skrzywdził mój brat, mieszkała ze mną przez jakiś czas. Ona też malowała.

Ivonne nadal stała na trotuarze, hamując ruch przechodniów. Trzymając Wiktorię za rękaw, szybko wyrzucała z siebie słowa, żeby nowa przyjaciółka nie zdążyła jej przerwać.

– Nie martw się, nie dopuszczę, żeby historia się powtórzyła. Wbrew pozorom u mnie będziesz bezpieczniejsza, niż gdybyś nadal mieszkała w hotelu. Widziałam po Pascalu, że zamierza cię zdobyć. Przy mnie się nie odważy. Poza tym pomożesz mi trochę, mogłabyś na przykład rozcierać farby, czyścić pędzle i palety. No, co ty na to?

Wiktoria stała oszołomiona. Życie w Paryżu płynęło szalonym tempem, zupełnie inaczej niż w statecznym i poważnym Krakowie. Nie dalej niż wczoraj poznała Ivonne, a już zdążyły się zaprzyjaźnić i tamta proponuje jej wspólne mieszkanie. Dla niej byłoby to idealne rozwiązanie, tylko czy to wszystko nie za szybko się dzieje? Cyganka ostrzegła ją, żeby była ostrożna, a tymczasem ona niemal od pierwszego dnia w Paryżu postępuje zupełnie nierozważnie. Z drugiej jednak strony może już najwyższy czas, żeby wyzwolić się z krakowskich przesądów i uprzedzeń i zacząć żyć zgodnie z wymogami chwili, z duchem czasu? Raz kozie śmierć.

– Skoro uważasz, że mogłabym ci się przydać, z radością przyjmuję twoją propozycję.

– I to lubię. Szybka decyzja – pochwaliła ją Ivonne. – Życie jest zbyt krótkie, żeby je tracić na niepotrzebne wahania i rozważanie każdego kroku. Jestem pewna, że będzie się nam razem dobrze mieszkalo.

Wiktoria wróciła do hotelu, żeby spakować swój skromny dobytek i zakomunikować właścicielom, że zwalnia pokój. Musiała jeszcze wybrać się do szpitala i zostawić tam nowy adres. Na wypadek, gdyby Filip wrócił wcześniej i chciał ją odszukać.

Pakowanie zajęło jej niewiele czasu. Właściwie poza kilkoma sztukami odzieży nie zdążyła jeszcze wyjąć reszty rzeczy z podróżnego kufierka. Pozbierała tylko przybory toaletowe, ułożone w kąciku za

parawanem z miską i dzbankiem na wodę. Rozejrzała się jeszcze po pokoju, sprawdzając, czy czegoś nie przeoczyła, kiedy rozległo się dyskretne pukanie do drzwi.

– Ma pani gościa. – W głosie właścicielki hotelu słychać było lekkie podekscytowanie.

Wiktorija zamarła na chwilę. Przycisnęła do piersi bluzkę, którą właśnie wkładała do kuferka.

Filip?... Filip! Serce stanęło jej w gardle. To nie mógł być nikt inny! Mój Boże... Trzęsącymi się dłońmi poprawiła włosy, wygładziła fałdy na spódnicy. Za chwilę wszystko się wyjaśni, zaraz będzie wiedziała, czy podróż do Paryża miała sens. Za kilka sekund wreszcie spotka miłość swojego życia i już nie pozwoli odejść ukochanemu. W końcu spełniły się jej marzenia. Będzie najszczęśliwszą kobietą na świecie...

– Proszę... – Ze ściśniętego gardła wydobył się jakiś niewyraźny skrzek. Odchrząknęła. – Proszę wejść – powiedziała mocniejszym już głosem.

Polakierowane na biało drzwi otwierały się, według Wiktorii, niemal przez wieczność. W poszerzającej się szparze widać już było wysoki cień sylwetki bez wątplenia należącej do mężczyzny, ponieważ właścicielka hotelu była kobietą raczej drobnej postury. Wpatrzona w drzwi Wiktorija z wrażenia niemal zapomniała o oddychaniu.

– Dzień dobry!

Ani głos, ani płomiennoruda czupryna zdecydowanie nie należały do Filipa. Do pokoju wsunął się uśmiechnięty od ucha do ucha Pascal.

Musiła upłynąć długa chwila, zanim do mózgu dziewczyny dotarła informacja, że zadowolony z siebie młodzieniec nie jest tym, którego oczekiwała.

– Pamięta mnie pani, prawda? – Lekko zbity z tropu źle zinterpretował zaskoczenie Wiktorii. – To ja, Pascal Castillon du...

– Wiem, kim pan jest – przerwała mu zgaszonym głosem. – Czemu zawdzięczam pańskie odwiedziny?

Zadała to pytanie tonem wypranym z wszelkich emocji. Zabrzmiało jak kwestia wygłoszona na scenie przez pozbawioną talentu aktorkę. Bez żadnego zaangażowania, radości, bez intonacji. Pascal nie był przyzwyczajony do takiej reakcji ze strony kobiet. Mało która nie uległa urokowi jego spojrzenia i melodyjnego głosu. Speszył się, na moment zapomniał języka w gębie. Kiedy już ochłonął, spojrzał niemal z urazą na tę dziwną Polkę, która wyglądała, jakby wyrządził jej krzywdę. Zamiast się ucieszyć na jego widok, opadła na krzesło, ściskając kurczowo w dłoni jakiś jedwabny fatałaszek, i unikała jego spojrzenia.

– Czyżbym sprawił pani przykrość swoją wizytą? – W momencie, kiedy to powiedział, już żałował swoich słów. Wiedział, że zadając takie pytanie, ryzykuje, iż dziewczyna odpowie na nie szczerze. Bez kokieterii, jak w przypadku kobiet, z którymi miał do tej pory do czynienia. Ta cudzoziemka była inna.

– Coś w tym rodzaju. – Wiktorija obojętnie wzruszyła ramionami. – Nie przywykłam do nieproszonych wizyt obcych mężczyzn. A zatem co pana do mnie sprowadza?

Pascal obejrzał się za siebie, jakby szukając pomocy u pani Walewskiej, lecz właścicielka hotelu zdążyła się już dyskretnie wycofać. Po pierwszej reakcji Wiktorii zorientowała się, że powinna była wcześniej ją uprzedzić, kto przyszedł, i spytać, czy dziewczyna sobie życzy tej wizyty. Dopiero potem należało zaprosić Pascala na górę. Młoda Polka nie wyglądała na zachwyconą. Tego pani Walewskiej, przyzwyczajona do popularności Pascala wśród znajomych kobiet, też się nie spodziewała.

– Chciałem... po prostu chciałem panią zobaczyć – wykrztusił wciąż jeszcze nieprzyjemnie zaskoczony. Zachowanie Wiktorii wytrąciło go z równowagi. Co ta dziwna Polka sobie niby wyobraża?

Dziewczyna podniosła się z krzesła.

– Zatem już mnie pan zobaczył. A teraz proszę wybaczyć, ale jestem zajęta. I jeszcze raz dziękuję – dodała już łagodniejszym tonem – za wczorajszą pomoc. Bardzo mi się pańskie pośrednictwo przydało.

– Widzę, że siostra zdążyła już przedstawić mnie w złym świetle. Przykro mi, że pani sama nie chce się przekonać, jaki naprawdę jestem.

Wiktoria patrzyła na niego bez słowa. Nie miała ochoty mu tłumaczyć, że z reguły tak właśnie robi i nie zwykła się opierać jedynie na opinii innych ludzi. I że wcale nie o niego tu chodzi.

– Gdzie popełniłem błąd? – Młody człowiek nie dawał za wygraną.

– Przepraszam, nie chodzi o pana. Nie chciałam sprawić panu przykrości, naprawdę. Proszę wyjść i o mnie zapomnieć.

– Ale dlaczego? Czym panią obraziłem?

– Nie obraził mnie pan. Po prostu nie jest pan mężczyzną, którego się spodziewałam zobaczyć w tych drzwiach. To wszystko. – Uniosła głowę i z bólem spojrzała mu w oczy. – Jeszcze raz przepraszam.

Po wyjściu Pascala ze szlochem rzuciła się na łóżko. Tak długo trzymała na wodzy swoje emocje, że teraz już nie mogła się opanować. Wypłakiwała cały swój żal do losu, który rozdzielił ją z Filipem i nie pozwolił im się spotkać w Paryżu. Czuła, że te trudności nie są dobrym znakiem. Filip już nigdy nie będzie do niej należał, powinna się z tym pogodzić i wrócić do domu. Zbyt dużo czasu upłynęło, żeby jeszcze mogło im się udać. Przecież od dawna wiedziała, że nie są rodzeństwem, jednak nie zdecydowała się napisać o tym Filipowi, w chwili gdy dowiedziała się prawdy od jego matki. Naiwnie pomyślała wtedy, że sprawi mu większą radość, oznajmiając tę nowinę osobiście. Była pewna swojego uczucia, mogła czekać, ale co z nim? Dlaczego nie miałyby ułożyć sobie życia? Młody, zdolny, przystojny lekarz mógł znaleźć niejedną kandydatkę do małżeństwa.

Znów dotarło do niej, że przyjazd tutaj był błędem.

W głowie Wiktorii kłębiły się tysiące pytań, na które nie знаła odpowiedzi. W końcu, znużona płaczem, usnęła tak, jak się położyła – w ubraniu i butach. Obudziła się dopiero w środku nocy, zmarznięta, ze ścierpniętą ręką pod głową. Po omacku zrzuciła buty, naciągnęła na siebie koc i ponownie zapadła w ciężki sen, w którym gubiła się gdzieś, spóźniała na pociąg, zapominała adresu i bagażu.

Tymczasem po drugiej stronie Rivoli, w cieniu rosnącego tam kasztana, długo w nocy stał wysoki, rudy mężczyzna. Widział, że dziewczyna szykowała się do wyjścia, czekał więc, żeby ruszyć jej śladem. Po kilku godzinach doszedł jednak do wniosku, że musiała zmienić plany. Klnąc pod nosem, wrócił do domu.

– Jeszcze będziesz moja. Przyjdzie czas, że to ty będziesz mnie błagać. – Spojrzał ze złością w kierunku małego balkonu na ostatnim piętrze hotelu.

Wsunął zaciśnięte pięści do kieszeni płaszczka i wystukując obcasami gniewny rytm, zniknął za zakrętem ulicy.

ROZDZIAŁ 6

Myślałam, że jednak zmieniłaś decyzję – powiedziała Ivonne następnego ranka, kiedy w końcu Wiktoria, z ciężkim kuferkiem, dotarła na piechotę na ulicę Ferdinand Duval. Hotel i pracownię dzieliła odległość zaledwie jednej stacji metra, nie warto więc było nawet schodzić do nielubianych przez dziewczynę podziemi. Wprawdzie Wiktoria zaraz żałowała swojej decyzji, ale przeszła tę drogę, robiąc tylko dwa lub trzy krótkie przystanki.

– Był u ciebie?! – Usłyszawszy o wizycie brata, Ivonne aż podskoczyła, przy okazji rozlewając świeżo zaparzoną kawę na spódnicę. – Wiedziałam. Żadnej kobiecie nie przepuści.

– Opowiedz mi o nim i twojej przyjaciółce – Wiktoria spojrzała na nią poważnie. – Niech wiem, czego powinnam się wystrzeżać.

– Przede wszystkim mojego brata. Ale zacznę od początku.

Ivonne milczała przez dłuższą chwilę, jakby chciała zebrać myśli. Wiktoria nie ponaglała jej; czuła, że tamtej z trudem przychodzi mówienie o czymś, co nadal sprawiało ból.

– Pascal od dziecka był uwielbiany przez wszystkie kobiety – zaczęła powoli Ivonne, szukając odpowiednich słów. – Nasza matka straciła troje dzieci, które zmarły w niemowlęctwie, i byli to synowie. Później, po długiej przerwie, urodziłam się ja. Nie muszę chyba dodawać, że rodzice nie oszaleli ze szczęścia...

Uśmiechnęła się gorzko i upiła łyk kawy, robiąc krótką przerwę w opowieści.

– Kiedy rok później urodził się Pascal, od początku stał się najważniejszy w rodzinie. Ojciec został odstawiony na boczny tor, nie miał prawa wtrącać się w wychowanie syna, a nianie, służące i wszystkie kobiety w domu, z matką na czele, spełniały każde życzenie Pascala, zanim jeszcze zdążył je pomyśleć. Dałyby mu gwiazdkę z nieba, gdyby tylko jej zapragnął.

Wiktoria przypomniawszy sobie pełną niedowierzania i urazy minę młodego człowieka, kiedy grzecznie wyprosiła go za drzwi. Najwyraźniej nie był przyzwyczajony do takiego traktowania.

– Zawsze dostawał to, czego chciał. – Słowa Ivonne potwierdziły jej domysły. – I nigdy nie liczył się z cudzymi uczuciami. Jeśli czymś się znudził, rzucał to bez żadnych skrępowań. Także kobiety, z którymi później się związywał. Kochałam go, bo jest moim bratem, nadal kocham, ale... Ale nie mogę mu darować tego, co zrobił mojej najlepszej przyjaciółce. I boję się, żeby nie zrobił tego i tobie.

– Ale co on takiego zrobił? – Wiktoria w końcu nie wytrzymała.

Jej nowa przyjaciółka miała skłonność do długich opowieści i robiła liczne dygresje, odbiegając od głównego tematu.

– Rozkochał w sobie moją przyjaciółkę, Nicole. Długo mu się opierała, była skromną i nieśmiałą dziewczyną z prowincji, przyjechała do Paryża, żeby uczyć się malarstwa. Miała duży talent. Pokażę ci jej prace...

– I Nicole w końcu... – Wiktoria szybko skierowała rozmowę na tory, z których Ivonne zaczynała znów zbaczać.

– Co? A, tak. Tak koło niej chodził, tak tokował, przynosił fiołki, pisał wiersze, że w końcu uległa. Zakochała się w nim bez pamięci. Spotykali się tutaj pod moją nieobecność, bo, jak już ci mówiłam, mieszkaliśmy razem. No i stało się.

– Zaszła w ciążę? – domyśliła się Wiktoria.

– Tak. A wtedy, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, miłość Pascala nagle znikła. Przestał się interesować Nicole i zaczęto go widywać w towarzystwie innych kobiet.

– Przecież to było jego dziecko. Jak on mógł... powinien się z nią ożenić.

– Nie Pascal. Mój kochany braciszek nie dość, że nie chciał się z nią żenić, to jeszcze zaczął podawać w wątpliwość swoje ojcostwo. Skoro uległa jemu, mogła też innym, powtarzał z cynicznym uśmiechem. Dodał też, że jego przyszła żona musi być cnotliwa i nie interesują go używane kandydatki.

Zapadła cisza. Wiktoria była tak wstrząśnięta, że przez chwilę nie mogła wykrztusić sensownego zdania.

– Kiedy pewnego dnia wróciłam z wieczornych zajęć do domu, Nicole nie było. Zostawiła krótki list...

– Ivonne załamał się głos. Pokręciła gwałtownie głową, jakby chciała odpędzić od siebie ten obraz. Nabrała powietrza do płuc i dokończyła na jednym oddechu: – Utopiła się w Sekwanie, w pobliżu Wyspy Świętego Ludwika. Koniec historii.

– Nie żałował? Nie miał wyrzutów sumienia?

– Jakies tam miał, ale życia jej to nie zwróciło. Tłumaczył, że od początku traktował tę znajomość jak przygodę i niczego nie obiecywał. Nadal też utrzymywał, że wcale nie musiał być ojcem tego dziecka. A ja dałabym głowę, że Nicole nie miała żadnego innego mężczyzny oprócz Pascala. Cóż, tego już nie da się naprawić. Kto wie, ile jeszcze takich dziewczyn ma na sumieniu? Ja wiem tylko o niej. Dlatego też ostrzegam cię, uważaj, jeśli nie chcesz wpaść w podobne kłopoty.

– Bez obaw. Nie mam najmniejszego zamiaru spotykać się z twoim bratem ani tym bardziej dać mu się uwieść. Jedyнным mężczyzną, który naprawdę mnie interesuje, jest Filip.

– Oby... – westchnęła Ivonne, spoglądając w przestrzeń. – Oby.

Malowanie wzorów na talerzach i wazach okazało się znacznie łatwiejsze, niż Wiktoria sobie wyobrażała. Ivonne przybliżyła jej techniki dobierania farb i nanoszenia ich na porcelanę, a właściciel był tak zadowolony, że pozwolił malarce z Polski na wprowadzanie nowych motywów zdobniczych. Na talerzach pojawili się więc bogowie olimpijscy, a także kwiaty. Największym zainteresowaniem klientów cieszyła się jednak porcelana zdobiona rysunkami róż, bławatków, a nawet ziół, za którymi Wiktoria zaczynała tęsknić. Monsieur Leroy podwyższył jej nawet płacę od sztuki, chcąc w ten sposób zatrzymać na dłużej zdolną pracownicę. Wprawdzie mechanicznie zdobione naczynia z innych fabryczek nadal wygrywały z malowanymi ręcznie u niego, ale popyt na te drugie wcale nie malał. Ci, którzy doceniali prawdziwe mistrzostwo ręcznej roboty, nie dali się skusić na idealnie wykonane przez maszynę wzory. W warsztacie pana Leroya nie było dwóch identycznych talerzy. Każdy z nich różnił się od innych drobnym detalem, mocniejszym lub silniejszym pociągnięciem pędzla, nawet kształtem kwiatowego płątka. Wiktoria czasami nawet specjalnie robiła nieznaczne zmiany na kolejnych talerzach, co dostrzegali tylko wtajemniczeni. Bawiło ją to, a właściciel i nabywcy byli zachwyceni jej pracą.

Chciała też nauczyć się metod wypalania odlewanych wcześniej waz i talerzy. Stary robotnik bardzo niechętnie wprowadzał ją w tajniki tej sztuki. Robił to tylko z sympatii dla młodej Polki, żeby zaspokoić jej ciekawość.

– Panienko złota, to nie dla panienki – powtarzał za każdym razem, kiedy Wiktoria chciała mu towarzyszyć podczas pracy. – Urodę i zdrowie stracisz, moje dziecko. Przy palenisku można wyschnąć na wiór od upału. Trzeba pić dużo wina zmieszanego z wodą, co może się fatalnie skończyć. Jeden taki

szybko stracił zdrowie, a potem życie. Na początku od gorąca wysiadły mu płuca i serce, potem została z niego sama skóra i kości, a na koniec zapił się na śmierć.

Wiktorcia wkrótce musiała przyznać mu rację. Wypalanie trwało dwanaście godzin i przez cały ten czas trzeba było regulować płomień paleniska, a także temperaturę wewnętrzną na podstawie barwy roztopionej emalii. Sprawdzano to przez mały otwór w ścianie. Kolor wypalanych naczyń nie mógł zbyt szybko zmieniać się z ciemnej czerwieni w purpurę. Nie wolno też było dopuścić do wygaśnięcia ognia, gdyż wtedy porcelana pękała. Praca była ciężka i zdecydowanie nie dla kobiet, ale Wiktorcia cieszyła się, że poznała jej tajniki. Zawsze chętnie uczyła się nowych rzeczy, nawet gdyby nie miały jej się przydać w przyszłości.

– Dam pani stałą miesięczną pensję – zaproponował pewnego dnia właściciel fabryczki. – W ten sposób zarobi pani dużo więcej, to się naprawdę opłaca.

Bał się, że dziewczyna odejdzie z dnia na dzień teraz, kiedy interes zaczął się ładnie rozwijać. Wiktorcia pracowała szybko, towar schodził niemal natychmiast po wyprodukowaniu. Posiadanie jednego z kwiatowych serwisów od Leroya stawało się marzeniem niemal każdej pani domu.

– Dziękuję, ale nie wiem, jak długo jeszcze tutaj zabawię. Chyba powinnam już zacząć zbierać się z powrotem do domu – odpowiadała z coraz większą melancholią. Mijał właśnie pierwszy miesiąc jej pobytu w Paryżu, a Filip wciąż nie wracał. Powoli zaczynała tracić nadzieję. Coś było nie tak.

Postanowiła znów się wybrać do szpitala Hôtel Dieu, żeby zasięgnąć informacji na temat Filipa. Może wrócił, ale sekretarka nie przekazała mu adresu? W ciągu ostatniego miesiąca Wiktorcia była już tam trzy razy i za każdym odprawiano ją z kwitkiem.

– Jeśli i tym razem się okaże, że jeszcze nie wrócił, będzie to znaczyło, że dalsze czekanie nie ma sensu. Najwyższy czas jechać do domu – powiedziała zrezygnowana do Ivonne, przygotowując jej jak zwykle paletę do malowania. Była niedziela, dzień wolny od pracy, i Wiktorcia na siłę szukała sobie jakiegoś zajęcia.

Bardziej energicznie, niż było trzeba, czyściła zeszkobaną wcześniej paletę gałgankiem nasączonym terpentyną. Po chwili szmatka wylądowała w piecu w ślad za papierem, którym wytarła skrobaczkę. Ogień rozjarzył się na moment, a potem przygasł.

Ivonne doceniała starania przyjaciółki, twierdziła, że jeszcze nigdy przedtem nie miała tak starannie przygotowanego warsztatu pracy. Przed każdym kolejnym wyciśnięciem farb paleta lśniła czystością, umyte zimną wodą i mydłem pędzle leżały obok w równiutkim rzędku.

– Jeśli chcesz – Wiktorcia zwróciła się z westchnieniem do Ivonne – mogłabym też przygotowywać ci płótna, tylko nie wiem, jak to się robi. Muszę się czymś zająć, bo zwariuję tutaj od tego czekania.

– Będę ci bardzo wdzięczna. – Tamta spojrzała na nią z troską. – A Filipem się nie przejmuj, na pewno wróci lada dzień. Teraz zostaw tę paletę, przejdziemy się po mieście. Jest tak piękna pogoda, że aż grzech siedzieć w domu.

Na podobny pomysł wpadło także mnóstwo innych paryżan, bo ulice pełne były spacerowiczów. Większość z nich zmierzała w kierunku Sekwany, inni, jak wynikało z podsłuchanych przypadkiem rozmów, wybierali się za miasto, do Lasku Bulońskiego. Wiktorcia zatrzymała się przed kolorowym afiszem przedstawiającym coś w rodzaju aeroplanu z dziobem drapieżnego ptaka i błoniastymi skrzydłami. Z okien tego osobliwego pojazdu wychylali się uzbrojeni w lunety mężczyźni w melonikach. Żółty samolot na niebieskim niebie otaczało mnóstwo dziwnych latających przedmiotów, przypominających drewniane smoki strugane kiedyś przez Stefanka.

– *Zdobycie bieguny północnego*, reżyseria Georges Méliès – przeczytała półgłosem Ivonne. – Podobno ciekawy film, widziałas go już?

– Nie, pierwszy raz o nim słyszę. Zresztą u nas nie ma jeszcze takich kin jak w Paryżu.

– Tym bardziej musisz go obejrzeć. To przy Boulevard des Italiens, niedaleko stąd. Chodź, może uda nam się zdobyć bilety.

Wróciły do domu późnym popołudniem, obie w doskonałych humorach. Wiktoria nie pamiętała już, kiedy ostatnio tak dobrze się bawiła. Chętnych do obejrzenia filmu przyszło mnóstwo, na szczęście siedząca w kasie kobieta była znajomą Ivonne i sprzedała im dwa zamówione wcześniej bilety, po które ktoś się nie zgłosił.

Film wyświetlano od niedawna, lecz zdobył już ogromną popularność. Gwar i śmiechy na sali zagłuszały tapera grającego na pianinie pod ekranem. Zwariowana akcja i zabawne pomysły, rodem z powieści Juliusza Verne’a, sprawiły, że dziewczęta ani się obejrzały, a było po seansie.

– Szkoda – powiedziała z żalem Wiktoria. – Przez te pół godziny zapomniałam o całym świecie.

– To dobrze. – Ivonne ścisnęła jej dłoń. – O to właśnie chodziło. A jak ci się podobała ta gruba sufrażystka, która wszelkimi sposobami usiłowała się zabrać na biegun północny?

Wiktoria roześmiała się głośno na samo wspomnienie. Przed oczami znów stanęła jej scena, w której tęga, pstrokato ubrana kobieta w czapce z daszkiem usiłowała wejść najpierw na pokład samolotu profesora Klapsa Platza, później do gondoli balonu, a w końcu, uwieszona na jej krawędzi, szybowała przez jakiś czas w przestrzeni, póki ostatecznie nie spadła na dachy Paryża.

– A te mijane przez samolot gwiazdozbiory i znaki zodiaku? Cudne!

Po powrocie do domu rozbawione dziewczęta jeszcze długo wspominały sceny z filmu. W końcu Wiktoria powiedziała, że muszą przestać, bo rozboleły ją już szczęki od śmiechu.

– W takim razie chodź, pokażę ci, jak przygotowują płótno – zaproponowała Ivonne. – A może ty też zabrałabyś się do malowania? Masz przecież talent.

Zakrzętała się, wyjęła z kąta rulon gruboziarnistego płótna i odcięła potrzebny kawałek krawieckimi nożycami.

– Nie mam tylu blejtramów, ale przypinanie płótna do deski daje całkiem zadowalające efekty. To będzie płótno na twój obraz – mówiła, zupełnie nie zwracając uwagi na zaskoczoną Wiktorię. – Pomóż mi, proszę.

Przez chwilę obie przypinały materiał pinezkami, aż wreszcie Ivonne, zadowolona z efektu, klasnęła w dłonie.

– *Voilà!* Teraz zmieszaj biel srebrzystą z olejem lnianym, tylko weź go sporo, i pociągnij tym całe płótno. Wprawdzie będzie schło przez kilka dni, ale za to uzyskasz gładszą powierzchnię.

– Jak to? Ja mam malować? – Wiktoria spoglądała z niedowierzaniem na przyjaciółkę. – Przecież nie potrafię.

– A kto za ciebie maluje na porcelanie?

– To zupełnie coś innego.

– Nie tak zupełnie, przecież robi się to w całkiem podobny sposób. Może tylko technika inna, ale do malowania, oprócz techniki, potrzebny jest talent. A ty go masz, więc nie marudź.

Nazajutrz droga do szpitala zajęła Wiktorii więcej czasu niż zwykle. Bała się, że znów odejdzie z kwitkiem. Jak mogła, odsuwała więc od siebie chwilę, kiedy po pokonaniu szerokich kamiennych schodów znów znajdzie się przed drzwiami sekretariatu.

– Niestety, nie mam dla pani dobrych wiadomości. – Siedząca tam kobieta obrzuciła ją przeciągłym spojrzeniem.

Nadal nie mogła się zdecydować, czy może powiedzieć tej cudzoziemce coś więcej na temat brata, czy

też nie. W zasadzie nie czuła się upoważniona do udzielania informacji na temat życia prywatnego pracowników szpitala. Jeśli ci dwoje są naprawdę rodzeństwem, w końcu będą musieli się spotkać i porozmawiać ze sobą. Wtedy ta dziewczyna dowie się wszystkiego.

– To znaczy? – Wiktoria zamarła w pół kroku i z niepokojem spojrzała w jej stronę. – Coś się stało? Miał jakiś wypadek, a może...

– Nie, nie! – przerwała jej sekretarka, unosząc dłoń. – Nic się nie stało, po prostu doktor Phillippe Michalski już tu nie pracuje.

– Jak to? A gdzie... gdzie w takim razie mogę go znaleźć?

Kobiecie zrobiło się żal tej niebieskookiej blondynki, która wyglądała, jakby miała za chwilę zemdleć. Z twarzy dziewczyny odpłynęła cała krew; dłoń, którą odgarniała kosmyk włosów z czoła, drżała.

– Naprawdę nie wiem, przykro mi.

Poza informacją, że doktor Michalski nie wróci już do pracy w szpitalu, sama nie dowiedziała się niczego więcej. Poproszono ją tylko o przygotowanie dokumentów, po które miał się zgłosić w najbliższym czasie.

– Powinien jednak pojawić się tu, żeby załatwić formalności. Obiecuję, że natychmiast przekażę mu pani adres.

Drogę powrotną ze szpitala Wiktoria знаła już niemal na pamięć. Te same uliczki, sklepy, nawet ludzie wydawali jej się ci sami. Jakby na potwierdzenie tego właścicielka sklepu z pamiątkami pomachała jej ręką. Wiktoria odpowiedziała skinieniem głowy i bladym uśmiechem, zajęta własnymi myślami. Czuła, że w życiu Filipa coś się wydarzyło, coś na tyle ważnego, że postanowił zmienić pracę. Wprawdzie nie wiedziała, czy w Paryżu lekarzowi trudno o pracę, wiedziała jednak, że o dobrą nigdzie nie jest łatwo.

Co spowodowało, że podjął taką decyzję? Dostał lepszą propozycję? Oby.

Przeszła ulicą Rivoli na drugą stronę i nagle poczuła dziwne mrowienie z tyłu głowy. Miała wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Obejrzała się gwałtownie, lecz nikogo nie zauważyła. Ludzie mijali ją obojętnie, zajęci swoimi sprawami. Zupełnie nie mogła sobie wytłumaczyć tego dziwnego uczucia, przyspieszonego tętna i nagłego niepokoju. Na wszelki wypadek ruszyła szybciej, nie oglądając się już za siebie.

Uczucie niepokoju jednak pozostało.

ROZDZIAŁ 7

Dziewczyna znikająca za rogiem Rivoli była tak podobna do Wiktorii, że Filip na chwilę aż zamarł z wrażenia. Był pewien, że ma już za sobą ten czas, kiedy to widział ją niemal w co drugiej mijanej na ulicy kobiecie. Przystanął, żeby wyrównać oddech. Nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo go bolało jej wspomnienie i jak mimo wszystko nie potrafił o niej zapomnieć. Pobiegł teraz za nią, ale, niestety, zdążyła już zniknąć w tłumie.

Przez chwilę jeszcze stał niezdecydowany, mając nadzieję, że owa kobieta wyłoni się z którejś z bram czy ze sklepiku, ale wyglądało na to, że skręciła w jedną z uliczek i poszła w swoją stronę. Wytrącony z równowagi Filip wrócił do miejsca, w którym ją zauważył, a później, sam siebie karcąc za wyobraźnię, ruszył z powrotem w kierunku szpitala. Musiał dziś odebrać dokumenty, umówił się z profesorem, że załatwi to tak szybko, jak tylko się da. Czekala na niego nowa praca i cieszył się już na tę zmianę.

– O, pan doktor! – Na jego widok sekretarka aż wybiegła zza biurka. Filip cieszył się sympatią całego personelu szpitala, zwłaszcza żeńskiego. – Jak miło pana widzieć! I jak przykro, że nas pan opuszcza – dodała z prawdziwym żalem.

– Nowa praca, nowe obowiązki. – Uśmiechnął się do niej życzliwie. Za taki uśmiech niejedna kobieta w tym szpitalu skoczyłaby w ogień dla przystojnego lekarza. Niestety, był tak niedostępny, jak tylko może być niedostępny mężczyzna, który już należy do innej.

– Wiem, rozumiem. Ale szkoda. Proszę usiąść – wskazała mu wolne krzesło – a ja przygotuję panu dokumenty do podpisu.

Filip usiadł ciężko i ze znużeniem przetarł twarz ręką.

– Jakież kłopoty? Przepraszam, że pytam, ale pan doktor wydaje się jakiś zatroskany.

– Nie, nic takiego. Po prostu miałem wrażenie, że widziałem na ulicy kogoś z mojej przeszłości; kogoś, kogo nie mogłem tu widzieć.

Sekretarka zatrzymała się w pół kroku. A jednak, pomyślała z ulgą. Wygląda na to, że dziewczyna mówiła prawdę.

– Może... może widział pan swoją siostrę? Od miesiąca o pana wypytuje. Właśnie przed chwilą stąd wyszła.

Filip zerwał się tak gwałtownie, że ciężkie krzesło przewróciło się z hukiem.

– Co?!... Kto?!... Moja siostra jest tu, w Paryżu?

– Tak. – Sekretarka przestraszyła się jego reakcji. – Ale nie udzieliłam jej żadnych informacji na pana temat. Jestem dyskretna. Obiecałam tylko, że przekażę panu jej adres.

– Zostawiła swój adres? Gdzie ona teraz mieszka?

Kobieta zaczęła gorączkowo przeszukiwać szufladę.

– Gdzieś go tu miałam... Nie, to nie ten. – Wyjęła jakiś świstek, ale zaraz wrzuciła go z powrotem. –

No przecież go tu schowałam. Nie rozumiem.

Filip stał nad nią, przebierając nogami z niecierpliwości. Gdyby mógł, sam rzuciłby się do tej szuflady. Opieszałość kobiety go denerwowała, chociaż sekretarce aż ręce się trzęsły z pośpiechu.

Wiktorija jest w Paryżu, to niesamowite! Dlaczego przyjechała, dlaczego go szuka po takim czasie? Co tam się wydarzyło?

– No jak? Znalazła pani ten adres? – nie wytrzymał w końcu.

– No, nie mogę... A, jest! – wykrzyknęła, podając Filipowi niewielki karteluszek.

Niemal wyrwał go jej z ręki, rzucił na niego okiem i wybiegł z gabinetu.

– A dokumenty? – zawołała za nim sekretarka, ale zdążył już zniknąć na schodach.

Wyskoczył ze szpitala jak szalony. Coś musiało się stać, myślał, Wiktorija pewnie potrzebuje pomocy, inaczej by go nie szukała. Oby tylko zastał ją pod tym adresem! Możliwe, że w chwili gdy ją spotkał, właśnie wracała do siebie. Tysiące myśli przelatywało mu przez głowę. Nawet nie przypuszczał, że sama wzmianka o Wiktorii nadal potrafi wywołać u niego kołatanie serca i tak rozpaczliwą tęsknotę.

– Mój Boże – westchnął – za chwilę będę ją trzymał w ramionach. Bez względu na konsekwencje.

Cały wypracowany przez ostatnie lata spokój w jednej chwili zniknął. Okazał się tak kruchy jak pierwszy lód na Wiśle, przepływającej niedaleko rodzinnego domu. Wystarczyło niewielkie pęknięcie, żeby człowiek znalazł się w mętnej zimnej otchłani. Tak jak teraz. Filip miał wrażenie, że tonie. Pogrążał się w bólu za utraconą, zakazaną miłością. Znów miał przed oczami ich ostatnie spotkanie, oczy Wiktorii i błaganie, żeby zabrał ją ze sobą, nie zostawiał samej. Odmówił. Nie mógł, nie był w stanie tego zrobić.

Wrócił myślami do wydarzeń, z powodu których znalazł się w Paryżu.

Ukochana kobieta, miłość jego życia, okazała się przyrodnią siostrą. Mieli wspólnego ojca, co przekreślało wszystkie ich plany na przyszłość. Nie pamiętał już, jak wrócił wtedy do domu. Włóczył się jak błędny po ulicach Krakowa aż do zmierzchu, a kiedy w końcu dotarł na miejsce, zamknął się w swoim pokoju i nie chciał z nikim rozmawiać. Bał się, że na widok matki wykrzyczy jej w twarz swój żal i na zawsze zniszczy spokój rodziny. Ojciec nie mógł się o niczym dowiedzieć. Przecież kochał go jak własnego syna; więcej, był przekonany, że tak właśnie jest. On, Filip, miałby go teraz wyprowadzać z błędu? Uświadomić, że wychowywał nie swoje dziecko? Nie, nie miał takiego prawa.

Z matką też nie chciał rozmawiać, czuł do niej zbyt wielki żal. To jej dawny błąd sprawił, że unieszczęśliwiła dwoje ludzi. Że nic już nie będzie takie jak dawniej. Spakował się w ciągu kilku dni, odebrał dokumenty z uniwersytetu i mówiąc rodzicom tylko, że zamierza studiować w Paryżu, wyjechał bez żadnych dodatkowych wyjaśnień. Matka usiłowała poznać przyczyny jego decyzji, ale zbył ją pierwszym lepszym tłumaczeniem. Doszła do wniosku, że syn przeżył zawód miłosny, dlatego chce wyjechać jak najdalej od tej, która przyczyniła się do owego zawodu. Nawet nie przypuszczała, jak bliska była prawdy.

Instynkt matki nie podpowiedział jej wtedy, że to ona sama przyczyniła się do nieszczęścia syna.

Pierwsze dni w Paryżu niemal zatarły się już w pamięci Filipa. Miał ze sobą pieniądze, ktoś doradził mu wynajęcie taniego pokoju przy Rue des Petits Hôtels. Właściwie było mu obojętne, gdzie zamieszka. Mógłby nawet żyć na ulicy jak kłoszard. Pogrążony w bólu nie dbał o nic. Gdyby nie przypadkowo spotkany młody Polak, student Sorbony, Filip pewnie skończyłby na tej ulicy. To on, Franek z Tarnowa, zajął się zagubionym rodakiem – pomógł mu dojść do siebie i zmusił, niemal siłą, do złożenia papierów na wydziale medycznym.

Już sam fakt, że Filip został wcześniej przyjęty na Uniwersytet Jagielloński, z pewnością mu pomógł. Bez kłopotu dostał się na studia. Franek również studiował medycynę, był o rok wyżej i z całych sił pomagał nowemu koledze. W krótkim czasie stali się serdecznymi przyjaciółmi. Franek jako jedyny znał

historię miłości Filipa.

– Żadna dziewczyna nie zasługuje na to, żeby przez nią zrezygnować z życia i stać się dziadem, jakim powoli się stawałeś. – Po przyjacielsku klepał Filipa po plecach. – Szkoda, że sam siebie nie widziałeś, kiedy pierwszy raz się spotkaliśmy. Obraz nędzy i rozpacz. I zaniedbania.

– Przestań! – Filip pamiętał, że nawet nie miał ochoty się myć. Nie mówiąc o zmianie ubrań. Było mu teraz wstyd. – Dajże już spokój.

– Tyle ślicznotek wokół, szybko kogoś znajdziesz i zapomnisz o... siostrze.

Starał się zapomnieć. Rzucił się w wir nauki, co od zawsze sprawiało mu przyjemność. W chwilach, kiedy wracały wspomnienia, zaglądał w towarzystwie Franka i innych kolegów z uczelni do jednej z licznych obleganych przez studentów i artystów knajpek, gdzie łatwo można było znaleźć chętną dziewczynę. Jednak te krótkie przygody nie dawały mu satysfakcji, a wręcz potęgowały smutek i budziły niesmak. Żadna z kochanek nie umywała się do Wiktorii, żadna nie miała tyle wdzięku, takiego błysku w niebieskich, najpiękniejszych na świecie oczach, takich jedwabistych, złotych włosów...

Jedyną kobietą, która go interesowała, była jego własna siostra.

Ta myśl doprowadzała go do szaleństwa. Usiłował zapijać ból, ale jego organizm źle tolerował alkohol. Za namową jednego z kolegów spróbował więc odurzać się eterem. W porównaniu z opium był to narkotyk bardzo tani, już za trzydzieści centymów można było dostać dużą butlę. Filip kupował go potajemnie, ale bez większego trudu, w każdej aptece. Z przyjemnością tam wchodził i wdychał zapachy, tak bardzo przypominające mu Wiktorię. W domu łykał narkotyk, a zarazem środek znieczulający w jednym. Po pierwszym łyku, od którego piekło go w gardle, doznawał uczucia euforii, zasypiał na krótko i miał piękne sny. Wprawdzie po gwałtownym przebudzeniu następowała noc pełna cierpień i ciężki katzenjammer nazajutrz, ale Filip i tak uważał, że warto. Nie odstraszał go nawet nieprzyjemny posmak w ustach.

Na szczęście dla Filipa eter pozostawiał wyraźny zapach w mieszkaniu, co pewnego dnia zaalarmowało Franka. Przyjaciel wpadł w szal. Skonfiskował zapasy eteru i poturbował bez litości oszołomionego jeszcze przyjaciela.

– Durniu! – krzyczał na cały głos. – Chcesz stracić życie, to przyniosę ci jutro strychninę na szczury. Szybciej działa! Kretynie skończony! Jeszcze raz poczuję od ciebie eter i koniec z naszą przyjaźnią!

Początkowo Filip był na niego wściekły, szybko jednak zrozumiał, że Franek prawdopodobnie uratował mu życie. Postanowił wziąć się w garść. Z eterem skończył raz na zawsze, na opium na szczęście nie było go stać. Powoli wyrzucał Wiktorię z myśli. Znow skupił się na nauce, czym zwrócił na siebie uwagę profesora Nicolasa Leblanca, słynnego chirurga, który miał kilka razy w tygodniu zajęcia z medykami na Sorbonie. W krótkim czasie Filip stał się jego ulubionym studentem. Gdy skończył studia, profesor zaproponował mu staż w szpitalu Hôtel Dieu, gdzie sam pracował. Nie ukrywał, że widzi w młodym Polaku swojego asystenta, a może i następcę w przyszłości. I nie tylko.

Profesor miał piękną córkę, Michelle. Pewnego dnia zaprosił Filipa do domu na obiad i okazało się, że przystojny Polak wpadł jedynaczce w oko. Było to Leblancowi bardzo na rękę – asystent i zarazem zięć – to zapowiadało się bardzo obiecująco.

Filip zamierzał specjalizować się w chorobach dzieci, profesor przekonał go jednak, że jeśli będzie chciał, zawsze może obrać pediatrię jako drugą specjalizację, a tymczasem powinien poświęcić się chirurgii. Jego zdaniem właśnie owa dziedzina ma przed sobą ogromną przyszłość, a Filip wykazywał ogromne zdolności w tym kierunku. Postanowił, jeszcze przed rozmową z samym zainteresowanym, że w przyszłości pomoże mu otworzyć własny gabinet w swoim rodzinnym mieście, Reims, gdzie miał zamiar przeprowadzić się wraz z rodziną.

Filip zwlekał z oświadczeniami, chociaż czuł nacisk rodziców Michelle. Sama córka profesora też coraz

bardziej dawała mu do zrozumienia, że oczekuje konkretnej deklaracji. Filip nie kochał panny Leblanc, ale lubił ją najbardziej z wszystkich spotkanych do tej pory kobiet. Gdyby nie Wiktoria i pamięć o niej, pewnie mógłby się zakochać w Michelle. Wiedział jednak, że tamta miłość nie ma szans, a dojrzał już do tego, żeby zapomnieć o przeszłości i zacząć planować przyszłość.

W końcu musiał podjąć jakąś decyzję.

Oderwał się od wspomnień. Dotarł pod wskazany na kartce adres i zatrzymał się na chwilę, żeby wyrównać oddech. Z bijącym sercem wszedł do niewielkiej recepcji hotelu.

– Niestety, panna Wiktoria już u nas nie mieszka. – Właściciel, pan Walewski, z przykrością poinformował o tym zdyszanego i zdenerwowanego mężczyznę.

– Nie rozumiem, jak to? Przecież zostawiła ten adres...

– Przeprowadziła się jakieś dwa, trzy tygodnie temu, nie wiem dokąd. Wie tylko żona, lecz ona jest teraz z dzieckiem u swojej rodziny, poza Paryżem. Przykro mi, ale nie potrafię panu pomóc.

Filip usiadł na schodach, jakby nagle uszło z niego całe powietrze. Zza drzwi prywatnego mieszkania hotelarza wychylił się wysoki, rudy mężczyzna.

– Co jest? – Spojrzał zdziwiony na przybyłego, a potem na przyjaciela. – Coś się stało?

– Nie, nic. Pan szuka mademoiselle Wiktorii, która tu u nas mieszkała. Pamiętasz ją, prawda? Chciałby wiedzieć, dokąd się przeprowadziła.

– Sam chciałbym wiedzieć – mruknął pod nosem rudzielec, ale głośno odparł: – Nie wiem, jakąś straszną tajemnicę z tego robiła. A pan to kto?

– A kto pyta? – Filip wstał, otrzepał spodnie i spojrzał ostro na tamtego. Nie podobał mu się ten Francuz o lisim spojrzeniu.

– Pascal Castillon du Manon. Znajomy panny Wiktorii. A pan?

– Jestem jej bratem. Filip... Leblanc. – Filip skłonił się chłodno. – Znajomy i nie wie, gdzie ona teraz mieszka? Dziwne.

Pascal się zmieszał. Podejrzewał, że dziewczyna zachowała w tajemnicy swój adres głównie ze względu na niego, ale nie chciał dać satysfakcji temu nadętemu bubkowi, jak już zdążył go nazwać w myślach.

– Brat i nie wie? Dziwne – odciął się. – Nie byłem zainteresowany. Jak będzie chciała, sama mnie znajdzie.

– Wątpię...

– Co pan mówi? Nie dosłyszałem.

– Nie, nic ważnego. Skoro panowie nie wiedzą, gdzie jest moja siostra, pozwolę sobie ich pożegnać. Zostawię swój adres – zwrócił się do hotelarza. – Proszę mi dać znać, jak tylko pańska żona wróci od rodziny.

Podał wizytówkę właścicielowi i skinąwszy obojętnie głową temu drugiemu, wyszedł na zalaną słońcem ulicę. Niech to szlag! Widział ją przecież, mógł szybciej za nią ruszyć, to nie, musiał się zastanawiać. Co za dureń!

Idąc, przeklinał w duchu samego siebie. Mogli się spotkać, a teraz nie wiadomo, kiedy znów nadarzy się okazja. Jak znaleźć kogoś w takim dużym mieście jak Paryż? I kiedy żona hotelarza wróci od rodziny? Niech to szlag najjaśniejszy trafi! Kopnął wystający kawałek bruku i dopiero ostry ból otrzeźwił go nieco. Najpierw powinien iść po dokumenty, których w tym całym zamieszaniu zapomniał zabrać, potem się zastanowi, co dalej. Musi porozmawiać z Wiktoria, dowiedzieć się, dlaczego szukała go w Paryżu. Trzeba będzie przełożyć wyjazd do Reims, gdzie miał rozpocząć nową pracę u boku profesora Leblanca.

– Dziwny ten brat, nie uważasz? – Pascal podrapał się po rudej czuprynie. – Jakiś taki narwany, zupełnie jak nie brat. Zastanawiające.

– No wiesz, sam bym się zdenerwował, gdybym nie mógł odnaleźć siostry. – Walewski wzruszył ramionami. – Jednak z drugiej strony Marie mówiła przecież, że to jakaś romantyczna historia. Podobno ta Polka przyjechała tu za swoim narzeczonym. Zastanawiające, masz rację, to nie może być rodzeństwo. Sądząc z nazwiska, to jakiś Francuz. A ona przecież Polka...

– Za narzeczonym, powiadasz? – Pascal pokiwał głową, jakby tylko ta informacja go zainteresowała. – A skąd twoja żona dowiedziała się o tej historii? Dziewczyna jej się zwierzała?

– Nie, ale podobno mówiła o tym jej kuzynce, tej z Rue des Petits Hôtels. On tam wcześniej mieszkał. No nic. – Westchnął i położył wizytówkę Filipa na widocznym miejscu. – Jak tylko Marie wróci, zaraz jej przekażę ten adres. Szkoda, że nie wiem, dokąd ta dziewczyna się przeprowadziła.

– Ja też nie wiem – burknął pod nosem Pascal i nagle uśmiechnął się z triumfem. Zerknął niespokojnie na przyjaciela, ten jednak był już zajęty czymś innym.

Ale chyba wiem, gdzie jej szukać, pomyślał, dyskretnie chowając bilecik z adresem Filipa do kieszeni surduta. Brat? Taa... znamy takich braci...

ROZDZIAŁ 8

Już same farby na palecie cieszyły oko Wiktorii. Nigdy wcześniej nawet nie podejrzewała, ile radości może sprawić malowanie na płótnie. To było zupełnie coś innego niż rysowanie obrazków na torebkach z ziołami w aptece ojca czy ozdabianie porcelany w warsztacie pana Leroya. Tutaj mogła malować to, co dyktowało jej serce i tęsknota. A serce wrywało się do Krakowa. Tęskniła za rodzinnym miastem i pozostawionymi tam bliskimi. W snach coraz częściej pojawiał się dom na Grodzkiej, a w nim wszyscy, których tam zostawiła. Spacerowała z nimi po drogich jej sercu ulicach i placach. Rano budziła się z uczuciem dotkliwego smutku.

Ani się obejrzała, a na starannie zagruntowanym płótnie zaczął się pojawiać obraz najbardziej kojarzący jej się z miastem: dzień targowy na Małym Rynku. Niemal słyhać było tamten gwar i czuło się zapach rozłożonych na drewnianych straganach produktów.

– Piękne – pochwaliła ją przyjaciółka. – Masz wycucie kolorów, poprawiłabym tylko niektóre z postaci. Są zbyt sztywne i nienaturalne. Pokażę ci, jak to się robi. Odpowiedni efekt uzyskasz specjalnym nakładaniem farby. Patrz. – Wzięła od niej pędzel i kilkoma drobnymi pociągnięciami sprawiła, że spódnica wieśniaczki sprzedającej drób ułożyła się w zgięcia i fałdy, sugerujące ruch.

Wiktorii szybko uczyła się od Ivonne. Dzięki przyjaciółce nabierała wprawę, poznawała tajniki malowania, dzięki czemu mogła oderwać myśli od Filipa.

– A jak namalować błyszczącą tkaninę? Albo błysk światła na szkle? – pytała z policzkami zaczerwienionymi z przejęcia. – Używasz do tego lśniących farb?

– Niekoniecznie. Wolę uzyskiwać taki efekt przez kontrasty. Patrz, ile farb masz na palecie, jest z czego wybierać.

Paleta przedstawiała się doprawdy imponująco: wyciśnięte na nią farby układały się od jaśniejszych odcieni do ciemniejszych, poczynając od srebrnej bieli aż po ultramarynę. Kilka odcieni żółci – chromowa, neapolitańska, ochra żółta i sjena naturalna. Czerwony barwnik, cynober i kraplak. Wiktorii nawet nie wiedziała, że ten ostatni powstał z wysuszonego korzenia marzanny. Potem były zielenie i błękity – zieleń Veronese’a, przepiękna zieleń szmaragdowa i na koniec odcienie niebieskiego, ulubione kolory Wiktorii: błękit kobaltowy i ultramaryna. Mogłaby tylko patrzeć na samą paletę, żeby radować oczy kolorami. Czerni żelazowej używała najmniej, chciała, żeby jej obraz lśnił jasnymi, słonecznymi barwami.

– Gdyby ci zabrakło żółci neapolitańskiej, ochry czy sjeny, możesz je uzyskać przez mieszanie innych barw. Zresztą – Ivonne się roześmiała – za chwilę to ja będę się uczyć od ciebie.

– Nie kpj ze mnie. – Wiktorii dała przyjaciółce kuksańca w bok. – Nigdy nie będę malowała tak jak ty. Sama widzisz, jak wyglądają moje ludziki na obrazie. I ich twarze. Nie nadawałabym się do tworzenia portretów.

– Możesz przecież specjalizować się w pejzażach. Nie wszyscy muszą malować portrety.

Komplement sprawił Ivonne widoczną przyjemność, chociaż starała się tego zbytnio nie okazywać.

Cieszyły ją takie słowa uznania, zwłaszcza że ostatnio zyskiwała sławę jako portrecistka. Miała coraz więcej zamówień, co cieszyło je obie, bo nie musiały się już martwić o pieniądze. Pracownię coraz częściej odwiedzali klienci. Ivonne specjalizowała się głównie w portretach kobiecych i takie zlecenia przyjmowała najczęściej od bogatych mężów znudzonych żon, których marzeniem było zawieszenie swojego wizerunku w salonie nad kominkiem.

Wiktoria z utęsknieniem czekała na listy z Polski i Wiednia. Kilka dni po sprowadzeniu się do Ivonne wysłała adres swoim bliskim, tłumacząc, że jednak musi się zatrzymać w Paryżu dłużej, niż planowała. Kiedy więc listonosz przyniósł pierwszy list od Adama, skakała i tańczyła z nim wokół pracowni.

– List! Zobacz, dostałam list! – krzyczała, wymachując kopertą w powietrzu.

– Trudno nie zauważyć. – Ivonne z uśmiechem odwróciła głowę od sztalug.

Zwykle opanowana i raczej chłodna Wiktoria szalała ze szczęścia. Takiej przyjaciółki Ivonne jeszcze nie знаła. Ze smutkiem pomyślała, że kiedyś ją straci. Wiktoria będzie musiała wrócić do tych, do których wyrywa się jej serce. Tu, w Paryżu, nigdy nie będzie szczęśliwa.

Ivonne miała złe przeczucia co do Filipa – ta sprawa ciągnęła się zbyt długo, żeby mogła mieć szczęśliwe zakończenie. Nie dzieliła się swymi przypuszczeniami z przyjaciółką, nie chciała Wiktorii pozbawiać złudzeń, ale instynkt podpowiadał jej, że coś jest nie tak. Może rzeczywiście klątwa jej matki działa?, przemknęło jej przez myśl, ale zaraz ofuknęła sama siebie. Co za bzdura! Gusła i zabobony.

Adam martwił się, że siostra nie zdołała jeszcze znaleźć Filipa. Miał nadzieję, że nastąpi to niebawem, ponieważ planował swój ślub z Kasią i bardzo chciał, żeby oni oboje byli świadkami.

Żeni się? Przecież on ma dopiero dziewiętnaście lat! Chyba że...

List potwierdził jej przypuszczenia.

„Poczekamy na was, trudno, ale rzeby to nie było za długo, bo jusz trochę nam się spieszy. Sama rozumisz” – pisał, a litery zamazywały się przed oczami Wiktorii, kiedy czytała list. Łzy tęsknoty i miłości spływały niepowstrzymanym strumieniem po jej twarzy. Jej malutki braciszek się żeni. I na dodatek zostanie ojcem. Mój Boże.

Adam pisał też o Stefanku. Brat szybko się przystosował do nowego otoczenia i warunków, a właściciel warsztatu stolarskiego, w którym pracował, był zachwycony jego zdolnościami i nawet nie chciał o tym słyszeć, że Stefan mógłby wrócić do Krakowa. Sam zainteresowany też nie przejawiał zbyt wielkiej ochoty do powrotu. Tęsknił za Wiktoria, ale tłumaczył sobie, że niedługo do niego przyjedzie i razem tam zostaną. Poza tym pokochał swoją przyszlą bratową jak siostrę, a ona odpłacała mu takim samym uczuciem. Upośledzony chłopak budził w niej macierzyńskie uczucia.

Radzą sobie beze mnie, pomyślała z nagłym żalem dziewczyna. Nie jestem im już potrzebna...

– Płaczesz? – Ivonne podeszła do niej zaniepokojona. – Złe wieści?

– Nie, wręcz przeciwnie. – Wiktoria szybko wytarła oczy i zaśmiała się smutno. – Tylko właśnie zdałam sobie sprawę z tego, że świat wcale nie przestał istnieć po moim rozstaniu z braćmi i że oni doskonale sobie radzą beze mnie.

– Koniec świata! – Ivonne wyrzuciła ręce w górę w udawanym oburzeniu. – To nie do pomyślenia!

– To nie jest śmieszne – mruknęła Wiktoria, wydmuchując głośno nos.

– A śmieszne, śmieszne. Jak długo miałaś zamiar im matkować? Nie wystarczy ci już?

– Ale Stefanek...

– Jak się okazuje, rozstanie z tobą tylko wyszło mu na dobre. Przy tobie nadal byłby niezaradnym dużym dzieckiem. Powinnaś się cieszyć, że jest samodzielny.

– Nadal jest niezaradny, ale teraz ma przy sobie Kasię, przyszlą żonę Adama. I ona się nim opiekuje.

Dopóki nie wypowiedziała tego na głos, nie zdawała sobie nawet sprawy, że chyba najbardziej

zabolała ją „zdrada” Stefanka. Była zazdrosna o Kasię i zawstydziło ją to uczucie.

– No cóż – Ivonne pokiwała głową w zamyśleniu – tacy właśnie są mężczyźni. Niewierni. Musisz się z tym pogodzić.

W jej głosie dał się słyszeć ból. Wiktoria nie wypytywała nigdy przyjaciółki o sprawy sercowe, ale widać było wyraźnie, że tamta ma za sobą jakiś zawód miłosny. Już sam fakt, że taka zdolna i atrakcyjna kobieta nadal jest sama, dawał do myślenia. Początkowo sądziła nawet, że Ivonne po prostu nie jest zainteresowana mężczyznami, lecz nie zauważyła w jej życiu żadnej kobiety. W stosunku do niej, Wiktorii, też zachowywała się jak serdeczna przyjaciółka, a nie jak uwodzicielka. Wiktoria czekała jednak, aż ta otworzy się przed nią sama. Nie chciała nalegać i wymuszać zwierzeń na siłę.

Ale Ivonne sama uznała, że już najwyższy czas wyrzucić z siebie długo ukrywaną tajemnicę. Zaczęła czyścić pędzel z farby, prawdopodobnie tylko po to, żeby zająć czymś ręce. W pracowni rozszedł się intensywny zapach terpentyny.

– Zostawił mnie tuż przed ślubem – powiedziała nagle pustym głosem. – Odszedł bez słowa wyjaśnienia, kiedy byłam zajęta przygotowaniami. Zorientowałam się dopiero wtedy, gdy nie pojawił się w kościele.

Wiktoria nie śmiała nawet odдыchać. Serce ścisnęło jej się z żalu. Nie potrafiła nawet wyobrazić sobie takiej sytuacji.

– Jak się później okazało, wiedzieli o tym wszyscy. Wszyscy oprócz mnie. Podobno nie miał sumienia mi o tym powiedzieć, nie wiedział jak, żeby mnie nie zranić.

– Niepojawienie się w kościele miało być mniej bolesne niż wyjawienie prawdy?! – Wiktoria nie posiadała się z oburzenia.

– Był tchórzem, teraz o tym wiem. Może liczył, że sama się domyślę? Albo ktoś mi powie, że on już od dawna ma inną? Nie wiem.

– I co... co było później?

Ivonne odłożyła pędzel, jakby dopiero teraz się zorientowała, że jeszcze chwila, a wytrze z niego całe włosie. Westchnęła ciężko.

– Co mogło być dalej? Czekałam prawie godzinę, ci z gości, którzy o niczym nie wiedzieli, zaczęli się niecierpliwić. Ksiądz niemal się obraził, że traci niepotrzebnie czas, aż w końcu jeden z przyjaciół mojego niedosłanego męża poinformował mnie, że ślubu nie będzie, bo tamten ma inną.

– Nie mógł powiedzieć tego wcześniej? Dlaczego naraził cię na taką sytuację?

– Twierdził, że do końca miał nadzieję, że mój narzeczony się opamięta i jednak przyjdzie.

– Jak on miał na imię?

– Nieważne – powiedziała twardym głosem Ivonne. – On nie zasługuje na to, żeby mieć imię. Nawet nie chcę go pamiętać.

Ale pamiętasz, moja kochana, pamiętasz, pomyślała Wiktoria, czując, jak łzy napływają jej do oczu. Przytuliła do siebie Ivonne i zaczęła kołysać jak dziecko. Tamta, początkowo sztywna, rozluźniła się powoli, a w końcu wybuchnęła bolesnym płaczem. Wtulona w Wiktorię łkała rozpaczliwie, mocząc łzami przód jej sukni.

Kiedy już się wyplakała, otarła twarz i uśmiechnęła się z wdzięcznością do przyjaciółki.

– A wiesz, że aż do tej chwili nie mogłam płakać, myśląc o tym? Jakby coś się zamknęło w moim sercu. Nie płakałam nawet wtedy, kiedy się dowiedziałam o jego zdradzie i musiałam wszystko odwoływać. Nie było tego dużo, bo nie planowaliśmy żadnego przyjęcia. Tylko mój brat i kilkoro przyjaciół. Mój... on też był malarzem, oboje nie mieliśmy pieniędzy. Matka nawet nie chciała słyszeć o takim zięciu, więc na całe szczęście nie przyjechała na ślub. Po tym, co zaszło, utwierdziła się tylko w przekonaniu, że nic nie jestem warta, skoro nawet narzeczony mnie nie chciał...

– No, już przestań się zadrećzać – Wiktoria podała Ivonne swoją chusteczkę, bo ta przyjaciółki była już zupełnie mokra. – Ten podlec nie zasługuje na aż tyle uwagi. Mam nadzieję, że chociaż źle trafił – dodała z nieznaną jej dotąd zaciętością.

– Ależ nie, trafił bardzo dobrze. A przynajmniej bogato. Jego obecna żona, bo ożenił się z moją następczynią, jest córką bogatego marszanda. Teść pomaga mu urządzać wystawy.

– A to się cwaniak urządził. Chętnie wybrałabym się na jego wystawę. Nawet bardzo chętnie...

Ivonne spojrzała na Wiktorię mokrymi jeszcze od łez oczami i nagle zaczęła się śmiać na widok jej miny.

– Już mu współczuję. Jak słowo daję, już mi go żal.

Zaśmiewały się w głos, wyobrażając sobie coraz to inne scenki, w których Wiktoria wyraża głośno, co sądzi na temat zaprezentowanych na wystawie prac pana X, jak go obie nazwały. I co proponuje z nimi zrobić, żeby zamalowane kawałki płótna się nie zmarnowały.

– Był chociaż zdolny? – chciała wiedzieć Wiktoria.

– Taa... Do wszystkiego, jak się okazało. – Ivonne znów wybuchnęła niepohamowanym śmiechem. – Ale malarzem był niezłym – dodała niechętnie. – Pewnie nadal jest.

Długo śmiały się jeszcze i żartowały, a atmosfera stała się znacznie lżejsza. Ivonne spadł ciężar z serca, kiedy w końcu mogła wyrzucić z siebie cały żal. Ból nie minął, lecz stał się jakby mniej dotkliwy.

– Już nigdy nikomu nie zaufam, żadnemu mężczyźnie. To dranie i oszuści. Nie wiedzą, co to miłość, dla nich liczą się tylko pieniądze. – Ivonne spoważniała. – Teraz świetnie mu się wiedzie, ma duży dom, modną żonę, stać go na wszystko. Ze mną nigdy by do tego wszystkiego nie doszedł. Mam nadzieję, że twój Filip jest inny.

Chociaż nie bardzo w to wierzę, dodała w myślach.

– Na pewno jest inny – obruszyła się Wiktoria. – Jak możesz nawet ich porównywać. On by tak nie postąpił. Nigdy w życiu.

Od kilku dni miała wrażenie, że znów ktoś ją śledzi. Zauważyła to pewnego wieczoru, zaraz po wyjściu z fabryczki pana Leroya. Najpierw pojawiło się tamto znajome uczucie mrowienia w karku, a później nieokreślony niepokój. Przyspieszyła kroku i wpadła do najbliższej bramy. Podwórko, na którym się znalazła, miało wyjście na drugą stronę kamienicy, mogła więc zmylić ewentualnego prześladowcę i klucząc między uliczkami, dotarła do Rue Ferdinand Duval, gdzie mieszkała u Ivonne.

Następnego dnia, zanim wyszła z pracy, najpierw uważnie rozejrzała się wokół, ale nikogo podejrzanego nie zauważyła. Doszła do wniosku, że jest przewrażliwiona i ma zbyt bujną wyobraźnię. Kilka dni później jednak sytuacja się powtórzyła. Kiedy tuż przed wejściem do bramy kamienicy Wiktoria obejrzała się nagle, miała wrażenie, że za rogiem ulicy czai się jakiś mężczyzna w czapce głęboko nasuniętej na czoło. Gdyby była bliżej, z pewnością zauważyłaby rudy kosmyk włosów wysuwający się spod nakrycia głowy. Nie przeoczyłaby też pełnego satysfakcji błysku w spojrzeniu mężczyzny.

To był błysk w oku myśliwego, któremu w końcu udało się wytropić zwierzynę.

ROZDZIAŁ 9

Mijał kolejny miesiąc, a wciąż nie było żadnej informacji o Filipie. Wiktoria coraz poważniej zaczynała się już zastanawiać nad powrotem do Krakowa. Tęskniła za swoją pracą w aptece, malowanie sprawiało jej przyjemność, ale prawdziwym powołaniem była praca w aptece. Nocami coraz częściej śniły jej się łacińskie nazwy medykamentów, ale jak to w snach, zupełnie inne niż te, których się uczyła. Budziła się przerażona, że wydała komuś niewłaściwy lek i naraziła pacjenta na niebezpieczeństwo.

– Dzisiaj ostatni raz pójde do tego szpitala – poinformowała przyjaciółkę zaraz po śniadaniu. – Jeśli Filip do tej pory nie wrócił, to pewnie już tam nie zajrzy. Czas, żebyśmy zbierała się do domu. I tak za długo tu siedzę.

– Nie wyobrażam sobie, że miałabyś wyjechać. – Ivonne posmutniała. – Ale nie mogę cię przecież zatrzymać na siłę. Widzę, że nie czujesz się tu szczęśliwa.

– W jakiś sposób jestem szczęśliwa. Zyskałam w tobie przyjaciółkę, nauczyłam się malować, Paryż jest piękny, ale... Przez cały czas tkwię w zawieszeniu, nie wiem, na czym stoję. Gdybym tylko miała jakąkolwiek pewność, że warto czekać, czekałabym choćby i kilka lat. Ale nie mam i ta niepewność mnie zabija. Poza tym tęsknię za apteką. Nie mogę w nieskończoność zaniedbywać swojej pracy. Jeszcze chwila, a będę musiała na nowo zdawać egzaminy, żeby móc nadal wykonywać swój zawód, bo wszystko zapomnę.

– Przesadzasz, ale rozumiem cię doskonale. Idź do tego szpitala, coś już powinno być wiadomo. Dziwi mnie, że do tej pory twój Filip się tu nie zjawił. Przecież zostawiłaś tej kobiecie swój nowy adres. Nie podoba mi się to.

– Mnie również. – Wiktoria poczuła ukłucie w sercu. Filip na pewno już wrócił, skoro jednak do tej pory nie szukał jej u Ivonne, mogło to świadczyć tylko o jednym...

Najwyższy czas przekonać się o tym.

Trasę do szpitala Hôtel Dieu mogła już pokonać niemal z zamkniętymi oczami. Tym razem postanowiła wcześniej zajrzeć do katedry Notre Dame i pomodlić się tam w skupieniu. Poprosić o pomoc w podjęciu ostatecznej decyzji o powrocie do domu. I o pomoc w odszukaniu Filipa lub choćby o wyjaśnienie jego dotychczasowego milczenia.

Wnętrze katedry było chłodne, przyjemna odmiana po upale panującym na zewnątrz. Przez zachwycające witraże przesączało się kolorowe światło, ciemne, drewniane ławki z oparciami wypolerowanymi do połysku przez tysiące pleców ginęły w lekkim półmroku. Wiktoria wsunęła się do jednej z nich i ukrywszy twarz w dłoniach, zaczęła się modlić żarliwie. W katedrze o tej porze było prawie pusto, szuranie kroków nielicznych wiernych nie przeszkadzało zupełnie. Po chwili dziewczyna nawet tego już nie słyszała.

Panie, proszę o jakiś znak, że moje prośby zostały wysłuchane, że wszystko zakończy się szczęśliwie. Proszę, błagam!, mówiła w myślach.

Podobnie jak w czasach dzieciństwa, czekała na taki znak. Mogło to być nagle skwierczenie dopalającej się świecy lub niespodziewane stuknięcie upadającej na kamienną posadzkę książeczki do nabożeństwa. Raz – pamiętała, że było to w kościele Mariackim, gdzie modliła się o pomyślne zdanie egzaminów – do kościoła wpadł nagle ptak i z głośnym furkotem krążył przestraszony między kolumnami. To był najpiękniejszy znak, jaki kiedykolwiek otrzymała.

Tym razem nic się nie wydarzyło. W katedrze panowała martwa cisza. Nawet szuranie kroków ustało. Wiktoria wstała z ławki i pochyliwszy nisko głowę, z ciężkim sercem przeżegnała się na koniec.

Trudno, pomyślała, będzie, co ma być.

– Więc brat nie skontaktował się jeszcze z panią? – Sekretarka zrobiła wielkie oczy. – Przecież dałam mu pani nowy adres. Już jakiś czas temu...

Dziewczynie aż zabrakło tchu. No, i miała już odpowiedź na swoje wątpliwości. Filip dostał jej adres, więc gdyby chciał, odnalazłby ją bez trudu. Czyli nie chciał. Koniec. Sprawa ostatecznie wyjaśniona.

Podziękowała zaskoczonej kobiecie i wyszła czym prędzej, zanim zdradzieckie łzy napłynęły jej do oczu. Nikomu już nie okaże swojej słabości i bólu. Dość tego! Zbiegła po schodach, roztrącając ludzi po drodze. Nie słyszała urażonych i pełnych potępienia okrzyków. Jedyne, co tłuło jej się po głowie, to głos zaskoczonej sekretarki: „To brat nie skontaktował się jeszcze z panią?”. Ano nie, nie skontaktował się. Wszystko skończone.

– Dziwni ci ludzie – mruzczała tymczasem pod nosem sekretarka, nie mogąc wyjść ze zdumienia. – Wyglądało przecież na to, że mu bardzo zależy. Wybiegł stąd jak szalony, nawet dokumentów nie zabrał i musiał potem wracać. Przecież dałam mu ten adres.

Otworzyła szufladę, żeby jeszcze raz sprawdzić, i nagle poczuła, że krew odpływa jej z twarzy. Pierwsze, co wpadło jej w ręce, to nowy adres siostry doktora. Teraz dopiero przypomniała sobie, że ta dziewczyna specjalnie doniosła drugi, prosząc, żeby ten z hotelu wyrzucić jako już nieaktualny. A ona zapomniała i dała tamtą kartkę doktorowi.

– Co ja narobiłam... Biedne dzieciaki!

Wybiegła na korytarz w nadziei, że jeszcze dogoni młodą Polkę, ale dziewczyna tylko mignęła jej na dole w drzwiach prowadzących na dziedziniec szpitala.

– Halo! Panienko! – zawołała z całych sił. – Proszę zaczekać!

Kilka osób się odwróciło, lecz żadna z nich nie była tą, o którą chodziło. Siostra doktora zdążyła już zniknąć w tłumie przechodniów na ulicy.

– Co ja sobie w ogóle myślałam, jadąc w ciemno do Paryża?! – Wiktoria miotała się po pracowni, wrzucając swoje rzeczy do podróznego kuferka. – Zachowałam się jak głupia, zakochana gimnazjalistka, a nie jak dorosła kobieta!

– Zachowałam się po prostu jak każda zakochana kobieta. – Ivonne próbowała uspokoić przyjaciółkę. – Poszłaś za głosem serca.

– Tak, a rozum tymczasem smacznie sobie spał. – Wiktoria sapała wściekle, usiłując wepchnąć do środka parę nowych, niedawno kupionych butów. Kuferek był stanowczo za mały, ubrania, w których przyjechała, były zbyt ciepłe i musiała jakoś je wpakować. Najwięcej problemu sprawiał jej płaszczyk, który nijak nie dał się upchnąć. Szarpnęła ze złością wystający na zewnątrz rękaw, aż poczuła trzask pękających szwów.

– Przestań. – Ivonne usiadła obok niej na łóżku i wzięła ją za rękę. Poczuła, jak dłonie Wiktorii drżą. –

Porozmawiajmy, zastanówmy się spokojnie, co dalej.

– A cóż może być dalej? Wracam do domu. Już dość głupstw narobiłam.

Chciała coś jeszcze dodać, lecz przeszkodził jej nagły szloch. Płacząc, oparła głowę na ramieniu przyjaciółki.

– Rozumiem, że nie miał obowiązku czekać całe życie na siostrę. Nie wie przecież, że nie jesteśmy rodzeństwem. Ale żeby nawet nie chciał mnie widzieć? Nie spotkał się ze mną choćby na chwilę...

– Też tego nie mogę zrozumieć, jednak mówiłam ci przecież, że mężczyźni to dranie.

– Myślałam... myślałam, że Filip jest inny...

– Daj spokój. – Ivonne wstała. – Teraz spieszę się na zajęcia. Wieczorem, kiedy wrócę, usiądziemy spokojnie i zastanowimy się, co dalej.

– Wracam... – Wiktoria pokręciła przecząco głową, jednak Ivonne ją uciszyła.

– Wiem, ale nie musisz już jutro wyjeżdżać, prawda?

Wiktoria, wbrew sobie samej, uśmiechnęła się w końcu.

– No, jutro nie. Masz rację.

– Cóż za impulsywna osobka. – Przyjaciółka poprawiła jej potargane, jasne włosy. Za namową Ivonne Wiktoria nosiła je rozpuszczone, co dodawało jej dziewczęcego wdzięku. – Chciałabym jeszcze namalować twój portret. Zgodzisz się?

Trudno jej było rozstać się z przyjaciółką, pomysł z portretem pojawił się niemal przed chwilą. Wiedziała, że praca nad obrazem znacznie opóźni wyjazd Wiktorii.

– Mój portret? Dlaczego akurat mój?

– Bo chciałabym go mieć na pamiątkę naszej przyjaźni, kiedy już wrócisz do tego twojego Krakowa. A teraz – dodała szybko, widząc, że oczy przyjaciółki znów niebezpiecznie się zaszklily – zaparz sobie ziółka na uspokojenie i zajmij się swoim obrazem. Przecież chcesz go chyba skończyć przed wyjazdem?

Kiedy Ivonne wyszła, Wiktoria usiadła z kubkiem gorącej melisy przed scenką z targu na Małym Rynku, spoglądając niewidzącym wzrokiem na swoje dzieło. Obraz był już prawie skończony, brakowało zaledwie kilku szczegółów, ale dziś nie miała nastroju do pracy. Wciąż wracała myślami do Filipa. Bolało ją, że nie chciał jej widzieć, mimo że znał adres. Aż tak ją znienawidził? Ale za co? Przecież nie była niczemu winna. Kochała go nad życie, była w stanie nawet popełnić ciężki grzech i uciec z ukochanym do Paryża, chociaż jeszcze wtedy myślała, że są rodzeństwem. Nie przejmowała się tym, ale Filip odrzucił jej miłość wtedy i teraz.

Nawet nie chciał mnie zobaczyć? Dlaczego? Łzy znów popłynęły po jej twarzy, lecz nie próbowała ich powstrzymywać. Siedziała w bezruchu, nie dostrzegając, że za oknem zaczęło się już ściemniać. Straciła poczucie czasu.

Z odrętwienia wyrwał ją odgłos otwieranej bramy, a chwilę później stukot męskich kroków na bruku. Spojrzała w stronę przeszklonej ściany, lecz ten ktoś, kto wszedł na podwórze, zdążył już zniknąć w półmroku. Kroki ucichły, a po chwili rozbrzmiały na nowo, tym razem znacznie bliżej. Ktoś podszedł niepewnie do drzwi pracowni i zapukał.

Wiktoria podskoczyła zaskoczona. Podniosła dłoń do ust i w popłochu rozejrzała się dookoła. Rozrzucone w nieładzie ubrania wały się na łóżku i podłodze, wypadały z kufierka. Ktoś zapukał ponownie, tym razem głośniejsze. Zerwała się z miejsca i zaczęła zbierać rzeczy z podłogi, drżącymi rękami poprawiła włosy, przetarła moką jeszcze od łez twarz.

Filip! To nie mógł być nikt inny. Filip w końcu ją odnalazł! Miała ochotę krzyknąć z radości. Na miękkih nogach podeszła do drzwi i nie bez trudu otworzyła zasuwkę.

– Nareszcie jesteś! Nareszcie! – Rzuciła się w ramiona stojącego w progu mężczyzny.

– Hm... gdybym wiedział, że zostanę tak entuzjastycznie powitany, zjawiłbym się wcześniej... –

mruknął zaskoczony gość, wyłaniając się z półmroku.

Głos przybyłego brzmiał znajomo, jednak z całą pewnością nie należał do Filipa. Wiktoria wyrwała się z objęć mężczyzny i spojrzała mu w twarz zdumiona.

– To... to pan? – wyszeptała zduszonym głosem. – Co pan tu robi?

– Przyszedłem odwiedzić siostrę, a tu, proszę, taka miła niespodzianka. – Pascal Castillon du Manon skłonił się przed nią z przebiegłym uśmiechem.

Wiedział doskonale, że nie zastanie Ivonne o tej porze. Znał jej rozkład zajęć na Académie Colarossi i specjalnie wybrał się tu pod nieobecność siostry. Wcześniej śledził Wiktorię wracającą z fabryczki porcelany do mieszkania Ivonne. Nie lubił, kiedy coś nie szło po jego myśli, a młoda Polka wydawała się smacznym kąskiem i nie zamierzał z niej zrezygnować. Widoczny na pierwszy rzut oka temperament pięknej blondynki podniecił go jeszcze bardziej. A tak swoją drogą uroczo wyglądała z tymi rozpuszczonymi złotymi włosami. Jak Wenus wynurzająca się z morskiej piany.

Wprawdzie zniszczony próg pracowni Ivonne trudno było porównać do brzegu morza, ale niech będzie. I tak spodobało mu się to porównanie. Mam fantazję, pomyślał, przyglądając się z przyjemnością zaczerwienionej ze wstydu dziewczynie.

– Ivonne nie ma, proszę przyjść później. – Wiktoria opanowała się szybko.

– To może na nią zaczekam, skoro już przyszedłem? Mam nadzieję, że zabawi mnie pani przez ten czas rozmową.

– Płonna nadzieja. Nie jestem w nastroju do rozmów, przepraszam. Poza tym jestem zajęta.

Pascal podszedł bliżej, uruchamiając cały swój wdzięk i czar, który zawsze działał na kobiety. Delikatnie dotknął ramienia dziewczyny. Jak dotąd jeszcze żadna mu się nie oparła.

Wyglądało jednak na to, że jasnowłosa Polka będzie pierwsza. Odsunęła się gwałtownie jak oparzona.

– Proszę mnie nie dotykać – ostrzegła. – Potraktuję to jak napaść i zacznę krzyczeć.

– Ależ nie mam zamiaru na panią napadać. – Pascal starał się, żeby zabrzmiało to lekko, nie udało mu się jednak ukryć urazy w głosie. – Jeszcze nigdy nie musiałem się uciekać do takich metod, żeby zdobyć kobietę. A pani nie zamierzam zdobywać. – Rozmyślnie chciał jej zrobić przykrość.

Należy ci się, pomyślał ze złością, ale dokończył z miłym uśmiechem:

– Zauważyłem po prostu pani smutek i chciałem jakoś panią pocieszyć.

Wiktoria się spieszyła. Ona też nie chciała sprawiać przykrości bratu Ivonne, Pascal jednak znów trafił na zły moment.

– Przepraszam, może to zabrzmiało zbyt ostro, ale nie lubię być dotykana przez obcych ludzi. Poza tym jestem w nie najlepszym nastroju.

– Można temu zaradzić. – Skłonił się przed nią. – Już mnie pani zna, wie, kim jestem, teraz możemy się tylko lepiej poznać. I już przestanę być obcym człowiekiem.

– Obawiam się, że nie będziemy mieli czasu na pogłębienie znajomości.

Pascal obrzucił spojrzeniem nieład panujący w pracowni i stojący na samym środku otwarty kuferek. Z rozbawieniem odnotował fakt, że oto znów zastaje młodą kobietę w trakcie pakowania rzeczy.

– O, czyżby miała pani zamiar nas opuścić? – spytał domyślnie. Chciał jeszcze dodać coś złośliwego, jednak powstrzymał go widok cierpienia na twarzy dziewczyny.

– Taki właśnie mam zamiar. Już i tak zbyt dużo czasu zmarnowałam – odparła i nagle jej głos załamał się zdradziecko. Usiłowała to pokryć kaszlem, ale niezbyt jej się udało.

Pascalowi zrobiło się żal tej młodej kobiety. Wzbudziła w nim nieoczekiwane ciepłe uczucia, miał ochotę wziąć ją w ramiona i mocno przytulić. Bez żadnych ukrytych myśli. Nie miał odwagi pytać o przyczynę jej smutku, domyślał się tylko, że mógł mieć związek z tym rzekomym bratem, lekarzem, którego miał nieprzyjemność spotkać w hotelu przy Rivoli. Pogratulował sobie w duchu, że zabrał jego

wizytówkę, więc drań, który skrzywdził to piękne dziewczę, nie będzie miał możliwości z nią się spotkać.

Zapanowała niezręczna cisza. Pascal, nieproszony, usiadł na jednym z krzeseł i kręcąc się na nim, szukał odpowiednich słów, by podtrzymać kulejącą konwersację. Nie miał ochoty wychodzić, towarzystwo tej dziewczyny sprawiało mu przyjemność. Tak wielką, że ryzykował nawet spotkanie z wrogo nastawioną do niego siostrą.

– Nie wiedziałem, że Ivonne maluje też pejzaże. – Zwrócił uwagę na stojący pod oknem niedokończony obraz Wiktorii. – Co to za miasto? Nie przypomina mi żadnej z dzielnic Paryża.

– To mój obraz. Przedstawia dzień targowy w Krakowie, moim rodzinnym mieście.

Wiktorii lekceważąco machnęła ręką i wróciła do pakowania. Postanowiła zignorować obecność intruza. Może brak zainteresowania z jej strony w końcu zmusi niechcianego gościa do opuszczenia pracowni?

– Pani? – Pascal był zaskoczony. – Piękny, mówię szczerze. Tętni prawdziwym życiem.

Zarumieniona Wiktorii pochyliła głowę nad kuferkiem, żeby ukryć zadowolenie. Jeszcze nikt obcy, oprócz Ivonne, nie pochwalił jej malowania. Sama też uważała ten obraz za udany.

Jak ona pięknie się rumieni!, Pascal był coraz bardziej zauroczony Polką. Taki skarb miałby teraz gdzie wyjechać? Cóż to byłoby za szkoda! Postanowił zmienić swoje zachowanie; metody, które działały na inne kobiety, w przypadku Wiktorii zawodziły. Nie chciał jej spłoszyć.

– A co ty tutaj robisz?!

Żadne z nich nie zauważyło wejścia Ivonne. Stała w drzwiach zirytowana i zaskoczona widokiem brata. Zdążyła też zauważyć rozanielony wyraz jego twarzy i nie spodobało jej się to, co widziała.

– Czy wyraźnie nie zakazałam ci przekraczania tego progu?!

Pascal zerwał się z krzesła, przewracając je przy tym z hałasem.

– Wybacz, ale... – rozpaczliwie szukał w myślach wymówki. Nie pomyślał, żeby przygotować ją sobie wcześniej. – Ale... byłem ciekaw, czy masz jakieś wieści od naszej matki – wymyślił naprędce, starając się zrobić przy tym odpowiednio zatroskaną minę. – Doszły mnie słuchy, że podobno choruje i źle z nią...

– Jak to, choruje? – zaniepokoiła się Ivonne. – Skąd masz takie wieści? Nic nie wiem, przecież nie odzywa się do mnie.

– No... – Pascal zaczął się plątać, co Ivonne poczytała za objaw zdenerwowania – znajomy, który niedawno stamtąd przyjechał, twierdzi, że matka choruje i nie ma się nią kto zająć. Podobno nawet sąsiedzi mruczą, że niby ma dzieci, ale jak przyjdzie co do czego, to żadne się nie pokaże – brnął dalej, już coraz spokojniejszy. – Pomyślałem więc, że moglibyśmy się tam razem wybrać i zobaczyć, jak sprawy wyglądają. W końcu to nasza matka.

– Mój Boże... – Ivonne z wrażenia aż przysiadła na brzegu stołu. – A ja myślałam, że ty przyszedłeś tu za Wiktorią...

– No wiesz! – Oburzył się najszczerzej, jak tylko potrafił. – Nawet nie wiedziałem, że zastanę tu pannę Wiktorię. Ale nie powiem, że jej widok nie sprawił mi przyjemności. – Uśmiechnął się do stojącej w milczeniu dziewczyny.

ROZDZIAŁ 10

Ivonne nie przyznawała się nawet sama przed sobą, jak bardzo zmartwiła ją wiadomość o chorobie matki. Postanowiła dokończyć zamówiony wcześniej portret i nie przyjmować na razie innych zleceń, żeby móc jak najprędzej wyjechać z Paryża.

– Może wybrałabyś się z nami? – spytała Wiktorię. – Zobaczyłabyś pomost na Sarthe na własne oczy, odpoczęła trochę przed powrotem do domu.

– Odpoczęła? Przecież będziecie mieli sporo zajęć przy chorej matce, gość wam niepotrzebny.

– Mogłabyś się przydać, masz doświadczenie z lekami, a z tego, co mi opowiadałaś, i z samymi chorymi.

Wiktorcia opowiedziała kiedyś przyjaciółce o tym, jak leczyła toczoną przez robactwo nogę ojca cioci Kasperkowej. Miał to być dowód świadczący, że aptekarze w Polsce znajdują się nie tylko na sprzedawaniu leków. Ivonne była pod wrażeniem i jak się okazało, zapamiętała tę historię doskonale.

– No, sama nie wiem... Adam prosił, żebym przyjechała jak najprędzej do Wiednia, bo Kasia spodziewa się dziecka i już niedługo będzie widać jej stan. Czekają na mnie ze ślubem, jak wiesz.

– Wiem, wiem. To dopiero początki, dopiero za jakieś dwa–trzy miesiące będzie coś widać. Zdążysz jeszcze. Nie daj się prosić, z tobą będzie mi różniej, bo wiesz, jaki stosunek ma do mnie matka. Nie wiadomo, czy moja wizyta ją ucieszy.

Ivonne posmutniała. Obawiała się, że matka może nie być na tyle chora, żeby zapomnieć o swojej niechęci do córki. Z drugiej zaś strony, a co, jeśli staruszka naprawdę jest umierająca?

Miałaby wyrzuty sumienia, gdyby nie odwiedziła własnej matki przed śmiercią.

– Wprawdzie Pascal również się wybiera, lecz przy mnie nie odważy się zrobić żadnego głupstwa. Nie zostawię cię w jego towarzystwie nawet przez chwilę, bo nie podoba mi się jego dzisiejsza wizyta. Nie do końca wierzę, że nie wiedział, iż tutaj mieszkasz. Ale nie martw się – dodała po chwili – ze mną będziesz bezpieczna.

– Wcale się nie martwię. – Wiktorcia wzruszyła ramionami. – Sama też potrafię o siebie zadbać. Zresztą zachowywał się całkiem przyzwoicie i nie wyglądało to na żaden podstęp. Przecież nie mógł wiedzieć, że z tobą mieszkam. Gdyby chciał, już dawno mógł mnie odszukać i nachodzić. Ta wizyta wydaje mi się całkiem niewinna.

– Nie znasz mojego brata – mruknęła Ivonne.

Miała wątpliwości, ale z drugiej strony bardzo jej zależało, by przyjaciółka wspierała ją podczas wyprawy do „jaskini lwa”, jak nazywała w myślach dom matki. Poza tym gdyby Wiktorcia z nimi nie pojechała, musiałyby pożegnać się już teraz, a chwilę ich ostatecznego rozstania chciała odsunąć na możliwie najdalszy dzień.

Wiktorcia zgodziła się w końcu na ten wyjazd, postanowiły więc, że wyruszą do Le Gravier pod koniec tygodnia, kiedy tylko Ivonne skończy obecnie malowany portret. Pascal też obiecał tak pozatwierać wszystkie swoje sprawy, żeby móc wybrać się razem z nimi. Wziął na siebie kupno biletów kolejowych

i rozpiisał plan podróży. Po drodze musieli przesiadać się kilka razy, a na końcowej stacji, w Morannes, powinien na nich czekać szofer matki. Pascal wysłał do niej depeszę z prośbą o przysłanie auta na dworzec. Na wszelki wypadek nie napisał jednak, kto z nim przyjedzie.

Ivonne skończyła portret i czekała już tylko, by go odebrano. Klient, który go zamówił dla swojej żony, nadętej, całej w pretensjach starzejącej się kobiety, co rusz zgłaszał jakieś poprawki. A to jego magnifika miała zbyt ponury wyraz twarzy – a miała w rzeczywistości – a to znów błysk w jej oku wyglądał, zdaniem samej zainteresowanej, jak bielmo, a niewyraźny uśmiech na wąskich wargach miał zbyt mało słodczy. Ivonne traciła cierpliwość. Czuła, że jeszcze jedna poprawka, a obraz wyląduje w śmietniku, ona sama zaś będzie zmuszona oddać zaliczkę. Zrobiłaby to jednak z radością, byle tylko pozbyć się tej koszmarnej pary – potężnej jak szafa, ponurej kobiety i jej rozgdakanego jak kura męża, ledwie sięgającego małżonce do ramienia.

Kiedy więc usłyszała pukanie do drzwi, zebrała się w sobie i z wysiłkiem przywołała na twarz uśmiech. Wiktoria wyszła zrobić ostatnie sprawunki przed wyjazdem, Ivonne odłożyła więc pędzel i podeszła do drzwi, żeby przywitać oczekiwanych klientów. Ku jej zdumieniu nie byli to ci, których się spodziewała.

Do pracowni weszło dwoje młodych ludzi. Piękna, elegancko ubrana dama i równie elegancki, przystojny mężczyzna. Samo patrzenie na nich sprawiało przyjemność, chociaż ta kobieta miała w sobie coś władczego i odpychającego. Widać było, że dobrze zna własną wartość, jak i wartość swojego pieniądza.

– Chciałbym zamówić portret żony. – Mężczyzna skłonił się przed malarką, wymawiając przy tym dość niewyraźnie swoje nazwisko.

– Przykro mi, lecz na razie nie przyjmuję zleceń – odmówiła z wyraźnym żalem w głosie.

Naprawdę żałowała, że nie będzie jej dane częściej widywać tego mężczyzny. Był żonaty, jednak to wcale jej nie przeszkadzało w zachwycaniu się jego pięknymi rysami. Ivonne patrzyła na niego okiem artystki. Najchętniej to jego by sportretowała zamiast tamtej kobiety, która teraz z wyraźnym niesmakiem oglądała jej skromną pracownię.

– Dlaczego? Zapłacę pani podwójnie, bardzo mi zależy... – Przystojny, zielonooki brunet nie krył zawodu w głosie. – Bardzo proszę.

– Niestety, wyjeżdżam na jakiś czas z Paryża, natomiast po powrocie bardzo chętnie się tego podejmę. Proszę mi zostawić swój bilet wizytowy, postaram się spotkać z państwem najszybciej, jak tylko będzie to możliwe.

– My też już niedługo wyjeżdżamy z Paryża, i to na stałe, więc chyba nic z tego nie będzie. Szkoda, polecono mi panią jako najlepszą portrecistkę w mieście, chcieliśmy więc mieć portret pani autorstwa. Trudno, skoro nic się nie da zrobić...

Ivonne najchętniej przełożyłaby wyjazd, lecz było już za późno. Bilety na podróż kupione, matka zawiadomiona. Z żalem zaczęła się żegnać z przybyłymi, kiedy usłyszała odgłos otwieranych drzwi wejściowych. Ucieszyła się, że Wiktoria sama zobaczy to cudo, jak w myślach nazwała niedoszłego klienta, bo w żaden sposób nie potrafiłaby go opisać słowami.

Wiktoria weszła do pracowni zarumieniona od szybkiego marszu i w doskonałym nastroju. Spacer ulicami wieczornego Paryża sprawił jej ogromną przyjemność. Lekki wietrzyk wiejący od Sekwany niósł zapach rozpoczynającego się lata. Cieszyła się jednak, że zmieni klimat, choć na chwilę zapomni o Filipie i odpocznie w pięknym miejscu przed powrotem do domu i codzienności. Z opowiadań przyjaciółki wiedziała, że dom, w którym oboje z Pascalem się urodzili, to stary, siedemnastowieczny klasztor nad rzeką Sarthe, kupiony i przebudowany jeszcze przez dziadków rodzeństwa Castillonów.

Dom, wraz z cenną kolekcją obrazów i starych mebli, odziedziczyła ich matka, jedyna spadkobierczyni rodzowego majątku.

– Jestem! – zawołała od drzwi i zamarła w progu na widok gości.

Zapanowała niezręczna cisza, którą po dłuższej chwili przerwał mężczyzna.

– Wiktorio?... Isia, to naprawdę ty? – odezwał się niepewnym głosem.

– Filip?!... Nareszcie! Mój kochany! – Dziewczyna otrząsnęła się z pierwszego wrażenia i z okrzykiem radości rzuciła się ku zaskoczonemu młodemu człowiekowi. Objął ją niezręcznie, wciąż nie mogąc uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę.

– Tak długo czekałam tutaj na ciebie. – Wiktorio nie zauważała coraz bardziej zdumionego wzroku jego towarzyszek. – Miałam już wracać do Krakowa i nagle, proszę, cud! Ivonne, pozwól, to właśnie Filip Michalski.

– Filip Leblanc...

Wiktorio odwróciła się w stronę jego towarzyszek, która podeszła do Filipa i z nadąsaną miną wsunęła rękę pod jego ramię.

– Mąż przyjął moje nazwisko i nazywa się teraz Leblanc. Kochanie, czy mógłbyś nas sobie przedstawić? Kim jest ta pani?

– To moja siostra, skarbie. Wiktorio, pozwól, że ci przedstawię moją żonę, Michelle. – Zduszonym głosem dokonał prezentacji.

Ze zdumieniem stwierdził, że zamiast radości na widok siostry czuje tylko żal i smutek. Zapomniane już uczucie bólu i tęsknoty znów zaatakowało go z całą mocą.

Tymczasem Wiktorio miała wrażenie, że zaczyna tonąć. Szum w uszach zagłuszył wypowiedź Filipa. Docierało do niej co drugie słowo o tym, jaki to dziwny zbieg okoliczności, że spotykają się w Paryżu, i co ją tutaj sprowadziło. Jak długo tu jest i jak długo zamierza pozostać, bo on i jego żona chcieliby...

Nie była w stanie słuchać tego dalej. Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, osunęła się bez czucia na podłogę. Ostatnim widokiem, jaki zapamiętała, były niesamowicie zielone oczy w pochylonej nad nią twarzy.

Najukochańsze oczy na świecie. I nienależące już do niej.

Kiedy się ocknęła, ze zdziwieniem stwierdziła, że leży na łóżku, mając nad sobą trójkę w różnym stopniu zaniepokojonych osób. Najbardziej przestraszona była Ivonne, Filip działał z opanowaniem typowym dla lekarza, jego żona zaś z niechętnym zainteresowaniem przyglądała się całej scenie. Jeszcze nigdy nie widziała, żeby ktoś mdlał na widok brata. I żeby tak gorąco go witał. Zupełnie jak jakiegoś kochanka.

Czyżby to rodzeństwo łączyła zakazana miłość?, zmarszczyła kształny nosek. Co za skandal, jeśli to prawda. Co za skandal!

– Filip... – Wiktorio z trudem wydobyła głos ze ściśniętego gardła. Łudziła się przez chwilę, że budzi się z koszmaru i wszystko, co wydarzyło się chwilę przedtem, to tylko sen. Niestety, widok stojącej obok kobiety zniszczył tę nadzieję.

– Isiu, leż jeszcze spokojnie – pogładził ją po głowie. – Odprowadzę tylko Michelle do samochodu i wrócę tu do ciebie. Musimy porozmawiać jak brat z siostrą. Opowiesz mi wszystko od początku, tak dawno się nie widzieliśmy.

Żona usiłowała zaprotestować, ale delikatnym ruchem ujął ją pod ramię.

– Benoit odwiezie cię do domu, skarbie, dobrze? Dasz sobie radę? Muszę zostać trochę z siostrą, mamy do omówienia rodzinne sprawy, które z pewnością ciebie nie interesują.

Benoit był szoferem ich nowego auta, kupionego w prezencie ślubnym przez ojca Michelle. Wprawdzie Filip upierał się, że sam może się nauczyć je prowadzić, ale Michelle się nie zgodziła. Uznała, że to

byłoby w złym tonie, bo zatrudnianie własnego szofera świadczy przecież o zamożności rodziny.

– Możemy zaprosić twoją siostrę do nas – próbowała oponować, ale Filip był stanowczy.

– Kochanie, będziemy rozmawiali po polsku, więc musiałbym ci tłumaczyć każde zdanie, a to utrudniłoby konwersację. Poza tym obawiam się, że znudzą cię nasze rodzinne kłopoty. Oczywiście, że zaprosimy Wiktorię do nas na obiad w najbliższym czasie i wtedy porozmawiamy na tematy interesujące nas wszystkich.

Michelle pożegnała się niechętnie i wyszła z Filipem. Wiktoria z Ivonne bez słowa wsłuchiwały się w stukot kroków obojga na podwórzu, potem trzasnęła otwierana i zamykana brama, a następnie rozległ się warkot silnika samochodowego.

Kiedy Filip wrócił na górę, Wiktoria wciąż jeszcze leżała na łóżku. Ivonne postanowiła wcześniej wyjść na zajęcia w akademii, żeby nie krępować tych dwojga swoją obecnością. Mieli sobie bardzo dużo do powiedzenia i z pewnością nie potrzebowali świadków.

– Isiu, najdroższa moja, powiedz teraz, dlaczego postanowiłaś mnie odszukać? – Filip usiadł obok dziewczyny na skraju łóżka. – Coś złego stało się w domu? A może coś z moimi rodzicami?

– Twoi rodzice mają się dobrze, prosili, żeby przekazać ci słowa miłości i tęsknoty.

– Dlaczego więc?

Wiktoria się zawahała. Nie była pewna, czy powinna mu wyjawic prawdziwy powód swojego przyjazdu do Paryża. Założył rodzinę i wiadomość o tym, że jednak nie są rodzeństwem, niczego już nie zmieni. Sprawi mu tylko ból. A może wcale nie?, pomyślała. Może już od dawna jestem mu obojętna? Zamknęła oczy i westchnęła ciężko. Nie, jednak nie powinna burzyć jego spokoju.

– Isiu... – Filip zauważył wahanie na jej twarzy.

Czuł, że Wiktoria chce przed nim coś ukryć, coś, co może mu sprawić ból. Tym bardziej musiał się dowiedzieć.

– Proszę, nie ukrywaj przede mną niczego. Mów, co się stało. Przecież nie przyjechałaś tu z błahego powodu, znam cię.

– Teraz to już nieważne. – Odwróciła się do ściany, żeby nie zauważył łez napływających jej do oczu. – Nie ma znaczenia. Idź, proszę, i zostaw mnie w spokoju.

– Nie wyjdę stąd, dopóki się nie dowiem, dlaczego mnie szukałaś.

Usiadła gwałtownie na łóżku i gniewnym ruchem otarła łzy.

– Tak, ja szukałam ciebie od dawna, a co z tobą? Wiem, że dostałaś mój adres, ale nawet nie próbowałaś się ze mną skontaktować. Wcześniej nie byłeś ciekaw powodów, dla których tu przyjechałam, a teraz nagle jesteś?

Filip skulił się, jakby go uderzyła. Spojrzał na nią z wyrzutem.

– Jak w ogóle możesz tak mówić?! – Bezwiednie podniósł głos. – Sekretarka dała mi kartkę z adresem i natychmiast tam pobiegłem. Na miejscu powiedziano mi jednak, że już się wyprowadziłaś, a właściciel hotelu nie wiedział dokąd. Jak więc miałem cię odnaleźć?

– Do hotelu? – Wiktoria zamrugała zaskoczona. – Przecież dałam tej kobiecie drugą kartkę z adresem tego mieszkania. I wyraźnie prosiłam, żeby wyrzuciła poprzednią. O, mój Boże...

Filip potarł czoło znanym jej dobrze gestem. Zawsze tak robił, kiedy był zdenerwowany.

– Specjalnie wymyśliłem portret żony, żeby mieć więcej czasu na odnalezienie cię w Paryżu. Dawno już powinniśmy wyjechać do Reims, mamy tam nowy dom, a ja zaczynam nową pracę w klinice mojego teścia, profesora... A, zresztą nieważne! – Machnął ręką. – Szukałem cię wszędzie, a ty... – głos załamał mu się niebezpiecznie. – Jak mogłaś nawet pomyśleć, że nie będę próbował cię odszukać?

Mówił to z takim żalem, że Wiktoria miała ochotę przytulić go z całej siły i ukołysać jak skrzywdzone dziecko. Ale nie był już dzieckiem, nie był też jej bratem, a przede wszystkim nie był już jej ukochanym.

Należał do innej kobiety i o to miała żal.

Nie do Filipa, lecz do losu, który po raz kolejny z niej zadrwił. Cóż z tego, że go odnalazła? Przekleństwo matki nadal działało.

– Powiedz mi, proszę, dlaczego tu przyjechałaś?

Filip szybko odsunął się od Wiktorii, jakby w obawie, że nie zapanuje nad sobą. Aż do bólu miał ochotę zanurzyć twarz w jasnych, rozsypanych na ramiona włosach dziewczyny. Dawniej spletała je w warkocz, przerzucany przez jedno ramię, więc nie było widać, że są aż tak piękne. Przypominały płynne złoto, pachniały jak wiosenna łąka, rumiankiem i świeżością. Wyciągnął w ich kierunku dłoń i zaraz ją cofnął przestraszony gwałtownością uczuć, jakie nim zawładnęły.

– Przyjechałam... – Wiktoria w końcu zdecydowała się wyjawić mu prawdę – przyjechałam, żeby ci przekazać pewną ważną wiadomość. Teraz nie ma już ona żadnego znaczenia, ale doszłam do wniosku, że i tak powinieneś ją usłyszeć.

– Czy to coś...

– Proszę, nie przerywaj. – Dotknęła palcami jego ust. – Nie utrudniaj mi tego. Tak długo czekałam na tę chwilę, a teraz nie wiem, jakich użyć słów.

Filip w milczeniu ucałował jej palce, nie pozwalając, by cofnęła dłoń.

– Filipie, mój kochany... musisz wiedzieć, że nie jesteśmy rodzeństwem – wyrzuciła z siebie wreszcie jednym tchem, jakby się bała, że jednak nie da rady tego powiedzieć.

Ścisnął bezwiednie jej dłoń, aż Wiktoria skrzywiła się z bólu. Krew odpłynęła mu z twarzy i wstrzymał oddech, wpatrując się w dziewczynę zdumionym, nic nierozumiejącym wzrokiem.

– Jak to? – W końcu wypuścił powietrze ze świstem. – To przecież nie może być prawda. O czym ty mówisz?

– O tym, że jednak nie jesteś moim bratem. – Wiktoria poczuła śmiertelne znużenie. – Twoja matka przysłała do mnie i wyznała prawdę.

Powtórzyła Filipowi obie rozmowy z jego matką, tę podczas swojej wizyty w Mogile i drugą, kiedy gnębiona wyrzutami sumienia kobieta odszukała ją w aptece przy Grodzkiej i przyznała, że oszukała Franciszka Bernata, aby zdobyć pieniądze na ślub z prawdziwym ojcem jej dziecka.

Oszołomiony Filip nie przerywał, tylko co chwilę kręcił głową, jakby nie wierzył w to, co słyszy. Z trudem docierała do niego prawda o własnej matce, jeszcze trudniej było mu zaakceptować fakt, że Wiktoria nie jest jego siostrą, a on dowiaduje się o tym zaledwie miesiąc po swoim ślubie z inną kobietą. Tak długo zwlekał z tą decyzją, zupełnie jakby przez cały czas liczył na cud – a kiedy już stracił wszelką nadzieję, ów cud wreszcie się wydarzył.

– Od jak dawna wiesz? – spytał głucho, właściwie nawet nie będąc ciekawy odpowiedzi. Teraz nie miało to już znaczenia. I tak już za późno, by coś zmienić. Kiedy jednak przyznała, że niemal od roku, załamał się.

– Ożeniłem się miesiąc temu, lecz gdybym poznał prawdę choćby nawet tuż przed ślubem, mógłbym wszystko odwołać, a teraz? Ty zaś znałaś prawdę od roku i tak długo nic nie zrobiłaś? Nie mogłaś napisać do mnie kilku słów? Albo przyjechać wcześniej? To tak wygląda twoja miłość do mnie?

Wzburzony wstał i zaczął nerwowo krążyć po pracowni.

– Gdyby naprawdę ci zależało, odszukałabyś mnie wcześniej. Napisałabyś list, przecież wcale nie musiałyś tu przyjeżdżać, wróciłbym natychmiast po otrzymaniu wiadomości.

– Filip, mój kochany, pozwól mi wytłumaczyć...

– Nie jestem już twoim kochanym! – Zaśmiał się gorzko. – I nie ma już czego tłumaczyć. Zniszczyłaś naszą szansę na szczęście, Wiktorio. Zaprzepaściłaś ją. I nie mów – nie dał jej dojść do słowa – że mnie kochałaś. Gdybyś naprawdę mnie kochała, zaczęłabyś mnie szukać zaraz następnego dnia, kiedy

dowiedziałaś się prawdy. Ja na pewno bym tak zrobił, bo ja kochałem cię nad życie. Nie czekałbym tak długo jak ty, by zrobić sobie wycieczkę do Paryża w dogodnym dla mnie czasie. Żegnaj. Życzę ci szczęścia.

Zanim zdążyła coś powiedzieć, wybiegł z pracowni, trzaskając drzwiami. Usłyszała jeszcze tylko stukot jego szybkich kroków na podwórzu, a potem zapadła głucha cisza.

Filip gnał ulicą, potrącając przechodniów. Wściekłość i żal przesłaniały mu oczy.

Jak Wiktoria mogła zatrzymać tę wiadomość dla siebie! Jak mogła tak długo zwlekać! Gdyby wiedział wcześniej, nie byłoby ślubu z Michelle i może jego życie potoczyłoby się inaczej. Teraz wszystko przepadło.

Odruchowo skierował się w stronę mieszkania Franka, żeby się przed nim wygadać, gdy nagle uświadomił sobie z bólem, że i jego stracił. Przyjaciel, jedyny, jakiego tutaj miał, który nie raz i nie dwa ratował go z opresji, zginął w katastrofie „Titanica”, w drodze do Nowego Jorku.

Minęły zaledwie ponad dwa miesiące od tragicznego wydarzenia z piętnastego kwietnia i Filip wciąż jeszcze nie mógł się pogodzić ze śmiercią Franka. Odradzał przyjacielowi podróż, ale na próżno. Tamten niedawno ożenił się z córką bogatego finansisty z Nowego Jorku i postanowił zamieszkać w Ameryce.

– Tu nie mam większych szans na zrobienie kariery – tłumaczył Filipowi swoją decyzję. – Zawsze będę podrzędnym lekarzem w szpitalu, nie mam takiego poparcia jak ty. Poza tym Caroline tęskni za rodziną i nie chce zostać na stałe w Paryżu. Przyjechała tu tylko na studia. I tak została dłużej, niż planowała, bo jak wiesz, spotkała miłość swojego życia. – Uśmiechnął się łobuzersko.

– No tak, bogaty teść w Ameryce, to jest coś – skwitował z przekąsem Filip.

– Tak samo jak bogaty teść w Paryżu, mój drogi hipokryto...

A teraz nie było już Franka. Przez jakiś czas Filip łudził się jeszcze, że znajdzie nazwisko przyjaciela na liście pasażerów ocalałych z katastrofy, niestety, z każdym dniem jego nadzieja malała. Wśród tych, którzy przeżyli, były przeważnie kobiety i dzieci. Możliwe, że żonie Franka udało się dostać do jednej z szalup ratunkowych, Filipowi było to jednak obojętne. Znał Caroline tylko przelotnie i nie zdążył jej w tak krótkim czasie polubić. Wręcz miał jej za złe, że zabrała mu jedynego przyjaciela. Teraz żałował, że rozstał się z nim w gniewie. Ostatni raz widział go machającego na pożegnanie z okna pociągu do Cherbourg. Tam właśnie oboje mieli wsiąść na pokład „Titanica”, w drodze ku przeznaczeniu.

Przed oczami wciąż miał roześmianą twarz Franka, który wołał coś jeszcze do niego, ale świst pary i zgrzyt kół pociągu zagłuszyły słowa.

Filip otarł łzy z oczu. Z zaskoczeniem stwierdził, że bardziej mu było brak przyjaciela niż Wiktorii, która zniknęła z jego życia tak dawno, że zdążył się już pogodzić z tą stratą. Zasmuciła go ta myśl.

ROZDZIAŁ 11

Stary klasztor, w którym mieszkała matka Ivonne i Pascala, znajdował się niemal nad samym brzegiem rzeki Sarthe. Od innych, nielicznych domów stojących wzdłuż polnej drogi odgradzał go wysoki, kamienny mur z ogromną furtą z kutego żelaza. Dookoła rozciągały się ogromne łąki, na których pasły się stada krów. Cały ten teren należał do hodowców bydła, najbliższe sklepy oraz kościół były w oddalonym o kilka kilometrów miasteczku Morannes. To z tamtejszej skromnej stacyjki szofer madame Castillon du Manon zabrał pasażerów, mających za sobą wiele godzin podróży koleją i kilka przesiadek, a potem wysadził ich wprost pod dawną furtą klasztorną.

Przez całą niemal podróż Wiktoria odzywała się niewiele, ku zmartwieniu tamtych dwojga, a zwłaszcza Ivonne, która niemal siłą namówiła przyjaciółkę do wyjazdu. Od chwili gdy Ivonne kilka dni temu wróciła z zajęć na akademii i zastała swoją współmieszkanek siedzącą nieruchomo na łóżku, wpatrzoną tępo w jakiś punkt na ścianie, nie odstępowała jej na krok. Bała się, że w takim stanie dziewczyna mogłaby sobie zrobić coś złego. Biedaczka była w rozpacz.

– Wszystko zaprzepaściłam – powtarzała głuchym głosem. – Filip miał rację, to moja wina. Dlaczego tak długo czekałam? Dlaczego nie wysłałam do niego listu, tylko uparłam się, żeby przyjechać do Paryża? Jestem przeklęta, tak właśnie działa klątwa mojej matki. Nic mi się nie udaje.

– Jesteś głupia, a nie przeklęta – nie wytrzymała w końcu Ivonne. – Nie mogę już tego słuchać! Nie zauważyłaś jeszcze, że wszystko zależy od ciebie, a nie od jakiejś klątwy? Gdybyś działała szybciej, i co do tego Filip miał rację, nie przeszkodziłby ci w tym żaden bzdurny zabobon. Zdążyłabyś przed tym ślubem i wszystko zakończyłoby się szczęśliwie.

– Chcesz mnie dobić? Przestań!

– Chcę, żebyś w końcu przestała jęczeć i uzalać się nad sobą. Co się stało, to się nie odstanie. Musisz żyć dalej, masz braci, pracę, którą kochasz, i mnie – dodała, głaszcząc przyjaciółkę po splątanych w nieładzie włosach. – Ogarnij się trochę i spakuj, jutro wyjeżdżamy do Le Gravier.

– Nigdzie nie...

– Nie chcę tego słuchać. Przykro mi, ale na razie udowodniłaś tylko, że sama nie potrafisz podjąć rozsądnej decyzji. Muszę to zrobić za ciebie.

– Jesteś okrutna, jak możesz tak do mnie mówić...

– Nie jestem okrutna, po prostu mocno stąpam nogami po ziemi. W przeciwieństwie do ciebie, moja droga przyjaciółko. Spędzisz z nami trochę czasu i jak zobaczę, że nastrój ci się poprawił, pozwolę, abyś wróciła do domu. Nie wcześniej.

Madame Sophie Castillon du Manon okazała się dostojną i władczą kobietą o dość trudnym charakterze, co było widać już na pierwszy rzut oka. Nie kryła swojego nieprzyjemnego zaskoczenia na widok córki i jej przyjaciółki. Spodziewała się tylko odwiedzin syna.

– A ciebie cóż tu sprowadza? – przywitała się chłodno z Ivonne, a na powitanie Wiktorii

odpowiedziała jedynie wyniosłym skinieniem głowy.

– Doszły mnie słuchy, że mama jest chora... – Ivonne spojrzała pytająco na brata, lecz ten tylko wzruszył nieznacznie ramionami i natychmiast uciekł spojrzeniem w bok.

– Chwalić Boga, zdrowie jeszcze mi dopisuje. Nie wiem, skąd miałaś takie informacje. – Matka spojrzała na nią z góry. – Ale skoro już tu jesteś, w dodatku nie sama – Wiktoria skurczyła się w sobie pod jej surowym spojrzeniem – to trudno. Witajcie.

Nie było to najcieplejsze powitanie, ale skoro madame Sophie nic nie wiedziała o przyjeździe córki, należało się takiego spodziewać. Ivonne postanowiła rozmówić się poważnie z bratem. Stało się jasne, że Pascal wykorzystał historyjkę o rzekomej chorobie matki, żeby ściągnąć tu Wiktorię. Tym bardziej postanowiła nawet na krok nie odstępować przyjaciółki.

Pokój na poddaszu, przydzielony Wiktorii, był mały, ale przytulny, miał skośny sufit z poczerniałymi ze starości belkami, na których pozostawiły swoje ślady całe pokolenia korników. Różowa tapeta w delikatne kwiaty pozwalała przypuszczać, że należał kiedyś do jakiejś dziewczynki, chociaż wąskie łóżko i skromne meblowanie bardziej pasowały do celi mniszki. W istocie rodzinny dom Ivonne, pierwotnie żeński klasztor, później był ochronką dla sierot, prowadzoną przez zakonnice.

Wiktoria podeszła do umieszczonego w głębokiej wnęcie okna i wyjrzała na prostokątny cloître, dawny klasztorny wirydarz. Już wcześniej, przechodząc od furty do drzwi wejściowych, zachwycała się soczystą zielenią trawnika, a także kolorami rosnących tam kwiatów. Teraz mogła podziwiać to wszystko z góry. Pnące się po ścianie rozwinięte róże roztaczały wokół upajający zapach, słychać było ciche brzęczenie owadów i odległe porykiwanie krów. Daleko, za murami ogrodu i rozległą łąką, zza kępy drzew wyłaniały się wieżyczki jakiegoś zamku.

Mój Boże, jak tu pięknie, westchnęła w myślach. Dlaczego nie mogę się tym cieszyć w pełni?

Historia z Filipem tkwiła w jej duszy jak cierń. Wiktoria wciąż nie mogła się pogodzić z myślą, że z własnej winy na zawsze straciła ukochanego. Dlaczego nie napisałam listu z wyjaśnieniami zaraz po tym, jak matka Filipa dała mi jego adres? Boże, dlaczego?... , zadrezczała się wyrzutami.

I dlaczego on, dopiero teraz to do niej dotarło, zmienił swoje polskie nazwisko na nazwisko żony?

Ciche pukanie do drzwi przerwało jej rozmyślenia. Do pokoju weszła Ivonne. Minę miała markotną, widać było, że nie czuje się dobrze w rodzinnym domu. Zwłaszcza teraz, kiedy się okazało, że dała się nabrać na podstęp Pascala.

– Odśwież się szybko i idziemy na obiad – poleciła. – Matka nie znosi spóźnień, musimy być na czas w jadalni. Inaczej przez pół dnia będziemy wysłuchiwać wymówek na temat braku manier.

– Jeśli chcesz, możemy jutro wrócić do Paryża. – Wiktoria również nie czuła się tu mile widziana. – Odpocznijemy tylko trochę i zabierzemy się z powrotem.

– Nie, to chyba nie jest dobry pomysł. – Ivonne przecząco pokręciła głową. – To zbyt daleka droga, żeby ją odbyć na próżno. A może uda mi się poprawić moje stosunki z matką? Nie zaszkodzi spróbować.

Przez okno dał się słyszeć dźwięk małego dzwonka zawieszzonego między krzewami róż na murze. Koniec długiego sznurka, pociąganego przez służącą, ginął nad drzwiami kuchni. W ten sposób zawsze informowano domowników, że posiłek jest gotów.

– O! – Ivonne drgnęła. – Teraz musimy szybko bieć do jadalni.

Zeszły w pośpiechu krętymi schodami na parter, stamtąd zaś przebiegły dalej, przez salon i bibliotekę, a potem następnymi schodami w dół, do jadalni, która mieściła się poniżej parteru. Dwuskrzydłowe oszklone drzwi od strony ogrodu wychodziły na wysypany żwirem taras, skąd widać było porośnięty szuwarami i trawą brzeg płynącej szerokim nurtem Sarthe. Po drugiej stronie rzeki rozciągał się las, jak później dowiedziała się Wiktoria, należący od lat do rodziny Castillon du Manon.

Pani domu siedziała już sztywno u szczytu długiego stołu, nakrytego na cztery osoby. Liczne srebrne

sztuńce, ułożone po obu stronach porcelanowych talerzy, zdobionych w niebieskie wzory, przerażyły lekko Wiktorię, która postanowiła, że nie tknie niczego, póki nie zobaczy, jak inni sobie z nimi radzą. Przeznaczenia części z tych sztućców nawet się nie domyślała. Zanim usiadły, zdążył jeszcze do nich dołączyć zdyszany Pascal.

– Jak widzę, niektórzy zdołali już zapomnieć o zwyczajach panujących w tym domu. – Madame Castillon na chwilę zacisnęła wąskie usta. – Wiecie doskonale, że nie cierpię zimnych potraw, a swoim brakiem zdyscyplinowania sprawiacie, że wystygną.

– Mamo droga! – Pascal roześmiał się serdecznie, całując jej dłoń. – Nie wyobrażam sobie, żeby twoja kucharka ośmieliła się nie trzymać potraw w ciepłe. To też jeden ze zwyczajów tego domu. Daj spokój, kochana, przecież jeszcze nie podano, a my wcale się nie spóźniliśmy.

– Ale przyszlście w ostatniej chwili – odparowała matka, trochę jednak rozbrojona uśmiechem ukochanego syna.

Wcisnęła dyskretnie dzwonek pod stołem i w tej samej chwili otworzyły się drzwi od kuchni. Czerwona z przejścia służąca, a zarazem kucharka, ostrożnie zniosła po schodkach dwa srebrne, gorące półmiski na tacy i podchodząc kolejno do gości, z powagą serwowała dania. Zazwyczaj pierwszą obsługiwaną przy stole osobą był gość, po nim dopiero pani domu. Tym razem jednak służąca musiała dostać inne instrukcje. Goście nie byli aż tak ważni. O ile w ogóle byli.

– Wasze zdrowie. – Madame Castillon du Manon uniosła kieliszek napełniony już wcześniej różowym winem.

Drugi kieliszek zawierał samą wodę, nalaną z kryształowego dzbanka. Wiktoria miała ochotę sięgnąć najpierw po wodę, gdyż z samego wrażenia zaschło jej w gardle, lecz czuwająca nad wszystkim Ivonne powstrzymała ją niemal niedostrzegalnym ruchem głowy. Powtarzanie gestów gospodyni pewnie też było jednym ze „zwyczajów tego domu”. Zresztą takiego toastu nie powinno się pić wodą.

– Zatem co tak naprawdę was tu sprowadza? – Madame Castillon odstawiła kieliszek i otarła usta białą, misternie haftowaną serwetką.

Pascal poczuł się wyrwany do odpowiedzi. Odchrząknął, nie patrząc na dziewczęta.

– No cóż, ktoś chyba przekazał mi mylne informacje na temat mamy zdrowia. Jeden z moich znajomych, mama pewnie go nie zna – szybko uprzedził ewentualne pytanie – wspomniał mi o jej poważnej chorobie. Zaniepokoiło mnie to tak bardzo, że natychmiast udałem się do Ivonne. Ona również bardzo się zmartwiła i zaproponowała, żebyśmy się tu jak najszybciej wybrali i sprawdzili, w czym moglibyśmy być pomocni. Ponieważ jednak miała u siebie gościa, pannę Wiktorię, nie mogła jej zostawić samej w Paryżu. Zresztą Wiktoria zna się na leczeniu i lekach, tym bardziej więc mogłaby się przydać. Ot, i cała historia. Chcę tylko dodać, że cieszymy się niezmiernie, iż te wiadomości okazały się nieprawdziwe, a mama cieszy się doskonałym zdrowiem.

Ivonne nie przypominała sobie, żeby miała sama zaproponować wyjazd do matki, lecz nie zamierzała tego prostować. Spojrzała tylko z niepokojem na rodzicielkę znad talerza. Starsza pani w zamyśleniu odłożyła sztucę.

– Naprawdę martwiłaś się o mnie? – Ivonne mogłaby przysiąc, że w głosie matki pojawiła się jakaś łagodniejsza nuta.

– Tak, mamu, bardzo mnie ta wiadomość zmartwiła. Nie wyobrażam sobie... – Głos jej się załamał i sięgnęła po kieliszek z winem, żeby zwilżyć gardło. W innych okolicznościach natychmiast zostałaby pouczona, że powinna z tym poczekać na panią domu, tym razem jednak matka sama chyba była wzruszona.

– Nie mówmy już o tym. – Dyskretnie wciśnięcie przycisku dzwonka pod stołem spowodowało ponowne pojawienie się służącej. Przyszła pora na sery. – Jedzmy, a potem zastanowimy się, co dalej.

Czujcie się moimi gośćmi tak długo, jak chcecie. Prawdę mówiąc, przyda mi się trochę towarzystwa.

Wiktorija obserwowała z fascynacją, jak służąca zmieniała nakrycia. Podchodziła do każdego z osobna z talerzem w prawej dłoni. Stanąwszy za plecami biesiadnika, lewą ręką sięgała po brudny, prawą zaś płynnym ruchem podsuwała na jego miejsce czysty. Przypominało to bardziej egzotyczny taniec niż zwykłą czynność. Mając już wolną prawą rękę, zabierała szybko brudne sztuce, odstawiała je na bufet, brała kolejny talerz i wykonywała tę samą operację przy następnym gościu. Wszystko to nie trwało dłużej niż kilka sekund. Przed każdym znajdowało się teraz nowe nakrycie i czyste, ułożone jeszcze przed posiłkiem sztuce. To stąd tyle ich było na początku; Wiktorija uśmiechnęła się do swoich myśli.

– A zatem zna się pani na leczeniu? – zagadnęła ją madame Castillon du Manon, odkrawając pierwszy kawałek sera na swój talerzyk. Przesunęła szklany półmisek w stronę siedzącej najbliżej Ivonne.

– Pani syn, zbyt dla mnie łaskaw, nieco przesadził z tą znajomością. – Wiktorija pozwoliła sobie na lekki uśmiech. – Jestem aptekarką i w związku z tym znam się na lekarstwach i trochę na chorobach. Czasami potrafię więc pomóc, jeśli zajdzie taka potrzeba.

– Aptekarką, czyli co? Sprzedaje pani leki?

– Tak, mam ukończone specjalne studia i pracuję we własnej aptece. Wcześniej należała ona do mojego nieżyjącego już ojca.

– Specjalne studia? – Gospodyni skrzywiła się z lekką dezaprobatą. – A cóż to takiego?

– Studiowałam na Uniwersytecie Jagiellońskim. Mam dyplom i wszelkie uprawnienia. – Wiktorija oznajmiła to z lekką dumą.

– W naszej rodzinie kobiety nie musiały studiować na żadnych uniwersytetach jagiellońskich. Najlepsza szkoła to dom i matka. Kobieta ma być dobrą panią domu, to jest prawdziwa sztuka i zawód, którego powinna się wyuczyć.

– Mamo – wtrącił się Pascal szybko, widząc, że Wiktorija już nabiera powietrza, żeby odpowiedzieć – czasy się zmieniły, teraz kobiety mogą zdobywać wykształcenie i wykonywać taką samą pracę jak mężczyźni. No, może prawie taką samą – dodał po chwili namysłu. – Nie zapominajmy, że mamy już dwudziesty wiek.

– Nigdy nie pogodzę się z pracą kobiet. – Madame Castillon du Manon wysunęła brodę do przodu, nadając swojej twarzy wyraz jeszcze większego uporu i stanowczości. – To takie... – szukała odpowiedniego słowa – ...takie pospolite i absolutnie w złym guście.

Kolejny dyskretny dzwonek do kuchni był sygnałem do następnej zmiany nakryć. Na stole pojawiły się owoce, posiłek dobiegł końca.

– Kawę wypijemy na tarasie – zarządziła pani domu. Sięgnęła po wiszącą na oparciu krzesła hebanową laskę ze srebrną rączką w kształcie głowy drapieżnego ptaka i z trudem podniosła się z krzesła. – Dzisiaj piękny słoneczny dzień, szkoda marnować go na siedzenie w domu i rozprawianie o bzdurach.

Od strony ogrodu dom wyglądał jeszcze piękniej. Spadzisty dach pokryty był łupkowymi płytkami, wokół wykuszowych okien zwisały pędy dzikiego wina, zdrewniałe łodygi oplatały mury, tworząc wymyślne kształty.

Madame i jej goście usiedli w wiklinowych fotelach ustawionych wokół białego okrągłego stolika. Służąca przyniosła tacę z dzbankiem kawy i malutkimi filiżankami z cienkiej porcelany. Wiktorija ostrożnie ujęła swoją, myśląc tylko o tym, żeby jej nie upuścić. Nadal nie potrafiła się odprężyć.

– Mamo – Ivonne przerwała ciszę zmaconą tylko śpiewem ptaków, dobiegającym od strony rzeki – za pozwoleniem, mam dla mamy drobny prezent. Jeśli mogę, przyniosę go tu zaraz.

Madame Castillon uniosła lekko brwi, ale skinęła przyzwalająco głową. Ivonne zerwała się i pobiegła do swojego pokoju, a po chwili wróciła z tajemniczym rulonem w dłoni.

– Pozwoliłam sobie namalować mamy portret. – Drżącymi rękami rozwinęła rulon przed matką, ale tak, że wszyscy mogli go zobaczyć.

Portret przedstawiał młodszą wersję pani Sophie Castillon du Manon, lecz doskonale oddawał całe piękno i dostojeństwo bijące już wtedy od jej władczej postaci. Młoda kobieta o rudych, jak u jej dzieci, włosach siedziała w fotelu z zielonego aksamitu, z jedną ręką na kolanach, drugą zaś oparła na głowie stojącego obok wielkiego psa. Fałdy atłasowej żółtej sukni spływały ciężko na ziemię, załamując światło na zagięciach; koronkowy, misternie oddany czarny szal wyglądał jak prawdziwy.

Wiktorię przede wszystkim zachwyciło mistrzostwo przyjaciółki w wiernym oddaniu błyszczącej tkaniny. Podobne efekty widywała do tej pory jedynie na płótnach Velázquez.

– Ale jak...? – Zdumiona matka spojrzała na zaczerwienioną z przejęcia Ivonne. – Jak go namalowałaś, skoro nigdy ci nie pozowałam? Zresztą wtedy – wskazała ręką na portret – mogłaś mieć zaledwie kilka lat.

– To portret ze zdjęcia, mamó. Jedynie kolory wzięłam z pamięci. To była twoja suknia balowa, prawda? Wyglądałaś w niej jak wróżka z bajki, nigdy nie zapomnę wrażenia, jakie na mnie wtedy zrobiłaś. Chciałam to utrwalić, ponieważ zdjęcie nie oddaje całego piękna. I nie widać na nim kolorów.

– Nie wiedziałam, że potrafisz tak malować. – Starsza pani wciąż nie mogła ochłonąć z zaskoczenia. – No, to nawet całkiem pożyteczne zajęcie dla kobiety. Jedne potrafią haftować, inne grają na fortepianie, a jeszcze inne malują. Taka żona to skarb dla męża. Tyle talentów. Ale chyba nie handlujesz swoimi obrazami?

Od odpowiedzi wybawił Ivonne stary ogrodnik, który przyszedł podwiązać do palików ciężkie dale rosnące u podnóża tarasu. Pani domu zajęła się udzielaniem mu wskazówek, a w końcu wstała od stolika i opierając się na lasce, poszła wraz z mężczyzną, żeby dokładnie pokazać mu, co ma zrobić. Mężczyzna, niecierpliwie mnąc czapkę w ręce, podreptał posłusznie za swoją pracodawczynią.

– Od lat to samo! – zaśmiał się cicho Pascal. – Mama co roku pokazuje temu nieszczęśnikowi, jak podwiązywać dale. A także jak robić inne rzeczy w ogrodzie. Aż się dziwię, że on to wszystko wytrzymuje.

– Musi ją mimo wszystko lubić – stwierdziła Ivonne. – Albo pieniądze, które tu zarabia.

– Prędeż to drugie. A co do twojego malowania, lepiej unikaj tego tematu przy matce. Znasz jej zdanie. Kobieta może malować, ale tylko w przerwach w zarządzaniu domem. To takie niewinne głupstewko, na które mąż w swojej łaskawości ewentualnie może jej pozwolić. Ale swoją drogą ten portret udał ci się niebywale. Gratuluję, siostró.

Ivonne uśmiechnęła się blado w podziękowaniu. Jeśli liczyła, że swoim prezentem sprawi, iż matka zmieni zdanie co do jej zajęcia, to właśnie się przekonała, że nic z tego. Postanowiła więc nie poruszać więcej tej kwestii. Zwinięty ponownie w rulon portret leżał na brzegu stolika, czekając na decyzję pani domu. Od niej tylko zależało, czy zostanie zawieszony na ścianie, czy też pokryje się kurzem w jednym z kufrów na strychu.

Tymczasem matka wróciła na taras.

– Skaranie boskie z tym człowiekiem – sapnęła zirytowana. – Nigdy nie potrafi niczego zrobić tak, jak ja chcę. Wszystko wszystkim muszę pokazywać sama. Co to będzie, jak mnie kiedyś zabraknie? Cały ten dom i ogród popadnie w ruinę. Wątpię, żeby którekolwiek z was potrafiło nim się zająć.

Zadzwoniła srebrnym dzwoneczkiem stojącym obok filiżanek z wypitą już kawą i w drzwiach tarasu natychmiast pojawiła się służąca. Pani domu spojrzała na nią z naganą.

– Ile razy ci powtarzałam, że masz zabierać filiżanki, gdy tylko kawa zostanie wypita? Brudne nie powinny nigdy stać na stole.

– Przepraszam, sprzątałam właśnie po obiedzie...

– Dość tego! Jak dobrze się zorganizujesz, zdążysz wszystko zrobić. I zabierz ten rulon do mojego pokoju – dodała, wchodząc do domu. – Idę na chwilę się zdrzemnąć.

– Tak jest, proszę pani. – Niemłoda już służąca stała przez chwilę niezdecydowana, co ma zrobić najpierw, uznała jednak, że ważniejszy jest tajemniczy rulon, który powinien się znaleźć w pokoju pani Castillon, zanim ona sama tam wejdzie. Filiżanki mogą poczekać.

– Kiedy ta kobieta odpoczywa? – Wiktoria spytała szeptem przyjaciółkę. – Cały czas widzę ją w pełnym pogotowiu.

– Kiedy? Późnym wieczorem, jak już matka pójdzie spać. W ciągu dnia nie ma prawa nawet na chwilę usiąść, chyba że akurat zajmuje się zleconym wcześniej szyciem. Matka twierdzi, że płaci jej za pracę, a nie za siedzenie, więc rozlicza tę kobietę z każdej minuty.

– Mój Boże, przecież to nieludzkie.

– No cóż, właśnie dlatego służące w tym domu zmieniają się co kilka miesięcy. Żadna nie wytrzymuje dłużej. Jedna z nich uciekła po kilku dniach takiej tresury.

– Ale przecież ona, jak zdążyłam już zauważyć, pracuje tu jako kucharka, służąca i chyba opiekunka twojej matki. Myślałam, że w takich domach zatrudnia się do tych zajęć kilka osób.

– W innych domach i owszem – przytaknęła Ivonne. – Ale nie w domu mojej matki, która stara się na wszystkim tak oszczędzać, jak to tylko jest możliwe. Wychodzi z założenia, że skoro ktoś może wykonywać kilka prac naraz, szkoda pieniędzy na zatrudnianie dodatkowych osób.

ROZDZIAŁ 12

Chodź, usiądziemy na pomoście – zaproponowała Ivonne znów zamyślanej przyjaciółce. – Zobaczysz, jak tam pięknie, i porównasz z obrazem, który malowałam. Powiesz, czy jest wierny.

Wiktorija apatycznie kiwnęła głową. Znów powróciły wspomnienia ostatnich kilku dni, wciąż miała przed oczami wyraz twarzy Filipa, kiedy się dowiedział, że od dawna znała prawdę o ich rzekomym pokrewieństwie i nic z tym nie zrobiła.

– Mogę się do was przyłączyć? – Pascal uśmiechnął się przymilnie. – Będę wam służył za ratownika, gdyby któraś z was, co nie daj Boże, miała wpaść do wody. A tam jest bardzo głęboko, Iv może zaświadczyć, prawda, siostrzyczko?

Ivonne skrzywiła się niechętnie, ale nie mogła przecież zabronić bratu chodzenia tam, gdzie miał ochotę. To również był jego dom. Wzruszyła tylko ramionami, co Pascal odczytał jako przyzwolenie, i już we trójkę ruszyli powoli w stronę połyskującej w świetle słońca rzeki.

Zbudowany na pływakach drewniany pomost zakołysał się pod ich ciężarem. Wiktorija odruchowo chwyciła za ramię stojącego najbliżej Pascala, jednak zaraz jeszcze szybciej cofnęła rękę. Uśmiechnął się pod nosem, lecz nie skomentował tego ani słowem. Ta Polka podobała mu się coraz bardziej, nie chciał jej zrazić nieopatrznym słowem czy zachowaniem. Przyłapał się na myśli, że jeszcze żadnej kobiety nie pragnął aż tak mocno i na żadnej innej tak mu nie zależało. Zakochałeś się?, spytał w duchu sam siebie zaskoczony tą myślą. Chyba tak i biada ci. Nie będzie łatwo.

Ivonne pobiegła do swojego pokoju po szkicownik, a Wiktorija, za przykładem Pascala, zdjęła buciki, usiadła na brzegu pomostu i zanurzyła nogi w chłodnej, przezroczystej wodzie. Zaciekawione małe rybki śmigają wokół stóp obojga, a co odważniejsze usiłowały je uszczypnąć, lecz przy najmniejszym poruszeniu rozpierzchały się na boki srebrnym wachlarzykiem.

Rosnące tuż przy brzegu nenufary powoli zaczynały otwierać swoje paki. Wśród ogromnych ciemnozielonych liści pojawiały się plamy bieli i żółci.

– Zupełnie jak na obrazie Ivonne – zachwyciła się Wiktorija.

– Tak. – Pascal zerknął na nią dyskretnie.

Miała piękny profil, a jasne włosy, splecione teraz, pewnie ze względu na jego matkę, w gruby warkocz, załamywały promienie słońca, jakby były ze złota. Pojedynczy, niesforny kosmyk, unoszony lekkim wiatrem, trzepotał nad jej czołem jak skrzydło ważki. Pascal miał ochotę wsunąć go na miejsce, ale nie odważył się tego zrobić.

Wiktorija wyglądała jak boginka wyłaniająca się z wody.

– Tak – powtórzył – Iv naprawdę ma talent. Szkoda, że nasza matka nie może się pogodzić z myślą, że prawdziwym powołaniem mojej siostry jest malowanie, a nie małżeństwo z jakimś bogatym starym arystokratą.

Wiktorija nawet się nie zorientowała, kiedy Pascal wciągnął ją w rozmowę na temat malarstwa i sztuki. Okazał się całkiem sympatycznym i inteligentnym rozmówcą. Sprawił, że choć na chwilę zapomniała

o Filipie i swoim błędzie.

– Nenufary zakwitły w tym roku wcześniej – usłyszeli za sobą głos Ivonne. – Może dlatego, że nagle zrobiło się bardzo ciepło. To dobrze, cieszę się, że masz okazję zobaczyć Sarthe w całej krasie.

– Przecież już koniec czerwca – odrzekła zdziwiona Wiktoria. – Z tego, co wiem, kwitną właśnie o tej porze. Przynajmniej u nas.

– Tutaj trochę później, więc cieszę się, że zdążyłaś je zobaczyć. I jak ci się podoba?

– Pomost jest zupełnie taki sam jak na twoim obrazie – pochwaliła ją Wiktoria. – To urokliwe miejsce, rzeczywiście aż się prosi, żeby je malować.

– Mam dwa szkicowniki, chcesz? – Speszona komplementem Ivonne wyciągnęła jeden w stronę przyjaciółki.

– Nie, dziękuję. Chyba jeszcze nie jestem gotowa. Na razie chciałabym tylko popatrzeć na te wszystkie cuda i zwiedzić okolicę. Jeśli można, rzecz jasna.

– Oczywiście, że można – Pascal wyręczył siostrę. – W szopie za domem stoją rowery, któregoś dnia możemy się wybrać na wycieczkę.

– Z ogromną przyjemnością, tylko... – Wiktoria się zawahała. – Tylko że nie umiem jeździć na rowerze. Nigdy nie miałam okazji.

– To żaden kłopot – odpowiedzieli jednocześnie Castillonowie.

– Szybko się nauczysz, zobaczysz – dodała Ivonne.

Wiktoria uśmiechnęła się z wdzięcznością. Może ten wyjazd nie był takim złym pomysłem, uznała, z przyjemnością rozglądając się wokoło. Widoczny w głębi ogrodu dom lśnił bielą kamieni na tle zielonych drzew. Światło słoneczne odbiło się w szybie otwartego szeroko okna salonu.

– A biedna służąca pewnie teraz sprząta w salonie. – Uśmiech zgasł na jej twarzy. Żal jej się zrobiło nieznannej kobiety, wykorzystywanej przez matkę Ivonne i Pascala.

– Ależ przestań się tak przejmować – uspokoiła ją Ivonne. – Po obiedzie ma zawsze dwie godziny wolne. Teraz siedzi pod lipą, patrz, tam, po lewej stronie domu.

Rzeczywiście, w oddali widać było sylwetkę kobiety w białym fartuszkach siedzącej z książką na kolanach na ławce pod drzewem. Wiktoria westchnęła z ulgą. Przynajmniej w tej chwili nic nie mąciło jej dobrego nastroju. Odetchnęła pełną piersią i nachyliła się nad ciemnozieloną wodą.

– Uważaj, tu naprawdę jest bardzo głęboko! – Ivonne złapała ją za ramię. – Umiesz pływać?

– Tak, jako dziecko pływałam z braćmi w Wiśle. To nasza największa rzeka – dodała gwoli wyjaśnienia.

– Większa od Sarthe?

– Z całą pewnością. – Wiktoria powiedziała to z dumą i nagłym smutkiem w głosie. – Tęsknię już za Krakowem i Wisłą...

– Spokojnie, już niedługo będziesz tam z powrotem. – Ivonne pogłaskała ją po dłoni. – A teraz ciesz się chwilą i wyrzuć wszystkie troski. Najlepiej tu, do wody.

– Naprawdę jest tu bardzo głęboko? – Wiktoria zmieniła szybko temat.

– O, tak – skwapliwie potwierdził Pascal. – Jak twierdzi nasza matka, w samym środku rzeki może być i osiem metrów. Podobno kiedyś na jej oczach utonąła tam krowa sąsiada i znaleziono ją dopiero wtedy, gdy po jakimś czasie napuchnięta od gazów wypłynęła sama w przybrzeżnych szuwarach.

– To potworne – wzdrygnęła się Ivonne. – Też nie masz czego opowiadać Wiktorii.

– Nie przejmuj się tak bardzo moją wrażliwością. – Dziewczyna roześmiała się na widok zdeglustowanej miny przyjaciółki. – Podczas studiów uczestniczyłam w sekcjach zwłok, więc niestraszne mi takie widoki. Topielec, niezależnie od tego, czy to człowiek, czy zwierzę, wygląda jednakowo okropnie.

– Naprawdę robiła pani sekcje zwłok? – Pascal spojrział na nią z niezdrową fascynacją.

– Ależ nie, asystowałam tylko. – Wiktoria pokręciła przecząco głową. – Po ukończeniu studiów farmaceutycznych zapisałam się na kurs dla położnych i właśnie wtedy miałam okazję uczestniczyć w sekcjach. W ramach nauki anatomii. Zdarzało się, że pierwsi nie wytrzymywali panowie i uciekali z sali sekcyjnej. O ile zdążyli dobiec do drzwi. – Uśmiechnęła się porozumiewawczo.

– Hm... sam bym chyba uciekł – mruknął Pascal, przyglądając się dziewczynie z coraz większym podziwem. Nie dość, że studia farmaceutyczne, to jeszcze kurs położnictwa. No, no... Ta Polka zaczynała mu imponować.

– A wracając do rzeki – przypomniała sobie Ivonne – matka zawsze straszyla nas zamieszkującymi Sarthe szarymi potworami. Według jej opowieści miały to być ogromne, niemal trzymetrowe stworzenia o szerokich, pełnych ostrych zębów pyskach. Taki stwór mógł wciągnąć dziecko pod wodę jednym kłapięciem. Pamiętam, że wtedy święcie wierzyłam w to wszystko i okropnie się bałam.

– Całkiem możliwe, że matka mówiła prawdę – stwierdził z poważną miną Pascal.

– No, chyba żartujesz...

– Wcale nie. Wiem, że żyją tu olbrzymie sumy, dochodzące wprawdzie nie do trzech, ale do dwóch metrów. I mają szerokie pyski z ostrymi zębami. Opis pasuje.

Wspólne wspomnienia z dzieciństwa sprawiły, że Ivonne na moment zapomniała o żalu i niechęci do brata. Aż do chwili, kiedy skrzywdził jej przyjaciółkę, zawsze mieli ze sobą doskonały kontakt. Dorosłe życie ich rozdzieliło, teraz jednak znów poczuli się jak dzieci, spędzające wakacje w rodzinnym domu.

– To co z tymi rowerami, siostrzyczko? – Pascal też poczuł zmianę w jej nastawieniu i postanowił nie zepsuć tej chwili żadnym pochopnym działaniem. Po raz pierwszy od dawna czuł się lekki i niemal szczęśliwy. – Kto będzie uczył pannę Wiktorię?

– Na pewno nie ty. – Ivonne nagle zeszywniała. – Nawet o tym nie myśl.

Zniknął gdzieś czar przywołany wspomnieniami z dzieciństwa, przysłoniętymi teraz przez całkiem niedawne wydarzenia. I bolesne.

– W porządku – zaśmiał się, udając, że nie rozumie, o co jej chodzi. – To nie ja będę chodził poobijany, bo nie mnie panna Wiktoria będzie rozjeżdżała na drodze.

Czuł się jednak trochę zawiedziony, gdyż właśnie przeszła mu przed nosem okazja do bezkarnego dotykania pięknej dziewczyny. Postanowił jednak przełknąć rozczarowanie i udawać, że nic się nie stało. Znajdzie inny sposób. Już zauważył, że Wiktoria bardziej niż komplementy lubi rozmowy na temat malarstwa. Na szczęście znał się doskonale na tej dziedzinie sztuki.

– Chodźmy do szopy, zobaczymy, w jakim stanie są nasze rowery. Nie jeździłem na swoim co najmniej od roku.

– A ja chyba jeszcze dłużej. – Ivonne podała dłoń Wiktorii i obie ruszyły za Pascalem.

Szopa była małym pomieszczeniem z wapiennych kamieni, pokrytym, jak reszta domu, łupkową dachówką. W środku stały i leżały w idealnym porządku narzędzia ogrodowe, a obok nich znajdowały się dwa dobrze utrzymane rowery. Widać było, że ktoś o nie dba, nawet jeśli od dawna ich nie używano.

– Tak jak się spodziewałem, są sprawne. Widać, że Jean-Paul nie zaniedbuje swoich obowiązków. – Pascal z zadowoleniem pogładził wysoką ramę swojego pojazdu.

Odkąd rodzeństwo sięgało pamięcią, Jean-Paul był w tym domu „człowiekiem do wszystkiego”, oboje uwielbiali tego małomównego, ale ciepłego mężczyznę, który zawsze miał dla nich czas.

– Teraz już musi być z niego staruszek. Pamiętasz, jak nas uczył jeździć? – Na samo wspomnienie Ivonne zabłysły oczy.

Jej rower miał obniżoną ramę, tak że można było na nim jeździć w długiej spódnicy. Wiktoria widziała już takie rowery w Krakowie, ale nigdy nie myślała, że mogłaby na czymś takim jeździć. Ojciec uważał,

że to niepotrzebny zbytek i szkoda na niego wydawać pieniądze.

Ivonne dość szybko doszła do wniosku, że jest jednak zbyt słaba, żeby uchronić przyjaciółkę przed zlatywaniem z roweru. Rozpędzona Wiktoria wpadała na nią z impetem, za każdym razem zwalając ją z nóg. Kilka razy obie wylądowały na pokrytej kurzem drodze. Po ostatnim, dość bolesnym upadku młoda kobieta skapitulowała.

– Chyba czas, żebyś i ty trochę się poobijał – powiedziała do przyglądającego się tym lekcjom brata. Wstała, otrzepała suknię z kurzu i pomogła Wiktorii wydostać się spod roweru. – Tylko nie waż się jej dotykać! – syknęła, kiedy się zbliżył.

– Jak więc mam pomóc? – Brwi Pascala uniosły się w zdziwieniu niemal na czubek czoła.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, w końcu oboje parsknęli śmiechem. Zakłopotana Wiktoria stała obok nich z niepewną miną.

– Może damy sobie spokój z tymi lekcjami? – odezwała się w końcu. – Wygląda na to, że nie mam w tym kierunku żadnych zdolności.

– Nie ma mowy. – Pascal pewnym ruchem podniósł rower z ziemi. – Proszę siadać, teraz zajmie się panią sam mistrz. – Skłonił się przed nią, zamiatając drogę wyimaginowanym kapeluszem.

– Błazen. – Rozbawiona Ivonne wzruszyła ramionami.

Pascal był dobrym nauczycielem, a Wiktoria okazała się pojętą uczennicą. Po kilku zaledwie próbach przejechała już samodzielnie kilkanaście metrów. Wprawdzie na koniec, gdyby nie jego interwencja, znowu wylądowałyby na ziemi, ale radziła sobie coraz lepiej.

– Jeszcze poćwiczmy hamowanie i już wszystko będzie dobrze – powiedział zdyszany, kiedy w ostatniej chwili dobiegł do dziewczyny i złapał ją, zanim spadła z roweru.

Kontakt fizyczny z Wiktorią wzbudził w nim nieznanne mu dotąd uczucia. Chociaż początkowo miał w stosunku do niej inne plany, nagle zapragnął się nią opiekować, chronić ją przed złem. Domyślał się przyczyn jej smutku, podejrzewał, że mają związek z rzekomym bratem, który szukał jej w Paryżu. Od początku czuł niechęć do tego mężczyzny. Jeśli się okaże, iż tamten skrzywdził Wiktorię, będzie miał z nim do czynienia.

Pascal zorientował się nagle, że zależy mu na tej dziewczynie jak na żadnej innej. Wydawała się taka czysta, nieskalana i bezbronna w tej swojej niewinności. Zawsze pociągały go dziewice, a ona miała jeszcze to, czego nie mógł znaleźć u innych. Była wykształcona i mądra. To nie głupiutkie i naiwne dziewczątko; wyczuwał w niej niezwykłą siłę, która podniecała go jeszcze bardziej. Zdobycie takiej kobiety było nie lada sztuką. Z nią mógłby nawet związać się na zawsze. Byłaby ozdobą i dumą jego domu.

– Proszę patrzeć na drogę, nie na kierownicę! – krzyknął, kiedy Wiktoria znów zaczęła się niepewnie chwiać. – Patrz na drogę, do diaska! – wyrwało mu się.

Zaróżowiona z wysiłku i emocji dziewczyna zeskoczyła z roweru. Poprawiła potargane przez wiatr włosy.

– Proponuję, żebyśmy mówili sobie po imieniu – powiedziała, sama się dziwiąc własnej śmiałości. – W sytuacji, kiedy ciągle leżę w kurzu na drodze, takie: „Niech pani wstanie”, „Proszę, niech pani, do diaska...”, brzmią trochę niepoważnie.

– Będę zaszczycony, pani... Wiktorio. – Pascal ukłonił jej się, nie mogąc ukryć rozbawienia. Podobało mu się poczucie humoru pięknej Polki. Takiej kobiety jeszcze nigdy wcześniej nie spotkał – pełnej uroku, mądrej, utalentowanej i dowcipnej. Idealna towarzyszka życia.

Po kilku dniach Wiktoria opanowała sztukę jazdy na rowerze na tyle, że można było zaryzykować

pierwszą wycieczkę po okolicy.

– Muszę pożyczyć rower od sąsiadów, bo mamy tylko dwa – oznajmił przy śniadaniu Pascal.

Siedzieli przy stole w kuchni, słońce wpadające przez duże okno malowało na blacie i podłodze świetliste wzory. Pani domu jadła śniadania w łóżku, więc młodzi nie byli skrępowani jej obecnością.

Służąca zanosila madame tacę ze śniadaniem codziennie rano, punktualnie o godzinie ósmej trzydzieści, tego dnia jednak musiała się spóźnić kilka minut.

– Czy nie dość wyraźnie mówiłam, o której życzę sobie mieć podane śniadanie?! Jest ósma trzydzieści pięć! – Donośny głos pani Castillon du Manon doleciał aż tutaj. – I drzwi! Tyle razy powtarzam, żeby zamykać za sobą drzwi!

Niewyraźne przeprosiny służącej uciął odgłos w pośpiechu zamykanych drzwi.

– Nasza matka ma obsesję na punkcie otwartych drzwi. To chyba jest związane z jakimś przykrym doświadczeniem z jej dzieciństwa, ale nigdy nam o tym nie opowiadała. – Zażenowana Ivonne usiłowała jakoś wytłumaczyć zachowanie rodzicielki.

– Najlepiej byłoby, gdyby każdy wchodził i wychodził z pokoju od razu przez zamknięte drzwi – zaśmiał się Pascal, rozładowując sytuację.

Wiktoria często czuła się zakłopotana, będąc świadkiem wybuchów złości czy też apodyktycznego zachowania pani domu. Była gościem i nie bardzo wiedziała, jak się w takich sytuacjach zachować. Najlepsze wydawało się milczenie i udawanie, że niczego nie słyszy i nie widzi. Ale nie chciały mieć do czynienia na co dzień z kimś takim.

– Miałam kiedyś czarną służącą – oznajmiła pewnego dnia pani Castillon przy obiedzie, zaraz po tym, jak doprowadziła do łez swoją pracownicę, wyrzucając na podłogę za mało gorące, jej zdaniem, jarzyny. – Gotowała jak anioł, chociaż była czarna i głupia. Oczywiście nie mogłam jej pokazać znajomym, więc tylko przygotowywała potrawy, a do podawania musiałam nająć kogoś innego. Kosztowało mnie to podwójnie, lecz warto było dla tego jej gotowania.

– Co się z nią stało? – Wiktoria obawiała się spojrzeć na panią domu, żeby ta nie wyczytała niczego z jej oczu.

– Proszę sobie wyobrazić, że wymówiła, tłumacząc się tęsknotą za dziećmi i chęcią powrotu do domu. Czy oni mają takie uczucia jak normalni ludzie? Wybaczcie, ale trudno mi w to uwierzyć. Przecież to prawie małpy. Zwolniłam ją, ale nie zapłaciłam, bo mnie zawiodła. Długo musiałam potem szukać kogoś, by ją zastąpił.

– Nie zwracaj uwagi na naszą matkę. I nie oceniaj jej zbyt surowo. – Ivonne poklepała Wiktorię po dłoni. – Ona już taka jest i się nie zmienia. Lubi rządzić i pokazywać innym, że ze względu na pochodzenie należą jej się specjalne względy. Służący i nasze opiekunki zawsze byli dla niej istotami pośledniejszego gatunku. I tak też ich traktowała. Może to nie jej wina, tylko wychowania. Tak było w tej rodzinie od pokoleń. Murzynów, Żydów i wszystkie inne nacje niż Francuzi zawsze uważano za gorszy gatunek ludzi.

– Nie ośmieliłabym się oceniać waszej matki. – Wiktoria aż się zachnęła z oburzenia. – Jakież mam do tego prawo, zwłaszcza że jestem jej gościem. Po prostu trudno mi się do takiego zachowania przyzwyczaić, po raz pierwszy w życiu spotykam się z taką postawą. U nas służba traktowana była zawsze niemal jak członkowie rodziny. Ale my jesteśmy tylko zwykłymi sprzedawcami leków – uśmiechnęła się gorzko.

Wiedziała, że między panią Castillon du Manon a nią istnieje przepaść nie do pokonania. Tylko ogólnie przyjęte zasady gościnności sprawiały, że Wiktoria była dobrze traktowana i pani domu nie ośmieliłaby się podnieść na nią głosu.

– Dostyc tych dyskusji. – Pascal odstawił swoje nakrycie do zlewu. – Pójdę teraz popytać o rower,

a później wybierzemy się na wycieczkę, zgoda?

Wiktoria zabrała się do mycia naczyń po śniadaniu.

– Zostaw to, proszę. Od czego jest służąca? – powstrzymał ją zaskoczony Pascal, lecz natychmiast spieszył się pod wiele mówiącym spojrzeniem siostry.

No tak, nieodrodny syn swojej matki.

ROZDZIAŁ 13

Wycieczki rowerowe po okolicy okazały się bardzo dobrym pomysłem, by oderwać Wiktorię od ponurych rozmyślań. Podczas jazdy zajęta była jedynie podziwianiem otaczającego ją piękna, a wieczorem, obolała i zmęczona, usypiała w swoim pokoiku na poddaszu niemal w tej samej chwili, gdy jej głowa dotknęła poduszki.

Z początku nie zapuszczali się zbyt daleko z uwagi na jeszcze niezbyt dużą wprawę dziewczyny, z czasem jednak trasy stawały się coraz dłuższe. Odwiedzali po drodze okoliczne zamki, których właściciele, pamiętający jeszcze Ivonne i Pascala jako dzieci, częstowali ich czymś zimnym do picia i zatrzymywali na krótkie pogawędki. Prości ludzie również machali im przyjaźnie na powitanie sprzed swoich ukwieconych, skromnych domków.

Największe wrażenie robiły na Wiktorii stada saren pasących się na łąkach w pobliżu lasu. Aż wstrzymywała oddech z zachwytem. Były to pierwsze dzikie zwierzęta żyjące na wolności, jakie widziała. W takich chwilach myślała o braciach. Żałowała, że nie mogą tu być razem z nią, jeździć na rowerach i cieszyć się widokiem tych pięknych miejsc, jak ona. Przygnębiało ją to, ale tylko na chwilę, bo zaraz pojawiała się coś, co znów na dłużej odwracało jej uwagę od smutnych myśli.

Ivonne też wyraźnie odżyła, była znacznie weselsza niż w Paryżu, przyjazd do domu dobrze jej zrobił. Matka traktowała ją lepiej niż na początku, sprawiała nawet wrażenie, jakby obecność córki ją cieszyła. Rozmawiała z nią częściej i chętniej, wypytywała o jej malarstwo i plany na przyszłość. Te matrymonialne, niestety, też. Ivonne tłumaczyła, że nie poznała jeszcze nikogo, kto spodobałby się i jej, i matce, co tej ostatniej sprawiało niekłamaną przyjemność.

Pascal natomiast korzystał z każdej okazji, żeby znaleźć się blisko Wiktorii. Wprawdzie nie potrzebowała już pomocy, gdyż świetnie sobie radziła na rowerze, ale i tak asystował jej przy każdym wsiadaniu i zsiadaniu, gotów łapać dziewczynę, gdyby jednak miała spaść. Teraz to on odczuwał coś w rodzaju smutku, gdyż w spojrzeniu Wiktorii wciąż nie pojawiał się wyczekiwany przezeń błysk na jego widok. Widziała w nim jedynie dobrego kolegę. Nie traktowała go wrogo, ale i nie jak mężczyznę wartego zainteresowania. Był dla niej jedynie bratem Ivonne. Czuł więc coraz większą złość na rzekomego brata, który skradł dziewczynie spokój. I prawdopodobnie serce. Postanowił delikatnie wpytać ją o tamtego przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Mógł to zrobić szybciej, niż się spodziewał.

Ivonne tego dnia poczuła się niedysponowana i nie mogła wsiąść na rower. Jej kobiece miesięczne przypadłości okazały się bardzo bolesne, przez pierwsze dwa dni nie była w stanie normalnie funkcjonować. Zwierzyła się z tego przyjaciółce, radząc, żeby wybrała się na wycieczkę z Pascalem, jeśli ma ochotę pojeździć rowerem. Obserwowała od dawna zachowanie brata i była raczej spokojna, że ten nie wyrządzi krzywdy Wiktorii. A już na pewno nie w domu matki. Jeśli ktoś mógłby tu zostać skrzywdzony, to raczej on. Widziała jego zakochane spojrzenia i zupełną obojętność przyjaciółki. Czuła wiszący w powietrzu zawód miłosny, tym razem jednak spotkałby on jej brata. Tego uwodziciela

i cynika, który zawsze twierdził, że nigdy się nie zakocha, bo kobiety służą tylko zaspokajaniu przyjemności mężczyzn.

Chyba cię dopadło, braciszku, westchnęła z satysfakcją Ivonne. Jeśli można to nazwać sprawiedliwością, to właśnie zaczynasz jej doświadczać.

Wiktorija postanowiła pojechać z Pascalem do Morannes po zioła potrzebne do sporządzenia mieszanki uśmierzającej dolegliwości przyjaciółki. Nareszcie mogła się okazać pomocna i wykorzystać swoją wiedzę.

Znajomość łacińskich nazw ziół okazała się niezwykle przydatna, ponieważ ich francuskie odpowiedniki nic jej nie mówiły. Bez łacińskich nazw nie mogłaby wytłumaczyć sympatycznemu aptekarzowi, o co jej chodzi. Mężczyzna nie omieszkał oczywiście zapytać, do czego jej te zioła potrzebne, a potem, zachwycony odpowiedzią, poprosił, by mógł wykorzystać tę recepturę. Wiktorija zgodziła się bardzo chętnie. Z początku była zaskoczona, że aptekarz nie znał tego środka, potem przypomniała sobie, że był to lek sporządzany przez jej ojca i wcześniej dziadka, a składniki i proporcje trzymano w tajemnicy. Powiedziała mu to, dumna w tym momencie ze swojej rodziny.

W drodze powrotnej zatrzymali się w lesie, na małej polance. Za drzewami widać było przepływającą leniwie Sarthe, nad trawą i rosnącymi w niej dzikimi kwiatami unosiła się delikatna mgiełka owadów. Brzęczenie pszczoł i plusk fal przy brzegu podziały na Wiktorię rozleniwiająco. Usiadła pod drzewem, oparła głowę o chropowaty pień i przymknęła oczy. Pascal bez słowa usiadł obok niej z drugiej strony, bojąc się zniszczyć tę piękną chwilę. Porzucone rowery leżały w trawie nieopodal.

– Jak cudnie. – Wiktorija pierwsza przerwała ciszę. – Mogłabym stąd nigdy nie wyjeżdżać.

– To dałoby się zrobić, gdybyś za mnie wyszła – wyrwało się Pascalowi, zanim zdążył pomyśleć.

Zamarł w obawie, że zniszczył wszystko, że oburzona dziewczyna zerwie się teraz na nogi, wsiądzie na rower, a jemu już nie uda się odbudować tej cieniutkiej więzi, jaką do tej pory udało mu się między nimi stworzyć.

Ale Wiktorija potraktowała jego słowa jako żart.

– Dobre sobie! – zaśmiała się, rzucając weń żdźbłem trawy. – Książę Castillon du Manon i sprzedawczyni lekarstw z jakiegoś zupełnie nieznanego Krakowa. Wyobrażasz sobie skandal, jaki wybuchłby w waszym towarzystwie? A twoja biedna matka, która dostałaby palpitanii serca, a może i udaru? To nie mogłoby się udać. Nie wymagałabym od ciebie aż takiego poświęcenia, ale miło mi, że taka myśl wpadła ci do głowy.

To nie byłoby żadne poświęcenie!, miał ochotę krzyknąć, lecz szybko dostosował się do jej tonu.

– Masz rację – odpowiedział ze swoim zwykłym, cynicznym uśmiechem. – Chociaż to mogłoby być zabawne. Chciałbym zobaczyć ich miny.

Wiktorija nie zauważyła zmiany w jego tonie. W dalszym ciągu wsłuchiwała się w odgłosy lasu.

– To byłoby też niemożliwe z innego powodu – dodała nieoczekiwanie. – Nigdy nie wyszłabym za męża bez miłości, a mężczyzna, którego kocham, jest już z kimś związany. Dlatego też prawdopodobnie pozostanę sama do końca życia.

– Czy... – Pascal poczuł, że nadeszła odpowiednia chwila. Druga taka okazja mogła się nie zdarzyć. – Czy mężczyzna, o którym mówisz, to ten Polak, lekarz?

– Tak – Wiktorija odwróciła twarz w jego stronę. – A skąd ty go znasz?

– Byłem w hotelu u swojego przyjaciela, kiedy tamten cię szukał. Nie znaliśmy twojego adresu, więc nie mogliśmy mu pomóc – dodał szybko, nie wdając się w szczegóły. – Ale z tego, co mówił, wynikało, że jest twoim bratem. Nie rozumiem, bo przecież ma francuskie nazwisko...

Wiktorija westchnęła. Nagle poczuła nieprzewartą ochotę, żeby zwierzyć się przyjacielowi, za jakiego uważała teraz Pascala. Zachowywał się w stosunku do niej poprawnie, wręcz jak brat. Uznała, że może

mu zaufać. Zresztą bardzo chciała to wszystko z siebie wyrzucić.

– Wtedy jeszcze myślał, że naprawdę jest moim bratem. A nazwisko zmienił po ślubie, nie wiem dlaczego. Może z nazwiskiem teścia łatwiej mu było rozpocząć praktykę lekarską? Nie zdążyłam go zapytać.

Opowiedziała Pascalowi niemal wszystko, poczynając od okoliczności, w jakich się urodziła, pominęła tylko drastyczne szczegóły z życia jej ojca. Kiedy doszła do Filipa, głos jej się załamał.

– Wszystko wskazywało na to, że jesteśmy rodzeństwem. Ojciec był tego pewien, matka Filipa milczała. Przyznała się dopiero wtedy, gdy mój ukochany wyjechał do Paryża, nie zostawiając mi adresu. Dostałam go dopiero od niej, kiedy powodowana wyrzutami sumienia odwiedziła mnie któregoś dnia, żeby wyznać całą prawdę. Nie mogłam od razu wyjechać, by go szukać, bo opiekowałam się sparaliżowanym ojcem. Kiedy już mogłam to zrobić, okazało się, że miesiąc wcześniej Filip zdążył się ożenić. Ot, i cała historia.

Pascal siedział nieruchomo, z kolanami podciągniętymi pod brodę. Był przyłoczony tą opowieścią. Z jednej strony współczuł dziewczynie z całego serca, z drugiej wiedział już, że w takiej sytuacji nie ma najmniejszych szans. Nie znał zbyt długo Wiktorii, czuł jednak, że należy ona do kobiet, które nie zapominają tak łatwo o swojej nieszczęśliwej miłości.

– Najlepszym lekarstwem na miłosny zawód jest nowa miłość. – Bezradnie wzruszył ramionami. – Nawet nie wiem, jak cię pocieszyć.

– Gdyby tak było, znaczyłoby tylko, że tamta nie była prawdziwa – Wiktoria podniosła się i zaczęła otrząpywać spódnice z trawy. – Dziękuję, że zechciałeś mnie wysłuchać.

Zatrzymał ją na moment i delikatnie ujął jej twarz w obie dłonie. Miał ogromną ochotę ją pocałować, ale poczuł, że dziewczyna sztywnieje w jego objęciach. Opanował się szybko, udając, że ściera z jej nosa pyłek kwiatka, który chwilę wcześniej wachała.

– Nie możesz przecież jechać z takim żółtym nosem – zażartował, nie dając jej ochłonać. – Gotów do wszelkiej pomocy, pani sługa uniżony.

Wiktoria odprężyła się w jednej chwili. Pascal był zabawny, nie dało się zaprzeczyć. A ona dobrze się czuła w jego towarzystwie.

– Wracajmy do domu. – Ruszyła w stronę roweru. – Chcę jak najszybciej przygotować napar dla Ivonne.

W nocy męczyły ją koszmary. Obudziła się przestraszona i złana potem, nie mogąc sobie przypomnieć snu. Podeszła do małego okienka, wychodzącego na zamknięty w prostokąt ogród, i przez nie wyjrzała. Jasny księżyc posrebrzył łupkowy dach starego klasztoru i mały krzyż na kaplicy przyklejonej do budynku. Postanowiła wyjść na chwilę, by ochłonać na świeżym powietrzu. Kiedy przechodziła na palcach przez salon, zerknęła na stojący tam zegar i ze zdziwieniem stwierdziła, że wcale nie jest jeszcze tak późno, jak jej się początkowo wydawało. Wyglądało na to, że znów usnęła kamiennym snem po popołudniowej wycieczce rowerem. Dochodziła dopiero północ.

Ogród przywitał ją nocnym chłodem i wilgotnym zapachem róż; na rozjaśnionym blaskiem księżyca niebie przemykały bezszelestnie cienie nietoperzy mieszkających pod dachem domostwa. Spod uchylonych drzwi kaplicy sączyła się słaba poświata. Wiktoria wiedziała, że madame Castillon spędzała tam całe godziny na modlitwach, nawet w nocy, przy blasku świecy. Wyglądało na to, że staruszka znów tam jest. Wiktoria podeszła bliżej, starając się nie wejść na wysypaną żwirem alejkę. Nie chciała przeszkadzać pani domu, ciekawa była jednak wnętrza kaplicy, w dzień zamkniętej na zardzewiały ze starości zamek.

– Przywołuję cię do rozsądku, mój drogi. – Słowa pani domu dotarły do niej nagle, całkiem wyraźnie,

aż podskoczyła przestraszona. Początkowy szmer, który brała za modlitwę, okazał się rozmową madame Castillon du Manon z synem.

Wiktorcia podeszła jeszcze bliżej, żeby móc zajrzeć przez lekko uchylone drzwi. Rzeczywiście, w ławce siedziała pani domu, otulona ogromnym szalem, mającym ją chronić przed nocnym chłodem, a obok, ze spuszczoną głową, stał Pascal.

– Nawet nie próbuj zaprzeczać, widzę, jak na nią patrzysz.

– Ależ matko...

– Nie ma żadnego ale. – Głos pani Castillon odbił się echem od murów skromnie wyposażonej kaplicy.

– Nie sądzisz chyba, że mogłabym się zgodzić na taką synową.

Biedny Pascal, pomyślała Wiktorcia, pewnie wyznał matce, że chce się żenić, a ona nie aprobuje jego wybranki.

– Matko, ale ja ją kocham...

– Co za bzdury! Pokochasz inną, bo tej nigdy nie zaakceptuję. Jeśli mimo to zechcesz się z nią ożenić, wydziedziczę cię, a dom zapiszę Kościołowi. Bo Ivonne i tak nie będzie w stanie go utrzymać.

Wiktorcia poczuła się jak podglądaczka i po cichu zaczęła się wycofywać. To nie jej sprawy, nie powinna była w ogóle podsłuchiwać.

– Założę się, że to ta mała intrygantka cię namówiła. – Głos pani Castillon du Manon ociekał jadem. – Takie są najgorsze. Przyjdą nie wiadomo skąd i chcą się dostać do naszej sfery.

– Matko, Wiktorcia nawet nie wie, że ją kocham. Jeszcze jej tego nie powiedziałem, nie mówiąc o oświadczeniach.

Kto?! Aż się zatoczyła z wrażenia i wpadła na zwirowaną alejkę, robiąc przy tym sporo hałasu.

– Co się dzieje? Kto tam jest? – Pascal wybiegł przed kaplicę, osłaniając dłonią zapaloną świecę.

Ukryta za załomem muru Wiktorcia wstrzymała oddech, ale bała się, że on i tak usłyszy szalone bicie jej serca. Zbliżał się już do jej kryjówki, kiedy nagle spod nóg wyskoczył mu z przeraźliwym miauknięciem kot. Zwierzak przemknął przez ogród i szeleszcząc wśród krzaków róż, wspiął się na mur, a potem ze zgrzytem zeskoczył po drugiej stronie.

– To tylko kot. – Uspokojony Pascal wrócił do kaplicy. – Musiał tu przyjść od sąsiadów, widziałem tam ostatnio kilka młodych.

– Wyobrażasz sobie, jaki wybuchłby skandal, kiedy oświadczyłabym naszym znajomym, że moja synowa jest zwykłą sprzedawczynią leków, a jej ojciec pochodzi... No właśnie, skąd właściwie pochodzi jego rodzina?

Wiktorcia nie czekała na dalszy ciąg rozmowy. Przebiegła cicho po mokrej od rosy trawie i wróciła do swojego pokoju, a potem przewracała się na łóżku do rana. Natłok myśli nie pozwalał jej zasnąć. Odkrycie, że Pascal się w niej zakochał, zaskoczyło ją zupełnie. Lubiła go, mimo wcześniejszych przestróg Ivonne dobrze się czuła w jego towarzystwie, ale... No właśnie, traktowała go jak przyjaciela, niemal brata. Na jakiej podstawie doszedł do wniosku, że mógłby liczyć na coś więcej z jej strony? Czym go zachęciła?

– Tu jest cudownie, ale chciałabym już wracać do domu – oświadczyła przy śniadaniu. – Już i tak za długo korzystam z gościnności waszej matki.

– Nie mów tak. – Pascal pobladł i spojrzał na nią z bólem. – Matka bardzo cię lubi i wcale jej nie przeszkadzasz.

Nie... Zupełnie nie przeszkadza jej obecność córki nie wiadomo kogo, sprzedawczynie ziółek, w której zakochał się jej syn, pomyślała gorzko Wiktorcia. I wręcz za nią przepada.

– Kochani – starała się omijać wzrokiem Pascala, chociaż kierowała te słowa do obojga – na mnie już

naprawdę czas. Odpoczęłam tu cudownie, nigdy wam tego nie zapomnę, ale obowiązki mnie wzywają. Brat czeka na mnie ze ślubem, w rodzinnym mieście mam pracę, którą zaniedbałam przez ten... ten nikomu niepotrzebny wyjazd do Paryża. Muszę wracać, załatwiłam już wszystko, co miałam tu do załatwienia.

Pani Castillon du Manon zaplanowała pożegnalną kolację dla swoich gości, zaprosiła też kilka zaprzyjaźnionych osób z sąsiedztwa. Podstarzały wdowiec, markiz X – Wiktoria nawet nie starała się zapamiętywać trudnych, wieloczłonowych nazwisk – pożerał łakomym wzrokiem Ivonne. Księżna Y, w cerowanej wielokrotnie sukni, przybyła wraz z mężem, odzianym w równie znoszone ubranie, cedziła słowa, jakby za każde płacono jej złotem. Para starszków, których tytułu nie zapamiętała, opowiadała o problemach ze służbą.

– Nie sposób nauczyć ich manier. – Cała postawa drobnej staruszki wyrażała najwyższy niesmak. – Żebyś ty wiedziała, moja droga księżno, jak ona podaje do stołu. Zupełnie sobie z tym nie radzi.

– Moja kucharka na szczęście nauczyła się dość szybko. – Pani Castillon du Manon uśmiechnęła się z wyższością. – Ale coś mi ostatnio wspominała, że chciałyby odejść. Zupełnie nie rozumiem tych ludzi. Żle tu u mnie mają? O, właśnie! – Tknięta nową myślą spojrzała na Wiktorię. – A może pani zmieniłaby swoją decyzję o powrocie do domu i została u mnie na kilka miesięcy? Płacę dobrze i równie dobrze traktuję służbę. Wiem też, że wy, Polacy, nie jesteście zbyt bogaci, więc mogłaby pani trochę zarobić.

– Matko, za pozwoleniem... – Pascal wyglądał, jakby za chwilę miał dostać ataku apopleksji. – Panna Wiktoria jest osobą wykształconą, właścicielką apteki, i z pewnością nie zainteresuje jej twoja wspaniałomyślna propozycja. – Dyskretnie wymienili z Ivonne zażenowane spojrzenia.

Wiktoria miała wrażenie, iż nagle jedzenie zaczęło rosnąć jej w ustach i nie mogła nic przełknąć.

– Czy to znaczy, że mademoiselle pracuje w... aptece? – Goście spojrzeli po sobie z niedowierzaniem i niesmakiem. – Jakież to jest...

– Jakież to imponujące, prawda? – Wiktoria przełknęła kęs, który utkwiał jej w gardle. – Kobieta pracująca, której głównym życiowym zajęciem nie jest tylko przyjmowanie gości i ćwiczenie służby, to musi trochę szokować, zdaję sobie z tego sprawę. Ale tak właśnie jest w mojej rodzinie. I czuję się dumna ze swojego zajęcia, dlatego, wybaczy pani – zwróciła się do skamieniałej z oburzenia gospodyni – ale nie skorzystam z jej propozycji. Niemniej jednak bardzo dziękuję. Kiedy wrócę do domu, przedstawię ją mojej służącej, może będzie zainteresowana.

Odsunęła krzesło i wstała od stołu.

– Proszę mi wybaczyć, ale chciałabym już przygotować się do wyjazdu. I raz jeszcze serdecznie dziękuję za gościnę – zwróciła się bezpośrednio do pani domu. – To był dla mnie naprawdę niezapomniany czas.

Wyszła z jadalni odprowadzana zdumionym spojrzeniem gospodyni i jej gości.

– Co za bezczelność! – dotarły jeszcze do niej słowa pani Castillon. – Okaż chamstwu trochę łaski, a ono tak cię potraktuje...

ROZDZIAŁ 14

Po powrocie do Paryża Wiktoria chciała natychmiast jechać do Wiednia, na ślub Adama, ale przyjaciółka przypomniała jej, że nie skończyły jeszcze portretu.

– To nie zajmie więcej niż tydzień. Wcześniej zrobiłam już przecież szkic. Nie wiem, czy jeszcze kiedykolwiek się zobaczymy, a chciałabym mieć twoją podobiznę na pamiątkę.

Wiktoria zgodziła się, choć niechętnie. Miała już dość Francji, ostatnie wydarzenia w Le Gravier uświadomiły jej dobitnie, że zupełnie tu nie pasuje, a jej miejscem na ziemi jest rodzinny Kraków. Zdała sobie jednak sprawę, że będzie jej brakować Ivonne, prawdziwej przyjaciółki. Polubiła również Pascala, chociaż jego plany w stosunku do niej kompletnie ją zaskoczyły. Przyznała się przyjaciółce do podsłuchanej przypadkiem rozmowy w kaplicy.

Ivonne ze zdumieniem pokręciła głową.

– Mój brat zakochany, tego jeszcze nie było. Owszem, zauważyłam zmianę w jego zachowaniu i obawiałam się reakcji matki, jak się okazuje, słusznie. Sądziłam jednak, że matka nie wie o jego uczuciach. Tymczasem wiedziała i rozmyślnie go zraniła. Nad tobą pewnie nawet się nie zastanawiała. Jak sama zauważyłaś, trudno jej zrozumieć, że ludzie niżej urodzeni mają uczucia. To było upokarzające, raz jeszcze cię przepraszam.

– Nie mówmy już o tym. – Wiktoria uśmiechnęła się do przyjaciółki. – Pomijając ostatnie wydarzenia, to był naprawdę cudowny czas i nigdy go nie zapomnę.

Od powrotu do Paryża Pascal rzadko pokazywał się u siostry. Przeżywał zachowanie matki i to, że Wiktoria postanowiła wyjechać do Polski. Jedyne kobiecie, na której mu zależało, miała właśnie zniknąć na zawsze z jego życia, a on nie mógł znaleźć sposobu, aby ją zatrzymać.

Zwierzył się siostrze, jedynej bliskiej mu osobie. Opowiedział również o swojej rozmowie z matką. Ivonne udała, że słyszy tę historię po raz pierwszy.

– Co mam teraz robić, Iv, co robić? Jak ją zatrzymać?

– Hm... znam tylko jeden sposób, ale nie wiem, czy będziesz miał w sobie tyle odwagi i determinacji, żeby z niego skorzystać.

– Zrobię wszystko! Wszystko, byle tylko była moja.

– To ożeń się z nią. – Ivonne spojrzała na niego spod zmrużonych powiek.

Pascal drgnął zaskoczony.

– Jak to, ożeń się? Tak po prostu? Zapomniałaś już, co matka o tym sądzi?

– Na kim bardziej ci zależy, na matce czy na Wiktorii?

– Noo... – zmieształ się. – To trudny wybór, sama wiesz, w końcu matka to matka.

– Tak, a majątek, który może ci przejść koło nosa, to majątek.

– Jesteś niesprawiedliwa – oburzył się – nie chodzi mi o majątek.

– Pascal, może sam siebie potrafisz oszukać, ale ze mną ci się to nie uda. Nie masz stałego zajęcia ani

żadnych oszczędności, a to, co zarobisz, wydajesz jeszcze tego samego dnia, bo wiesz, że matka zawsze cię poratuje. Twoja przyszłość zależy od niej, więc miałabym uwierzyć, że poświęciłbyś to wszystko, żeby być z kobietą, w której się zakochałeś, ale matka jej nie akceptuje? A co, jeśli po kilku miesiącach twoje uczucie minie? Nigdy nie zaryzykujesz, znam cię.

Pascal bez słowa spuścił głowę. Siostra miała rację, nie ośmieliłby się sprzeciwić matce. Nie w sytuacji, kiedy karą byłoby wydziedziczenie. Nagle poczuł się bardzo nieszczęśliwy.

– Ale ja ją kocham – jęknął, kryjąc twarz w dłoniach.

– Skoro ją kochasz, odejdz i nie pokazuj się tu więcej. Boję się, że mógłbyś jeszcze na koniec zrobić jej jakąś krzywdę. Dość już wycierpiała, oszczędź ją.

– Krzywdę?! – wykrzyknął z oburzeniem. – Jak możesz? Nie rób ze mnie potwora.

Portret był już niemal gotowy. Zamiast planowanego tygodnia praca trwała prawie trzy, ale efekt końcowy wart był tego. Piękna dziewczyna z rozpuszczonymi włosami, ubrana w niebieską suknię, spoglądała z obrazu z melancholią i smutkiem.

– Taką cię zapamiętam. – Ivonne przytuliła przyjaciółkę. – Mam tylko nadzieję, że ten smutek zniknie kiedyś z twoich oczu. Życzę ci z całego serca, żeby tak się stało. Obiecuj, że będziesz do mnie pisała.

– Obiecuję, moja kochana. Będiesz moją drogą przyjaciółką już na zawsze. Nigdy cię nie zapomnę.

Padły sobie w ramiona, płacząc głośno.

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi. Do pracowni zajrzał nieśmiało sąsiad Ivonne.

– Przepraszam, jeśli przeszkadzam – popatrzył z zakłopotaniem na dwie zapłakane kobiety – ale podczas waszej nieobecności był tu kilka razy jakiś mężczyzna i wypytywał o mademoiselle Wiktorię. Pomyślałem, że powinna o tym wiedzieć. Wygląd miał przyzwoity, ale czy to kto dzisiaj może być czego pewien.

– Mówił coś? – Wiktorcia nerwowym ruchem otarła łzy. – Kazał coś przekazać?

– Nie, tylko pytał bez przerwy, kiedy mademoiselle wraca.

Żadna z nich nie miała wątpliwości, kim był ów tajemniczy mężczyzna. Czego tu jeszcze szukał, co się wydarzyło?

Na odpowiedź na to pytanie nie trzeba było zbyt długo czekać. Następnego dnia podczas nieobecności Ivonne Filip pojawił się w pracowni przy Rue Ferdinand Duval.

– Myślałem, że oszaleję, kiedy tak nagle wyjechałaś bez słowa. – Rzucił się do jej rąk i obsypał je pocałunkami.

– Ale co się stało? Myślałam, że wszystko już sobie wyjaśniliśmy. – Wiktorcia miała wrażenie, że serce zaraz wyskoczy jej z piersi. Radość na widok ukochanego była tak ogromna, że niemal pozbawiła ją tchu. Wtuliła się w niego całym ciałem. – Coś się zmieniło?

Filip wyswobodził się delikatnie z jej objęć i opadł na stojące obok krzesło.

– Miałem nadzieję, że coś się zmieniło – zaczął mówić. – Ale muszę chyba uwierzyć w tę twoją klątwę... – Głos mu się załamał.

Wiktorcia nie przerywała, czekała, aż Filip uspokoi się na tyle, żeby kontynuować.

– Kiedy stąd wybiegłem ostatnim razem – odetchnął głęboko – byłem wściekły, że zaprzepaściłaś naszą szansę na szczęście. Obwinałem cię o wszystko, potem jednak zdałem sobie sprawę, że nawet nie zapytałem, dlaczego tak długo czekałaś. Może miałaś jakieś ważne powody? Powiedz, miałaś?

– I tak, i nie.

Wiktorcia przysunęła sobie drugie krzesło i patrząc w podłogę, zaczęła opowiadać o chorobie ojca, o tym, jak nie mogła go zostawić bez opieki i szukała odpowiedniej osoby, na której mogłaby polegać. Potem o jego śmierci, w końcu o obawach, jak Filip zareaguje na jej wyjaśnienia i że list mógłby

przecież zaginać. I wreszcie że tak radosną wiadomość chciała mu przekazać osobiście, aby móc zobaczyć jego reakcję. Wtedy miałyby pewność, czy sprawiła mu tym wyznaniem radość, czy też kłopot.

Nie przewidziała tylko, że przyjedzie do Paryża za późno.

– Mój Boże, czemu od razu o to nie spytałem?

– Tylko dlatego mnie szukałeś? – Wiktoria poczuła zawód.

Co to mogło zmienić? Jeszcze trudniej będzie jej zapomnieć, gdy znów go widzi, czuje jego ciepło i zapach.

– Kiedy po kilku dniach przeszła mi pierwsza złość, przybiegłem tu zaraz, żeby ci powiedzieć, że rozstanę się z żoną. Kocham tylko ciebie, Isiu. To małżeństwo było pomysłem profesora Leblanca. Zależało mu, żebym wszedł do rodziny jako zięć, a później jako lekarz do jego kliniki. Nawet namówił mnie na zmianę nazwiska. Jako Polak miałem mniejsze szanse w zawodzie. Francuzi nie dowierzają obcokrajowcom. A co do Michelle, lubimy się, to prawda, ale to nie jest miłość.

– Że... że co zrobisz?! – Do Wiktorii dotarła tylko ta jedna informacja z całej przemowy Filipa. – Rozstaniesz się z żoną? Naprawdę chciałbyś to zrobić?

Wpatrywała się w niego z niedowierzaniem. Bała się uwierzyć we własne szczęście.

– Miałem taki zamiar – spuścił głowę – przychodziłem tu co kilka dni z nadzieją, że już wróciłaś i będę mógł ci o tym powiedzieć. Niestety, czas znowu okazał się naszym wrogiem.

Przerwał na chwilę, a Wiktoria poczuła nagle dziwny chłód, jakby pracownia zaczęła zamarzać. Już wiedziała, że to, co za chwilę usłyszy, złamie jej serce.

– Nie mogę teraz się z nią rozstać. – Spojrzał z rozpaczą na dziewczynę. – Wczoraj usłyszałem, że moja żona spodziewa się dziecka. To musiało się stać podczas naszej podróży poślubnej do Włoch. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że będziesz mnie szukała – dodał cicho, jakby się usprawiedliwiając.

Siedzieli oboje bez słowa w gęstniejącym mroku. W końcu Wiktoria wstała i zapaliła lampę. Łagodne światło wydobyło z ciemności wymizierowaną twarz Filipa. Schudł bardzo od czasu, kiedy widzieli się po raz ostatni, w oczach miał ból i poczucie winy.

– Chyba wolałabym tego nie wiedzieć. – Westchnęła ciężko. – W każdej innej sytuacji walczyłabym o ciebie, nawet mogłabym odebrać szczęście innej kobiecie, ale dziecko wytrąca mi broń z ręki. Nie wolno pozbawiać go ojca. Trudno, pewnie nigdy nie było nam pisane być ze sobą. Życzę ci szczęścia. A teraz odejdz, proszę. Odejdz, zanim zacznę błagać, żebyś zmienił zdanie.

– Co teraz zrobisz, Isiu? – odwrócił się jeszcze przy drzwiach. – Wrócisz do Krakowa?

– Tak. Nie powinnam się była z niego nigdy ruszać.

Dopiero po wyjściu Filipa Wiktoria mogła dać upust rozpacz. Rzuciła się na łóżko, szlochając głośno. Znowu zabrakło czasu, znów się minęli. Nie zastanawiała się nad tym, że gdyby dowiedzieli się później o dziecku, ból rozstania byłby jeszcze większy. Filip musiałby wrócić do ciężarnej żony, a ona, Wiktoria, nie mogłaby go zatrzymać. Ale liczyło się tu i teraz. Miała ochotę umrzeć.

– Co się stało? – dobiegł do niej zaniepokojony głos.

Nie słyszała wejścia Pascala, który właśnie pochylał się nad nią z zatroskanym wyrazem twarzy. Wstąpił tu, żeby zobaczyć się z nią po raz ostatni i pożegnać przed jej wyjazdem na zawsze z Paryża. Nie mógł sobie tego odmówić, chociaż obiecał Ivonne, że więcej nie spotka się z dziewczyną. Na podwórzu minął wybiegającego z pracowni Filipa.

– Co on ci zrobił? Powiedz natychmiast, a odszukam łotra i zabiję!

Wiktoria usiadła na łóżku i przytuliła się do Pascala.

– Miał odejść od żony, ale ona spodziewa się dziecka. I nie odejdzie! – szlochała rozpaczliwie, kryjąc twarz w dłoniach. – Chcę umrzeć, nie mam już sił!

– Nie opowiadaj głupstw, nikt nie jest wart, żeby z jego powodu umierać. Widać nie dość cię kochał, skoro tak się stało – nie mógł sobie odmówić tej uwagi. – Pomyśl o tych, którzy naprawdę cię kochają.

– Dlatego właśnie wracam do domu.

– Nie miałem na myśli twojej rodziny... Zostań dla mnie!

Pragnął jej jak szalony. Zwłaszcza teraz, kiedy z twarzą zalaną łzami tuliła się do niego. Czuł jej ciepło i oszałamiający zapach. Delikatnie nachylił się nad dziewczyną i zaczął ją całować. Wiktoria zeszywniała, przez moment miał nawet wrażenie, że zaczyna się wyrywać, ale nie. Siedziała nadal bez ruchu, obojętna na wszystko, co wokół niej się działo.

– Kocham cię – wyszeptał między jednym pocałunkiem a drugim.

– Ale ja... ja kocham Filipa. Co robisz? Zostaw mnie. – Na nowo rozpląkała się żałośnie jak dziecko.

Pascal przytrzymał odpychające go ręce i delikatnie usiłował ją zmusić, żeby spojrzała mu w oczy.

– On nie jest ciebie wart, zapomnij o tamtej miłości. Pomyśl, ile jeszcze przed tobą, jesteś młoda, piękna, utalentowana. Każdy mężczyzna będzie marzył, żebyś to jego właśnie wybrała. Jednego z nich masz przed sobą... Spójrz na mnie, Wiki. – Dwoma palcami uniósł jej brodę.

Wiktoria zrezygnowanym gestem odsunęła jego rękę od twarzy.

– Nie mogę. Zostaw mnie, proszę.

– Zaczekaj. – Wyjął z kieszeni płaską buteleczkę ze złocistym płynem. – Mam tu przypadkiem trochę koniaku, wypij, to pozwoli ci się uspokoić.

Obojętna na wszystko Wiktoria przyłożyła szyjkę butelki do ust i pociągnęła spory łyk. Na chwilę zabrakło jej tchu, oczy niemal wyszły na wierzch, ale kiedy po szarpiącym wnętrzości kaszlu odzyskała zdolność oddychania, poczuła, jak przyjemne ciepło rozlewa się po całym jej ciele. Ostrożniej, ale już bez oporów wypita kolejny łyk. Było jej wszystko jedno.

– A tttty... – język zaczął jej się plątać – ...mnie nie pijesz?

– Piję, piję – Pascal z rosnącym podnieceniem przyglądał się zaróżowionej twarzy dziewczyny, jej wilgotnym ustom i szklistym oczom. – Ale damy mają pierwszeństwo.

Była taka piękna i pociągająca, kiedy niezdarnymi ruchami usiłowała odgarnąć włosy z twarzy. Jeden z kosmyków przykleił jej się do ust i z nim miała największe trudności. Pascal delikatnie chwycił niesforne pasmo w dwa palce i odsunął na bok.

– Przytul mnie – szepnęła Wiktoria, z trudem skupiając wzrok na jego twarzy. – I kochaj. Z całej siły mnie kochaj.

Pascal nie dał się dwa razy prosić.

Kiedy późnym wieczorem Ivonne wróciła z zajęć w akademii, zastała Wiktorię śpiącą kamiennym snem w skotłowanej pościeli. W powietrzu unosił się dziwny, obcy, a jednocześnie jakby skądś znany zapach. Przykryła przyjaciółkę kocem i z zamyśloną miną usiadła przy stole. Jej wzrok padł na coś, co leżało na podłodze nieopodal łóżka. Wstała i dwoma palcami podniosła męski jedwabny szal, prezent подарowany przez nią Pascalowi na ostatnie urodziny.

– Mój Boże – zamarła ze znaleziskiem w ręce. – Coś ty zrobiła, Wiki? Co zrobiłaś?!

Następny poranek był najgorszym dniem, jaki Wiktoria mogła w ogóle sobie przypomnieć z całego swojego życia. Powoli zaczęły do niej docierać wczorajsze wydarzenia i omal nie spaliła się ze wstydu pod uważnym wzrokiem Ivonne.

– Czy wy... – Przyjaciółce z trudem przychodziło sformułowanie tego pytania. – Czy...?

– Chyba tak. – Wiktoria spojrzała na skłębioną pościel. – Mój Boże, na pewno tak – dodała już ciszej, czując echa pulsującego bólu w dole brzucha.

– Dlaczego?

Powoli, z trudem dobierając słowa, opowiedziała Ivonne o wizycie Filipa, jego planach porzucenia żony i o jej ciąży, która te plany udaremniła.

– Dowiedział się o tym dopiero przedwczoraj, więc gdybym nie wyjechała do Le Gravier, bylibyśmy już w Krakowie.

– Nie myśl tak. – Ivonne stanowczo pokręciła głową. – To właśnie dzięki twojemu wyjazdowi sytuacja sama się wyklarowała. Gdybyś została w Paryżu, wiadomość o dziecku dopadłaby cię w chwili, gdy bylibyście już razem. Jestem pewna, że w tej sytuacji i tak wróciliby do żony. Wyobrażasz sobie, co byś wtedy czuła? Zawsze łatwiej pogodzić się ze stratą czegoś, co jeszcze się nie wydarzyło.

– Kiedy Filip stąd wybiegł... – Wiktoria zdawała się jej nie słuchać – ...kiedy wybiegł, poczułam się zraniona i porzucona. I wtedy przyszedł Pascal. Tak rozpaczliwie potrzebowałam w tamtej chwili czułości, że chyba straciłam nad sobą kontrolę.

Wstydziała się spojrzeć przyjaciółce w oczy.

– Wziął cię siłą? – Ivonne zacisnęła pięści, aż pobieleły jej kostki dłoni.

– Nie. To moja wina – wyszeptała niewyraźnie Wiktoria. – Nie jestem przyzwyczajona do koniaku, straciłam rozeznanie i chyba wcale się nie opierałam. A nawet wręcz przeciwnie...

– Skąd wzięliście koniak? Ja nie piję takich trunków.

– Pascal miał ze sobą. W kieszeni. Powiedział, że alkohol pomoże mi się uspokoić.

– Przygotował się... – Ivonne jeszcze mocniej zacisnęła pięści. – Zabiję drania!

Następnego dnia długo jeszcze stała na peronie Dworca Północnego z podniesioną do pożegnania rękę. Kiedy ostatni wagon pociągu do Wiednia wreszcie zniknął, z ciężkim sercem ruszyła do wyjścia.

Kilka godzin później odbyła poważną rozmowę z bratem, który wpadł do pracowni z bukietem kwiatów, mając minę zadowolonego z siebie samca.

– Jak to, wyjechała? – Patrzył na siostrę, jakby nie rozumiał, co do niego mówiła. – Przecież było nam dobrze.

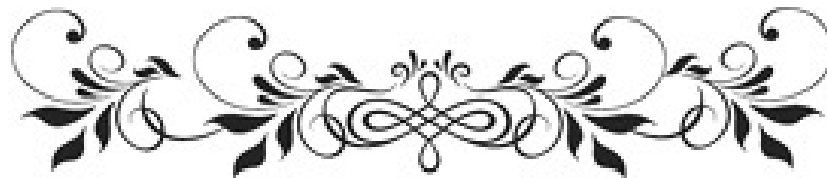
– Tobie było dobrze. Upiłeś ją i wykorzystałeś, myśląc tylko o sobie. Jak zwykle. Myślałam, że się zmieniłeś, ale wciąż jesteś tym samym łotrem. Zejdź mi z oczu.

– Nie przesadzaj, sama tego chciała. Była całkiem chętna, nie powiem.

– Jesteś obrzydliwy. A co, jeśli z tego będzie dziecko?

– A co ma być? Skąd mogę mieć pewność, że to moje? Nie wyglądała na niedoświadczoną w tych sprawach. Poza tym chwilę wcześniej odwiedził ją ten lekarzyna, kto wie, co się tam między nimi wydarzyło. O, nie, nie dam się wrobić w cudze dziecko.

Część druga



ROZDZIAŁ 1

KRAKÓW, WRZESIEŃ 1912

Przytłumione odgłosy ulicy wpadały przez uchylone okno do sypialni. Stukot końskich kopyt łączył się z nawoływaniem sprzedawcy gazet i wędrownego ślusarza oferującego ostrzenie noży i nożyczek. Wiktoria z niechęcią otworzyła oczy; zmęczenie podróżą dało jej się mocno we znaki, a wydarzenia ostatnich miesięcy pozostawiły ślad w postaci rozgoryczenia i smutku. Nie udało jej się doprowadzić do szczęśliwego końca niczego, co sobie zaplanowała. Nawet Stefanek, który zadomowił się na dobre w Wiedniu, nie chciał wracać do Krakowa. Nie zmuszała go, widząc, że jest tam naprawdę szczęśliwy. Zostawiła więc brata z bolesną świadomością, że w jej życiu dokonują się nieodwracalne zmiany i nic już nie będzie takie jak kiedyś.

Teraz miała ochotę zakopać się w pachnącej lawendowej pościeli i nie wychodzić z łóżka aż do zmroku, niestety, obiecała opowiedzieć swoim bliskim o pobycie w Paryżu i Wiedniu podczas obiadu, który, sądząc po zapachach dochodzących z kuchni, już się gotował.

Kiedy poprzedniego dnia przyjechała pod dom dorożką z dworca kolejowego, nawet nie miała sił, żeby odpowiedzieć na pytania, którymi zasypały ją Kasperkowa, Zosia, a nawet Joasia. Ta ostatnia przede wszystkim chciała poznać nowinki ze świata mody paryskiej. Wiktoria zdążyła tylko powiedzieć, że owszem, odnalazła Filipa, ale już żonatego, reszty miały się dowiedzieć następnego dnia. Usnęła niemal natychmiast, gdy tylko znalazła się w łóżku. Nawet gdyby zagrzmiały armaty, nie byłyby w stanie jej zbudzić. Czowała się zmęczona jak jeszcze nigdy dotąd.

Ciche pukanie do drzwi sprawiło, że musiała porzucić marzenie o dalszym śnie. Do pokoju wsunęła nieśmiało głowę ciocia Kasperkowa.

– Isiu, skarbie mój. – Po przyjeździe Wiktorii pani Zuzanna miała wrażenie, że wróciła jej ukochana córka. – Nie śpisz już? Może byś coś zjadła, boś taka bledziuchna.

– Tak, ciociu, zaraz wstaję – Wiktoria zdobyła się na uśmiech, chociaż nie zamierzała jeść ani wstawać. – Jeszcze chwilką, muszę tylko dojść do siebie.

Umyła się, ubrała i odświeżona zeszła do kuchni, gdzie czekała na nią świeżo usmażona jajecznica na boczku i pajda jeszcze ciepłego chleba. Już dawno nie jadła takich rarytasów. Z lubością pociągnęła nosem i nagle poczuła mdłości. Usiadła przy stole, starając się opanować zawroty głowy i uspokoić podchodzący do gardła żołądek.

– Chyba jeszcze nie doszłam do siebie – powiedziała z zawstydzonym uśmiechem. – Żeby te wspaniałości miały na mnie tak podziwiać? Przecież... – Zamilkła nagle pod uważnym spojrzeniem Kasperkowej. – O, mój Boże!...

Podniosła dłoń do ust. Pani Zuzanna podeszła bliżej i dotykając delikatnie ramienia dziewczyny, spytała drżącym głosem:

– Czy to możliwe, żeby... – nie dokończyła, bo reszta pytania nie mogła jej przejść przez gardło.

– Możliwe, ciociu, niestety. – Wiktoria poszarżała na twarzy i skuliła się jak od uderzenia. – Całkiem możliwe.

– Filip?

Dziewczyna w milczeniu pokręciła przecząco głową.

Podczas obiadu, na który zaproszona została też Zosia, jej przyjaciółka i współpracownica, panował radosny nastrój. Wszyscy cieszyli się z powrotu Wiktorii, ona sama starała się nadrabiać miną, chociaż powodów do radości miała znacznie mniej.

Zwłaszcza ostatnie odkrycie sprawiło, że jeszcze bardziej upadła na duchu. Była dorosła, powinna zdawać sobie sprawę z konsekwencji swojego czynu, jednak wtedy, w Paryżu, zupełnie o tym nie myślała. Teraz przyjdzie jej stawić czoło wszystkim plotkarom Krakowa. Obawiała się, że może stracić swoich stałych klientów, ale nad tym będzie się zastanawiać później. Teraz opowiadała o wydarzeniach w Paryżu i Wiedniu, starając się nie zauważać zatroskanych spojrzeń, rzucanych jej ukradkiem przez Kasperkową.

– Ożenił się? – Zosia nie kryła rozczarowania. – I to akurat tuż przed twoim przyjazdem? Co za pech.

Wiktoria opowiedziała też, jak Filip, usłyszawszy, że nie są jednak rodzeństwem, chciał do niej wrócić, lecz jego plany pokrzyżowała ciąża żony. Zosia miała łzy w oczach.

– Moje ty biedactwo – wyciągnęła przez stół rękę do przyjaciółki. – Szkoda, że nie pojechałaś do niego wcześniej.

– Filip też miał mi to za złe. Niestety, czasu nie da się już cofnąć. Widocznie tak już miało być.

Opowiedziała o Ivonne i jej bracie, Pascalu. Przy jego imieniu Kasperkowa spojrzała badawczo na Wiktoria, a ta nieznacznie skinęła lekko głową.

Opowiedziała też o skromnym ślubie Adama i Kasi w małym kościółku w Wiedniu. Sakramentu udzielał im stary ksiądz z Polski, a wzruszona Wiktoria podczas tej ceremonii czuła się bardziej matką niż siostrą. Adam był najprzystojniejszym panem młodym, Kasia najcieplejszą i najbardziej kobiecą panną młodą. Delikatnie zaokrąglony brzusek widoczny był tylko dla wtajemniczonych. Młodzi przeprowadzili się po ślubie do większego mieszkania, Adam miał już na tyle wyższą pensję, że mógł sobie na to pozwolić. Dużą pomocą stał się dla nich Stefanek. On również zarabiał nieźle, był ceniony przez swojego majstra, który za nic nie chciał stracić tak zdolnego pracownika. Kasia też pokochała go jak brata i namawiała, by na stałe pozostał w Wiedniu. Żadne z nich nie wyobrażało sobie rozstania. Stefanek zamieszkał z młodymi i dostał osobny pokój.

– Stefanek pracuje tam normalnie? – dziwiła się Joasia, która pamiętała go jako dobrego, lecz umyślowo ociężałego chłopca. – Są z niego zadowoleni?

– Tak. Jest bardzo zdolnym stolarzem i tam go doceniają. U nas – Wiktoria posmutniała – prawdopodobnie nie miałyby tak łatwo. Wszyscy pamiętają go tu jako chorego i niezbyt roztropnego syna aptekarza. Ludzie pewnie baliby się mu powierzyć jakieś poważniejsze roboty. Znow siedziałby w domu i jedyne, co mógłby robić, to strugać coś sobie dla zabicia czasu albo pomagać w kuchni. A tam, z Adamem i Kasią, jest szczęśliwy, dlatego nie namawiałam go zbytnio na powrót, choć serce mi krwawiło.

Spędziła w Wiedniu prawie miesiąc, wciąż nie mogąc się rozstać z braćmi. Oni również starali się przedłużyć jej wizytę, jak tylko to było możliwe, ale Wiktoria zdawała sobie sprawę, że jej dłuższy pobyt za bardzo obciążyłby ich finansowo. Niestety, w rodzinie Adama się nie przelewało, co było widoczne na każdym kroku. Żyli spokojnie, szczęśliwie, lecz skromnie.

Wprawdzie za niemal wszystkie zarobione w Paryżu pieniądze Wiktoria nakupiła prezentów dla młodych, niestety, do samego życia nie bardzo już miała z czego się dokładać. Ale za to przywiozła

wszystko, co mogło się przydać do domu i co mogła udźwignąć i zabrać ze sobą w podróż. Przede wszystkim kupiła złote obrączki ślubne, bo wiedziała, że Adama nie będzie na nie stać. Dla Kasi wyszukała też piękny złoty pierścionek z szafirem okolonym małymi brylancikami. Oczko miał niewielkie i raczej skromne, jednak dla przyszłej bratowej był to najpiękniejszy klejnot na świecie. Nie odważyła się nawet włożyć go na palec, tylko schowała od razu do szkatułki jako przyszły posąg dla córki.

– A jeśli to będzie syn? – śmiała się Wiktoria.

– To zostanie dla narzeczonej, jak w najlepszych rodzinach – odpowiedziała Kasia, dumnie podnosząc głowę. – Niech sobie nie myślą, że mój syn to byle kto i ma byle jakich rodziców.

Wiktoria przywiozła do Krakowa zdjęcia Kasi i Adama, zrobione w jednym z wiedeńskich zakładów fotograficznych. Uwiecznieni zostali wszyscy czworo: Adam, jego żona, Stefanek i Wiktoria. Wszyscy w odświętnych strojach, nieco sztywni i przestraszeni, zwłaszcza mężczyźni, ale piękni.

– Mój Boże – westchnęła Kasperkowa, kiedy krążące wokół stołu zdjęcie w końcu dotarło do niej. Pobiegnęła wcześniej do swojego pokoju po lupkę, żeby lepiej widzieć. – Jaki ten Stefanek podobny do swojego brata! Są jak dwie krople wody!

Pani Zuzanna nie знаła Adama, który wyjechał do Wiednia jako młody chłopak, gimnazjalista jeszcze. Wiedziała, że chłopcy są bliźniakami, nie przypuszczała jednak, że niemal identycznymi.

– Też mnie to zaskoczyło – przyznała Wiktoria. – W dzieciństwie widać było różnice między nimi, lecz teraz, kiedy dorośli, już tak się tego nie zauważa. Gdyby nie odmienny sposób mówienia i zachowania, nikt by nie wiedział, który z nich jest który.

Po obiedzie, trwającym wyjątkowo długo, bo domownicy musieli wysłuchać długiej opowieści o egzotycznej dla nich Francji, Zosia zabrała przyjaciółkę do apteki. Wiktoria ze wzruszeniem spoglądała na znajome kąty i wdychała najpiękniejszy dla niej zapach na świecie.

– Mój Boże, ależ mi tego wszystkiego brakowało – powtarzała, gładząc ze wzruszeniem ładę i stojące na niej słoje z cukierkami dla dzieci.

Zwyczaj obdarowywania małych klientów słodyczami przetrwał od czasów ojca Wiktorii. Dziewczyna miała wrażenie, że jego duch nadal unosi się między pociemniałymi ze starości aptecznymi sprzętami. Teraz zastanawiała się, czy takimi właśnie cukierkami zdobywał też zaufanie małych dziewczynek.

Przypomniła sobie własne dzieciństwo, kiedy ukryta za półkami bawiła się we własną aptekę, naśladować we wszystkim ojca, który był dla niej wtedy niedoścignionym wzorem. Wysoki, władczy, pewny siebie, wzbudzał w dziewczynce podziw.

Jakie to smutne, pomyślała, że nie mogą zachować o nim tylko takich wspomnień.

– Opowiedz mi więcej o Filipie – przerwała jej rozmyślenia Zosia. – Wszystko, co się wydarzyło. Nie mogę uwierzyć, że cała twoja wyprawa poszła na marne. Tak mi przykro.

– Nie poszła całkiem na marne. – Wiktoria zmęczonym ruchem przetarła czoło. – Zyskałam wspaniałą przyjaciółkę, poznałam Paryż i życie francuskiej arystokracji, nauczyłam się malować. Przywiozłam też stamtąd coś albo raczej... kogoś szczególnego... – Zawiesiła głos. – Nie jestem jeszcze całkiem pewna, ale serce mi mówi, że raczej tak.

– Zakochałaś się? – Zosia aż podskoczyła z wrażenia. – No, to rozumiem. Nie możesz całe życie opłakiwać Filipa. Brawo! Gdzie on jest, gdzie go ukrywasz?

Wiktoria ze smutnym uśmiechem położyła dłonie na brzuchu.

– Tutaj.

Zosia z wyrazem kompletnego oszołomienia na twarzy opadła na stojący przed ladą stołek. Z wrażenia zapomniała nawet zamknąć usta.

– Jezusczku... – wyszeptała w końcu. – I co teraz? Przecież Filip nie zostawi żony, żeby wychowywać wasze dziecko. Jak sobie poradzisz sama?

– To nie jest dziecko Filipa.

Do apteki weszła jakaś klientka, ale Zosia wysłała do niej pomocnika. Nie była w stanie zająć się teraz pracą. Na szczęście kobieta nie potrzebowała niczego, co wymagałoby fachowej pomocy.

Wiktorija opowiedziała przyjaciółce o Pascalu i ich ostatnim, brzemiennym w skutki spotkaniu.

– Nie jestem pewna, czy nadal wierzę w klątwę i przepowiednie, ale nie mogę zapomnieć ostrzeżenia Cyganki. Miałam być ostrożna. Nie byłam.

– Przecież znasz sposoby... – zaczęła Zosia, ale Wiktorija przerwała jej stanowczo.

– Nie, nie skorzystam z nich. Jeśli moje przypuszczenia się potwierdzą, zamierzam urodzić to dziecko. Nie chcę być taka jak mój ojciec. Przyjmę je z całą miłością – powiedziała głośno i z naciskiem, jakby chciała przekonać samą siebie.

– Ale ludzie... Co powiedzą sąsiedzi i znajomi? Wiesz, jak jest postrzegana kobieta z nieślubnym dzieckiem. Nie boisz się ludzkiego gadania?

Wiktorija westchnęła ciężko. Zdawała sobie doskonale sprawę, jaka może być reakcja znajomych na jej stan, ale była gotowa się z nią zmierzyć. Podniosła hardo brodę.

– Trudno, niech sobie gadają. To moje życie i mam prawo zrobić, co tylko zechcę. Nikomu nic do tego.

– Ale czegoś tu nie rozumiem. – Zosia nie dawała za wygraną. – Wspominałaś, że ten Francuz ci się oświadczył. Jest bogaty, mógłby zapewnić przyszłość i tobie, i dziecku. Dlaczego więc...?

– Przede wszystkim nie oświadczył mi się, tylko spytał, czy zostanę jego żoną – sprostowała spokojnie Wiktorija. – Ale zrobił to w chwili uniesienia i nie jestem pewna, czy gdy tylko ochłonął, nie pożałował swojego odruchu. Po drugie, jego matka nigdy nie zgodziłaby się na to małżeństwo, zagroziła już nawet, że go wydziedziczy.

Opowiedziała Zosi przypadkiem podsłuchaną rozmowę Pascala z madame Castillon.

– Znienawidziłby wkrótce i mnie, i dziecko, gdyby miał to wszystko stracić. Dlatego też nie zamierzam z nim się wiązać. Dam sobie radę sama. Poza tym – dodała po chwili – nigdy w życiu nie zgodziłabym się z taką teściową, nawet gdyby mnie, co mało prawdopodobne, w końcu zaakceptowała.

Nie przyznała się jedynie, że tak naprawdę niewiele pamiętała z tamtego wieczoru z Pascalem. Ta sprawa miała na zawsze pozostać jej wstydliwą tajemnicą, którą znała tylko Ivonne. Wiktorija nie miała nawet cienia wątpliwości co do tego, jak teraz Pascal postrzegaliby ich związek. Dla takiej dziewczyny jak ona z pewnością nie ryzykowałby utraty majątku. Jeśli nawet wcześniej miał w stosunku do niej jakieś plany, zostały one pogrzebane raz na zawsze tamtego popołudnia w pracowni przy Ferdinand Duval.

Na samo wspomnienie owych chwil Wiktorija czuła wstyd i obrzydzenie do samej siebie.

– Kiedy... kiedy to się stało? – spytała drżącym głosem Zosia.

– Pod koniec lipca.

– A więc jeśli jesteś w ciąży, dziecko powinno przyjść na świat w kwietniu – obliczyła szybko na palcach.

– Na to wygląda – westchnęła Wiktorija. – Chyba że to fałszywy alarm. Co daj, Panie Boże. Amen...

Przez następne tygodnie Wiktorija wdrażała się na nowo do pracy w aptecę. Stali klienci, a zwłaszcza klientki, z radością powitali jej powrót. Kobiety zauważyły, że dziewczyna wygląda zdrowiej i lepiej niż przed wyjazdem, ale była jakby smutniejsza. Z jej twarzy nie zniknął wyraz zamyślenia i melancholii, a nawet jeśli się uśmiechała, to tylko dlatego, że tak wypadało. Od pewnego czasu miała już pewność, że nosi w sobie nowe życie, wciąż jednak nie mogła wykrzesać z siebie cieplejszych uczuć dla tego dziecka. Wiedziała, że zawsze będzie mogła liczyć na pomoc cioci Kasperkowej, bała się tylko, że z góry skazuje swoje maleństwo na życie z piętnem nieślubnego pochodzenia. Będzie bękartem – i to z jej winy. Bo

w to, że jakiś mężczyzna zechce ją z cudzym dzieckiem, raczej nie wierzyła.

Był czas, że żałowała, iż nie posłuchała Zosi i w porę nie przerwała tego życia.

Kilka razy próbowała zakończyć tę sprawę raz na zawsze. Wiedziała, jak to zrobić, była już niemal zdecydowana. Wtedy jednak stawał jej przed oczami ojciec, co wystarczało, żeby sama przez chwilę poczuła się potworem.

Boże mój, czy kiedyś zdołam pokochać to dziecko? Daj mi do tego siłę, modliła się żarliwie podczas długich bezsennych nocy. Czy potrafię dać miłość temu biedactwu poczętemu bez miłości, w upokorzeniu i wstydzie? Wszak teraz czuję do niego jedynie niechęć i żal.

Miała też wyrzuty sumienia, że jeszcze nie wyjawiała swojej tajemnicy Ivonne. Przyjaciółka napisała do niej długi list, w którym skarżyła się na uczucie pustki i osamotnienia po wyjeździe Wiktorii. Wspomniała też o wizycie brata jeszcze tego samego wieczoru. I o rozczarowaniu Pascala. Nie wspomniała tylko o jego reakcji na wzmiankę o ewentualnej ciąży Wiktorii. Miała nadzieję, że jednak do tego nie doszło i cała sprawa pójdzie z czasem w zapomnienie.

Wiktorii natomiast postanowiła zawiadomić Ivonne o dziecku dopiero wtedy, gdy już się urodzi. Wprawdzie nie sądziła, żeby Pascal chciał walczyć o swojego potomka, uznała jednak, że miał prawo o nim wiedzieć. Pisała więc teraz tylko o tym, co działo się podczas jej nieobecności w Krakowie i w aptece, o ślubie Adama, o swoich planach wytwarzania na większą skalę kosmetyków dla kobiet. Nie wspominała ani słowem o tym, co najbardziej zajmowało obecnie jej myśli.

Nie umiałaby się przyznać, że nie chce tego dziecka, nie potrafi się zmusić do miłości wobec tego intruza rosnącego w jej brzuchu.

Wszystko się zmieniło w dniu, kiedy sięgając po coś na biurku, oparła się brzuchem o wysuniętą wcześniej szufladę. Poczowała nagle w środku dziwne łaskotanie, delikatne, jakby motyl zatrzepotał skrzydełkami. W pierwszej chwili pomyślała, że to przypadek albo raczej drobna niestrawność, ale kolejne, tym razem już celowe lekkie dociśnięcie brzucha do szuflady wywołało ten sam efekt dokładnie w tym samym miejscu. Podekscytowana Wiktorii pospieszyła do Zuzanny Kasperkowej.

– Ciociu kochana – wysapała zmęczona biegiem po schodach. – Chyba coś poczułam!

– No, najwyższy czas – starsza kobieta uśmiechnęła się ze wzruszeniem. – Zaczynałam się już trochę martwić.

– Myśli ciocia, że to maleństwo?

– A któż by inny? Myszka? – Kasperkowa objęła Wiktorię i zaczęła ją kołysać jak małe dziecko. – To nasze maleństwo dało znać, że tam jest i rośnie.

Wiktorii poczuła, jak zalewa ją fala niewyobrażalnej miłości. Położyła ostrożnie ręce na brzuchu, jakby się bała, że mocniejszy ucisk mógłby zrobić dziecku krzywdę.

– Moje maleństwo – szepnęła zachwycona i przerażona zarazem. Wyobraziła sobie nagle maleńkie rączki i nóżki odpychające się od szuflady, którą je przycisnęła. – Chyba nie zrobiłam mu krzywdy?

– Nie, kochanie – uspokoiła ją Kasperkowa. – Ono jest tam naprawdę bezpieczne, nie martw się. Ale już pokazuje swój charakter – zaśmiała się rozbawiona. – Chyba nie będzie lubiło żadnych nacisków.

Wiktorii nie była w stanie skupić się na pracy, poprosiła więc równie przejętą Zosię, żeby ją zastąpiła.

– Kim jesteś, kochanie? – pytała szeptem, głaszcząc przed snem niewielką, twardą wypukłość na samym dole brzucha.

ROZDZIAŁ 2

Wyjątkowo upalne lato dawało się Wiktorii mocno we znaki. Nikt jeszcze, oprócz Kasperkowej i Zosi, nie wiedział o odmiennym stanie dziewczyny, ona sama jednak miała wrażenie, że klientki zaczynają przyglądać jej się podejrzliwie. Lekko nabrzmiała twarz i ciągłe zmęczenie młodej aptekarki nie mogły ujść uwagi wścibskich, doświadczonych kobiet.

– Czyżby panienka Wiktoria była w odmiennym stanie? – zagadnęła jedna z nich Zuzannę Kasperkową któregoś dnia na targu.

– A pani co do tego? – ofuknęła ją wdowa. – To jej sprawa, ja tam nic nie wiem i się nie wtrącam. Pani radzę to samo.

– No, ale przecież to panienka...

– Skąd ta pewnoś? A może ona w tym Paryżu wyszła za mąż za jakiegoś bogatego hrabiego?

– I nie przywiozła go ze sobą? – Sąsiadka spojrzała powątpiewająco na Kasperkową.

– Różnie w życiu bywa. Ja tam się nie dopytuję, ale panienka wspominała coś o jakimś hrabi albo księciu, nie pamiętam. – Pani Zuzanna westchnęła z udanym smutkiem. – Po mojemu to w tej Francji stała się jakaś tragedia, powiadam pani.

Tamta nie wyglądała na przekonaną, ale ziarno zostało zasiane. Na mieście zaczęto plotkować o nieszczęśliwym małżeństwie Wiktorii.

– Podobno to był jakiś hrabia, brutal i gwałtownik – powtarzała jedna sąsiadka drugiej. – Słyszałam, że biedna panienka Wiktoria musiała uciekać nocą z Paryża, bo ścigał ją ze swoimi zbirami.

– A ja słyszałam – dodała inna z niezdrowymi wypiekami na twarzy – że to był jeden z tych, co to porywają kobiety i sprzedają je potem do domów rozpusty.

– I po co by się z nią żenił? Tacy się nie żenią.

– A bo to kto zna tych francuskich hrabiów? To wszystko jakieś takie rozpustniki, pani kochana.

– A to nie był książę? Bo ja słyszałam znowu...

Pół Krakowa, a przynajmniej okolice ulicy Grodzkiej, aż huczało od plotek. Samotnej kobiecie przy nadziei tak łatwo by nie wybaczone, ale żonie francuskiego hrabiego? O, to zupełnie inna sprawa. I to takiej, którą mąż chciał sprzedać do domu rozpusty? Dobrze, że biedaczce udało się w porę uciec.

Nie miała panienka Wiktoria łatwego życia ze swoim ojcem, Panie świec nad jego grzeszną duszą, kiwały głowami kobiety na ławkach w parku, po wyjściu z apteki „Pod Złotym Moździerzem”, i przy straganach na targu. I jeszcze podobno narzeczony od niej uciekł, tuż przed samym ślubem, przypominały sobie. Nie uciekł on aby do Paryża? Nie, skądże, przecież do Ameryki, znalazł się ktoś, kto pamiętał lepiej.

Wiktoria ze zdziwieniem zauważyła zmianę w zachowaniu swoich klientek. Jeśli przedtem wchodziły do apteki z podejrzliwymi i oskarżycielskimi wręcz minami, tak teraz były wręcz niesłychanie życzliwe i serdeczne. Dopytywały się o zdrowie, samopoczucie, sprawiały wrażenie, jakby z jakiegoś powodu jej współczuły. Zaintrygowana podzieliła się tym spostrzeżeniem z Kasperkową.

– Bo to... bo ja powiedziałam jednej takiej na targu, że prawdopodobnie wyszłaś za męża w tym Paryżu za księcia – przyznała zawstydzona kobieta. – A resztę same sobie dośpiewały i wyszło na to, że on był cham i brutal, więc musiałaś od niego uciekać.

W pierwszej chwili Wiktoria nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy też złościć. Wybrała to pierwsze.

– Ciociu – z niedowierzaniem pokręciła głową – nigdy bym cioci nie podejrzewała o taką fantazję.

Wdowa spojrzała spod oka na Wiktorię. Jeszcze nie była pewna, czy dziewczyna nie ma jej za złe tej bajki.

– Lepiej, żeby cię żałowały, moje dziecko, niż gdyby miały potępiać i oceniać.

– Nie zależy mi.

– Jeśli nawet, to pomyśl o tej kruszynie. Jej kiedyś może to nie być takie obojętne.

Wiktoria musiała przyznać Kasperkowej rację. Jeszcze z trudem docierało do niej, że od tej chwili musi przestać myśleć tylko o sobie, a zacząć o dziecku, które niczym nie zasłużyło sobie na potępienie ludzi. Prostym kobietom, tak skorym do krytykowania innych i stawiania ich pod pręgierzem, zawsze imponowali ludzie z wyższych sfer. Mąż hrabia czy książę, nawet zdeprawowany i zły, zawsze był kimś lepszym niż zwykły furman, węglarz czy nawet kupiec. I nie każda z nich była pewna, czy zdołałaby od takiego uciec, porzucając te wszystkie bogactwa. Bo ten, od którego uciekła Wiktoria, z pewnością był bardzo bogaty.

Kasperkowa rozwiązała więc, przynajmniej doraźnie, nurtującą je obie kwestię, jak potraktują Wiktorię krakowskie plotkarki, kiedy jej stan będzie już widoczny.

– Powinnam zawiadomić matkę Filipa o tym, że jest, żyje i że... założył rodzinę – powiedziała pewnego dnia Wiktoria do Zosi, kiedy rozpakowywały na zapleczu paczki z nową dostawą egzotycznych korzeni.

Wciąż było jej trudno się pogodzić z małżeństwem Filipa. Niemniej jednak jego matka miała prawo wiedzieć, co się z nim dzieje.

– Może pojedziemy tam w najbliższą niedzielę? – zaproponowała przyjaciółka.

Sprawa rozwiązała się sama, kiedy jeszcze tego samego dnia do apteki weszła pospiesznie Helena Michalska, matka Filipa.

– Dowiedziałam się, że panienka już wróciła! – Podbiegła ucieszona do Wiktorii. – Gdzie mój syn, gdzie Filip? – zaczęła się rozglądać wokół, jakby spodziewała się go zobaczyć między regałami aptecznymi.

Wiktoria dała znak Zosi, żeby zajęła się klientami, a sama zaprosiła gościa na piętro, do mieszkania. Trudno byłoby rozmawiać z matką Filipa przy ludziach w aptece. W ogóle trudno jej było rozmawiać na ten wciąż jeszcze bolesny temat.

– Odnalazłaś go, moje dziecko? – Michalska nie mogła się powstrzymać i zaczęła zadawać pytania już na schodach.

Na krótką odpowiedź Wiktorii, że tak, uspokoiła się trochę i weszła do salonu, gdzie czujna Kasperkowa przyniosła natychmiast domowe ciasto, niedawno wyjęte z pieca, i dzbanek herbaty.

– Gdzie on teraz jest, dlaczego nie pojawił się w domu? – Kowalowa patrzyła uważnie w oczy Wiktorii. Coś było nie tak, wyczuwała to swoim szóstym zmysłem matki.

Z początku powoli i nieskładnie, później już coraz spokojniejszym głosem dziewczyna zaczęła opowiadać o Filipie i o tym, dlaczego ostatecznie nie przyjechał razem z nią do Krakowa. Pomięła tylko informację o tym, że po ślubie przyjął nazwisko żony i już nie nazywał się Michalski. Czowała, że dla matki byłby to dodatkowy cios.

– Ożenił się, będą miała wnuka? Mój Boże, i nawet nie dał o tym znać rodzicom? – W oczach kobiety widać było ból i żal. – Powiedz, dlaczego jest taki zawzięty? Mój synek! Czy on mi jeszcze kiedyś wybaczy? – Helena Michalska ukryła twarz w dłoniach. – To mój krzyż, który będę dźwigać do końca życia – łkała rozpaczliwie. – Kara za grzechy.

Wiktorcia poczuła nagle złość do Filipa. Teraz, kiedy obudziły się w niej uczucia macierzyńskie, lepiej rozumiała tę kobietę i ból, jaki jej sprawił jedyny syn. Kłóciło się to z jej wyobrażeniem o Filipie jako mężczyźnie idealnym.

Na nieskazitelnym do tej pory wizerunku ukochanego pojawiła się pierwsza rysa.

– Może będziesz miała mi to za złe, ale nie podoba mi się zachowanie Filipa – stwierdziła kategorycznie Zosia, gdy Wiktorcia powtórzyła jej swoją rozmowę z Heleną Michalską. – Mężczyzna, który nie szanuje własnej matki, nie będzie też szanował swojej żony. O co tak naprawdę ma do niej żal? Że nie przyznała mu się do błędów młodości? A kto powiedział, że matka ma obowiązek spowiadać się swoim dzieciom? Odpokutowała już, wychowała go, wykształciła, wyprowadziła na ludzi, a za to wszystko on jej odpłaca wrogością.

– Ależ z pewnością ją szanuje... – Wiktorcia poczuła się w obowiązku bronić ukochanego, lecz Zosia przerwała jej niecierpliwym machnięciem dłonią.

– Nie dając znaku życia od kilku lat? Zerwał kontakty nie tylko z matką, lecz również z ukochanym ponoć ojcem, którego nie chciał zranić, wyjawiając mu tajemnicę swojego pochodzenia. Według ciebie jest to dowodem szacunku dla rodziców? Nie mówiąc już o miłości do nich?

– Dlaczego mi to wszystko mówisz? – Wiktorcia czuła, że zaraz się rozpłacze. Ostatnio bardzo łatwo było doprowadzić ją do łez.

– Dlatego żebyś w końcu przestała o nim myśleć, a zaczęła o sobie i dziecku. I o ojcu dla niego. Przykro mi, ale Filip nie jest godzien twojej miłości.

– No, tego już za wiele! – Wiktorcia zapomniała o płaczu i z oburzenia aż podskoczyła na krześle. – Jak śmiesz? Ty, moja przyjaciółka?

– Właśnie dlatego, że jestem twoją przyjaciółką, powinnam ci to powiedzieć. To słaby człowiek. Dotąd nie zdawałam sobie z tego tak dobrze sprawy, ale odkąd wróciłaś, coraz bardziej utwierdzam się w swoim przekonaniu.

Wiktorcia zerwała się z miejsca i wybiegła z apteki, nie chcąc słuchać Zosi. Nie docierały do niej żadne argumenty, uczucie żalu i gniewu na przyjaciółkę przesłoniło jej zdrowy rozsądek.

– Nie walczył o ciebie, nie starał się niczego wyjaśnić, tylko uciekł jak tchórz, paląc za sobą mosty. Na dodatek zmienił nazwisko, a to tak, jakby wyparł się swojej polskości. – Jeszcze na schodach dogoniły ją oskarżycielskie słowa tamtej.

Rzuciła się na łóżko w swoim pokoju, postanawiając sobie, że długo nie odezwie się do Zosi. Jak ona mogła? Prawdziwa przyjaciółka tak nie postępuje. Przyjaciółka pociesza, wyszukuje same dobre strony sprawy, nie zaognia, nie rani. Wiktorcia pociągnęła za sznurek wiszącego nad łóżkiem drewnianego pajaca od Stefanka. Figurka podskoczyła śmiesznie, wydając przy tym suchy klekot uderzających o siebie rąk i nóg. Znowu poczuła ogromną tęsknotę za bratem, a łzy, które przez chwilę powstrzymywała, popłynęły strumieniem po twarzy.

Taką właśnie, rozszlochaną i nieszczęśliwą, zastała Zosia, gdy powodowana wyrzutami sumienia wsunęła się nieśmiało do pokoju Wiktorcii.

– Isiu, kochana moja, wybacz! – rzuciła się w kierunku leżącej na łóżku przyjaciółki i przytuliła ją z całych sił. – Nie powinnam była tak ostro tego powiedzieć, nie pomyślałam o twoim stanie.

– Ale naprawdę tak o nim myślisz? Powiedz, naprawdę? – Wiktorcia niechcący wytarła mokry nos

o rękaw bluzki Zosi. – Oj, zobacz, pobrudziłam cię. – I rozpląkała się na nowo.

– Zasmarkalaś mnie po prostu – roześmiała się tamta. – Trudno, wypiorę, tylko przestań płakać, bo teraz nie wiem, czy to łzy z rozpaczki po Filipie, czy też po mojej, czystej do tej pory, bluzce.

– Przepraszam – Wiktoria wciąż nie mogła się powstrzymać od płaczu. – Ale ostatnio jestem taka rozdrażniona i przewrażliwiona na każdym punkcie. Jak nigdy dotąd.

– Podobno tak właśnie jest z kobietami w odmiennym stanie. Nie pamiętasz, jak nasz ukochany profesor Jagielski mówił nam o zmianach w zachowaniu przyszłej matki?

Wiktoria uspokajała się powoli. Wytarła głośno nos w chusteczkę wykończoną delikatną koronką, własne dzieło jeszcze z czasów gimnazjum, gdy każda z dziewcząt musiała się wykazać biegłością w robótkach ręcznych. Poprawiła włosy, które po powrocie do Krakowa znów zaczęła splatać w warkocz. Kraków to nie Paryż, gdzie rozpuszczone włosy nikogo nie raziły.

– Zosiu, naprawdę tak myślisz o Filipie? – spytała już spokojnie, chociaż nadal z nutką żalu w głosie.

– Nie mówmy o tym teraz. Nie powinnaś się denerwować.

– Już się nie denerwuję, ale chciałabym wiedzieć, czy powiedziałaś to w złości, czy naprawdę tak myślisz.

– W złości? Dlaczego miałabym się na ciebie złościć, Isiu? Jeśli już, to jestem wściekła tylko na niego. Tak, naprawdę myślę, że to człowiek słaby, bez charakteru, i powinnaś sobie w końcu to uświadomić. Świadczy o tym choćby nawet zmiana nazwiska, zrobił tak, bo mu się to opłacało. A może wstydził się, że jest Polakiem? Jedyne, co go trochę podnosi w moich oczach, to fakt, że poczuł się odpowiedzialny za życie, które sam powołał, i nie zostawił żony. Postąpił uczciwie, muszę to przyznać, chociaż przy okazji skrzywdził ciebie.

– Sama widzisz. – Wiktoria poczuła coś w rodzaju satysfakcji. – Nie jest taki, za jakiego go uważasz.

– Isiu – Zosia ujęła jej dłonie. – Spójrz na mnie i odpowiedz na kilka pytań.

– Dobrze.

– Czy gdybyś to ty, a nie Filip, wyjechała do Paryża po waszej ostatniej rozmowie, nie próbowałabyś się czegoś o nim dowiedzieć? Jak żyje, jak sobie radzi po waszym rozstaniu? Przecież nie przestałabyś go kochać o tak, od razu, z dnia na dzień, nawet gdybyś była przekonana, że to twój brat. Nie martwiłabyś się, że z żalu mógł sobie zrobić coś złego? Czy tak łatwo wykreśliłabyś go ze swojego życia?

– Uznał, że tak będzie mniej bolało. Że to jak zerwanie opatrunku z rany: jedno mocne pociągnięcie, chwila bólu, który w ten sposób minie szybciej.

– Czy twój ból minął szybciej po tym jakże lekarskim i fachowym zerwaniu? Dodam, że pozbawionym głębszego uczucia i troski o ukochaną osobę.

Wiktoria spuściła głowę.

– Nie, nigdy nie minął.

– Mogłabym jeszcze zrozumieć jego postępowanie, gdyby nie odzywał się do ciebie, ale pytał o twoje losy rodziców. Z nimi jednak też zerwał kontakty. Ludzie, których kiedyś kochał, przestali go obchodzić, z chwilą gdy zmienił środowisko i miejsce zamieszkania. Przestali go obchodzić do tego stopnia, że wyzbył się też ich nazwiska. Wyobrażasz sobie, co będą czuli, kiedy się o tym dowiedzą?

– Nie dowiedzą się, przynajmniej nie ode mnie. Rozmawiałam już z matką Filipa i nie miałam serca jej powiedzieć.

– Dobrze zrobiłaś. – Zosia pogładziła ją po dłoni.

– Ale skąd wiesz, że nie cierpiał tam, na wygnaniu? – Wiktorii wciąż nie dawało to spokoju.

– Jeśli nawet, to podejrzewam, że tylko z powodu własnego nieszczęścia. Uczucia innych raczej go nie obchodziły. Gdyby było inaczej, odezwałby się przez te wszystkie lata. A tak naprawdę to nie było żadne wygnanie, tylko świadomy wybór Filipa. Toteż nie sądzę, że jest to człowiek, z którym można by się

wiązać na całe życie. Ja nie miałabym zaufania do kogoś takiego.

– To okrutne, co mówisz. Dlaczego więc nie powstrzymałaś mnie przed wyjazdem do Paryża?

– A dałabyś się powstrzymać? Zresztą wtedy jeszcze tak o nim nie myślałam. Miałam nadzieję, że jakieś naprawdę ważne okoliczności sprawiły, że nie dał o sobie znać. Przyznam, że nawet obawiałam się najgorszego. Tymczasem on żył sobie spokojnie swoim życiem, jakby nic się nie stało.

Zapadła cisza, przerywana tylko miarowym tykaniem zegara, będącego pamiątką po matce Klementynie. Wiktoria zdawała się ogłuszona i przybita tymi argumentami.

– Co mam teraz zrobić? – szepnęła, bardziej do siebie niż do przyjaciółki.

– Przestać rozpaczać po Filipie i zacząć myśleć o dziecku, któremu trzeba dać ojca. Każde powinno mieć oboje rodziców.

– Nie żartuj, kto mnie teraz zechce?

– Nie mówię, że będzie łatwo, ale przynajmniej o tym pomyśl.

Jakby na potwierdzenie tych słów dziecko dało Wiktorii mocnego kuksańca. Od kilku dni ruchy maleństwa były coraz bardziej wyczuwalne. Wiktoria uśmiechnęła się z czułością.

– To dziecko będzie miało tyle miłości, ile tylko potrafię mu dać. Nie wiem, czy uda mi się znaleźć dla niego ojca, ale obiecuję, że się postaram. Miłość mam już za sobą, nie będę szukała nowej. Może tak będzie łatwiej?

Zosia znów przytuliła ją mocno. Pierwszy raz od początku ich rozmowy poczuła łzy w oczach.

– Muszę ci jeszcze coś powiedzieć... – zaczęła niepewnie.

– O Filipie? – Wiktoria zeszywniała.

– Nie, tym razem o mnie. – Tamta uśmiechnęła się nieśmiało. – Wychodzę za mąż i będę musiała zrezygnować z pracy u ciebie i z naszej spółki. Zamieszkać w Warszawie, u mojego męża.

– Dlaczego do tej pory nic mi nie mówiłaś? Nawet nie wiedziałam, że jest ktoś taki...

– Przepraszam, Isiu, ale jakoś nie było do tej pory okazji. Chciałam ci go najpierw przedstawić, spytać o radę, ale...

– Ale wszystko kręciło się wokół mnie, mojego dziecka i Filipa. – Wiktoria uśmiechnęła się gorzko. – To ja cię przepraszam, moja kochana, bo po powrocie nawet nie spytałam, co u ciebie nowego. Mój Boże, cóż ze mnie za przyjaciółka.

– Nie rób sobie wyrzutów, proszę. Sama nie wiem, jak bym się zachowała na twoim miejscu. Powiedz tylko, czy chcesz poznać mojego Władka? Jest aptekarzem, jak ty i ja. Ma swoją aptekę w Warszawie i tam oboje będziemy pracowali po ślubie. Na który już jesteś zaproszona.

– Oczywiście, że chcę – ucieszyła się Wiktoria. – Opowiadaj teraz, jak i gdzie go poznałaś.

– Wszystko ci opowiem, ale dopiero po zamknięciu apteki. Teraz muszę wracać, bo zostawiłam samego pomocnika, a to niedopuszczalne. Szefowa nie może się o tym dowiedzieć. – Mrugnęła do przyjaciółki.

Wiktoria została sama w pokoju. Ku własnemu zaskoczeniu poczuła się lepiej po rozmowie z Zosią. To, co ją podświadomie gnębiło i z czego do tej pory nie zdawała sobie sprawy, zostało w końcu wypowiedziane głośno. Teraz musi się zająć tym, co przed nią, i zapomnieć o przeszłości. Najważniejsze, żeby szybko znaleźć kogoś na miejsce przyjaciółki.

Ten problem na szczęście został rozwiązany bez kłopotu.

– Naprawdę pomyślałaś, że mogłabym cię zostawić samą? Zwłaszcza teraz? – Zosia była na nią wręcz oburzona. – Rozmawiałam już z Maryną Dobrowolską, pamiętasz ją? Jeśli tylko wyrazisz zgodę, chętnie podejmie pracę w naszej aptece.

Wiktoria pamiętała tę cichą koleżankę ze studiów, trzymającą się zawsze na uboczu z powodu swego kalectwa. Maryna mocno utykała na jedną nogę, czego nawet nie był w stanie ukryć ciężki i niezdarny but ortopedyczny. Była świetną studentką, otrzymała, podobnie jak Wiktoria, dyplom z wyróżnieniem.

– Oczywiście, że ją pamiętam – ucieszyła się teraz. – Wielka szkoda, że nie będziesz już ze mną pracowała, cieszę się jednak, że znalazłaś tak świetne zastępstwo. Jestem pewna, że Maryna poradzi sobie bez trudu.

– Już ją nawet trochę wprowadziłam w naszą pracę – przyznała nieśmiało Zosia. – Nie wiedziałam, kiedy wrócisz, a nie chciałam zostawić apteki bez osoby godnej zaufania i zorientowanej we wszystkim.

– Moja ty kochana. – W oczach Wiktorii znów zabłyśły łzy, tym razem wzruszenia. – Pomyślałaś o wszystkim. Co ja bym bez ciebie zrobiła?

ROZDZIAŁ 3

Zatrudnienie Maryny Dobrowolskiej okazało się bardzo szczęśliwym pomysłem. Przystąpiła do pracy z entuzjazmem, a co najważniejsze, znała się na niej i szybko zdobyła zaufanie dość trudnych krakowskich klientów. Coraz częściej też zostawała sama w aptece, ponieważ Wiktoria źle znosiła swój stan i pod koniec piątego miesiąca, zgodnie z zaleceniem lekarza, musiała położyć się do łóżka na dłużej. Obawiano się, że straci dziecko. Z tego też powodu nie mogła pojechać na ślub i wesele Zosi, zaplanowane w dzień Bożego Narodzenia. Podróż do Warszawy w jej sytuacji zupełnie nie wchodziła w grę. Zuzanna Kasperkowa opiekowała się Wiktoria jak własną córką i gdyby tylko mogła, zabroniłaby jej wstawania z łóżka nawet do łazienki.

– Ciociu kochana – protestowała zmęczona leżeniem młoda kobieta. – Przecież ja tu zapuszczę korzenie, poza tym zesłabnę od samego leżenia. Lekarz kazał tylko się nie przemęczać i jak najwięcej czasu spędzać w łóżku. Ale nie cały czas.

– A co mężczyzna może o tym wiedzieć? – Pani Zuzanna tak łatwo nie dawała za wygraną. – Byłam przy nadziei trzy razy, więc wiem lepiej. Tylko Joasię wyleżałam, to się urodziła zdrowo, a tamte niebożątka nie przeżyły.

– Ale to nie jest zwykły mężczyzna, tylko lekarz.

– Ale mężczyzna.

Wiktoria robiła więc ostrożne spacerunki po pokoju, kiedy Kasperkowa jej nie widziała. Z powodu częstych wymiotów i utraty apetytu straciła na wadze i opadła z sił. Chude nogi trzęsły się pod nią i uginały przy każdym niemal kroku. Dopiero stanowcza interwencja lekarza, zmartwionego stanem przyszłej matki, sprawiła, że nadopiekuńcza pani Zuzanna pozwoliła Wiktorii na więcej ruchu.

– Jeśli będzie leżała w tym łóżku bez przerwy, nie da sobie rady przy porodzie. – Doktor zdecydowanie uciął protesty Kasperkowej. – Musi ćwiczyć mięśnie. Oczywiście wszystko z umiarem i rozwagą. Panią czynię za to odpowiedzialną.

Doceniona opiekunka jeszcze więcej uwagi, o ile to w ogóle było możliwe, poświęciła Wiktorii. Zdobyła gdzieś modną ostatnio książkę *Kobieta lekarką domową*, przetłumaczony na polski podręcznik niemieckiej lekarki, gdzie na ponad ośmiuset stronach z ilustracjami podane były wszelkie możliwe sposoby domowej pielęgnacji chorych. Spora część poświęcona była również kobietom ciężarnym, położnicom i małym dzieciom.

Sama Wiktoria z przyjemnością oglądała kolorowe ilustracje, zabezpieczone cieniutkim pergaminem, zainteresowało ją zwłaszcza bardzo realistycznie oddane wnętrze brzucha ciężarnej kobiety z idealnie już uformowanym płodem w środku. Z uśmiechem szczęścia patrzyła na tę ilustrację. Jej własne dziecko według lekarza rozwijało się prawidłowo i nic, oprócz wciąż zbyt małego przyrostu wagi i ogólnego osłabienia przyszłej matki, nie wzbudzało niepokoju doktora.

Coraz częściej zdarzały jej się uderzenia krwi do głowy, rumieniła się wtedy i z trudem łapała oddech. Niezawodna ciocia Kasperkowa owijała ją wówczas mokrymi prześcieradłami, według zaleceń

z poradnika niemieckiej lekarki. I pani Zuzanna, i Wiktoria z niepokojem myślały o tym, jak rozwija się dziecko w tak mało jeszcze widocznym brzuchu matki. Gdyby nie to, że jej stan nie był już dla nikogo tajemnicą, trudno by się czegokolwiek domyślić, patrząc na szczupłą wciąż figurę młodej kobiety.

Plotkarki, które w głębi duszy liczyły, że bogaty, choć zły francuski książę przyjedzie w końcu do swojej żony, znów zaczęły ją obgadywać za plecami.

– Coś ja tam nie wierzę w tego hrabiego czy innego księcia, kochana pani. Pewnie kto inny zrobił jej ten brzuch. Latawica. Niedaleko pada jabłko od jabłoni, jej ojciec, sama pani wie, jaki był...

Na szczęście dzięki Kasperkowej i Zosi owe plotki nie docierały do pozostającej w domu Wiktorii. Ona sama miała inne powody do zmartwienia. Coraz częściej prześladowało ją przecucie jakiegoś nieszczęścia związanego ze zbliżającym się porodem.

W domu przy ulicy Grodzkiej panował nastrój oczekiwania połączony z rosnącą obawą o Wiktorię i jej dziecko. Przewidziany przez akuszerkę termin rozwiązania był tuż-tuż, a dziecko nadal nie chciało się ułożyć główką w dół. Najprawdopodobniej było malutkie i całkiem swobodnie pływało w łonie matki. Gdyby Wiktoria nie знаła dnia jego poczęcia, pomyślałaby, że pomyłono się w obliczeniach.

Im bliżej było do porodu, tym częściej wracała do tamtego popołudnia. Uczucie wstydu pozostało i Wiktoria wiedziała, że nigdy go się nie pozbędzie, teraz jednak dołączyła do niego czułość. Z miłością gładziła swój brzuch, śpiewała dziecku kołysanki, opowiadała mu o świecie. Zastanawiała się, do kogo podobne będzie jej maleństwo. Czy urodzi się niebieskookie i z jasnymi włoskami, czy też będzie rude i piegowate? W takich chwilach myślała o Pascalu. Była pewna, że już nigdy się nie spotkają, ale na zawsze miał pozostać ojcem jej dziecka i nic nie mogło tego zmienić.

Dwudziestego trzeciego kwietnia 1913 roku, o świecie, poczuła nagle, że jej brzuch przybrał dziwny, owalny kształt.

– Płód ułożył się poprzecznie – zmartwiła się sprowadzona natychmiast akuszerka. – Tu potrzebny już lekarz, a może nawet szpital. Ja raczej niewiele pomogę. Obawiam się, że bez cesarskiego cięcia się nie obejdzie.

– Jak to? Nie może go pani obrócić? – Kasperkowa uważała, że w szpitalu ludzie umierają, i nawet nie chciała o nim słyszeć. – Nie pozwolę...

– Ciociu kochana – przerwała jej zmęczonym głosem Wiktoria. – To już nie te czasy, kiedy kobiety umierały podczas cesarskiego cięcia w szpitalu. Teraz mamy świetnych, wykształconych lekarzy i takie zabiegi są już dla nich chlebem powszednim.

Sama nie wierzyła w to, co mówi. Wciąż jeszcze miała przed oczami wykrwawiające się na stole operacyjnym ciężarne, zanim jeszcze lekarze skończyli wyjmować z ich brzucha nieżywe najczęściej dziecko. Zawsze była głodna wiedzy, obserwowała więc, wraz ze studentami medycyny, przebieg takich zabiegów i nie mogła sobie przypomnieć ani jednego szczęśliwie zakończzonego przypadku. Ale teraz nie miała wyjścia, zdawała sobie sprawę, że jeśli dziecko w ostatniej chwili się nie obróci, to podczas skurczów porodowych grozi jej pęknięcie macicy, a wtedy umrą oboje. W szpitalu miała jednak większe szanse na przeżycie.

Sprowadzony do domu lekarz potwierdził obawy akuszerki. Wyglądało też na to, że dziecko lada chwila zechce przyjść na świat, Wiktoria odczuwała już pierwsze, przepowiadające bóle porodowe. Teraz liczył się czas.

Duża, ponura sala w szpitalu Świętego Łazarza zastawiona była łózkami tak, że grupie lekarzy,

robiących właśnie obchód, trudno się było pomieścić. Wiktoria zauważyła wśród nich kolegę ze studiów, jako że studenci medycyny mieli niektóre wykłady wspólne z „aptekami”. Uśmiechnął się, chcąc dodać jej odwagi, i dał dyskretny znak, że wróci po obchodzie.

– Co tu mamy, panie doktorze? – Profesor, kierujący oddziałem położniczym, zwrócił się z tym pytaniem do przyjmującego Wiktorię lekarza.

– Pacjentka lat dwadzieścia trzy, pierwsza ciąża, ułożenie płodu poprzeczne. Termin porodu minął dwa tygodnie temu, od rana lekkie bóle przepowiadające. Tętno wysokie, poza tym stan pacjentki dobry – wyrecytował jak wywołany do odpowiedzi, stojąc niemal na baczność.

– Skoro tętno wysokie, to stan nie może być dobry, panie kolego. – Profesor spojrzał surowo na młodego lekarza. – Proszę obserwować. Na ręczny obrót płodu już za późno, ale może jeszcze sam się ułoży prawidłowo przed porodem. W razie niepowodzenia natychmiast szykujemy się do cesarskiego cięcia.

Wraz z całą grupą przeszedł do kolejnej pacjentki, nie zaszczycając Wiktorii ani jednym spojrzeniem. Dla niego była tylko kolejnym „przypadkiem”. Im bardziej powikłanym, tym ciekawszym. Chwilę później przyszedł jednak i zwrócił się już bezpośrednio do niej.

– A jak rodziła pani matka? Bez kłopotów?

– Moja matka? – Wiktoria drgnęła zaskoczona. – Która?

Widząc zdumienie na twarzy profesora, poprawiła się szybko.

– Przepraszam, ale zaskoczyło mnie to pytanie. Moja naturalna matka zmarła zaraz po moich narodzinach.

Profesor w zamyśleniu pokiwał głową, jakby się spodziewał takiej odpowiedzi, ale poklepał ją uspokajająco po ręce.

– Proszę się nie martwić, to jeszcze o niczym nie świadczy. Tak, o niczym nie świadczy...

Wiktoria jednak wyczytała w spojrzeniu starego lekarza, że wręcz przeciwnie, powinna się martwić. Że wcale nie wygląda to dobrze.

– Oj, pani kochana, współczuję – odezwała się leżąca na sąsiednim łóżku ciężarna w średnim wieku, kiedy profesor już odszedł. – To moje dziewięte już – poklepała się po wydatnym brzuchu – ale tylko trójka żyje. Też miałam kilka razy poprzecznie ułożone aniołki, Panie, świeć nad ich duszyczkami.

– Co się z nimi stało? – Wiktoria z trudem przełknęła ślinę.

– Ano tak się zaklinowały, że musieli je ze mnie wydłubywać po kawałeczku. Rozcinali im...

– Proszę! – Wiktoria zatkała uszy dłońmi. – Nie chcę tego słuchać!

– Jak pani sobie życzy. – Kobieta, która szykowała się już do smakowitego opisu rozkawałkowania płodów, zamilkła urażona. – Co ma być, to będzie. Nikogo nie minie.

– U mnie przy poprzednim porodzie główka była za duża i musieli zrobić wymóżdżenie – nie wytrzymała druga, leżąca po przeciwnej stronie. – Teraz się boję, że znowu tak będzie. Chyba że na czas zrobią cesarskie cięcie.

– A słyszała pani o takiej, co to przeżyła cesarskie cięcie? – prychnęła któraś z leżących.

Wiktoria nakryła się kocem aż po sam czubek głowy. Była przerażona. Kobiety miały rację, ona sama też nie słyszała o udanych zabiegach cesarskiego cięcia. Pamiętała doskonale operację, którą obserwowała kiedyś wraz z innymi studentami. Młoda, przerażona kobieta błagała lekarzy, aby ratowali jej dziecko, czuła bowiem, że coś złego się z nim dzieje. O sobie nie myślała ani przez chwilę. Zanim zasnęła, powtarzała w kółko: „Ratujcie moje dziecko! Ratujcie moje dziecko!”. Niestety, wydobyte z jej łona maleństwo było już martwe, chwilę później sama też do niego dołączyła. Potężny, nie do opanowania krwotok w ciągu kilku minut pozbawił ją życia.

Teraz to samo mogło spotkać ją, Wiktorię. Przeraziła się na samą myśl o tym, że może nie być jej dane

spojrzeć w twarzyczkę dziecka, z którym rozmawiała już od kilku miesięcy, któremu czytała bajki i śpiewała kołysanki.

Obawy te rozwiązał, przynajmniej częściowo, młody lekarz, ów kolega Wiktorii ze studiów. Przyszedł do niej zaraz po obchodzie.

– Nie słuchaj bzdur! – ofuknął ją, kiedy mu opowiedziała o tym, co usłyszała od innych rodzających. – Kobiety zawsze będą opowiadały straszne rzeczy, to jakieś chore współzawodnictwo, w którym wygrywa ta z najgorszymi komplikacjami. Zresztą dzieje się tak nie tylko na tym oddziale. Chorzy się nudzą i wymyślają najróżniejsze, najbardziej dramatyczne historie, żeby tylko zaimponować innym. Przez chwilę czują się ważni. Nie myśl o tym, staraj się zachować zdrowy rozsądek.

Wiktorii poczuła nadchodzący skurcz. Skrzywiła się; znów ogarnął ją strach.

– Zaczyna się – szepnęła. – Co teraz, Piotrze?

Niemal go nie pamiętała, ale przypomniał jej swoje imię, przedstawiając się wcześniej.

– Spokojnie, jeszcze mamy czas. Może dziecko samo się odwróci, jest małe i ma tam trochę miejsca. Jeśli nie, zrobimy cięcie. Ja będę asystował, nie bój się, nie dam ci zrobić krzywdy.

– Co poradzisz, jak zacznę się wykrwawiać? – Wiktorii znowu jęknęła. – To już koniec.

– Przestań! Co za bzdury z tą umieralnością w każdym przypadku! Uwierz mi, cesarskie cięcia są u nas wykonywane już od kilku lat, i to przeważnie z efektem pozytywnym. Na palcach jednej ręki mogę policzyć zgony i najczęściej było to za późno stwierdzone poprzeczne ułożenie. U ciebie dostrzeżono je zawczasu.

– Jak... jak to się odbędzie? Opowiedz mi całą procedurę, może będzie mi łatwiej.

– Uwierz mi, łatwiej ci nie będzie. – Pokręcił głową. – Ale powiem ci tylko, że zabieg przeprowadzi profesor, a to doświadczony lekarz, możesz więc być spokojna. Zastosuje cięcie ponadłonowe z modyfikacją Selheima, sprawdzone i pewne. Cięcie będzie podłużne, od spojenia łonowego do pępka.

– A co ze szwami? Wiesz, co się zwykle z nimi dzieje...

– Nie w dzisiejszych czasach. Zapewniam cię, Wiktorio, że od chwili kiedy skończyliśmy studia, medycyna poczyniła naprawdę ogromne postępy. Będą założone pojedyncze, mocne szwy, a na samym mięśniu macicznym stosuje się teraz dwa piętra. Będzie dobrze, zobaczysz.

Piotr przyznał, że należał do liczного grona wielbicieli Wiktorii na studiach. Niestety, serce miała już zajęte i żadnemu z nich nie dała szansy. Każdą próbę zbliżenia się do niej kwitowała żartem, a na te nachalniejsze reagowała gniewnym zaciśnięciem ust i ostrym spojrzeniem.

– A wiesz, że wszyscy podkochiwaliśmy się w tobie? – dodał, zmieniając temat, żeby odwrócić myśli dziewczyny od czekającego ją prawdopodobnie zabiegu. – Józek Kowalczyk nawet poszedł przez ciebie do zakonu.

– Bzdury opowiadasz. – Wiktorii uśmiechnęła się blado. – Gdyby nie miał powołania, toby nie poszedł. Nie wiedziałam nawet, że się we mnie podkochuje, musiało to być bardzo skryte uczucie. Do tego stopnia, że sam nie zdawał sobie z niego sprawy.

Piotr roześmiał się, miał przed sobą dawną Wiktorię: inteligentną, o ciętym języku.

– Żadnego z nas wtedy nie widziałaś. Czy to jego dziecko? Tego, który tak nam psuł szyki?

Dziewczyna momentalnie spoważniała.

– Nie. I nie chcę rozmawiać o ojcu dziecka. Ono jest moje i tylko moje.

Nadszedł silny skurcz, o wiele bardziej bolesny niż poprzednie. Zagryzła wargi, żeby nie krzyknąć, ale trudno jej było powstrzymać jęk. Nagle poczuła, że jej brzuch trochę zmienił kształt.

– Patrz, obraca się! – złapała Piotra za rękę. – Obraca!

Kolejny skurcz stłumił jej słowa. Niestety, teraz brzuch wcale nie wyglądał lepiej, dziecko ustawiło się ukośnie, co już ostatecznie zniszczyło szanse na poród siłami natury. Akcja porodowa się rozpoczęła,

silne bóle następowały w coraz mniejszych odstępach czasu. Nie było na co czekać, Piotr wybiegł z sali, by powiadomić profesora.

– Proszę przygotować pacjentkę do cięcia! – zdążył jeszcze krzyknąć do sióstr.

Od tej chwili wypadki potoczyły się błyskawicznie. Wiktoria została przeniesiona na salę operacyjną, gdzie czekał już na nią zespół lekarzy. Ostatnim wrażeniem, jakie zapamiętała, był słodki zapach chloroformu i uczucie duszenia się. Potem zapadła w bezpieczną miękką ciemność.

Tymczasem operacja, która zaczęła się rutynowo, w szybkim czasie przekształciła się w rozpaczliwą walkę o życie pacjentki. W trakcie zabiegu nagle doszło do krwotoku, podczas którego Wiktoria straciła sporo krwi. Kiedy wydawało się już, że wszystko stracone, niemal w ostatniej chwili udało się zapanować nad sytuacją. Krwawienie ustało tak szybko, jak się pojawiło. Kiedy lekarze założyli ostatnie szwy, zmęczony profesor przetarł czoło wierzchem dłoni.

– Ma szczęście kobieta, chyba ktoś tam na górze nad nią czuwał. A co z dzieckiem?

– W porządku, panie profesorze – odezwała się jedna z pielęgniarek. – Maleńkie, niecałe dwa kilogramy, ale wygląda na zdrowe.

– Radzi sobie dobrze, już teraz widać, że to będzie silna dziewczynka – dodała ze śmiechem druga. – Głosik ma całkiem niczego sobie.

– Panie profesorze! Szybko!

Okrzyk młodego lekarza sprawił, że wszyscy natychmiast zapomnieli o noworodku i rzucili się w stronę pacjentki. Stało się jasne, że krwotoku nie udało się do końca opanować i młoda matka znów walczy o życie.

Do świadomości Wiktorii powoli zaczęły docierać dźwięki z otaczającego ją świata. Najsilniejszym z nich był płacz niemowlęcia. Zagłuszał wszystkie inne, budził ją do życia, wzywał rozpaczliwie i stanowczo. Z żalem opuściła zieloną, usianą stokrotkami łąkę, na której stały dwie kobiety. Czująca płynącą od każdej z nich ogromną miłość. Miała ochotę podbiec bliżej i uściskać obie, ale powstrzymały ją stanowczym ruchem dłoni. Wyraźnie nakazywały, by wróciła, skąd przyszła.

Wiktoria niechętnie uniosła powieki, a uspiiony wraz z nią ból również zaczął się budzić. Jęknęła cicho.

– No, nareszcie. – Siostra trzymająca na rękach noworodka odetchnęła z ulgą. – Budzi się w końcu. Mówiłam, że płacz dziecka przywróci ją do życia.

– Nie może jeszcze umierać, ma dla kogo żyć – dodała druga, patrząc na drgające powieki pacjentki.

Na przezroczystej niemal twarzy młodej kobiety zaczęły się pojawiać lekkie kolory. Wyostrome do niedawna rysy wygładzały się z każdą minutą, oddech stawał się coraz wyraźniejszy. Życie Wiktorii wciąż jeszcze było zagrożone. Po ponownej, tym razem udanej operacji pacjentki nie udawało się dobudzić. Aż do tej chwili.

– Moje... moje dziecko?... – Z wyschniętych ust rozległ się niewyraźny szept, a potem coraz silniejszy, choć wciąż jeszcze zachrypnięty głos. – Gdzie moje dziecko?

Pielęgniarka położyła obok niej wrzeszczące wniebogłosy zawiniątko. Z ciasnego becika wystawała tylko czerwona, pomarszczona twarzyczka z zaciśniętymi mocno powiekami i otwartą do krzyku buzią.

– Proszę, oto pani córeczka.

Wiktoria z trudem odwróciła głowę i z miłością spojrzała na maleńką. Dziecko uspokoiło się natychmiast, jakby też było ciekawe, kogo los mu wyznaczył na matkę. Spod uchylonej lekko powieki łypnęło na nią gniewnie granatowe oko.

– Moje cudo, moja maleńka. – Wiktoria delikatnie pogładziła końcami palców rude włoski przyklejone do malutkiej, kształtnej główki.

– Witaj, skarbie. Dam ci na imię Matylda.

ROZDZIAŁ 4

Życie na Grodzkiej zmieniło się diametralnie od dnia, w którym zaczęła tam swoje panowanie księżniczka Matylda, jak ją żartobliwie nazywano. Mała była oczkiem w głowie całej rodziny, a przyszywana babcia Kasperkowa wręcz zwariowała na jej punkcie. Pozwalała dziewczynce na wszystko, rozpieszczała ją tak, że aż Wiktoria niejednokrotnie musiała interweniować.

– Ciociu kochana – protestowała, kiedy pani Zuzanna pojawiała się z Matyldą na rękach w aptece. – Ta mała kluska ma nóżki i powinna zacząć z nich korzystać, przecież już skończyła rok. Jak ciocia będzie tak ją ciągle nosić, to, pomijając już kłopoty z cioci kręgosłupem, dziecko nigdy nie nauczy się samo chodzić.

– Ale ona taka malutka – rozczulała się Kasperkowa. – I jak ją tylko postawię, to zaraz te swoje rączki do góry podnosi, żeby ją wziąć. I zaczyna płakać, ptaszynka moja najśłodsza.

Wiktoria z lekką zazdrością spojrzała na Matyldę, wtuloną jak mała małpka w Kasperkową. Jej samej nie udało się na razie wytworzyć takiej więzi z córeczką. Po ciężkim zabiegu, podczas którego omal nie umarła, długo nie mogła dojść do siebie. Brzuch źle się goił, wciąż wdawały się jakieś infekcje, a wysoka temperatura pozbawiała ją sił. Na szczęście oprócz leków przepisanych przez lekarzy Wiktoria potrafiła sporządzić dla siebie mieszankę ziół do przemywania takich ropiejących ran. Gdyby nie one, rekonwalescencja trwałaby pewnie jeszcze dłużej.

Ponieważ nie mogła karmić dziecka piersią, pani Zuzanna sprowadziła do Matyldy młodą mamkę ze wsi. Z obawy przed rozejściem się szwów Kasperkowa nie pozwalała też Wiktorii zajmować się dzieckiem i sama przejęła od niej większość obowiązków. Na efekty nie trzeba było długo czekać, mała nie okazywała zbyt wielkiej radości na widok matki, przy babci natomiast wręcz wyskakiwała ze skóry.

– Nie martw się, kochanie – pocieszała Wiktorię przyszywana ciocia. – To minie. Ona po prostu za mało cię teraz zna. Kiedy już całkiem dojdiesz do siebie, zajmiesz się nią bardziej i wszystko będzie dobrze.

– Ciociu kochana, co ja bym bez cioci zrobiła – westchnęła Wiktoria. – Chyba samo niebo mi ciocię zesłało.

Wiktoria poinformowała Ivonne o narodzinach bratanicy kilka miesięcy po tym fakcie. Przepraszała za opóźnienie, wynikające nie z zapomnienia, lecz kłopotów zdrowotnych po porodzie.

Wiki moja kochana! – odpisała natychmiast podekscytowana przyjaciółka. – *Nie powinnam się chyba tak cieszyć, bo dziecko nie ma ojca, ale cieszę się jak szalona, gdyż mam malutką bratanicę! Natychmiast idź z nią do fotografa, przecież muszę wiedzieć, jak mała wygląda. Piszesz, że ma rude włoski? Moja kruszynka! Daj znać, jeśli tylko czegoś potrzebujesz, pomogę ci, jak tylko będziesz chciała.*

Ivonne nie pisała o reakcji Pascala na wieść o narodzinach córki, mimo że z pewnością mu o nich powiedziała. Milczenie na ten temat było wymowne i chociaż Wiktoria spodziewała się, że tak będzie, zrobiło jej się smutno. Jak można nie chcieć znać własnego dziecka? Jak można go nie pokochać?

Widziałam się przypadkiem z Filipem, on też został ojcem. Ma syna. Był z tego powodu tak szczęśliwy i dumny, że aż poczułam lekką niechęć. Nawet nie spytał o ciebie, opowiadał tylko o swoim dziecku i żonie, która zupełnie straciła głowę dla malca. Mieszkają teraz w Reims, Filip praktykuje tam wraz ze swoim teściem. Wyglądał na szczęśliwego. Umówił się ze mną, że przy następnej wizycie w Paryżu kupi ode mnie obraz, który tu namalowałam. Ten przedstawiający rynek w dzień targowy. Powiedział, że bardzo tęskni za tym widokiem.

Tęskni za widokiem rynku... Wiktoria poczuła łzy pod powiekami. Za nią już nie tęskni. O ile kiedykolwiek tęsknił naprawdę. Trudno, ona też musi go wyrzucić z pamięci. Na zawsze.

Ale serce bolało. Pierwsza, największa miłość jej życia nie wytrzymała rozłąki. Wiktorię zdumiewała łatwość, z jaką ukochany pozbył się tego uczucia. Doszła do wniosku, że chyba nigdy tak naprawdę jej nie kochał, była tylko jego pierwszym, młodzieńczym zauroczeniem, niczym więcej. Gdyby od początku o tym wiedziała, nie pojechałaby do Paryża, żeby go szukać. Nie narażałaby się na zawód i bolesne rozczarowanie. Z drugiej jednak strony, myślała w takich chwilach, z miłością spoglądając na Matyldę, nie miałyby tego złotowłosego cudu, bez którego już sobie nie wyobrażała życia.

Dzwoneczek przy drzwiach oznajmił pojawienie się w aptece kolejnego klienta. Wysoki mężczyzna w średnim wieku zbliżał się szybkim krokiem w kierunku stojącej za kontuarem Maryny, nowej współpracownicy Wiktorii. Wyraz jego twarzy nie wróżył niczego dobrego.

– Żądam rozmowy z właścicielem apteki! – zawołał, uderzając dłonią w ladę. – Natychmiast!

Wiktoria odłożyła na bok moździerz, wytarła ręce i podeszła do klienta.

– Słucham pana. Czym mogę służyć?

– Pani? – Spojrzał na nią ze złością. – Niczym. Chcę się widzieć z właścicielem apteki.

– Ma go pan przed sobą. – Wiktoria starała się zachować spokój, ale czuła, że policzki zaczynają jej płonąć z gniewu.

– Jeszcze i to! – Mężczyzna teatralnym gestem wyrzucił ręce w górę. – Kobieta właścicielką apteki! Nic dziwnego.

– Byłabym wdzięczna, gdyby pan łaskawie wyjaśnił, na czym polega kłopot. W przeciwnym razie nie będę mogła panu pomóc.

Mężczyzna wyjął z kieszeni sfatygowane tekturowe opakowanie z napisem „Nigrettina”. Była to dość popularna ostatnio farba do włosów. Wiktoria dyskretnie zerknęła na jasne włosy mężczyzny, te jednak nie wymagały żadnej ingerencji. No, może z wyjątkiem delikatnego przycięcia, ponieważ zawijały się już wokół uszu i na szyi.

– Tak?... – zawiesiła znacząco głos.

– Otóż, droga pani – mężczyzna pomachał jej przed nosem pustym opakowaniem – kupiłem tę farbę dla mojej matki, sam ją na to namówiłem. Zapłaciłem za pudełko całe trzy korony. I...

– I?...

– I kiedy służąca zmyła tę nieszczęsną farbę z włosów mojej matki, te okazały się niebieskie zamiast czarnych. Niebieskie, rozumie pani?!

Wiktoria z trudem powstrzymała śmiech. Wyobraziła sobie rozzłoszczoną starszą panią z niebieskimi włosami na głowie. Wbiła paznokcie w zaciśnięte dłonie, żeby przypadkiem się nie roześmiać. Maryna nie wytrzymała i zasłaniając usta dłonią, uciekła na zaplecze apteki.

– Przykro mi, lecz ja nie produkuję tej farby, tylko ją sprowadzam dla swoich klientek. Do tej pory nie było żadnych reklamacji. Może służąca spłukała za wcześniej tę farbę? A może pańska matka ma całkiem siwe włosy?

– A co to ma do rzeczy? Zachwalacie tę farbę wszędzie, powinna więc być skuteczna.

– Z reguły tak jest, ale w przypadku zupełnie siwych włosów wymaga specjalnego postępowania. Jestem niemal pewna, że służąca nie przeczytała dokładnie wskazówek.

Mężczyzna stracił nieco pewności siebie. Poruszył się niespokojnie, nie wiedząc, co zrobić z trzymanym w ręce opakowaniem po farbie.

– No, nie wiem – nie ustępował jednak. – To powinno być dokładnie zaznaczone i wytłumaczone już podczas sprzedaży u was, w aptece.

– Co do tego ma pan absolutną rację – zgodziła się Wiktoria, chcąc załagodzić sprawę. – Od tej chwili będziemy dokładnie informować każdą klientkę o sposobie użycia tego środka. A pana matce w ramach rekompensaty chciałabym podarować dwa opakowania farby. Powinna ją nałożyć jeszcze raz i potrzymać nawet znacznie dłużej, niż jest to zalecane. Wtedy farba na pewno zadziała, jak należy.

Do apteki weszła pani Zuzanna z małą Matyldą na rękach. Na zapleczu stał dziecięcy wózek na wysokich kołach ze szprychami, przysłany przez Ivonne, szczęśliwą ciotkę dziewczynki. Kasperkowa bała się go zostawiać w sieni na dole, a był zbyt niewygodny, żeby go codziennie wciągać po schodach na górę i znosić z powrotem. Zaplecze apteki było obszerne, pełniło więc funkcję tymczasowej wózkowni. Wdowa wybierała się z dzieckiem na spacer, pogoda była piękna, słoneczna, szkoda siedzieć w taki dzień w domu.

– Tata! – zawołała radośnie Matylda, wyciągając rączki do stojącego obok Wiktorii mężczyzny. – Tata! Młoda kobieta zmieszała się i spojrzała niepewnie na zaskoczonego klienta.

– Przepraszam bardzo za moją córkę, ale ostatnio na każdego mężczyznę woła „tata”. Matysiu, tak nie wolno – zwróciła się do córki.

Mężczyzna rozjaśnił się na widok uśmiechniętej buzi, okolonej złotorudymi loczkami. Wyciągnął ręce do dziewczynki.

– Chodź, księżniczko. Mam tylko nadzieję, że twój tata nie będzie miał mi tego za złe.

Mała z radosnym piskiem przechyliła się w jego kierunku, i zanim Wiktoria i Kasperkowa zdążyły zareagować, przytuliła główkę do miękkiego materiału szytej na miarę marynarki. Twarz mężczyzny, jeszcze przed chwilą wykrzywiona gniewem, zmieniła się nie do poznania. Pod wpływem uśmiechu wokół niebieskich oczu pojawiła się siateczka zmarszczek, które tylko dodały uroku nieznanemu.

– Uwielbiam takie małe szkraby. – Z widocznym żalem oddał małą Wiktorii. – Sam, niestety, nie mam dzieci.

Wyraźnie zakłopotany, potarł nos wolną dłonią.

– A ja tu przyszedłem zrobić awanturę matce tego dziecka... Proszę o wybaczenie, zwłaszcza że chyba nie miałem racji. Po raz kolejny mści się na mnie mój wybuchowy charakter. I nawet się nie przedstawiłem, co za gbur ze mnie. Antoni Borucki. – Ukłonił się wytwornie i złożył na dłoni młodej kobiety pocałunek.

– Wiktoria Bernat. – Speszona Wiktoria gwałtownie wyrwała dłoń z jego uścisku. – Nie ma pan za co przepraszać. To ja czuję się winna, że dostatecznie nie poinstruowałam pańskiej służącej. Moja wina. Dlatego też proszę wziąć te opakowania w ramach rekompensaty.

– Ależ nie ma nawet mowy. Kupię je od pani.

– Nalegam.

Stało na tym, że za jedno opakowanie farby do włosów „Nigrettina” zapłacił, drugie zaś dostał w prezencie. Krakowskim targiem, jak ze śmiechem stwierdzili zgodnym chórem.

Kiedy Antoni Borucki po niekończących się przeprosinach wyszedł z apteki, Wiktoria wciąż usiłowała sobie przypomnieć, skąd zna to nazwisko. Miała wrażenie, że słyszała je niedawno bądź o nim czytała. Wieczorem, po kolacji zaczęła przeglądać numery „Czasu” sprzed tygodnia, przygotowane w kuchni na podpałkę. Tak jak podejrzewała, znalazła jego nazwisko w oficjalnych przeprosinach, zamieszczonych na

łamach tejże gazety.

Antoni Borucki był bogatym kupcem, właścicielem składu herbaty przy ulicy Szpitalnej, a sprawa dotyczyła sprzedaży jego „Herbaty czarnej No.1” z aniołkiem, w opakowaniach i banderolach zbliżonych wyglądem do pudełek „Herbaty czarnej No.1” z rączką, używanych i zastrzeżonych przez kupca Juliusza Grosse. Borucki naruszył w ten sposób własność marek ochronnych i musiał za to publicznie przeprosić. Rzecz była dość głośna w Krakowie, Borucki początkowo nie chciał się wycofać ze sprzedaży herbaty, utrzymując, że pierwszy użył swoich opakowań, w końcu jednak, pod groźbą kary sądowej, musiał ustąpić. Spór zakończył się polubownie, Grosse odstąpił od wytoczenia adwersarzowi procesu, Borucki zaś zmienił nazwę i wygląd opakowań swojej herbaty. Był zbyt rozsądny, żeby nadal się upierać przy swoim. Rozgłos związany z całą tą sprawą przysporzył mu jeszcze więcej klientów, każdy chciał teraz porównać obie herbaty, zwłaszcza że kupiec zaczął ją sprzedawać w innych, bardziej efektownych pudełkach.

Następnego dnia, z samego rana, Antoni Borucki zjawił się w aptecę z ogromnym bukietem czerwonych róż. Naręcze kwiatów ledwo mieściło się w drzwiach wejściowych.

– To z przeprosinami za moje wczorajsze zachowanie. – Podeszedł do zaskoczonej Wiktorii i wręczył jej róże, jeszcze z kropelkami rosy na płatkach. – Zerwane dzisiaj o świcie w ogrodzie mojej matki. I na jej polecenie – dodał. – Służąca wczoraj nałożyła farbę zgodnie z instrukcją i moja matka objawiła się dziś światu jako piękna brunetka, bez śladów tamtego fatalnego błękitu.

Wiktorii zaśmiała się rozbawiona tą przemową. Antoni Borucki mógł się podobać jako mężczyzna i trudno było oprzeć się jego urokowi. Wprawdzie był sporo od niej starszy i wyglądał dość pospolicie, ale należał do tego typu mężczyzn, którzy z wiekiem nabierają szlachetności i urody. Nie była nim zainteresowana, skłamałaby jednak, gdyby miała powiedzieć, że towarzystwo tego człowieka sprawia jej przykrość.

– A to – wyjął zza pleców spory pakunek – prezent dla Złotowłosej.

– Ależ jak to? Za co pan ją przeprosza? Nie możemy tego przyjąć.

– Za to, że zdenerwowałem jej mamę, co mogło się niekorzystnie odbić na dziecku – odparł z udaną powagą, z wyrazem żartobliwej desperacji na twarzy, i wręczył Wiktorii pakunek. – Jeśli pani tego nie przyjmie, pójdę utopić się w Wiśle.

Pudełko zawierało najpiękniejszą lalkę, jaką kiedykolwiek widziała. Złotorude włosy, podobne w odcieniu do loczków Matyldy, otaczały porcelanową buzię z zamkniętymi, granatowymi oczami. Gęste rzęsy rzucały cień na różowe policzki lalki.

– Naprawdę nie mogę jej przyjąć – Wiktorii z żalem, ale stanowczo zwróciła mu lalkę. – To zbyt drogi prezent, proszę mnie nie stawiać w niezręcznej sytuacji.

Na twarzy przybyłego pojawił się cień zawodu, ale mężczyzna skłonił z szacunkiem głowę przed Wiktorią.

– Trudno, przechowam tę lalkę do czasu, kiedy sama Matylda zacznie mówić. Jeśli wyraźnie mi powie, że jej nie chce, zrezygnuję. A tymczasem – dodał z lekkim uśmiechem – czy mogę przychodzić tu od czasu do czasu? Nie mogę przecież przegapić momentu, kiedy mała zacznie mówić.

– Bardzo proszę – Wiktorii usztywniła się lekko – apteka jest dostępna dla wszystkich.

Dotarło do niej, że ten człowiek musiał przeprowadzić wywiad na jej temat, dlatego też pozwolił sobie na bardziej poufaly ton. Panna z dzieckiem, cóż to za gratka dla mężczyzny. Taka pewnie spragniona jest męskiego towarzystwa. I raczej przystępna, sądząc choćby po tym nieślubnym dziecku. Zrobiło jej się przykro.

– Pan wybaczy, ale jestem zajęta. Byłabym wdzięczna, gdyby zostawił nas pan w spokoju.

– Przepraszam, nie chciałem pani sprawić przykrości. – Borucki się zmieszał.

Rzeczywiście, Wiktorcia spodobala mu sie na tyle, ze zasiegnal o niej jezyka. Ludzie chetnie plotkowali na temat rzekomego slubu dziewczyny we Francji i tajemniczego ojca dziecka. Jedni jej wspolczuli, inni z luboscia wieszali na niej psy. Do tych drugich nalezaly w wiekszosci starsze matrony, ktore wlasne zycie uczuciowe mialy juz dawno za soba i chetnie zajmowaly sie cudzym.

Prawde mowiac, Boruckiemu bylo to najzupeniej obojetne, a wręcz nawet na reke. Ucieszył się, że ta piękna, mloda kobieta jest wolna, a teraz przekonäl się jeszcze, że jest równiez inteligentna. Zorientowala się natychmiast, że o nią rozpytywal. Ale zrobil tak tylko po to, żeby uniknac niezrecznej sytuacji, gdyby się okazalo, że jednak ma meza.

Z ulga przyjal informacje, że jest sama, bo nie tylko Wiktorcia, ale i mala Matyllda podbila jego serce natychmiast. Mial ochote zaopiekowac sie nimi obiema, wyczuwal jakas smutna tajemnice w ich zyciu.

– Jeszcze raz prosze o wybaczenie, ale moje intencje byly jak najbardziej szczerze. Ostatnia rzecza, jakiej bym pragnal, to urazic pani uczucia. Jesli tak sie stalo, bylo to niezamierzone. Przepraszam.

Wiktorcia mruknela cos pod nosem i wrócila do swojej pracy. Nie podniosla glowy, do czasu az mezczyzna sie pozegnäl i wyszedl z apteki. Z uprzejmym, zawodowym usmiechem skinela mu glowa na odchodne.

I niemal od razu zaczela zalowac, ze potraktowala tego czlowieka zbyt chlodno. Prawde mowiac, zachowywal sie przeciez grzecznie i z nalezytym szacunkiem. Niestety, byl mezczyzna, a Wiktorcia obiecala sobie, ze zaden mezczyzna nie zlami juz jej serca. Nie miala zamiaru nikomu dawac po temu okazji.

Niezrazony Borucki dosc czesto pojawial sie jednak w aptece. A to wpadal po leki dla matki, a to dla kogos ze swojego otoczenia, a to znowu potrzebowal czegoś dla siebie.

– Sama pani rozumie, Wiktorio, ze mezczyzni w moim wieku zaczynaja sie juz rozsypywac – tłumaczył z cala powaga utrzymujacej wciaz dystans wlascicielce. – Cos strzyknie w plecach, w kolanie... No i wzrok juz nie ten.

Wiktorcia ledwo powstrzymywala smiech. Zachowanie mezczyzny bawilo ja i z trudem sie przyznawala, nawet przed sama soba, ze kiedy nie przychodzil przez kilka dni, bylo jej czegoś brak. Skrzetnie jednak ukrywala przed nim radość, gdy wreszcie stawal w drzwiach apteki z nowym zamowieniem.

– Nie mieliśmy takich obrotów juz od dawna. A wszystko to dzieki twojemu adoratorowi – smiala sie Maryna.

– Jakiz to adorator, co ty pleciesz, Maryniu – oburzala sie Wiktorcia, ale blysk w jej oczach zdradzal prawdziwe mysli. – Namolny natret. I tyle.

Matyllda rowniez czekala na niego. Kiedy wchodzila do apteki z Kasperkowa, rozgladala sie wokol, po chwili zas z zawiedziona mina rozkladala raczki.

– Tata? Nie ma? Nie ma.

ROZDZIAŁ 5

„Zabójstwo arcyksięcia Ferdynanda w Sarajewie!”, „Zabójstwo arcy...księcia... Ferdyyy...nanda!”. – Biegający ulicą gazeciarz aż zachrypnął od głośnego krzyku.

Zaskoczeni przechodnie przystawali w pół kroku, spoglądając po sobie z niedowierzaniem. To była prawdziwa sensacja. Jeszcze nie tak dawno prasa rozpisywała się na temat planowanej wizyty książęcej pary w Sarajewie, dokładnie w rocznicę ich ślubu. Niektórym wydawało się to niemal romantyczne. A teraz arcyksiężę nie żyje?

Wiktoria zatrzymała chłopca i kupiła najnowsze wydanie „Czasu”. Oddała wózek z Matyldą idącej obok Kasperkowej, a sama rozłożyła gazetę i walcząc z lekkim wiatrem, podniosła ją na wysokość oczu. Wyłuszczonego druk na pierwszej stronie potwierdzał tę informację, w dalszej części notatki podawano szczegóły strasznego wydarzenia. W zamachu zginął nie tylko sam arcyksiężę, ale i jego żona, Zofia, księżna Hohenbergu. Kula zamachowca trafiła ją w podbrzusze, arcyksięcia zaś w szyję, w chwili gdy pochylił się nad ranną małżonką. Obfity krwotok z rozerwanej tętnicy szyjnej nie dawał żadnych szans. Oboje zmarli w drodze do rezydencji Konak, dokąd natychmiast ich zawieziono.

Od dłuższego już czasu na Bałkanach było niespokojnie, ale żeby aż doszło tam do zabójstwa? To nie wróżyło niczego dobrego.

Na ulicach i w sklepach zawrzało. W aptece też nie mówiono o niczym innym, tylko o zamachu. Ludzie na moment zapomnieli nawet o swoich chorobach, kupowali leki bez opowiadania o trapiących ich dolegliwościach. Spekulowano na temat konsekwencji tego wydarzenia w najbliższej przyszłości.

– Będzie wojna, zobaczycie!

– Ludzie, nie siejcie paniki. – Starszy, wąsaty jegomość o rumianym obliczu lekceważąco machnął ręką.

– Co nas może obchodzić jakieś Sarajewo. To ich sprawy.

– Panie, nie zapominaj pan, gdzie i na jakim świecie żyjesz. I kto zginął...

Antoni Borucki pojawił się w aptece jeszcze tego samego dnia. Z trudem udało mu się ukryć zaniepokojenie i obawę o los Wiktorii oraz małej Matyldy. Sam nawet nie przypuszczał, jak szybko zajmą ważne miejsce w jego sercu. Nie potrafił przestać o nich myśleć, zwłaszcza o Wiktorii i jej dumnym, a jednocześnie smutnym spojrzeniu. Najbardziej na świecie pragnął uczynić ją szczęśliwą, zobaczyć uśmiech na tej pięknej twarzy. Tymczasem nad głowami ich wszystkich zaczynały się zbierać czarne chmury.

Borucki zdawał sobie sprawę z zagrożenia, miał wojskowe doświadczenie i wiedział, że takie sytuacje rzadko kiedy da się zakończyć drogą pokojową. Wiedział też, że będąc oficerem – przeszedł, jako jednoroczny ochotnik, służbę wojskową zakończoną egzaminem oficerskim – w razie wojny zostanie zmobilizowany. A wtedy nie będzie mógł się zaopiekować ani Wiktorią, ani jej córką.

– Teraz trzeba się tylko modlić o to, żeby Austro-Węgry załatwiły sprawę z Serbią pokojowo – westchnął ciężko, obrzucając Wiktorię zatroskanym spojrzeniem.

Poczuł przyjemne ukłucie w sercu na widok rumieńca na twarzy młodej kobiety. Przez ostatnie tygodnie

przychodził do apteki tak często, jak tylko mógł, i z przyjemnością dostrzegł, że Wiktorcia zaczęła reagować na jego widok lekkim zmieszaniem, świadczącym, że nie jest jej całkiem obojętny.

– Będzie dobrze – odparła niepewnym głosem, sama niezbyt o tym przekonana. – Musi być dobrze. Ten zamach to pewnie dzieło jakiegoś szaleńca, to musi się jakoś wyjaśnić.

– Oby, oby...

Niewesołą rozmowę przerwało wejście Kasperkowej z Matyldą na rękach. Dziewczynka aż podskoczyła na widok gościa.

– Tata! Tata! – Wyciągnęła do niego rączki.

Borucki ze wzruszeniem chwycił ją w objęcia.

– Chciałbym być twoim tatą – szepnął cicho w słodko pachnące złotorude loczki.

Matylda zaczęła się kręcić i wyrwać ze śmiechem. Chwyciła go za nos tak mocno, aż poczuł łyzy w oczach. Udał, że kicha, co tylko jeszcze bardziej ją rozśmieszyło i sprowokowało do energiczniejszego tarmoszenia.

– Matyniu, przestań, przecież to boli – zaprotestowała Wiktorcia i odebrała mu małą. – Pan zaraz będzie płakał, zobaczysz.

Dziewczynka wykrzywiła buzię w podkówkę i już-już sama miała zamiar się rozpłakać, ale popatrzyła na uśmiechniętą twarz mężczyzny z czerwonym nosem i znów roześmiała się radośnie. Zaczęła machać nóżkami w powietrzu, domagając się, by postawiono ją na podłodze.

– Chodzisz już, maleńka? – Borucki nachylił się nad dzieckiem.

– Nie. – Wiktorcia pokręciła przecząco głową. – Mały leniuszek chciałby być stale noszony na rękach. – Tu spojrzęła z żartobliwą wymówką na ciocię Kasperkową. – A jak już chodzi, to musi trzymać kogoś za palec.

Mała, jakby rozumiejąc, że o niej mowa, zrobiła kilka kroków uczepiona dłoni matki.

– Chodź do mnie, księżniczko. – Borucki wyciągnął do niej rękę. – Ale sama, bez mamy – dodał, widząc, że dziecko robi krok w jego kierunku, trzymając się kurczowo palca Wiktorcii.

Do apteki wszedł jakiś klient, co na tyle wystraszyło Matyldę, że ciężko klapnęła pupą na posadzkę. Chwilę posiedziała, a kiedy się okazało, że nic jej nie zagraża, ruszyła pędem w stronę Boruckiego na czworakach. Podniósł ją ze śmiechem w górę i z powrotem postawił na nóżkach.

– O nie, moja ty spryckiarko. Chodzimy, a nie czołgamy się. Chodzimy jak duże dziewczynki.

– Ma pan podejście do dzieci. – Wiktorcia z uśmiechem podała córeczce palec, widząc, że mała znów przymierza się do kłapanięcia na chłodną posadzkę. Chciała dodać, że aż dziwne, że do tej pory jeszcze się nie ożenił i nie ma własnych, ale jej nie wypadało.

Borucki jednak odgadł jej myśli.

– Byłem kiedyś żonaty – powiedział zgaszonym tonem. – I miałem też właśnie taką córeczkę, Julcię.

Wiktorcia nie przerywała, z biciem serca czekając na dalszy ciąg. Czuła, że ta historia nie ma szczęśliwego zakończenia.

– Julia zmarła na odrę – dodał po chwili milczenia. – A żona zaraziła się od niej i odeszła niedługo potem. Podobno takie choroby od dzieci często kończą się śmiercią u dorosłych. Tylko mnie nic się nie stało...

– Mój Boże – szepnęła ze łzami w oczach Wiktorcia. – Tak bardzo mi przykro. Przepraszam, że w ogóle poruszyłam ten temat.

– Proszę nie przepraszać, niczego złego pani nie zrobiła. Ta sprawa wypłynęłaby prędzej czy później. Już się pogodziłem z losem, chociaż nigdy o nich nie zapomnę. Zwłaszcza o Julci. I zwłaszcza teraz, kiedy poznałem Matyldę, która tak bardzo przypomina moją córeczkę.

Matylda usłyszała swoje imię i nagle puściła palec matki. Przez chwilę stała niepewnie, łapiąc

równowagę, a w końcu odważyła się zrobić pierwszy, chwiejny krok w kierunku Boruckiego. Za nim poszły następne i w końcu z radosnym śmiechem wpadła w ramiona mężczyzny.

– Cudnie! Pięknie! – Wiktor, Kasperkowa i Borucki zaczęli bić brawo uszczęśliwionej dziewczynce.

– To były drugie najpiękniejsze pokraczne kroczyki, jakie w życiu widziałem. Pierwsze zrobiła Julcia. – Mężczyzna nie krył łez. Podniósł dziewczynkę do góry i ucałował w oba zarumienione z wrażenia policzki.

Wzruszona Wiktor, również pociągała nosem, a Kasperkowa, nawet nie ocierając łez, z rozrzewnieniem spoglądała na młodą kobietę i Boruckiego z dzieckiem na ręku. Czuła swoim niemal matczynym sercem, że jej ukochana Wiktor, w końcu trafiła na odpowiedniego mężczyznę. Nawet jeśli na razie nie zdawała sobie jeszcze z tego sprawy. I broniła się przed tym uczuciem rękami i nogami.

Życie w Krakowie powoli wracało do normy, zwykli ludzie zdążyli już zapomnieć o ataku na arcyksięcia i jego małżonkę. Tylko ci, którzy znali się na rzeczy, śledzili z niepokojem kolejne doniesienia o sytuacji powstałej po zamachu. Rząd Austro-Węgier postawił Serbii ultimatum, w którym jeden z punktów dotyczył przeprowadzenia przez Austriaków śledztwa na jej terenie, na co Serbowie nie chcieli się zgodzić. Sytuacja stawała się coraz poważniejsza i coraz bardziej zaczęto się liczyć z możliwością wybuchu wojny.

Dwudziestego piątego lipca ogłoszono powszechną mobilizację. Przerażeni krakowianie skupiali się przed naklejonymi na rogach ulic afiszami, rozchwytywali nadzwyczajne dodatki, dzielili się swoim lękiem i obawą o przyszłość. Następnego dnia władze zaczęły rekwirować wozy, konie i samochody, a na ulicach, Plantach i trawnikach biwakowali przybyli do miasta zmobilizowani, dla których zabrakło miejsca w koszarach. Miasto szykowało się tak, jakby już na drugi dzień miały się rozpocząć działania wojenne. Spędzone na Błonia bydło, mające stanowić podstawę wyżywienia twierdzy Kraków, masowo padało, źle karmione i nienapojone. Trzeba je było zarzynać na miejscu.

Apteki, w tym i ta należąca do Wiktor, przeżywały prawdziwe oblężenie. Przebywający w prymitywnych warunkach zmobilizowani cierpieli na biegunkę i inne dolegliwości trawienne. Wiktor, i Maryna dwoiły się i troiły, żeby sprostać rosnącym zamówieniom. Najgorszy był jednak strach przed groźną wojną. Ludzie o słabszych nerwach potrzebowali czegoś na uspokojenie, wszelkiego rodzaju nalewki i ziołowe mieszanki wyciszające rozchodziły się jak ciepłe bułeczki.

Antoni Borucki, jak to wcześniej przewidywał, również został zmobilizowany. Zdążył jeszcze wpaść do Wiktor, proponując jej wyjazd do Ołomuńca.

– Wysyłałem już matkę, ma tam siostrę. Dom jest ogromny, pomieścicie się bez kłopotu. Proszę, niech pani weźmie Matyldę i jedzie ze mną, jeszcze zdążę was odwiedzić. Tam będziecie bezpieczne.

Ale Wiktor, nawet nie chciała słyszeć o wyjeździe. Po pierwsze, nie bardzo wierzyła w bezpośrednie zagrożenie, po drugie, nie zamierzała zostawiać apteki w obcych rękach. Musiałaby rzucić wszystko, zabrać ze sobą ciotkę Kasperkową z Joasią i Maryną, która nie miała własnej rodziny. Obawiała się, że podczas ich nieobecności wszystko zostałoby rozszabrowane. Widziała, jak się zachowywali niektórzy żołnierze przybyli do miasta. Wolała nie ryzykować. Apteka stanowiła źródło utrzymania dla niej i całej jej rodziny.

Bardziej martwiła się o Adama, który jako cesarski poddany też podlegał obowiązkowi mobilizacji i w razie wojny zostałby wysłany na front z Wiednia. Tylko Stefanek, ze względu na swoje upośledzenie, był bezpieczny.

Adam, jeśli przyszłaby taka konieczność, musiałby zostawić młodą żonę i małego Jasia, który urodził się miesiąc przed Matyldą. Z krótkich listów Kasi wynikało, że młodym nie układało się zbyt dobrze. Adam stał się porywczy, zdarzało mu się nawet uderzyć żonę w gniewie, a dziecko go drażniło. Sam

przestał pisać do siostry, tłumacząc się w dopiskach do listów żony brakiem czasu i zbyt wieloma obowiązkami, jakie spadły na niego w związku z małżeństwem i narodzinami synka.

Na szczęście mam Stefanka, który we wszystkim mi pomaga – pisała Kasia. – I jest taki dobry, że szkoda, że Adam taki nie jest.

I stało się. We wtorek, dwudziestego ósmego lipca, po południu, na murach i słupach ogłoszeniowych ukazały się afisze z cesarską proklamacją o wypowiedzeniu wojny Serbii.

Joasia przyniosła do domu jednostronicowe wydanie „Czasu”, sprzedawane przez gazeciarzy na ulicach za sześć halerzy. Wszystkie trzy po kolei czytały z drżeniem serca proklamację, przyciskając zwinięte dłonie do ust. Wiktoria, której głos zaczął się załamywać, oddała gazetę Joasi.

– „Dziś o g. 5 po południu otrzymaliśmy z c.k. Biura korespondencyjnego następujący telegram – zaczęła czytać dźwięcznym głosem dziewczynka. Nie zdawała sobie sprawy z zagrożenia, dla niej była to tylko ekscytująca przygoda. – »Wiedeń, dnia 28 lipca 1914. Na podstawie najwyższej decyzji Jego Cesarskiej i Apostolskiej Mości z dnia 28 lipca 1914 r. wystosowano dzisiaj do rządu królewskiego serbskiego zredagowane w języku francuskim wypowiedzenie wojny. Austro-Węgry przeto od tej chwili uważają się na stopie wojennej z Serbią«”.

Borucki, już w austriackim mundurze, wpadł pożegnać się z Wiktorią. Przydzielono go do sztabu generała Kirchbacha. Wyjeżdżał z Krakowa, ale obiecał pamiętać o nich i zaglądać, gdy tylko będzie miał po temu okazję. Wiktoria poczuła ogromny smutek, żegnała pana Antoniego, jakby już nigdy miał nie wrócić. Zdążyła się przyzwyczaić do ciągłej obecności tego starszego od niej i niezbyt przystojnego, ale dobrego człowieka. Coraz częściej przyłapywała się na myśli, że byłby dobrym ojcem dla Matyldy. Najlepszym z możliwych.

A teraz obie musiały go pożegnać, nie wiadomo na jak długo. Być może nawet na zawsze.

Wieczorem tego samego dnia Wiktoria zostawiła Matyldę pod opieką cioci, a sama, wraz z Joasią, wybrała się na Kolejową, żeby wziąć udział w uroczystym pożegnaniu odchodzącego na stanowisko dowódcy 2. Armii generała Edwarda Böhm-Ermollego, dotychczasowego dowódcy I Korpusu Krakowskiego. Nastroje wśród ludzi zgromadzonych tłumnie wzdłuż ulicy były raczej radosne i pełne optymizmu. Mieszkańcy Krakowa byli przekonani, że rozprawa z Serbią będzie krótka i stanowi jedynie formalność.

Tłumy krakowian ustawiły się wzdłuż trasy przejazdu generała, aż do dworca kolejowego. Żołnierze ze wszystkich jednostek korpusu trzymali w rękach zapalone kolorowe lampiony i smolne pochodnie, co w zapadającym już zmierzchu dawało piękny widok. Automobil generała, poprzedzany szwadronem ułanów, przemieszczał się powoli wśród entuzjastycznych okrzyków: „Niech żyje armia”.

– Jak pięknie! – cieszyła się Joasia, podskakując z przejęcia.

Przeciskając się przez ciżbę, zaciągnęła Wiktorię aż na sam dworzec, żeby tam jeszcze zobaczyć wsiadającego do ukwieconego wagonu generała, który przy dźwiękach marsza Radetzky’ego odjeżdżał do Wiednia.

Kiedy wracały do domu, dziewczynce nie zamykały się usta. Traktowała Wiktorię jak starszą siostrę i zwierzała jej się ze swoich małych sekretów.

– A wiesz – zniżyła głos, co mogło oznaczać tylko jedno: sprawa należała do tych bardziej romantycznych. – Jasiek, mój kolega – wymówiła z naciskiem to słowo, żeby nie było żadnych wątpliwości co do relacji łączących ją z owym chłopcem. – Otóż ten mój kolega powiedział, że ucieknie i zaciągnie się do wojska, bo chce wziąć udział w prawdziwej wojnie. Jakby co, to ja mu dam na drogę medalik z Matką Boską. Odważny jest, prawda?

– Nie odważny, lecz głupi – ofuknęła ją Wiktoria. – Wojna to nie zabawa w Indian, tylko poważna

walka dla dorosłych. Niech on najpierw skończy gimnazjum, a potem może robić, co zechce. Nikt go na tej wojnie nie będzie teraz niańczył.

– E tam, gadasz jak stara ciotka. – Dziewczynka wydeła wargi. – Żałuję, że ci o tym powiedziałam.

– Joasiu! – Wiktoria spojrzała na nią srogo.

Udawała niezadowoloną, ale była z niej dumna. Córka Kasperkowej dobrze się uczyła i zajmowała wciąż jedną z pierwszych lokat w szkole. Często też towarzyszyła Wiktorii w aptece, radząc sobie doskonale. Pewnego dnia podczas wspólnego obiadu oznajmiła wszystkim, że po maturze zamierza iść na Uniwersytet Jagielloński i skończyć studia farmaceutyczne, jak uwielbiana przez nią Wiktoria. Kasperkowa miała łzy w oczach, a Wiktoria tylko bez słowa przytuliła dziewczynkę.

Przy takim wsparciu mogła się nie martwić o przyszłość rodzinnego interesu.

ROZDZIAŁ 6

Tak jak to było do przewidzenia, Adam został zmobilizowany i wysłany na front. Kasia powiadomiła o tym Wiktorię w jednym ze swoich pięknych, pisanych poprawną polszczyzną listów.

Mówił, że szybko wróci, bo to żadna poważna wojna, ale ja się boję, że nie wróci. Mam jakieś złe przeczucia. A on taki był zadowolony, że nawet sobie Isia nie wyobraża. Jakby na wycieczkę jechał.

Wiktorcia wyczuwała w słowach bratowej żal i zawód. Adam ponoć zmienił się zupełnie po narodzinach synka. Miał żal do żony o to, że cały swój czas poświęca dziecku, a jego samego odstawiła na boczny tor.

A przecież przy dziecku tyle roboty – pisała dalej Kasia. – Noce nieprzespane, bo to albo kolki, albo ząbki, albo jeszcze co innego, a on przecież nie wstanie. W dzień też robota w domu przy garach i pieluchach, a Adam tylko do pracy chodzi, a jak wraca, to każe się obsługiwać, bo zmęczony. A ja to niby nie zmęczona? Któregoś dnia tak się zezłościł na Jasiulka, bo płakał, że o mało nie rzucił nim o ścianę...

Jezus Maria!, Wiktorcia nie była w stanie powstrzymać okrzyku grozy. Z bijącym sercem rzuciła okiem na trzymaną w dłoni kartkę, bojąc się dalszego ciągu opowieści, na szczęście wszystko skończyło się dobrze.

Zanim zdążyłam coś zrobić, Stefanek podskoczył do niego i wyrwał mu Jasia z rąk. Wyglądał przy tym tak groźnie, że Adam chyba się przestraszył, bo nic nie powiedział, tylko uciekł z pokoju. Zły jest też, że mały mówi na Stefanka „tata”, ale to właśnie Stefanek spędza z nim najwięcej czasu, a nie Adam, to skąd dziecko ma wiedzieć, kto jest jego ojcem? Mam nadzieję, że na tej wojnie ochłonie trochę i zatęskni za nami. I wróci już jako mój Adaś, ten, w którym kiedyś się zakochałam.

Wiktorcia nie była tak dobrej myśli jak Kasia. Znała Adama i chociaż ten na krótko przed ucieczką do Wiednia zmienił się na lepsze, groźne dziedzictwo krwi najwyraźniej zaczęło dawać o sobie znać. Z biegiem czasu mogło być tylko gorzej. Ojciec w młodości też ponoć był dobrym chłopcem. W każdym razie lepszym niż jego wyklęty przez rodzinę brat.

Jak to dobrze, że jest tam chociaż Stefanek, pomyślała Wiktorcia z ulgą. Pracuje, zarabia pieniądze i dzięki temu może im pomóc, nie tylko opiekując się bratową i bratankiem. Kasia nie powinna w tej sytuacji odczuć braku Adama jako jedyne go żywiciela rodziny. Bo pewnie sama, mając małe dziecko, nie pracowała.

Z Paryża też zaczęły napływać niepokojące wiadomości. Z początkiem sierpnia Niemcy wypowiedzieli Francji wojnę i chociaż tam również nie traktowano tego zbyt poważnie i wierzono, że wszystko zakończy się za kilka tygodni, w listach Ivonne dawało się wyczuć zaniepokojenie. Prosiła Wiktorię, żeby przyjechała z Matyldą do Le Gravier, gdzie, jak zapewniała, będzie spokojnie i bezpiecznie. Matka Ivonne i Pascala zmarła na zapalenie płuc po wieczornej kąpeli w Sarthe. Uparta staruszka nie posłuchała swojej opiekunki i mimo wietrznej pogody postanowiła popływać w rzece. Na skutki nie trzeba było długo czekać. Zmarła po tygodniu choroby, zapisawszy wcześniej cały majątek synowi. Ten

jednak nie miał najmniejszego zamiaru przeprowadzić się do rodzinnej posiadłości. Wolał korzystać z odziedziczonych pieniędzy w Paryżu, dom stał więc pusty.

Dzięki pieniądzom Pascalowi udało się też wymigać od wcielenia do armii i wyjazdu na front. O dziecku, jak już otwarcie pisała Ivonne, nawet nie chciał słyszeć, twierdząc uparcie, że nie jest jego. Nie przekonało go nawet wysłane na prośbę Ivonne zdjęcie małej Matyldy, na którym, niestety, nie było widać koloru jej włosów. Ivonne, w przeciwieństwie do brata, zauważyła rodzinne podobieństwo i wprost nie mogła się nim nacieszyć.

Wprawdzie Wiktoria nigdy nie liczyła na to, że w Pascalu obudzą się nagle uczucia ojcowskie, niemniej jednak zrobiło jej się przykro. Głównie ze względu na Matyldę, której nigdy nie będzie dane poznać własnego ojca. Podziękowała Ivonne za zaproszenie i troskę, lecz nie zamierzała ruszać się z Krakowa. Nie potrafiła tego racjonalnie wytłumaczyć, ale miała przeświadczenie, że tu cała jej rodzina będzie najbezpieczniejsza. Do tej rodziny zaliczała również wdowę Kasperkową oraz Joasię, za które czuła się osobiście odpowiedzialna.

We wrześniu władze ogłosiły, że twierdza Kraków znajduje się w stanie wojny, w związku z czym mieszkańcy miasta dostali polecenie zaopatrzenia się w żywność na co najmniej trzy miesiące. Nakazano też cywilom opuszczenie okręgu fortecznego, zostać mogli jedynie ci, którzy byli w stanie udokumentować zgromadzone zapasy. Krakowianie rzucili się więc do sklepów i magazynów, jako że nikt nie miał ochoty opuszczać miasta. Doszło do tego, że w połowie listopada zostały zamknięte wszystkie sklepy i gospody, z powodu wykupienia całego towaru. Kasperkowa zgromadziła w piwnicach pod apteką zapasy składające się z niezliczonych woreczków mąki, cukru i kaszy. Wiktoria otrzymywała dużą pomoc również od rodziny Hanki, swojej matki. Babcia Szczygłowa zupełnie straciła głowę dla prawnuczki i jeszcze przed wybuchem wojny dbała o jej wyżywienie.

– Moje to cudo najukochańsze. – Tuliła i całowała zadowoloną z pieśczoł Matyldę. – Takim szczęściem Bóg mnie obdarzył, szkoda tylko, że biedna Hania tego nie dożyła.

Wuj, brat Hanki, również zakochał się w małej i często pojawiał się na Grodzkiej objuczony produktami z ich gospodarstwa, „żeby dziecku ptasiego mleka nie zabrakło”. Wiktoria miała więc dla Matyldy zawsze świeże warzywa i owoce, a także jajka, drób czy króliki.

Antoni Borucki odwiedzał Wiktorię tak często, jak to tylko było możliwe. Przywoził cukier i mąkę, „zorganizowane” przez jego przedsiębiorczego ordynansa. Nie raz i nie dwa do domu przy ulicy Grodzkiej trafiła także chuda kurka, kilka jajek czy też polec słoniny. Wiktoria była wdzięczna Antoniemu, zwłaszcza że swoimi zapasami dzieliła się teraz z sierocińcem, nad którym od lat sprawowała pieczę.

Siostry zakonne, prowadzące ochronkę, były jej niezmiernie wdzięczne za pomoc. Same, z braku odpowiednich funduszy, nie mogły zgromadzić zbyt wiele żywności, a ich sierotami mało kto się teraz przejmował. Każdy myślał tylko o sobie i własnej rodzinie.

Nie wszyscy zdołali zgromadzić wystarczającą ilość zapasów, zaczął się więc szerzyć głód, a z nim choroby. Kłopoty były również z pracą, ludzie mieli więc coraz mniej pieniędzy. Doszło do tego, że najbiedniejszym rodzinom, zwłaszcza tym z małymi dziećmi, Wiktoria wydawała leki za darmo, na „po wojnie”. Nie słuchała przestróg zaniepokojonej Maryny.

– Iśka, za chwilę nie będziemy miały pieniędzy na zakup nowych medykamentów – ostrzegła ją coraz częściej. – Rozumiem twoje pobudki, ale zastanów się, proszę.

– I tak trudno już cokolwiek kupować i sprowadzać. Co za różnica. – Wiktoria wzruszała ramionami. – Myślisz, że mogę patrzeć na rozpacz matek chorych dzieci? A gdyby to Matysia potrzebowała lekarstw i nie mogłabym ich dostać z braku pieniędzy? Pieniądze raz są, raz ich nie ma. Trudno, zdam się na los.

Bywało, że Wiktoria wychodziła z apteki śmiertelnie zmęczona, późną nocą, kiedy cały dom już spał.

Cały, oprócz cioci Kasperkowej, która drzemiąc na taborecie w kuchni, podtrzymywała ogień pod blachą, żeby jej ukochana Isia mogła w końcu zjeść coś ciepłego. Wprawdzie jedyne, na co w takich momentach Wiktoria miała siłę, to pójście do pokoju dziecięcego i ucałowanie spoconej od snu główki córeczki, ale nie chciała sprawiać przykrości swojej opiekunce. Jadła więc z musu, uważając, żeby nie wpaść nosem do talerza, a potem szła prosto do swojego pokoju i nie myjąc się nawet, padała na łóżko, usypiając niemal natychmiast. Dokładną toaletę zostawiała sobie na rano.

– Isiu kochana – Borucki nie krył już swoich uczuć do niej – dbaj o siebie i Matynię. Wasz los, oprócz troski o matkę, spędza mi teraz sen z oczu. Wojna może potrwać dłużej, niż wszystkim się wydawało, obawiam się, że nadejdą gorsze czasy. Jeszcze mogę was wywieźć do Ołomuńca, w bezpieczne miejsce.

– Nie, Antosiu, nie mogę zostawić swoich dzieci na zatracenie – odmawiała stanowczo.

Miała na myśli nie tylko Matyldę i Joasię, ale i sierociniec, który coraz gorzej radził sobie z zaopatrzeniem. Zapasy kurczyły się powoli, chociaż Wiktoria sama zaczęła oszczędzać, żeby starczyło dla wszystkich na dłużej. Niemal zupełnie przestała używać cukru, zostawiając go wyłącznie dla dzieci.

Coraz rzadziej myślała teraz o Filipie, a coraz częściej o Antonim. Ten niezwykle człowiek podbił jej serce swoim charakterem i troską, głównie o Matyldę, co chyba dla każdej matki najważniejsze. Czuła, że przy jego boku obie mogłyby czuć się bezpieczne. Pojawiał się w jej snach w taki sposób, że rano budziła się podniecona i zawstydzona.

Całym swoim młodym ciałem i całą duszą pragnęła miłości i czułości.

– Gdzie tata? – pytała Matylda, wchodząc do apteki. Przyzwyczaiała się, że tu najczęściej mogła spotkać Antoniego. Wyrывała się z rąk Kasperkowej, żeby sprawdzić wszystkie zakamarki, nie wierząc w zapewnienia, że go tu, niestety, nie ma.

Borucki starał się nie odwiedzać Wiktorii w jej prywatnym mieszkaniu, żeby uniknąć niepotrzebnych plotek, przychodził więc do niej do pracy, co jednak wcale nie uchroniło ich przed złymi językami. Złośliwe matrony wymyślały niestworzone rzeczy, żeby tylko uprzykrzyć życie młodej aptekarce.

– Zamiast walczyć na froncie, wiecznie przyjeżdża tu do niej – szeptały za jej plecami, robiąc porozumiewawcze miny. – Może to szpieg? Bo przecież niemożliwe, żeby zakochał się w Bernatównie. Chude toto jak szczapa. I pyskate.

– E tam, zakochał się. Baba chętna, to przychodzi. Taka to każdemu da. Myśli pani, że za co on tak te paczki jej przywozi? Wielka francuska hrabini, myślałby kto. Zwykła francuska dziwka.

Wchodząca właśnie do apteki Kasperkowa usłyszała koniec rozmowy klientek i aż zabrakło jej tchu z oburzenia.

– A te stare lampucery co tu robią?! – wrzasnęła, kiedy tylko odzyskała głos. – Do domu pędzić i sprawdzić, czy mąż nie obraca służącej, jak to ma ostatnio w zwyczaju! Trudno mu się zresztą dziwić przy takich żonach. Toż i małpa przyjemniejsza w obejściu!

– Ciociu!... – Wiktoria szybko przekazała klienta Marynie i podeszła do rozsierdzonej Kasperkowej. Matylda wykrzywiła buzię w podkówkę i gotowa była w każdej chwili wybuchnąć płaczem. – Ciociu, przecież tak nie można. Co się stało?

– Co się stało?! Jeszcze mnie pytasz, co się stało? Zapytaj lepiej te podłe babszty! Zapytaj, co o tobie mówią za plecami, jak cię obgadują stare koczkodany!

Obie kobiety, mieniąc się na twarzach, wycofywały się w stronę drzwi. Odprowadzały je zaciekawione i drwiące spojrzenia innych klientów. Nie wszyscy mieli tak złe zdanie o Wiktorii. Większość z nich wiele zawdzięczała młodej aptekarce i wcale nie chciało sobie robić z niej wroga. Lubili ją i podziwiali, niezależnie od tego, co naprawdę myśleli o jej prowadzeniu się i nieślubnym dziecku.

– A niech którą jeszcze raz zobaczę w aptecę – wołała za nimi rozsierdzona Kasperkowa – to grube kulasy połamię osobiście. I psami poszczuję!

– A skąd ciocia te psy weźmie? – Wiktoria uśmiechnęła się smutno.

– A kupię! – Kasperkowa odwróciła się z małą na ręce i energicznym krokiem ruszyła do mieszkania.

Musiała napić się ziółek na uspokojenie, zanim znów mogła wyjść z dzieckiem na spacer.

Wbrew pozorom Wiktoria wciąż bardzo przeżywała ludzkie gadanie. Po pierwszym szoku wywołanym informacją o francuskim arystokracie, który, wbrew oczekiwaniom niektórych, wcale się nie pojawił w Krakowie, ludzie zaczęli snuć domysły na temat ojca jej dziecka. Im bardziej kogoś ponosiła fantazja, tym większy poklask znajdował wśród plotkarek. Na szczęście nie wszystkie brudne historie docierały do uszu Wiktorii, starały się o to Kasperkowa i Joasia. Obie oddałyby życie za Wiktorię, więc osoby, które w ich obecności źle się o niej wyrażały, mogły mówić o wyjątkowym pechu.

Kasperkowa przemilczała przed ukochaną Isią fakt, że została wezwana do szkoły, w której uczyła się Joasia. Dziewczynce groziło wydalenie z powodu naganego zachowania. Wielce naganego, jak stwierdziła z surową miną dyrektorka. Okazało się, że Joasia pobiła dotkliwie swoją koleżankę, w dodatku obie nie chciały powiedzieć, za co.

Kasperkowa nie miała jednak wątpliwości. Jej domysły potwierdziła sama Joasia, już w domu.

– Powtarzała paskudne rzeczy, pewnie słyszała to w domu. – Dziewczynka nie czuła żadnych wyrzutów sumienia. – Należało jej się. I szybko tego nie powtórzy, bo następnym razem nie skończy się na podrapanej twarzy i potarganych włosach. Solennie jej to obiecałam...

Matka z trudem ukryła uśmiech zadowolenia. Była dumna ze swojej córki, lecz pochwalanie bójek nie było zbyt wychowawcze, więc musiała potępić jej postępek.

– Rozumiem, ale nie możesz się zachowywać jak zwykły andrus. Tak nie przystoi panience. Jeszcze powiedzą, że to Wiktoria daje ci zły przykład.

– O tym nie pomyślałam... – zmartwiła się Joasia.

– No właśnie. To pomyśl następnym razem, kiedy znów najdzie cię ochota, żeby kogoś pobić.

Wbrew obawom matki Joasia nie została zawieszona ani wydalona. Dostała tylko surowe upomnienie i obniżono jej ocenę ze sprawowania, z ostrzeżeniem, że następnym razem będzie musiała pożegnać się ze szkołą. To podziałało najmocniej, znaczyło bowiem, że wówczas dziewczynka mogłaby się pożegnać z maturą, a co za tym idzie, wymarzonymi studiami na Uniwersytecie Jagiellońskim. Żadna inna szkoła prawdopodobnie nie przyjęłaby uczennicy z tak złą opinią.

Podłe ludzkie gadanie docierało również do Antoniego, starały się o to głównie matki panien na wydaniu. Bogaty kupiec, do tego wdowiec, był łakomym kąskiem. Wojna, wiadomo, prędzej czy później się skończy i Borucki dalej będzie pomnażał swój majątek. Ogromny majątek, jak z lubością i niezdrowymi wypiekami na twarzy tłumaczyły owe zacne matrony swoim córkom. Wprawdzie nie był zbyt przystojny, zgadzały się z tym, ale przecież z takimi pieniędzmi nawet sam diabeł może wyprzystojnić.

– Wiktorio, zrobisz mi ten zaszczyt i zostaniesz moją żoną, jak tylko wojna się skończy? – spytał pewnego dnia uroczystym tonem Antoni. – Nie wyobrażam sobie dalszego życia bez ciebie i bez Matyldy. Proszę, przemyśl to.

– Zgadzam się już teraz – odparła po prostu, bez zastanowienia.

Wprawdzie spodziewała się jego oświadczyn, mimo wszystko jednak była nimi do głębi poruszona. Ona również przyzwyczała się do myśli o tym mężczyźnie jako o towarzyszu życia i ojcu dla swojej córeczki. Nikogo lepszego do tej roli nie potrafiła sobie wyobrazić. W jego obecności czuła się bezpiecznie i... tak kobieco. To, jak na nią patrzył, sprawiało, że puls jej przyspieszał, a całe ciało oblewała fala gorąca. Miała ochotę wtulić się w jego ramiona i zapomnieć o wszystkich kłopotach. Widziała, że i on czuł się w jej obecności podobnie, ale dobre wychowanie nakazywało mu zachować powściągliwość. Jedyne kontakty fizyczne, na jakie sobie pozwalał, ograniczał się do uściśnięcia

i ucałowania jej dłoni. Przedłużali oboje te chwile, jak tylko to było możliwe. W końcu Wiktoria z żalem cofała rękę, jeszcze długo czując na niej jego palące pocałunki.

O Filipie myślała tylko w chwilach, gdy dochodziły do niej wiadomości na jego temat. A właśnie niedawno dowiedziała się z listu od Ivonne, że zgłosił się na ochotnika na wojnę jako francuski lekarz. Wprawdzie był Polakiem, lecz już nie nazywał się Filip Michalski, tylko doktor Phillippe Leblanc. Z „jej” Filipem niewiele miał wspólnego, ale nadal była ciekawa jego losów. Tylko że teraz mogła myśleć o nim bez bólu. Prawdziwy Filip, jej ukochany, umarł wraz z pierwszą miłością, a na jego miejscu pojawił się jakiś obcy Francuz.

Po tym pierwszym pozostał tylko smutek i nieokreślony żal za czymś, co mogło być, ale nie było.

ROZDZIAŁ 7

Do Krakowa zbliżały się carskie pułki, walki toczyły się w pobliżu murów miasta, sytuacja była coraz groźniejsza. Ci, którzy nie wyjechali wcześniej, teraz nie mieli już na to szans. Mogli tylko ze strachem słuchać, jak działa z twierdzy Kraków ostrzeliwują nacierających Rosjan. W mieście brakowało mężczyzn, zostały już tylko głównie kobiety z dziećmi, nienadający się do służby starcy, kominiarze i listonosze.

Borucki przestał wpadać na Grodzką i Wiktoria zaczęła się obawiać o jego życie. Tym bardziej że krakowskie szpitale były pełne rannych i umierających żołnierzy. Wiktoria i Joasia zgłosiły się jako pielęgniarki ochotniczki i chodziły pomagać przy ciężej rannych, w miarę swoich możliwości i czasu. Bywało, że Wiktoria całymi dniami nie widywała Matyldy, a kiedy wracała do domu, mogła już tylko ucałować śpiącą córeczkę. O małą była spokojna, lepszej opiekunki niż kochająca babcia Kasperkowa nie mogła sobie nawet wymarzyć. Gorzej było z Antonim Boruckim, martwiła się teraz o niego nieustannie i coraz wyraźniej docierało do niej, jak bardzo jej zależy na tym mężczyźnie. Ze strachem wchodziła do przesiąkniętych odorem krwi i śmierci szpitalnych sal, wypatrując tam narzeczonego. Wypytywała o niego innych żołnierzy, jednak nikt go nie spotkał, nikt nie umiał niczego o nim powiedzieć.

Joasia szybko się przekonała, że praca pielęgniarki nie jest jej pisana. Kiedy umierał przy niej młody chłopiec, z płaczem uciekła ze szpitala i długo nie mogła dojść do siebie. Postanowiła inaczej przyczynić się do Pomocy Wojennej – wraz z innymi koleżankami ze szkoły skubała szarpie, szyła onuce i robiła papierosy.

Odprowadzały też na dworzec żołnierzy wyjeżdżających na front. Ci, jeszcze cali i zdrowi, byli dla dziewcząt o wiele bardziej interesujący niż tamci w szpitalu. Można było nawet poflirtować, ukradkiem podać swój adres, a później, z wypiekami na twarzy, czekać na list. Joasia nie wspominała już o „koledze”, który wybierał się na wojaczkę. Nie wybrał się, czego Wiktoria łatwo się domyśliła, a medalik z Matką Boską dziewczynka podarowała komuś innemu. Prawdziwemu bohaterowi, jakim był dla niej każdy wyjeżdżający na front żołnierz.

Czas między pracą w aptece, opieką nad rannymi w szpitalu i domem płynął tak szybko, że ani Wiktoria się obejrzała, a minął niemal rok od wybuchu wojny. Powoli zaczęła przyzwyczajać się do myśli, że Antoni gdzieś zginął i ona nawet nigdy się nie dowie, co się z nim stało.

– List do panienki! – Czerstwa twarz listonosza rozjaśniła się na widok Wiktorii. Pamiętał ją jeszcze jako dziecko kręcące się po aptece ojca i sprzedające swoje „leki” wyimaginowanym klientom.

– Z frontu? – Na moment serce jej zamarło, była niemal pewna, że to od Antoniego. Nareszcie się odezwał, chwala Bogu!

– Nie, z Francji. – Mężczyzna rzucił okiem na nieco sfatygowaną kopertę. – Ale tym razem nie z Paryża. Trudno rozczytać, bo stempel zamazany, jakby go kto w wodzie moczył. Ta koperta chyba swoje przeszła.

Wiktorija odebrała list od staruszka, najwyraźniej mającego ochotę na dłuższą pogawędkę, przeprosiła go z uśmiechem, że bardzo jest zajęta, i wróciła do apteki, chcąc jak najszybciej rozerwać kopertę. Kiedy jednak usiadła spokojnie, zaczęła się wahać. Kto mógł do niej napisać z Francji? To, że list nie był z Paryża, czyli nie pochodził od Ivonne, napawało ją nieokreślonym lękiem. Przez dłuższą chwilę obracała kopertę w dłoni, bezskutecznie usiłując odczytać stempel na znaczku.

– Co się stało, Isiu? – Na zaplecze zajrzała Maryna, zaniepokojona dłuższą nieobecnością koleżanki. – Jakies złe wieści?

– Jeszcze nie wiem, nie mam odwagi otworzyć. – Wiktorija skuliła się, zaciskając dłonie na kopercie.

– Lepiej to zrób, póki jeszcze nadaje się do czytania.

Uwaga Maryny rozładowała napięcie. Jej ironiczne i lekko złośliwe poczucie humoru wprowadzało zawsze Wiktorię w dobry nastrój. Tak było i teraz. Roześmiała się, jeszcze nerwowo, ale sama już czuła, że się uspokaja.

– Chyba masz rację. Czytam. Raz kozie śmierć.

Teatralnym gestem rozerwała kopertę i wyjęła z niej złożone w czworo kartki. List był sprzed ponad trzech miesięcy.

Argonny, 15 lipca 1915

Droga Przyjaciółko! Pewnie się zdziwisz...

– To bardziej niż pewne, bo nie mam pojęcia, kim jesteś, tajemniczy przyjacielu – mruknęła do siebie Wiktorija. – Wolałabym, żebyś się przedstawił na samym początku.

Coraz bardziej zdziwiona przebiegła wzrokiem zapisaną drobnym maczkiem kartkę. Charakter pisma wydawał jej się znajomy, z bijącym sercem zerknęła więc na podpis z ostatniej strony.

Twój oddany Filip

Tak. Nie było wątpliwości, list został napisany przez tego, o którym z takim trudem starała się zapomnieć.

Znów wróciło wspomnienie jego zielonych oczu, wpatrzonych w nią z miłością. I tego wieczoru, kiedy czuła się najszczęśliwsza na świecie.

„O czym myślisz?“, spytała wtedy. „O tym, jak bardzo cię kocham. I o tym, jakim cudem udało mi się do tej pory żyć bez ciebie“, odpowiedział, całując jej włosy w świetle gazowej latarni.

A jakimż to cudem przeżyłeś beze mnie tych kilka lat w Paryżu? I żyjesz nadal?, pomyślała z goryczą. Z zaskoczeniem stwierdziła, że wspomnienie o nim boli tak samo mocno jak na początku.

...pewnie się zdziwisz, widząc ten list, ale jesteś jedyną osobą, przed którą mogę otworzyć serce, wyjawić swoje najskrytsze myśli i obawy. Tylko ty potrafisz zrozumieć mnie jak nikt inny...

Tylko ja? A co z żoną? Ze złością odłożyła list na stolik. Nie chciała tego czytać, nie chciała, żeby Filip znów wkroczył w jej życie i zburzył z takim trudem odzyskany spokój.

Siedziała przez chwilę bez ruchu, z dłońmi na kolanach i pochyloną głową. Długi kosmyk włosów wysunął się z jej grubego warkocza i opadł na twarz. Odsunęła go niecierpliwym ruchem za ucho, starając się nie patrzeć na stolik. Ale gęsto zapisane kartki zdawały się płonąć własnym blaskiem. Przyciągały ją. Wiktorija z ciężkim westchnieniem znów sięgnęła po list. Musi go przeczytać do końca. Chciała wiedzieć, dlaczego Filip szuka z nią kontaktu. Czyżby nie udało mu się małżeństwo?, pomyślała ze złośliwą satysfakcją, zaraz jednak zganiła samą siebie za te myśli. To było takie... niechrześcijańskie, cieszyć się z cudzego nieudanego życia.

A, do diabła, wzruszyła ramionami, niby dlaczego miałabym się tym przejmować? Jego szczęście małżeńskie jest ostatnią sprawą, jaka spędzałaby mi sen z powiek.

Gwałtownym ruchem odwróciła kolejną kartkę.

W dalszej części listu Filip opisywał, jak zgłosił się do wojska na ochotnika. Nie mógł zostać

formalnie zmobilizowany, ponieważ mimo francuskiego nazwiska Francuzem jednak nie był.

Nie wyobrażam sobie, że mógłbym spokojnie siedzieć w domu, kiedy moi koledzy lekarze idą na wojnę. Czuję, że jestem tam potrzebny, chociaż moja żona miała mi tę decyzję za złe. „Polaczek z gorącą głową”, skwitowała krótko, co bardzo mnie uraziło.

W dalszej części listu Filip skarżył się, że po urodzeniu Louisa, ich synka, Michelle zajmowała się już tylko dzieckiem. Mąż przestał ją interesować, Filip częściej znajdował wspólny język z teściem niż z własną żoną.

Przyznam, że w takiej sytuacji z chęcią zgłosiłem się do wojska. Przynajmniej mam pewność, że jestem komuś potrzebny, i nie przepędzają mnie z kąta w kąt. Nie wyobrażasz sobie, moja droga, jakie straszne rzeczy tutaj się dzieją. Początkowo nie zdawałem sobie z tego zupełnie sprawy i traktowałem wojnę jak ekscytującą przygodę. Najpierw wysłano mnie do Normandii, gdzie czekałem na właściwy przydział. Nudziłem się jak mops, pomagając w sortowni mundurów, a potem badając świeżo wcielonych rekrutów. Samo szkolenie, naukę oddawania honorów, musztrę i ćwiczenie z bronią traktowałem jako zabawną nawet odskocznnię od nudnej codzienności. Ale prawdziwą wojnę poznałem dopiero w okopach. I Bóg mi świadkiem, nie widziałem gorszego piekła na ziemi.

Teraz opisywał codzienność lekarza w prowizorycznym punkcie medycznym, a Wiktoria wręcz nie mogła się oderwać od listu. Miała wrażenie, że towarzyszy Filipowi w okopach, pomaga przy rannych, wraz z nim brodzi w zimnym, wszechobecnym błocie. I pewnie tak właśnie by było, gdyby tylko miała możliwość. Zawsze lubili robić wszystko razem, dopełniali się idealnie. Byłaby dla niego wymarzoną towarzyszką życia, gdyby... Gdyby nie wybrał inaczej.

Woda, którą tu dysponujemy, starcza zaledwie do przemycia czubków ubłoconych palców. Rany zalewamy jodyną, bo tej na szczęście nie brakuje, a dalszy los rannych polecam Opatrzności. Nie wyobrażasz sobie, Isiu, jak często musiałem bezradnie rozkładać ręce, nie mogąc pomóc do niedawna jeszcze zdrowym i całym kolegom. Brak krwi do transfuzji, brak sprzętu i ludzi. Jakże często miałem ochotę po prostu nie podnosić się z błota i czekać na koniec, ale jęki rannych przywoływały mnie do porządku. Musiałem wstać i dostać się do nich pod ostrzałem artyleryjskim. Najgorsze jednak były bomby z gazem duszącym. Kto nie zdążył włożyć maski, niemal od razu padał martwy. Potem ten gaz jeszcze długo unosił się w powietrzu, osiadał na dnie okopów, dusił, wywoływał mdłości, łzawienie oczu i zawroty głowy. Isiu, naprawdę nikt nie uwierzyłby w to piekło, jeśli sam go nie doświadczył na własnej skórze.

Na koniec listu pozdrawiał ją serdecznie jak siostrę i przyjaciółkę. Zapewniał, że sama możliwość pisania do niej listów pomoże mu przetrwać najtrudniejsze chwile, bo będzie miał wrażenie, że z nią rozmawia. Tak jak to dawniej mieli w zwyczaju.

Jeśli możesz, odpisz. Adres i numer poczty polowej podaję Ci na końcu listu. Teraz jesteśmy w Lesie Argońskim, przesuwamy się ze stanowiska do stanowiska, ale poczta zawsze nas odnajdzie. Gdzie będziemy za kilka tygodni, Bóg raczy wiedzieć. Jest mi lżej, kiedy pomyślę, że może przyjdzie list od Ciebie.

Biedny Filip, Wiktoria otarła łzy z oczu i wydmuchała nos. Taką zapłakaną i poruszoną zastała ją Kasperkowa, która wróciła z Matyldą ze spaceru.

– Co się stało, Isieńko? – przeraziła się. – Jakieś złe wieści o panu Antonim?

– Nie, to list od Filipa. Z wojny. – Wiktoria uświadomiła sobie ze wstydem, że przez ten list zapomniała o Boruckim. Jakby nagle przestał istnieć.

– A ten czego jeszcze od ciebie chce? Ma żonę, niech jej się trzyma.

Pani Zuzanna nie mogła darować Filipowi, że nie czekał na Wiktorię i że jej Isia musiała przez niego cierpieć. Bała się teraz, że wystarczy jeden gest ze strony „tego farbowanego Francuza”, aby dziewczyna

zapomniała o najlepszym człowieku pod słońcem, za jakiego Kasperkowa uważała Boruckiego.

– Cioooociu... To nadal mój przyjaciel, a pisze, bo musi się z kimś podzielić swoimi przeżyciami na froncie.

– Niech się dzieli z żoną. Aaa... rozumiem, żona już go nie chce pocieszać... Tak więc przyszła koza do woza. Kochana moja – Kasperkowa przytuliła Wiktorię do piersi – uważaj, co robisz. Nie zniszcz swojego szczęścia, a przynajmniej nadziei na szczęście. To nie Filip ci je zapewni.

– Ciociu, ja nigdy nie będę szczęśliwa. Zapomniałaś o klątwie?

– A ty zapomniałaś, że masz swój rozum i wolną wolę?

Wiktorcia z podziwem spojrzała na szczerą twarz Kasperkowej. Ta kobieta była mądrzejsza od niejednej wykształconej damy z „dobrego domu”. Miała w sobie życiową mądrość przekazywaną z matki na córkę, mądrość, której nie zdobywało się na żadnym uniwersytecie.

– Nie zapomniałam. – Bezradnie wzruszyła ramionami. – Tylko czasami wydaje mi się, że cokolwiek bym robiła, i tak nie zmienię tego, co mi pisane. A pisany mi smutek i brak szczęścia.

– Jezusie Maryjo! – Kasperkowa wzniosła ręce do nieba. – Co za bzdury wygadujesz, moje dziecko. Nie mogę tego słuchać. Masz piękną, zdrową córkę, masz dom i pracę, którą kochasz. Masz w końcu kogoś, kto ciebie kocha, a bluźnisz, że nie masz szczęścia. Mój ty Boże, widzisz i słyszysz, a nie grzmisz.

– Ciociu, mam jeszcze ciebie, prawdziwy dar losu, ale chodziło mi o coś innego. O szczęście w miłości. A tego chyba nie mam.

– Bo szukasz tej miłości tam, gdzie jej nie ma. A tymczasem ona jest całkiem blisko.

Niestety, o losie tego, którego miała na myśli pani Zuzanna, nadal nie było żadnych wieści. Wiktorcia z coraz większym niepokojem czekała na jakikolwiek ślad. Bezskutecznie.

Raz tylko jeden z rannych ożywił się na dźwięk jego nazwiska.

– O tak, widziałem, jak pan rotmistrz uratował życie jakiemuś wieśniakowi. Głodny chłop próbował wykopać na polu kilka ziemniaków, ale go złapali i chcieli powiesić, że niby szpieg. I jak już go mieli wieszać, przyszedł pan rotmistrz Borucki i przekonał generała, żeby biedaka uwolnić. To odważny człowiek, proszę pani, bo generał straszny, zwłaszcza jak sobie podpiał. A wtedy był w sztok pijany.

– Dawno to było?

– A będzie kilka miesięcy temu. Potem mnie ranili i przywieźli tu, do szpitala, i już go nie widziałem. I nie zobaczę – poklepał puste miejsce po prawej nodze na wąskim łóżku – bo teraz to już będę mógł wrócić do domu. Po co komu taki kulas na wojnie.

Wiktorcia posmutniała. Kilka miesięcy to długo, przez ten czas wszystko mogło się wydarzyć. Może Antoni nie brał bezpośredniego udziału w walkach, będąc przy generale w sztabie, ale jeśli coś się zmieniło? Próbowała dowiedzieć się czegoś na jego temat w krakowskim oddziale Czerwonego Krzyża, lecz tam trzeba było podać nie tylko imię i nazwisko poszukiwanego, ale i stopień, pułk, kompanię, miejsce, powiat i rok urodzenia. No i numer poczty polowej. Westchnęła ciężko na samo wspomnienie rozmowy w siedzibie stowarzyszenia.

– Tylko imię i nazwisko? No, dobrze, że chociaż nazwę sztabu i nazwisko generała pani zna...

To z pewnością istotna informacja, Antoni nie był szeregowym żołnierzem, zagubionym wśród masy innych, jemu podobnych, jednak w tym momencie Wiktorcia uświadomiła sobie, jak mało wie o człowieku, który potrafił obudzić jej serce uśpione od czasu przyjazdu z Paryża.

Filip, którego list wstrząsnął nią na nowo i na chwilę obudził wspomnienia, nie zmienił jej uczuć do Antoniego. Kiedy już ochłoneła, dotarło do niej, że i teraz nie szukał kontaktu z nią, ponieważ ją kochał, tylko po prostu potrzebował zycziwej duszy, z którą mógłby się podzielić okropnościami wojny. Gdyby znalazł taką osobę w żonie, nie pamiętałby o niej, Wiktorii. To było smutne odkrycie, ale prawdziwe,

i nie łudziła się już co do uczuć Filipa. Ponieważ nadal obchodził ją jego los, odpisała więc jeszcze tego samego dnia, włożyła także do koperty opłatek z okazji zbliżających się świąt Bożego Narodzenia. Miała nadzieję, że list zdąży dotrzeć na czas. Teraz z niecierpliwością wyczekiwała odpowiedzi.

Nie była pewna, czy Filip odezwał się do rodziców, postanowiła więc pojechać do Mogiły zaraz po Święcie Zmarłych.

ROZDZIAŁ 8

Pierwszego listopada, w Święto Zmarłych, na cmentarzu jak zwykle było mnóstwo ludzi. Tylko tym razem mniej stało kramów ze świecami i łakociami, za to więcej namiotów towarzystw dobroczynnych zbierających datki na różne cele. W lewym kącie cmentarza, od ulicy Warszawskiej, w miejscu pochówku legionistów i żołnierzy zbudowano prowizoryczny pomnik w kształcie grobowca z napisem: „Pro Patria Mortuis 1914–1915”.

Tam właśnie paliło się najwięcej świec. Nie było chyba rodziny w Krakowie, której krewny lub znajomy nie poległ na tej wojnie. Modlili się tam również ci, co nie znali losów swoich bliskich, zaginionych gdzieś podczas działań wojennych czy też wziętych do niewoli albo zabitych i pochowanych w masowych, bezimiennych grobach.

Przyszły tam również Wiktoria z córeczką, Joasia i jej matka. Matylda miała już prawie dwa i pół roku, była więc dostatecznie duża, aby uczestniczyć w ważnych wydarzeniach. Dla Wiktorii jednym z nich były zawsze odwiedziny grobów bliskich w Święto Zmarłych.

Teraz dziewczynka ze złożonymi rączkami stała grzecznie obok mamy i na cały głos odmawiała modlitwę, której nauczyła ją babcia Kasperkowa.

– I daj, Boziu, zdrowie mamusi, babci, Joasi i wszystkim. Ale najbardziej Matysi – mówiła dźwięcznym głosem, wzbudzając rozrzewnienie u otaczających je ludzi. – I jeszcze żeby tata wrócił. To już możesz tego zdrowia nie dawać, ale niech on wróci z wojny.

Kilka kobiet nie wytrzymało; wybuchnęły głośnym szlochem, każda z nich pewnie myślała tak samo jak to małe dziecko z wymykającymi się spod kapturka rudymi loczkami. Niech i tego zdrowia nie będzie, byle tylko wrócili cało do domu.

Wiktoria łamiącym się głosem prosiła o uchronienie Adama i Antoniego od śmierci i ich szczęśliwy powrót z wojny. Część modlitw poświęciła Filipowi, jego też powierzała opiece boskiej.

Na grobach obu matek paliły się świeczki, ktoś już tu był przed nimi. Wiktoria przypuszczała, że to wujek, nie sądziła bowiem, aby babcia Szczygłowa wybrała się w tak zimny dzień na cmentarz. Staruszka była już coraz słabsza. Kiedy Wiktoria odwiedziła ją wczesną jesienią z Matyldą, babcia leżała przeziębiona.

– Dbaj babciu o siebie. – Ucałowała ją na pożegnanie. – Już tylko was mam z najbliższej rodziny.

– Będę dbała, moje serce, choćby dla ciebie i Matuni. Obiecuję.

Wiktoria martwiła się o staruszkę, ale uznała, że skoro wuj nie pojawił się do tej pory na Grodzkiej, to znaczy, że nic złego jeszcze się nie dzieje. Poczowała jednak wyrzuty sumienia, że zaniedbała babcię, i postanowiła w najbliższym czasie wygospodarować trochę czasu, żeby wybrać się w odwiedziny do Kocmyrzowa.

Zaczął już zapadać wczesny listopadowy zmrok. Wiktoria pomodliła się nad grobami Hanki i Klementyny, zapaliła świeczki i zarządziła odwrót. Joasia miała już czerwony nos, a ciocia Kasperkowa przestępowała z nogi na nogę, jakby musiała zaraz iść za potrzebą.

Nagle Matylda odwróciła się na rękach Wiktorii i z radosnym uśmiechem pomachała komuś, kto najwyraźniej szedł w ich kierunku. Wiktoria spojrzała w tamtą stronę z powitalnym uśmiechem, który prawie natychmiast zamarł na jej ustach. Ta część cmentarza wydawała się niemal pusta, a już na pewno w pobliżu nie było nikogo. Na kamiennych nagrobkach poruszały się tylko cienie rzucane przez nieliczne świece. Wprawdzie władze zakazały palenia świeczek na grobach z uwagi na konieczność oszczędzania tłuszczu, mało kto jednak się tym przejmował. Nie zapalić światełka za duszę zmarłego? Toż to było nieprawdopodobieństwem.

– Chodźmy. – Wiktoria nerwowym krokiem ruszyła przed siebie. – Mamy przecież jeszcze jeden grób do odwiedzenia.

Miejsce pochówku ojca zostawiała zawsze na koniec. I spędzała tam najmniej czasu. Wciąż nie potrafiła mu wybaczyć.

– Pa, pa! – Matylda znów pomachała rączkami w pustą przestrzeń. – Pa! – dorzuciła do tego buziaczka w powietrzu, jakby odpowiadała na czyjś podobny gest.

Zapaliły świeczkę na pustym grobie Bernata, odmówiły modlitwę za zmarłych i szybko wróciły do domu.

– Widziałaś, tam, na cmentarzu? – spytała Kasperkowa, kiedy już położyły małą spać i usiadły w kuchni przy gorącej herbacie z rumem.

– Widziałam. Minie jej to, ze mną też tak było w jej wieku. Na pogrzebie mamy Klementyny podobno rozmawiałam z duchem mamy Hanki. Zbierałam dla niej stokrotki.

– Wierzysz w duchy?

– Sama nie wiem...

– Myślisz, że on... – Kasperkowa obróciła się z lękiem za siebie, jakby w mroku odległego korytarza coś się czaiło.

– Nie, ciociu, nawet tak nie myśl. – Wiktoria przeżegnała się w duchu. – To by było zbyt straszne.

Zamierzały wybrać się także następnego dnia na cmentarz, gdzie przed grobowcem legionistów i żołnierzy miała zostać odprawiona msza, ale pogoda się pogorszyła, a pani Zuzanna dostała kataru. Matylda też była jakaś niewyraźna, nie chciały więc ryzykować. Pomodliły się w domu.

Na stacji w Mogile tym razem nie było żadnych dzieci. Nikt nie odprowadził Wiktorii do domu kowala, ale pamiętała, jak tam dojeżdżać. Mijane po drodze kobiety, okutane w grube wełniane chusty, obrzucały ją obojętnymi spojrzeniami. Mężczyzn nie było widać, większość została wzięta do wojska. Było zimno, w powietrzu unosiła się nieprzyjemna mżawka, która powodowała, że lepka wilgoć wciskała się pod ubranie.

Tuż przed furką prowadzącą do domu Michalskich rozlała się szeroka kałuża wypełniona błotnistą, mętną wodą. Mimo starań Wiktoria nie zdołała jej ominąć. Poślizgnęła się w grząskim błocie i wpadła w sam środek kałuży, czując, jak lodowata woda szybko wypełnia jej trzewik. Zakłęła pod nosem, zupełnie nie jak dama, co ją rozśmieszyło, zamiast rozżłościć.

Matka Filipa zauważyła gościa przez okno i narzuciwszy coś na plecy, wybiegła do furki. Chwilę walczyła z zardzewiałą zasuwką i spadającym z pleców okryciem, w końcu udało jej się otworzyć. Widać było, że kobieta jest lekko zaniepokojona tą wizytą. Jak wszyscy w czasie wojny.

Niespodziewany przybysz zazwyczaj oznaczał raczej złe wieści.

– Co za gość! – zawołała mimo to, szczerze ucieszona. – Proszę, proszę, niech panienka Wiktoria szybko wchodzi, bo jeszcze się przeziębą!

Wiktoria weszła do ciepłej kuchni i dopiero teraz poczuła, jak bardzo zmarzła. Gospodyni kazała dziewczynie zdjąć trzewiki i położyła je tuż przy piecu, a męża natychmiast zagoniła do pracy.

– Szybko, stary. – Chudy, poszarzały na twarzy kowal pojawił się natychmiast w drzwiach kuchni. On również zauważył przyjście Wiktorii. – Przygotuj miednicę z gorącą wodą, niech panienska wymoczy sobie nogi, bo jak nic dostanie nam tu jeszcze zapalenia płuc. Od nóg najłatwiej się przeziębic.

Wiktorija otrzymała kubek z gorącym naparem lipy, stojącym na piecu; widać było, że ktoś tu już leczył przeziębienie. Potwierdził to kaszel kowala niosącego z przesadną ostrożnością miednicę z gorącą wodą. Dziewczyna dopiero teraz zauważyła, że mężczyzna wyraźnie powłóczył jedną nogą.

– A co panienkę Wiktorię do nas sprowadza? – W głosie matki Filipa dało się wyczuć nutkę niepokoju. Z błahego powodu przecież by się do nich nie wybrała. – Jakies wieści od Filipa? Dziecko się urodziło? A może coś złego...

Przeżegnała się i utkwiała wzrok w twarzy gościa.

No tak, nie napisał do nich, nie powiadomił. Mój Boże, pomyślała Wiktorija, Filip, co się z tobą stało? O mnie mogłeś zapomnieć, ale o rodzicach?...

– Wszystko w porządku – starała się uśmiechnąć. – Pewnie list od Filipa zaginął, bo pisał mi, że was powiadamiał – kłamała jak z nut, starając się, żeby jej słowa brzmiały wiarygodnie. – Macie zdrowego, pięknego wnuka.

– Naprawdę, wnuk? Mój ty Boże, patrz, stary, mamy wnuka. No nie, list żaden nie doszedł, ale to nie pierwszy raz, jak coś ginie. Teraz to nikomu nie można wierzyć – mówiła szybko kowalowa, bojąc się, że ktoś jej przerwie i powie, że to bzdury. – Otwierają na poczcie i szukają pieniędzy...

– Przestań, kobieto! – Michalski nie wytrzymał. – Sama w to nie wierzysz. Ale dobrze, że ma syna, może go lepiej wychowa niż my jego. Jak ma na imię?

– Louis...

– A cóż to znowu za imię? Chrześcijańskie chociaż?

– Tak, po naszymu Ludwik.

– To czemu nie dali mu Ludwik, tylko jakiś Luis?

– Bo matka jest Francuzką i on też urodził się we Francji.

– To znaczy, że jakby co, to nie dogadamy się z wnukiem. – Kowal z rezygnacją machnął ręką. – Czyli jest tak, jakbyśmy tego wnuka nie mieli.

Gwałtowny atak kaszlu przerwał mu na chwilę.

– A co u Filipa? – spytał, kiedy już odzyskał oddech.

– Zgłosił się na ochotnika na wojnę jako lekarz wojskowy i jest teraz w okopach, gdzieś w Argonnach. We francuskim wojsku.

– Jako Francuz?... Nie jako polski legionista?

Wiktorija nie odpowiedziała, bo i pytanie nie wymagało odpowiedzi.

– Tom się doczekał, panie... tom się doczekał.

– Ale patrz – Michalska nie dawała za wygraną – zgłosił się sam, na ochotnika. Jak jaki bohater. Odważny jest.

– Chciałbym wierzyć, że to odwaga nim kierowała.

– Tak – Wiktorija ucieszyła się, że w końcu może powiedzieć coś dobrego na temat Filipa. – Napisał do mnie, że nie mógł siedzieć w domu, kiedy jego koledzy lekarze zostali powołani do wojska. Zresztą mam ten list przy sobie, jeśli państwo chcecie, możecie przeczytać.

Nie widząc sprzeciwu kowala, wyjęła zmięty list i podała go Michalskiej.

– Niech już panienska Wiktorija sama czyta – kobieta zmieszała się lekko – my nie za bardzo piśmienni ze starym. Jakby co, to pisarz we wsi wszystko nam wyłoży.

I chwala Bogu, pomyślała z ulgą Wiktorija, bo w tej samej niemal chwili uświadomiła sobie, że jest tam też wzmianka o zmianie nazwiska ich syna. A tego chciała im oszczędzić.

Rodzice Filipa słuchali w skupieniu, matka co rusz kazała sobie raz jeszcze czytać jakieś zdanie, ojciec pociągał dyskretnie nosem i kaszlem pokrywał wzbierający szloch.

– No dobrze – Michalski odchrząknął na koniec – chociaż tyle pociechy, że dobry z niego lekarz i ludziom pomaga. Jakby panienka do niego pisała, to niech mu powie, że się na niego nie gniewamy, niechby się w końcu odezwał. Kto wie, ile nam czasu zostało.

Wiktorcia została u Michalskich na obiedzie. Nawet słyszeć nie chcieli, żeby wyjechała od nich bez posiłku.

– Nam się tu jednak trochę lepiej wiedzie niż wam w mieście. – Matka Filipa rozwiała jej obawy. – Wprawdzie jedną krowę, świnie i kilka kur wojsko nam zarekwirowało, kiedy żołnierze tędy przechodzili, ale szczęście drugą krowinę zostawili, to i mleko, i masło mamy swoje. Pewnie gdyby nie znajomy kwatermistrz, syn naszych sąsiadów, który był z nimi, to wszystko by zabrali. Zostawili też jedną świnkę, bo mała była. To dobrze, bo teraz będzie co bić na Boże Narodzenie. Kurki mądre, do lasu pouciekały – roześmiała się – więc wojsko tylko tych kilka, co nie zdążyły, zabrało. Resztę później wyłapaliśmy ze starym. Mąka też własna, ale jeszcze ze starych zapasów, bo tego lata nie było co zbierać.

– Zboże wam nie obrodziło? – spytała Wiktorcia, siadając za stołem. Chętnie dała się namówić na posiłek u gościnnych gospodarzy.

– Obrodziło, panienko, obrodziło jak złoto. – Gospodyni westchnęła. – Ale tuż przed żniwami przeszły tędy wojska i wszystko zdeptali, rozjeździli działami. Nie było co zbierać, każdy kłos wdeptany w ziemię. Nie tylko u nas, u wszystkich prawie sąsiadów. Jeździli w te i nazad, bo zaraz za wsią są forty.

– Walk żadnych tu we wsi nie było. – Ojciec Filipa uprzedził pytanie Wiktorii. – Słyszeliśmy tylko nocami kanonadę, a czasami to aż jasno było od ognia. Na początku wojny kazali nam się ewakuować, ale mało kto posłuchał. Ludzie wykopali sobie ziemianki w lesie i na polach, żeby w razie czego tam się schronić. My mamy swoją pod lasem, ale na szczęście nie było takiej potrzeby, żeby tam uciekać. Inni, bardziej bojący, to przez wiele dni w nich mieszkali.

– Mój to aż się wrywał do wojaczki, ale na szczęście takich jak on nie biorą. Kaleka na nogę, odkąd mu wóz z węglem po niej przejechał. Źle się zrosła i teraz nią powłóczy. Co by mieli z takiego żołnierza! Zresztą dobrze, bo przecież ktoś musi wojsku konie kuć.

Kowal pociemniał na twarzy, widać było, że dla niego to wciąż drażliwy temat.

– Weźże się, babo, w końcu za gotowanie, a nie pytluj tyle – mruknął niezadowolony. – Panienska tu głodna siedzi, a ty gadasz jak katarynka.

Żona fuknęła coś w odpowiedzi, ale zaraz się zakręciła koło kuchni.

– Tak więc jakby co, to panienska nam nie uszczupli zapasów. I tak nie ma komu teraz jeść. Gdyby tak Pan Bóg dał wnuka czy wnuczkę, to by było inaczej. Jeszcześmy przecież nie tacy starzy, żeby odchować... – przerwała i odwróciła się, by ukryć łzy.

Pół godziny później siedzieli już w trójkę nad dymiącą miską z pyzami, okraszonymi suto skwarkami słoniny. Gospodyni podała do tego gęste kwaśne mleko, wyjęte chwilę wcześniej z piwnicy.

Wiktorcia jadła z apetytem, ale miała wyrzuty sumienia. Na Grodzkiej było coraz biedniej, kończyły się zapasy i ciocia Kasperkowa nie raz i nie dwa musiała mocno się nagłowić, żeby jakoś wyżywić całą rodzinę. A jeszcze, na domiar złego, władze Krakowa wprowadziły kartki na chleb i mąkę. Najtrudniej było to wytłumaczyć dzieciom w ochronce, proszącym o dodatkowe kromki chleba. A ona teraz siedzi tu i zajada takie królewskie przysmaki... Odsunęła talerz.

– Dziękuję, już więcej nie zmieszczę. Oczy by jeszcze jadły, ale żołądek ma dość.

– Panienska taka bledziutka, powinna jeść. – Matka Filipa należała do gospodyń, które nie uznają

odmowy przy stole.

– Kiedy już naprawdę nie mogę. Stokrotnie dziękuję.

– A może by została u nas na noc? Zaraz zaczniesz się ściemniać.

– Dziękuję, muszę wracać. Apteka mogłaby poczekać, bo mam współpracowniczkę i pracowników, ale

Matylda, moja córka, nie. – Wiktoria uśmiechnęła się przeprasząco.

Michalscy wymienili zaskoczone i pełne nadziei spojrzenia.

– Córka? Czy?...

– Nie. – Pokręciła przecząco głową. – Matylda nie jest dzieckiem Filipa. Jej ojcem był Francuz, ale nie przyjechał ze mną do Krakowa. Rozstaliśmy się jeszcze w Paryżu.

Nie chciała wprowadzać rodziców Filipa w szczegóły swojego życia. Poza tym była przekonana, że wspomniała Michalskiej o dziecku, kiedy matka Filipa przyszła do niej do apteki. A może jednak nie?

Małżonkowie posmutnieli, kowal rozkaszał się długo i boleśnie.

– Od dawna pan tak kaszle? – spytała Wiktoria, by zmienić temat. Poważnie ją zaniepokoił wyraźnie zły stan mężczyzny. – Bierze pan jakieś leki?

– A, od kilku tygodni, ale u doktora nie był – odpowiedziała za niego żona. – Uparty jest jak osioł. Twierdzi, że te wszystkie doktory to banda nieuków i tylko pieniądze by z człowieka zdierali. A on coraz słabszy, już nawet w kuźni młota nie podniesie, pomocnicy za niego pracują.

– To tym bardziej trzeba by go osłuchać, zbadać. Może to zapalenie płuc.

– E tam – Kowal wykorzystał przerwę w kaszlu – doktor Glinka wszystko wyciągnie. – Próbował się zaśmiać, lecz wywołało to tylko kolejny atak.

– Daję mu smalec z psiny i miód, bo mieliśmy przed wojną kilka uli. Była też baba i stawiała mu bańki, ale to wszystko mało pomogło. Już sama nie wiem, co robić.

Smalec z psiny! Wiktoria, kochająca wszystkie zwierzęta, a psy w szczególności, aż zadrżała z oburzenia. Nie mogła jednak pouczać starszych ludzi, którzy od zawsze stosowali takie metody leczenia i nie widzieli w tym niczego złego.

– Nie polecam smalcu z psa – pozwoliła sobie tylko na drobną uwagę. – Ostatnio lekarze z Wiednia stwierdzili, że psie zarazki przenikają do takiego smalcu, a potem do ciała człowieka i mogą być naprawdę niebezpieczne.

Co za bzdury wygaduję!, pomyślała ubawiona, lecz jej słowa odniosły oczekiwany skutek.

– Naprawdę?... Patrzcie państwo, jak to dobrze mieć jaką uczoną osobę koło siebie. No, nigdy bym nie pomyślała.

Wiktoria zerknęła dyskretnie na kowalową, chcąc się przekonać, czy w jej odpowiedzi nie kryje się ironia, ale nie, prosta kobieta naprawdę była pod wrażeniem.

– Wpadnę za kilka dni, najchętniej w niedzielę, kiedy nie muszę siedzieć w aptece – obiecała, wychodząc. – Przywiozę panu zioła na płuca i syrop według mojej własnej receptury. Dobrze robi przy takim kaszlu, nie będzie pan tak się męczył.

– Ależ nie trzeba... Nie chcemy przysparzać fadygi. – Oboje byli zakłopotani, jakby nieprzyzwyczajeni do tego, że ktoś się o nich troszczy. To należało do dzieci, a Wiktoria przecież nie była ani ich córką, ani synową.

– Czuję się trochę jak wasza synowa – uspokoiła ich. – Przecież o mało co, a bym nią została.

– A... – Kowalowa zawahała się na chwilę. – A czy mogłaby pani Wiktoria przyjechać tu z córeczką? Ile ona ma latek?

– Dwa i pół – odparła Wiktoria z macierzyńską dumą. – Mądra jest nad wiek. Mówi już pięknie i wszystko rozumie.

– Mogłaby być naszą wnuczką – szepnęła ze smutkiem kobieta. – Niech pani... a może pani? –

przestraszyła się nagle, że popełniła nietakt.

– Panienka, nadal panienska – uspokoiła ją Wiktoria. – To trochę skomplikowane, ale z ojcem Matyldy nie miałam ślubu. I nie chcę na ten temat rozmawiać.

– A Boże uchroni! – Michalska przeżegnała się szybko i dodała z goryczą: – Jestem ostatnia, co by tym kamieniem chciała rzucać.

Gościnni gospodarze wypuścili Wiktorię obładowaną prowiantem tak, że z trudem doniosła toboły na stację. Ojciec Filipa przeproszał, że jej nie odwiezie, ale konia wojsko też zarekwirowało, a na piechotę nie dałby rady. Machnęła tylko ręką, że sama sobie poradzi, jest silna, więc żeby o nią się nie kłopotali. Zrezygnowała tylko tym razem z wizyty w kaplicy z cudownym krzyżem, bo nie chciała taka obładowana wchodzić do kościoła.

Kiedy przechodziła obok klasztornej dzwonnicy, rozległ się głęboki i melodyjny dźwięk dzwonu. Powitała go z radością i nadzieją, traktując jako dobrą wróżbę na przyszłość.

Władze miasta zniosły niedawno zakaz dzwonienia w kościołach i Wiktoria dopiero teraz uświadomiła sobie, jak bardzo tęskniła za tym dźwiękiem.

ROZDZIAŁ 9

W ochronce panował przedświąteczny nastrój. Wiktoria przyniosła dzieciom chleb i ciasteczka upieczone z mąki od Michalskich. Zakonnice schowały większą część na same święta, teraz jednak wydzieliły dzieciom po kilka ciastek, jako nagrodę za ich pracę.

Jak w całym Krakowie tak i tu szykowano prezenty na Wigilię dla żołnierzy. W gazetach ukazała się odezwa, skierowana specjalnie do dzieci.

– „Do serduszek waszych, ukochane dzieci nasze – czytali rodzice łamiącym się ze wzruszenia głosem – zwracamy się dzisiaj z prośbą. Oto zbliża się dzień najmilszy dla was, wigilia Bożego Narodzenia, ale dla waszych braci i ojców będzie on smutny”.

Proszono o szykowanie podarków na Wigilię dla tęskniących za rodzinami legionistów na froncie. Prezentami miały być drobiazgi wykonane własnoręcznie, życzenia i rysunki albo słodczyki kupione za zaoszczędzone grosze. Na każdym dziecku miało podać swoje nazwisko, imię i adres, żeby otrzymujący te prezenty żołnierze mogli wysłać kartki z podziękowaniem. Takie kartki, jak zapewniano w odezwie, będą później dla ofiarodawców najmilszą pamiątką na całe życie.

Wiktoria z przyjemnością patrzyła na buzie dzieci, zaczerwienione teraz z emocji i wysiłku twórczego. Wprawdzie maluchy podbiegły do niej, żeby się przywitać, zaraz jednak wróciły do stołów zarzuconych kartkami z kwitnącymi na nich ogromnymi kwiatami, czasami większymi od drzew, i zwierzętami w kolorach tęczy.

Na końcu stołu, daleko od innych dzieci siedział chłopczyk ze spuszczoną głową i ściskając kurczowo w garści ołówki, rysował coś w skupieniu. Zaintrygowana Wiktoria podeszła bliżej.

– Może przygotujemy razem tę kartkę? – zaproponowała na widok czarnego słońca i smutnych ludzików, przypominających semafony z opuszczonymi ramionami. Niektóre z nich leżały rozrzucone na ciemnej ziemi. – Zrobimy ją bardziej kolorową i wesołą, żeby żołnierzom nie było smutno?

Chłopiec zamarł w bezruchu, jakby przestraszony, następnie zmiął bez emocji kartkę, a potem, nie podnosząc głowy, odszedł od stołu i usiadł samotnie na parapecie okiennym. Tam najczęściej zastawały go rano zakonnice.

– Mój Boże – zmartwiła się Wiktoria. – Nie chciałam mu sprawić przykrości.

– To trudne dziecko, chyba dużo przeszło. Tułacze wracający do Krakowa znaleźli go brudnego, zmarzniętego i głodnego w szafasie z desek. Potrafi tylko powiedzieć swoje imię, nazywa się Julek. Nawet nie wiemy, ile ma lat, wygląda na cztery, ale taki jest zabiedzony, że może mieć i więcej. Nic nie wiadomo na jego temat, w pobliżu leżały zmasakrowane zwłoki kobiety i mężczyzny, pewnie rodziców. Chyba bomba ich rozerwała. Jakim cudem to dzieciątko ocalało, nikt nie wie. Może w tym czasie był gdzieś dalej i przybiegł do nich dopiero po tragedii.

Wiktoria poczuła łyzy pod powiekami. W samym mieście wojna nie wydawała się aż tak straszna. Nie widywano rannych ani martwych ludzi na ulicach, wrogie kule nie zabijały nikogo na oczach bliskich. Jedynie głód i trudności z zaopatrzeniem dawały się wszystkim we znaki. Natomiast relacje

powracających do Krakowa tułaczy, tych, którzy wcześniej ewakuowali się z miasta, budziły prawdziwą grozę. Najstraszniejsze były opowieści o osieroconych dzieciach marznących w dołach i rowach wojennych, a często i pod gołym niebem. Do takich właśnie wojennych sierot należał Julek.

Wiktorია podeszła do niego bliżej. Chłopiec wyczuł jej obecność i skulił chude ramiona, jakby w obronie przed uderzeniem.

Mój Boże, dzieciaku, co ty musiałeś przeżyć, maleńki, pomyślała poruszona.

– Mogę? – spytała pozornie bez troskim głosem.

Nie słysząc sprzeciwu, usiadła obok niego na parapecie.

– Przepraszam, Julku, jeśli sprawiłam ci przykrość. Naprawdę tego nie chciałam, bo twój obrazek był przecież piękny.

Malec skulił się jeszcze bardziej i odwrócił, tak żeby nie mogła mu zajrzeć w twarz.

– Tylko wiesz – kontynuowała niezrażona – pomyślałam, że skoro żołnierze, którzy siedzą w ciemnych rowach, pośród błota, nie widzą kolorowych łąk, bo przecież jest zima, to może by woleli je zobaczyć chociaż na rysunku. Pewnie tęsknią za takim widokiem. No, ja bym na pewno tęskniła.

Delikatnie wzruszył ramionami, co znaczyło, że jednak słucha.

– Chodź, spróbujemy narysować coś razem, dobrze?

Niestety, dalsze próby pogawędzenia z chłopcem spaliły na panewce. Julek nie miał zamiaru rozmawiać ani z nią, ani z nikim innym w ochronce. Zresztą pozostałe dzieci też traktowały go jak obcego i wcale nie ułatwiały mu nawiązania kontaktu.

– On się tu nie nadaje, panienko Wiktorio – westchnęła siostra dyrektorka, odprowadzając dziewczynę do wyjścia. – Musimy mu znaleźć jakąś dobrą rodzinę, ten chłopiec potrzebuje specjalnej troski i opieki, a my mu tego, przy takiej liczbie dzieci, nie zapewnimy. Nawet przy najlepszych chęciach.

– Sama nie dam rady go wziąć. – Wiktorია ze smutkiem pokręciła głową. – Nie mogę obarczać cioci Kasperkowej kolejnym dzieckiem, skoro zajmuje się już moją Matyldą. Ale pomyślę, poszukam kogoś, bo serce mi się ściska na myśl o tym biedactwie. Nie zostawię go tak, mam nawet pewien pomysł.

Julek jakby usłyszał słowa Wiktorii, gdyż nagle odwrócił się od okna i spojrzał w jej kierunku. Przysięgłaby, że zauważyła w jego oczach błaganie o pomoc.

W niedzielę Wiktorია wysłała do Michalskich swojego pomocnika z lekami. Trochę się obawiała zabrać tam Matyldę, nie mając jeszcze pewności, na co choruje ojciec Filipa. Nie chciała narażać zdrowia małej, zwłaszcza że zrobiło się zimno i nieprzyjemnie. Poleciała, by im przekazał, że postara się przyjechać z córeczką jeszcze przed świętami. W odpowiedzi dostała zaproszenie, wraz z całą rodziną, na Boże Narodzenie.

– Jakże to tak? – Wiktorिया spojrziała na chłopaka, jakby to on ją zapraszał. – Przecież to nie wypada.

– Powiedziała, że będą mieli dla kogo przygotować święta i żeby panienka Wiktorिया nie pozbawiała ich tej radości. Bo oni nie mają już nikogo bliskiego na świecie. I że nawet własny syn o nich zapomniał.

To ostatnie przeważyło. Wiktorii żal się zrobiło rodziców Filipa, postanowiła więc, że skorzysta z zaproszenia. Nigdy by nie przypuszczała, że polubi tę oschłą i nieprzyjemną, jak jej się na początku wydawało, kobietę. Michalska wiele zyskiwała przy bliższym poznaniu, zwłaszcza od chwili, gdy wyjawiała prawdę o ojcu swojego syna. Trzeba było nie lada odwagi, żeby się przyznać do czegoś takiego, i Wiktorिया zaczęła o niej myśleć z sympatią. Poza tym współczuła tej kobiecie. Sama była matką i nie wyobrażała sobie rozłąki z dzieckiem. A już zwłaszcza tego, że własne dziecko mogłoby o niej po prostu zapomnieć. Toteż postanowiła skorzystać z zaproszenia i spędzić z nimi święta, by mieli choć przez chwilę namiastkę rodziny.

Chłopak bardzo chętnie wybrał się jeszcze raz do Mogiły, żeby przekazać tę wiadomość. Jechał z taką

ochotą, że Wiktoria nie miała żadnych wątpliwości, co go tam ciągnęło. Była pewna, że rodzice Filipa nakarmili go do syta i jeszcze dali coś na drogę.

– I ja z Joasią też jesteśmy zaproszone? – Kasperkowa nie posiadała się ze zdziwienia. – Przecież to obcy ludzie, w dodatku rodzice Filipa.

– Co z tego, ciociu? Co z tego, że to rodzice Filipa? Przecież oni niczemu nie są winni, sami cierpią, bo o nich zapomniał. Czują się samotni. Myślę też, że bardzo chcieliby poznać Matyldę, brakuje im dziecka w domu.

– Żeby tylko nie chcieli nam jej zabrać!

– Ciociu kochana – Wiktoria przytuliła ją ze śmiechem – nie oddamy Matyni nikomu. Za żadne skarby świata.

Poczciwa Kasperkowa rozchmurzyła się nieco, kiedy dotarło do niej, że może już się nie martwić, jak i z czego przygotowuje te święta, a w dodatku że spędzi je jako gość.

Matka Filipa pojawiła się w aptece Wiktorii tydzień przed Bożym Narodzeniem. Weszła z rozjaśnioną twarzą, otrzepała chustę ze śniegu i podeszła do lady.

– Panienko Wiktorio! – zawołała, odkładając kosz na ziemię. – Mój już prawie nie kaszle, te zioła i syrop pomogły jak nic innego. I sił ma teraz więcej, szykuje wszystko na przyjęcie ważnych gości, to znaczy was. Ależ to będą święta!

– To wspaniała wiadomość! – Wiktoria aż klasnęła w ręce z radości. – Muszę powiedzieć, że bardzo się o pani męża martwiłam. To dobrze, my też już jesteśmy prawie gotowe do wyjazdu. A teraz zapraszam na górę, przedstawię pani moją córeczkę.

Kiedy weszły do ciepłej kuchni, Kasperkowa obierała właśnie ziemniaki, po dwa na osobę, bo zapasy już się kończyły. Na podłodze siedziała Matylda i bawiła się, układając piramidę z garnków.

– Mój Boże, ależ ona jest słodka. – Kowalowa zrobiła kilka kroków w kierunku małej, powoli, nie chcąc jej przestraszyć.

Dziewczynka odłożyła trzymany w ręce garnek i spojrzała na nieznaną z właściwą sobie powagą i ostrożnością. Nigdy nie płakała na widok obcych, obserwowwała ich za to uważnie, nie spuszczać nawet na chwilę oczu z ich twarzy.

– Ależ to dziecko patrzy na człowieka tak mądrze, jakby chciało mu duszę przejrzeć na wylot. – Kobieta aż złożyła ręce z podziwu. – Nie bój się, maleńka, babcia krzywdy ci nie zrobi.

Kasperkowa odłożyła z trzaskiem nożyk do obierania ziemniaków, wytarła ręce o fartuch i podeszła do Matyldy.

– Ona już ma babcie – mruknęła ze złością, zasłaniając sobą dziecko. – Inne jej niepotrzebne.

Wiktoria posadziła speszoną Michalską przy stole.

– Ciociu, poczęstujemy gościa herbatą?

Miały spory zapas herbaty od Antoniego, zdążył je jeszcze zaopatrzyć przed mobilizacją. I tak musiał zamknąć sklep na czas wojny.

– Ja nie chciałam nic złego... – Matka Filipa miała łzy w oczach. – Tylko...

Kasperkowa poczuła się nieswojo. Zakrzętnęła się przy herbacie, żeby pokryć zmieszanie. Sama zdała sobie sprawę, że zachowała się niegrzecznie wobec gościa, ale zaborcza miłość do Matyldy przesłaniała jej wszystko.

– Wiem, wiem – mruknęła, stawiając parujący kubek przed przybyłą. – Niech pije, bo pewnie zmarzła.

Matka Filipa przyniosła w koszyku jajka, kaszę i trochę słoniny. Chciała wyłożyć wszystko na stół, ale Wiktoria powstrzymała ją z tajemniczym uśmiechem.

– Jestem bardzo wdzięczna za prezent, ale skoro święta będziemy spędzać u państwa, proponuję, żebyśmy się tym podzielili z bardziej potrzebującymi.

Po skromnym obiedzie, do którego Kasperkowa mogła teraz dodać po jednym jajku dla każdej z nich, Wiktoria zostawiła Matyldę pod jej opieką, a sama zabrała kowalową do ochronki. Kiedy tam weszły, wszystkie dzieci rzuciły się, by gorąco powitać Wiktorię. Była ich ukochaną ciocią. Wszystkie, oprócz Julka, który swoim zwyczajem siedział na parapecie okna i nie odzywając się do nikogo, spoglądał gdzieś w dal. Na widok Wiktorii drgnął i uśmiechnął się nieśmiało. Po chwili jednak jakby sam się przestraszył swojej reakcji, odwrócił głowę w stronę szyby.

Wiktoria zdążyła po drodze opowiedzieć Michalskiej o chłopcu, więc ta natychmiast zainteresowała się malcem.

– Sierota, powiada panienka? I siedział tak sam nieboraczek przy zabitych rodzicach? O Jezusie, biedne maleństwo.

– Tam są same sieroty, ale on jest najbardziej wśród nich nieszczęśliwy. Nie może się przystosować, potrzebuje kochającego domu, ale kto mu go może teraz dać. – Dziewczyna westchnęła, dyskretnie obserwując matkę Filipa. Była pewna, że jej słowa padają na podatny grunt. Julek nie mógłby mieć lepszego domu niż u Michalskich, jednak to oni oboje musieli podjąć decyzję.

Chłopiec nie chciał podejść do gości, ale sięgnął z niejakim oporem po podane mu przez Michalską ciasteczko. Kowalowa upiekła te ciasteczka specjalnie dla Matyldy, jednak posłuchała prośby Wiktorii i wzięła część do ochronki. Nie odsunął się, kiedy obie kobiety przystanęły obok niego.

– Jedz, malutki, jedz na zdrowie. – Matka Filipa z trudem powstrzymywała się, żeby nie pogłaskać chudych ramion dziecka.

– A Julek jest gupi. I nie umi mówić! – zawołała z zazdrością nieduża dziewczynka. Ona też chciałaby przyciągnąć uwagę przybyłych.

– A w nocy zsiąkał się do łóżka – dodał z pełną buzią jakiś chłopczyk. Inne dzieci też dostały ciastka, lecz to zakonnice im je podały, a nie ta dobra pani. I nie ciocia Wiktoria.

– Dzieci, spokój! – Jedna z opiekunek zareagowała natychmiast. – Pan Bóg gniewa się na niegrzeczne dzieci, a wy zachowujecie się bardzo nieładnie. Proszę natychmiast przeprosić wszystkich, a zwłaszcza Julka, za te brzydkie słowa.

– Ale kiedy on się naprawdę...

– Dosyć!

Przełożona zabrała obie kobiety do swojego gabinetu.

– Przepraszam za ich zachowanie, ale są zazdrosne. To normalne, każde chciałoby być wyróżnione. Teraz jeszcze bardziej będą dokuczać Julkowi.

– Tak mi przykro – Michalska była zmartwiona – ale nie mogłam się powstrzymać.

– Wiem, nie winię pani za to. Czasami naprawdę trudno traktować jednakowo wszystkie te biedactwa i żadnego nie wyróżnić. Każde z nich ma za sobą jakieś smutne doświadczenia, ale ten chłopiec przeżył chyba największą tragedię. Napatrzył się prawdziwych okropności. Wygląda na to, że rodzice zginęli na jego oczach, nawet nie chcę myśleć, co ten biedak przeszedł. To wojenna sierota. Inne dzieci pochodzą z takich rodzin, że pobyt tutaj jest dla nich rajem, ale w przypadku Julka widać, że to było zadbane i kochane dziecko. Dlatego też szukamy dla niego normalnej rodziny.

Michalska zamyśliła się, jakby rozważała w myślach jakąś decyzję. W końcu westchnęła ciężko.

– Nie mogę obiecać, że go wezmę na wychowanie, chociaż oboje z mężem nie jesteśmy jeszcze za starzy. Muszę to wpieryw z nim omówić.

– Wiem, że to trudna decyzja i duża odpowiedzialność, nie będę zaskoczona, jeśli państwo jednak się nie zdecydują. Ale proszę to przemyśleć.

- Na razie chciałabym go zabrać do siebie na święta, mogę? Chętnie przygarnełabym je wszystkie, ale to niemożliwe, moja chałupa nie jest aż tak duża. – Uśmiechnęła się przeprasząco.
- Na razie to Julek najbardziej potrzebuje pomocy. Dobrze, że biedactwo chociaż wyjedzie na święta. A dalej będzie, co Bóg da.

Zanim wyszły z ochronki, przełożona przyprowadziła obie kobiety i Julka do swojego gabinetu. Pragnęła, żeby chłopiec porozmawiał z nimi bez towarzystwa innych dzieci. Nie chciała wszakże, żeby tamte poczuły się odrzucone lub gorsze.

„Porozmawiał” to za dużo powiedziane, malec poza swoim imieniem nadal nie wypowiedział ani jednego słowa. Ale słuchał z uwagą i widać było, że rozumie wszystko, co się do niego mówi.

– Chciałbyś, robaczku, przyjechać do mnie na Boże Narodzenie? – Michalska przykucnęła przy małym, żeby zajrzeć mu w oczy. – Babcia z dziadkiem przygotowują dużą choinkę, największą, jaka rośnie w lesie. I przystroimy ją razem, zapalimy świeczki. Chcesz?

Julek drgnął, oczy mu zabłyśły, lecz zaraz posmutniał i spojrzał pytająco, z nadzieją, na Wiktorię.

– Ciocia Isia też z nami będzie, nie martw się. – Matka Filipa jakby odczytywała jego myśli. – Będziemy tam wszyscy. Cała rodzina...

Słowa na chwilę uwięzły jej w gardle, ale dzielnie przełknęła łzy i spytała lekko tylko zmienionym głosem:

– To co, maleńki, zgadzasz się?

Julek stał bez słowa, uciekając spojrzeniem w bok. Czekające w napięciu kobiety straciły już nadzieję, kiedy nagle wyraźnie pokiwał głową. Tak, chciał pojechać na święta do tej dobrej kobiety, która nazywała siebie babcią.

Chciał być u tej babci pachnącej słodko chlebem i ciasteczkami.

ROZDZIAŁ 10

Jeszcze do niedawna wydawało się, że Boże Narodzenie nie będzie białe, bo zimne deszcze, padające od tygodnia, zmieniły ziemię w grząskie błoto, ale w noc poprzedzającą Wigilię w końcu spadł śnieg.

Wiktoria wstała rano i ucieszyła się jak dziecko na widok białego puchu lecącego z nieba gęstymi płatkami. Wprawdzie Kasperkowa wątpiła, czy taki mokry śnieg długo się utrzyma, ale w ciągu dnia temperatura wyraźnie spadała i nawet zanosilo się na mróz. Wszystko było już gotowe do drogi, dorożka na dworzec, choć nie bez trudności, zamówiona, pozostało już tylko podjechać pod ochronkę po Julka. Chłopiec podobno nie spał z wrażenia przez całą noc.

– Jedźcie z Bogiem! – pożegnała ich siostra przełożona. – Spokojnych świąt!

– Spokojnego i radosnego Bożego Narodzenia! – odpowiedział jej zgodny chórek z dorożki. Nawet Julek pomachał rączką na pożegnanie.

Podróż koleją trwała krótko. Zafascynowane dzieci przyklejały nosy do szyby i obserwowały przesuwały się za oknem krajobraz. Śnieg zdążył już zasypać zniszczone przez wojsko pola, wokoło było spokojnie i pięknie. Tu i ówdzie nad skromnymi chatami unosił się słaby dym z komina, widać było, że trudności z opalem nie ominęły też wsi.

Na stacji w Mogile nikt na nich nie czekał, ale też nikogo się nie spodziewano. Gospodarze nie mieli konia, którym mogliby wyjechać po gości. Wiktoria z cicią musiały więc wziąć dzieci na ręce, a Joasia zajęła się tobołkami. Kiedy jednak ruszyły w stronę domu kowala, zauważyły kogoś na drodze. W gęsto padającym śniegu po chwili dało się zauważyć charakterystyczną sylwetkę utykającego Michalskiego, który z trudem ciągnął coś za sobą. Kiedy podszedł bliżej, okazało się, że to całkiem spore sanki.

– Bałem się, że już nie zdążę – sapnął zadowolony na ich widok. – Pomyślałem, że może chociaż dzieci i bagaż zabierze się na tych sankach. Zawsze to będzie łatwiej, a ciągnąć możemy w trójkę.

– A skąd pan wiedział, o której po nas wyjść? – spytała zaskoczona Joasia.

– Przecie wiem, o której pociąg z Krakowa przyjeżdża – roześmiał się w odpowiedzi Michalski. – Przyszedłbym wcześniej, ale z tym moim kulasem źle się po śniegu chodzi.

Szerokie sanki wyłożone były baranicą, zapakowano więc i otulono dzieci, część bagaży zmieściła się obok, resztą zajęła się Joasia. Do domu dotarli zasapani, zaczerwienieni z wysiłku i lekkiego mrozu, ale szczęśliwi. Wiktoria choć przez chwilę mogła zapomnieć o wojnie, głodzie i strachu o najbliższych.

Gospodyni powitała gości w sieni. Ledwie zdążyli strzepnąć z siebie śnieg i się rozebrać, a już zostali posadzeni przy długim kuchennym stole. Zuzanna Kasperkowa, która najbardziej zmarzła, bo zbyt lekko się ubrała, usiadła najbliżej rozgrzanego pieca. Na żeliwnej płycie stały garnki z podskakującymi pokrywkami. Unoszący się spod nich smakowity zapach najbardziej zaintrygował dzieci, wyraźnie głodne po podróży.

– Babciu, jeść. – Matylda pociągnęła Kasperkową za rękaw. – Matysia jest głodna. Lulek też – dodała z powagą, nawet nie patrząc na chłopca. Z góry założyła, że on też musi być głodny.

Julek popatrzył na nią z uwielbieniem. Widać było, że dziewczynka w niedługim czasie stanie się jego

najlepszą przyjaciółką. Dzieci wyraźnie Ignęły do siebie, Wiktoria ze wzruszeniem zauważyła, jak Matylda okrywała Julka na saniach. Wprawdzie chłopiec był starszy, ale wyraźnie mizerniejszy i drobniejszy niż jej córka. Bardziej zaniedbany.

– Tak, kochanie – kowalowa odwróciła się od blachy – ja wam zaraz dam jeść, a twoja babcia niech sobie odpocznie przez ten czas.

Wiktoria z trudem ukryła uśmiech. Matka Filipa dobrze wiedziała, jak ułagodzić wciąż jeszcze nieufną Kasperkową. Pozwoliła jej powoli oswajać się z sytuacją.

Na stole pojawił się rosół z chudej kurki, gęsty od makaronu, ale dla przybyłych był to dawno niewidziany rarytas. Zjadali w skupieniu, starając się nie pochłaniać go zbyt żarłocznie. Gorąca zupa parzyła wargi i rozlewała się przyjemnym ciepłem po brzuchu.

Na drugie danie Michalska przyniosła miskę dymiących ziemniaków, lekko tylko okraszonych słoniną. Mięsa z kury nie było za wiele, dostały je tylko dzieci.

– Powinniśmy dzisiaj pościć – przyznała ze skruchą – ale myślę, że Pan Bóg wybaczy nam w tym wojennym, głodnym czasie. Pomódlmy się za to.

Wiktoria i Kasperkowa dopiero teraz uświadomiły sobie ze wstydem, że na widok jedzenia zupełnie zapomniały o poście i Wigilii. Pochyliły głowy i półgłosem zaczęły powtarzać słowa modlitwy za gospodynią.

Po posiłku gospodarze zaprowadzili wszystkich do paradnej izby. Wiktoria pamiętała ją z pierwszej wizyty jako raczej ponure i pachnące wilgocią pomieszczenie. Tym razem pokój był nagrany, od kaflowego pieca biło przyjemne ciepło. A pod oknem stała ogromna, najprawdziwsza, pachnąca igliwem i żywicą choinka z lasu. Dzieci aż jęknęły z zachwytu, a Michalski uśmiechnął się z zadowoleniem. Widać było, kto o tę choinkę zadbał.

– No, moi drodzy – zwrócił się do maluchów – teraz czeka was ważne zadanie, musicie mi pomóc przy ubieraniu drzewka.

Wyjął z przepaścistej szafy ogromne pudła z ozdobami i położył je na podłodze.

– To od czego zaczniemy? Może od tej gwiazdy na sam szczyt.

Kobiety zostawiły go z dziećmi przy choince, a same poszły z powrotem do kuchni, żeby pomóc gospodyni w przygotowaniach do wigilijnej kolacji. Mimo wojennego czasu święta u Michalskich zapowiadały się dostatnio. Małżonkowie mieli zapasy, sporo z nich ukryli przed wojskiem, więc na razie głód nikomu nie groził.

– Dałabym dla żołnierzy, podzieliłabym się przecież, ale oni przyszli tu jak po swoje. – Gospodyni wciąż jeszcze była oburzona. – Dobrze, że nas Józek od sąsiadów uprzedził, to zdążyliśmy trochę pochować. W niektórych domach zabierali wszystko, co było, nawet jedyną krowę i ostatni worek mąki. I nie obchodziło ich, jak ludzie sobie poradzą. Na wojnie ludzie nie są już ludźmi.

Wiktoria nie chciała przyjechać z pustymi rękami, przywiozła więc zapas syropu na kaszel dla Michalskiego i wzmacniające krople, specjalnie sprowadzane z Wiednia. A dla jego żony miała kilka pachnących mydełek własnego wyrobu. Z tych mydełek kowalowa cieszyła się najbardziej.

– Jak dla jakiejś wielkiej pani. Nigdy takiego nie miałam, schowam do komody razem z pościelą, żeby mi ładnie pachniała. – Z przyjemnością wachała prezent.

– Proszę go używać do mycia – roześmiała się Wiktoria na widok zachwytu kobiety. – Sama je robię, więc znów przywiozę kilka następnym razem. A do szafy mam coś specjalnego...

Z tajemniczym uśmiechem wyjęła z torby saszetki z płótna wypełnione suszonymi ziołami, głównie lawendą. Przyjemny zapach na chwilę stłumił nawet wonie z kuchni.

– Pościelę wam w naszej izbie, tam jest podwójne małżeńskie łóżko i powinniście się wszyscy zmieścić – powiedziała gospodyni. – Stary wstawił jeszcze łóżko Filipa, to będzie dla panienki Joasi.

My sobie pościelimy w kuchni.

Na chwilę posmutniała na samo wspomnienie imienia syna, ale radosne piski dobiegające z sąsiedniej izby rozproszyły jej smutek.

– Znowu tu jest wesoło – szepnęła wzruszona.

Choinka była już niemal ubrana. Na gałązkach wisiały ozdoby ze słomy, pewnie robione jeszcze przez małego Filipa, bo widać było po nich upływ czasu. Obok słomianych gwiazdek i pajacyków kołysały się malowane na złoto orzechy i czerwone jabłka, które niepojętym dla Wiktorii cudem zachowały swoją barwę. Długi łańcuch z kolorowego papieru okręcał się jak wąż wokół drzewka. Gospodarz ostrożnie umieszczał świece na gałązkach, obiecując głośno dzieciom, że pomogą mu je zapalić podczas Wigilii.

Okrągły stół na środku pokoju błyszczał już odświętnie i tylko czekał na biały, pięknie haftowany obrus, wyjmowany z komody tylko z okazji świąt.

– Piękne macie piece. – Kasperkowa pogładziła z przyjemnością gładkie, gorące kafle.

– Tak, teraz jestem z nich zadowolona – przyznała Michalska – ale na początku byłam zła na starego, że to niepotrzebny zbytek. W moim rodzinnym domu wystarczył piec w kuchni, który ogrzewał też sąsiednie izby, ale stary się uparł, że ma być jak we dworze, i postawił piece wszędzie. Tyle tylko ustąpił, że wziął zduna do pomocy, bo się bałam, że się kiedyś zaczadzimy.

– To chyba dużo opału zjada?

– Normalnie to palimy tylko w czasie wielkich mrozów, tam, gdzie śpimy. Chociaż też rzadko, bo i tak siedzimy w kuchni, a zawsze jest ogień pod blachą. No to nie tak dużo.

– To teraz was opalamy... – zmartwiła się Wiktoria.

– Niech się panienska tym nie martwi. Świąta to świąta, a opału i tak mamy dużo, bo przecież las niedaleko. Jak jeszcze mieliśmy konia, to mój naściagał tyle drzewa, że cała drewnia zawalona.

– Ja chcę z dziadkiem do krowki! – Do kuchni wbiegła zaaferowana Matylda. – Lulek też – nie omieszkała dodać.

Gospodarz postanowił wcześniej wydoić krowę, żeby już potem nie odchodzić od stołu wigilijnego.

– Pójdę z wami – Kasperkowa zmarszczyła brwi, lecz zaraz się rozpogodziła. Widać było, że sama ma ochotę przyjrzeć się dojeniu i przypomnieć sobie własne dzieciństwo na wsi.

– Tylko ubierzcie się ciepło, bo trzeba wyjść z domu. Obora jest na podwórku – powiedziała gospodyni.

Przez otwarte drzwi wejściowe wpadł do sieni tuman śniegu. Zapowiadało się białe Boże Narodzenie. W takich warunkach trudno zauważyć pierwszą gwiazdkę, ale nikt się tym specjalnie nie przejmował. Postanowili zasiąść do stołu wraz z nastaniem zmroku.

Takiej Wigilii Wiktoria nie pamiętała. Owszem, wraz z przybyciem Zuzanny Kasperkowej na Grodzką wszystko zmieniło się na lepsze, ale wieczerza u Michalskich przebiła wcześniejsze Wigilie. I to nie wyjątkowością i obfitością potraw, bo te akurat były tradycyjne i raczej skromne, lecz atmosferą. Okazało się, że oboje małżonkowie mają ładne głosy i pięknie śpiewali kolędy. Wiktoria nie była zbyt muzykalna, wtórowała im więc dyskretnie, natomiast ciocia Kasperkowa, mimo absolutnego braku zdolności wokalnych, śpiewała pełnym głosem. Była radość przy zapalaniu świeczek na choince, były i łzy przy łamaniu się opłatkami i życzeniach. Gospodarze myśleli o synu, spędzającym Wigilię gdzieś w zimnych okopach, a Wiktoria o braciach, zwłaszcza o Adamie, który też był daleko od domu i walczył na froncie. I o Stefanku, który całe życie potrzebował opieki, a teraz sam opiekował się bratową i małym bratankiem. Tak przynajmniej wynikało z ostatniego listu Kasi.

Adam pisze rzadko, nawet nie zapyta, jak sobie tu radzimy – żaliła się bratowa. – Chyba mu się podoba strzelanie, bo tylko opowiada, ilu wrogów zabił i jak to zrobił. A teraz nie mamy od niego

wiadomości od dłuższego czasu. Mam nadzieję, że nic mu się złego nie stało, bo gdyby co, to chyba bym dostała, nie daj Panie Boże, jakieś zawiadomienie. Sąsiadki mąż zginął na froncie, to jej przystali takie, razem z jego rzeczami. Dobrze, że jest tu Stefanek, to chociaż pomoże i dziecku ojca zastąpi na ten czas.

Wiktorii miała złe przeczucia. Czyżby w Adamie odezwało się już złe dziedzictwo?...

Otrząsnęła się z nieprzyjemnych myśli, bo przecież była Wigilia. Michalski opowiadał właśnie dzieciom o tradycji, według której w Wigilię o północy zwierzęta przemawiają ludzkim głosem.

– Ciekawe, co powie moja krówka? – udał, że się zastanawia na głos.

– Powie, że ją babcia za bardzo ciągnęła za cycuszki – zaaferowana Matylda aż podskoczyła na kolanach nagle zawstydzonej Kasperkowej.

Wyglądało na to, że pani Zuzanna usiłowała sobie przypomnieć, jak się doi krowę, ale chyba nie najlepiej jej poszło.

– Ech, te dzieci – pokryła śmiechem zmieszanie – wszystko zauważą.

Na pasterkę do klasztoru cystersów wybrały się same kobiety, a dzieci, które posnęły już przy stole, zostały z gospodarzem. Tego dnia noga wyjątkowo mu dokuczwała, za bardzo ją przeforsował, ale nie żałował ani jednego kroku. Już dawno w jego domu nie było tak rodzinie i wesoło.

W drugi dzień świąt, zaraz po mszy, na którą wybrali się już wszyscy, razem z dziećmi, Michalski zabrał maluchy na sanki. Za domem było niewielkie wzniesienie, w sam raz do zjeżdżania. Sanki na górę wciągała Joasia, która sama chętnie wzięła udział w zabawie. Zresztą, jak podkreślała z powagą dorastającej panienki, ktoś musiał z dziećmi na tych sankach siedzieć, żeby maluchy nie pospadały.

Wiktorii chciała się zbierać do domu zaraz po obiedzie, ale Michalska namówiła ją, żeby jeszcze zostali na noc i pojechali dopiero rano.

– Co Wiktorii szkodzi jeszcze pół dnia? Przecież aptekę może otworzyć współpracowniczka, jakby co. A dzieci tak dobrze się u nas czują... – kusiała. – Poza tym musimy porozmawiać o Julku.

Rzeczywiście, dzieci były tutaj szczęśliwe. Wróciły z sanek przemoczone od licznych upadków w śnieg, ale zaraz po wysuszeniu chciały iść znowu. Na całe szczęście Wiktorii wzięła dla Matyldy rzeczy na zmianę, a dla Julka znalazło się coś po małym Filipie. Michalska nie wyrzucała jego ubranek, trzymała je razem z zabawkami na strychu jako drogą pamiątkę. Teraz ze ściśniętym sercem gładziła futerko z królika, uszyte specjalnie na zamówienie.

– Mieliśmy kiedyś króliki, sama wybierałam najładniejsze na to paletko. Filipiek tak pięknie w nim wyglądał, jak jakieś książątko. To był taki dobry chłopiec... – Rozplakała się głośno.

Wiktorii nie bardzo wiedziała, jak ma pocieszyć rozżaloną matkę. Czowała złość i żal do Filipa. Szukała dla niego usprawiedliwienia, jednak, choć bardzo się starała, nie potrafiła go znaleźć.

– Nadal jest dobry – niepewnie spróbowała pocieszyć kobietę. – Tylko jakoś tak się pogubił. Może ma wyrzuty sumienia i teraz nie wie, jak się do was odezwać? Może się boi, że mu nie wybaczą?

– Myśli panienka? – Michalska z nadzieją podniosła zapłakaną twarz. – No, mogłoby tak być, bo dobry zawsze był, ale do winy nigdy się nie przyznał. Bał się kary, chociaż, Bóg mi świadkiem, rzadko dostawał w skórę. Tylko jak naprawdę zasłużył. I musiało to być coś poważnego, a nie jakieś głupstwo.

– Pewnie i teraz tak jest. Przemyśli to i na pewno się odezwie, zobaczycie.

Kiedy dzieci już poszły spać, gospodarze poprosili Wiktorii do kuchni na rozmowę. Kasperkowa i Joasia pakowały rzeczy, żeby rano nie robić tego w pośpiechu i czegoś nie zapomnieć.

– Co by panienka powiedziała na to, żebyśmy wzięli do nas Julka? – spytała nieśmiało matka Filipa, wykręcając palce ze zdenerwowania. Bała się, że Wiktorii uzna, że są już za starzy na opiekunów.

Wiktorii uśmiechnęła się z ulgą. Prawdę mówiąc, obawiała się, że małżonkowie już się nie zdecydują.

– Powiem, że to najlepsze, co usłyszałam od bardzo dawna.

– Naprawdę? A nie uważa Wiktoria, żeśmy już za starzy?

– Absolutnie nie. Przecież Julek mógłby jeszcze być waszym późnym dzieckiem, gdybyście się postarali jakieś cztery lata temu.

– E tam! – Gospodyni zaczerwieniła się jak panienka. – Nam już takie głupstwa dawno nie w głowie.

– Tobie, kobieto, tylko tobie... – mruknął pod nosem jej mąż.

Wiktoria obiecała, że zaraz po powrocie do Krakowa porozmawia z siostrą przełożoną z sierocińca i jak najszybciej załatwi sprawę, jak trzeba, urzędowo.

– Teraz będzie łatwiej – uspokoiła ich – bo nie dalej jak kilka tygodni temu czytałam odezwę do polskich kobiet o pomoc dla osieroconych dzieci. Prosi się o zapewnienie sierotom domu albo choćby tymczasowego schronienia, więc jak ktoś będzie chciał przygarnąć takie dziecko na zawsze, to przecież tylko lepiej. Jestem pewna, że Julek szybko do was przyjedzie.

Następnego dnia rano goście zaczęli się zbierać do drogi. Pociąg był w południe, mieli więc jeszcze trochę czasu. Gospodyni przygotowała im zapasy na drogę, prawie wszystko, co zostało ze świąt.

– My sami ze starym tego nie przejemy – tłumaczyła Wiktorii. – Zwłaszcza ciasta, to dobre dla dzieci, chętnie zjedzą w domu. Może jeszcze i parę jajek się znajdzie. Kto idzie ze mną do obórki po jajka?

Matylda zgłosiła się pierwsza, mówiąc swoje nieodłączne „Lulek też”. Chłopiec, który, niestety, przez cały ten czas nie odezwał się jeszcze ani słowem, pokiwał tylko głową. Robił to tak energicznie, że aż wzbudził uśmiech u dorosłych. Cieszyli się, że tak żywo zareagował, bo od rana był markotny i nie odpowiadał nawet na zaczepki Matyldy. Dziewczynka usiłowała go zaangażować do swojego nowego przedstawienia. Od czasu kiedy Kasperkowa wzięła ją w Krakowie do teatru na sztukę dla dzieci, wymyślała swoje własne przedstawienia ku uciesze dorosłych.

– Ależ ona ma fantazję – cieszyli się, kiedy kazała im siadać „na widowni”. – Ciekawe, co z niej wyrośnie, może jakaś artystka?

– Wyrośnie z tego – burczała niezadowolona Kasperkowa. Artystka w rodzinie? A któż to widział.

Podczas pobytu w Mogile chłopiec najczęściej grał drzewa i tylko kołysał się z szumem, teraz zaś miał być złym Herodem i robić groźne miny. Małą Matyldę najwyraźniej zainspirowała szopka, prawdziwe чудо zrobione kiedyś przez kowala na konkurs. Zajął trzecie miejsce na wystawie szopek w Krakowie, teraz jego dzieło stało jak zawsze w święta pod choinką.

Dzieci, zaopatrzone w koszyczki, weszły z gospodynią do obory, w której kury miały gniazda. Lato spędzały na podwórku, potem zaganiane były na noc do kurnika, ale zimą gospodarz umieszczał je w ciepłej oborze. Michalska pouczyła oboje, jak należy sprawdzać, czy w gnieździe jest jajko, i jak je ostrożnie wyjąć, żeby nie rozbić delikatnej skorupki.

– Ta kura na mnie patrzy – poskarżyła się Matylda, zatrzymując się nagle. – Nie chce, żebym jej zabrała jajko.

– Wsuń ostrożnie pod nią rączkę i spróbuj sprawdzić, czy ono tam w ogóle jest.

– Jest! Jest! – zawołała dziewczynka, wyjmując jajko i wywołując popłoch wśród kur.

Zerwały się z nerwowym gdakaniem ze swoich miejsc, trzepocząc skrzydłami, i zaczęły fruwać po oborze, gubiąc pióra. Przyzwyczajona do takich hałasów krowa nawet na chwilę nie przerwała leniwego przeżuwania, dzieci jednak trochę się przestraszyły. Kiedy zapanował już względny spokój, wrócili do zbierania jajek. Matylda bezceremonialnie odganiała kwoki, Julek podchodził tylko do tych gniazd, z których kury właśnie sfrunęły. Nie miał zamiaru narażać się na ich ostre dzioby. Z niezwykłą ostrożnością wyjmował ciepłe, pachnące sianem i nawozem jajka.

Kiedy wrócili do domu, okazało się, że zdołali uzbierać ich aż dziesięć. Kowalowa zapakowała je do zabrania.

Nadszedł czas pożegnania. Wiktoria ze łzami w oczach uściskała oboje gospodarzy, dziękując im za gościnę i wspaniałe święta. Kiedy już wszyscy pożegnali wszystkich, Kasperkowa chwyciła dzieci za ręce i ruszyła z nimi w stronę drzwi.

– Babciu! – zawołał nagle z płaczem Julek i wyrwał się do Michalskiej. – Ja chcę zostać z tobą, nie chcę jechać!

– Kruszyńko! – Kobieta złapała chłopca w objęcia. – Ty przecież mówisz!

– Wszystko będę mówił. Wszystko! Tylko mnie nie odsyłaj!

Nie było wyjścia, chłopiec tak rozpaczliwie płakał, że nie sposób go było oderwać od równie spłakanej gospodyni. Do płaczu przyłączyła się Matylda, która również za nic w świecie nie chciała wyjeżdżać. Nie mogła przecież zostawić „Lulka”.

Wiktoria obawiała się, że w końcu nie zdążą na pociąg, ale dzieci nie miały zamiaru przestać. Płakali teraz oboje wniebogłose. Za namową Michalskich Wiktoria postanowiła więc zostawić ciocię Kasperkową z dziećmi na tydzień w Mogile i przez ten czas załatwić sprawę Julka w sierocińcu. Pożegnała się spieszenie, wraz z Joasią chwyciły swoje rzeczy i co tchu pobiegły w kierunku stacji kolejowej.

Pociąg już niemal ruszał, kiedy zdyszane wspięły się po schodkach do wagonu.

ROZDZIAŁ 11

Wiosna i lato upłynęły Wiktorii na podróżach między Krakowem a Mogiłą i intensywnej pracy. Matylda wraz z panią Zuzanną znów korzystały z gościnności Michalskich, gdyż rodzice Filipa nawet nie chcieli słyszeć, żeby dziewczynka miała zostać na lato w mieście. Tym bardziej że nawet na chwilę rozłączone dzieci strasznie za sobą tęskniły. Julek, którego sytuacja została już prawnie uregulowana i mógł zostać na stałe z Michalskimi, bez przerwy pytał o Matyldę.

Chłopcu nie zamykała się teraz buzia, zupełnie jakby chciał nadrobić czas milczenia w sierocińcu. Były więc niekończące się pytania: „a dlaczego?”, „a po co?”, i rozczulające wieczorne przed snem: „a kochasz mnie, babciu?”. Dziadkowi, jak od początku malec nazywał kowala, towarzyszył w kuźni i przy wypasaniu krowy. Nikt tak jak on nie potrafił zagnać jej wieczorem do obory.

Wiktorii chętnie zgodziła się na wyjazd córki z Krakowa, tym bardziej że w mieście były coraz większe kłopoty z zaopatrzeniem. Wciąż rosły ceny i tak już drogiej żywności. Chleb, nadal na kartki, stawał się wręcz niejadalny z powodu domieszek do mąki, z braku dobrego ziarna dodawano do niego miazgę ziemniaczaną. Władze wprowadziły dni bezmięsne, kiedy to nawet nie można było okraszać ziemniaków słoniną. Sama Wiktorii znosiłaby te ograniczenia bez protestu, zdawała sobie jednak sprawę, że dziecko potrzebuje innego odżywiania. Młody, rozwijający się organizm nie mógł się zadowolić byle czym. Dość się napatrzyła w życiu na niedożywione, chorowite dzieci z ubogich rodzin. Teraz powodem tego niedożywienia była nie tylko bieda, ale i wojna.

Wprawdzie Michalscy też borykali się z podobnymi kłopotami, ale dzięki własnemu gospodarstwu nie cierpieli mimo wszystko takiego głodu jak mieszkańcy miasta. Skromny przydomowy ogródek dostarczał świeżych jarzyn, w prawie niezniszczonym sadzie obrodziły owoce, a kury niosły się jak nigdy przedtem. Maluchy czuły się na wsi doskonale, nabrały kolorów i energii, całe dni spędzały na świeżym powietrzu. Kasperkowa też była zadowolona i pomagała gospodarzom, ile tylko była w stanie. Przed wszystkim zajęła się przeróbkami starej odzieży. Wiktorii przywiozła jej z Krakowa maszynę do szycia, pani Zuzanna mogła więc obszywać nie tylko domowników, ale i sąsiadów. Szybko zyskała sławę zdolnej krawcowej, toteż roboty jej nie brakowało. Ludzie płacili w naturze, tym, co mogli oddać z własnych gospodarstw. Dzięki temu pobyt jej i Matyldy nie uszczuplał zbytnio zasobów Michalskich.

Będąc sama, Wiktorii dłużej teraz pracowała jako wolontariuszka w szpitalu i częściej pomagała zakonnicom w sierocińcu. Czas do południa spędzała w aptece, popołudnia zaś i wieczory oddawała potrzebującym. Kiedy wracała późno do domu, była tak zmęczona, że już na nic nie starczało jej siły. Dzięki tak wypełnionym dniom nie miała nawet kiedy martwić się brakiem wiadomości od swoich bliskich, zwłaszcza od Antoniego. Czarne myśli przychodziły dopiero w nocy, na szczęście zasypiała szybko.

Z listów od Kasi wiedziała, że Adam odezwał się w końcu i według jego słów „dobrze by było, żeby ta wojna trwała wieki”. Podobała mu się taka „zabawa”, najwyraźniej sam nie doświadczył jeszcze okropności, jakie ze sobą niosła. Na szczęście nie został do tej pory ranny, nie odczuwał bólu, a ranni

koledzy niespecjalnie go obchodzili. Martwił się tylko za nich, że nie będą już mogli wrócić na front. Jedynie raz spytał, jak sobie daje radę Kasia i co z synkiem. Przyznał, że bardzo za nimi tęskni i czasami nawet miałby ochotę już do nich wrócić.

Pełen sprzeczności, podobnie jak jego ojciec, myślała ze smutkiem Wiktoria, czytając te listy. Zupełnie jakby nie mógł się zdecydować, która część jego natury powinna zwyciężyć. Cieszyła się jednak, że w końcu dał znać o sobie i że tęsknił za bliskimi. Przykro jej tylko było, że nie napisał do niej, swojej ukochanej kiedyś siostry. Cóż, stwierdziła z goryczą, rozłąka na nikogo nie wpływa dobrze. Na szczęście były od tego wyjątki, ponieważ Stefanek w każdym liście od Kasi kazał Isię ucałować i powtórzyć, jak bardzo ją kocha i jak za nią tęskni. W takich chwilach Wiktoria zamykała się w swoim pokoju i tuląc do siebie drewnianego pajaca, wypłakiwała w poduszkę swoją tęsknotę za bratem. Postanowiła, że jak tylko wojna się skończy, znów wybierze się do Wiednia, razem z Matyldą, która powinna w końcu poznać swoich wujów, wujenkę i małego kuzyna.

– Listonosz zostawił tu list do ciebie. Strasznie grubaśny. – Maryna pomachała w powietrzu kopertą.

Wiktoria zesłała do apteki nieco później, bo poprzedniego dnia wróciła do domu dobrze po północy. Do szpitala przywieziono nowych rannych i potrzebna była każda para rąk. Rano ledwo podniosła się z łóżka.

– Od kogo? – spytała, wkładając fartuch na zaplecze. – Pewnie z Francji.

– Nie – Maryna zmrużyła oczy krótkowidza i z rosnącym podnieceniem odczytała nadawcę. – Nie uwierzysz!... To od Antoniego!

Wiktoria jednym susem znalazła się przy koleżance i niemal wyrwała jej list z ręki.

– Nareszcie! Chwała Bogu! – Przycisnęła kopertę do piersi i szybko otworzyła drżącymi rękami. Ze środka wysypał się gruby plik gęsto zapisanych kartek.

– Mówiłam, że wszystko będzie dobrze! Że on żyje! – powtarzała Maryna łamiącym się z przejęcia głosem. – No czytajże, co z nim?

– *Najdroższa Isieńko...* – Głos Wiktorii załamywał się z emocji. – *Dwa listy już do Ciebie wysłałem...*

– No dobrze – Maryna zorientowała się, że list będzie bardzo osobisty – przeczytaj sama, a potem mi opowiesz.

Wiktoria pobiegła na zaplecze, żeby nikt jej nie przeszkadzał, zwłaszcza że do apteki weszła klientka znana z tego, że zanim coś kupi, musi dokładnie opowiedzieć historię swojej choroby. Za każdym razem innej i bardziej „śmiertelnej”.

...Dwa listy już do Ciebie wysłałem, ale na żaden nie otrzymałem odpowiedzi. Jeśli tamte zaginęły, spisuję teraz wszystko na nowo, żebyś, kochana, wiedziała, co się ze mną działo przez ten czas. Mam nadzieję, że u Was wszystko w porządku, drzę tu z obawy o Wasze zdrowie i życie – pisał Antoni, a Wiktoria czuła, jak wypełnia ją nieopisana wręcz radość.

List, sądząc po dacie, został wysłany niedawno, co znaczyło, że adresat żyje i, jak sam twierdzi, czuje się zupełnie dobrze.

Straszna ta wojna, nawet sobie, Isiu, nie wyobrażasz, jakie okropności przyszło mi oglądać, w jakich brać udział, ale to tęsknota i niepewność o Wasze losy najbardziej mi tu dokuczają. Jak się miewa moja Matysia i jej najśłodsza mama? Pamiętajcież Wy mnie jeszcze?

Wiktoria czytała o walkach koło Lublina, o krwawej bitwie w Ogródzieńcu i zimowej kampanii nad Pilicą, którą Antoni przeżył konno jako rotmistrz ułanów.

Wszystkie te nazwy знаła z gazet, komunikatów i doniesień z frontu, lecz teraz nabrały dla niej zupełnie innego znaczenia. Okazało się bowiem, że jednym z uczestników tych wydarzeń był jej Antoni. Mój

Antoni, uśmiechnęła się do własnych myśli.

O swoich dokonaniach pisał niewiele, a wręcz wcale. Opisywał głównie bohaterstwo kolegów legionistów, śmierć niektórych z nich i zniszczenia, jakie ta wojna spowodowała. O tym, że został ranny – *...ale niegroźnie, nie martw się, kochana, niepotrzebnie. Jakiś odłamek ze szrapnela ranił mnie lekko w nogę. Już się zagoiło. Jak na psie...* – wspomniał mimochodem jak o sprawie niewartej uwagi.

Na koniec znów pisał o swojej wielkiej tęsknocie i miłości do Wiktorii.

Jak tylko wojna się skończy, wyprawimy wielkie wesele. Już się nie mogę doczekać, kiedy będę Cię mógł, najdroższa, nazwać swoją żoną, a Matysię córeczką. Całuję Twoje najpiękniejsze na świecie oczy, każde z osobna. I usta, które mi się tu śnią po nocach.

Jeszcze tego samego wieczora odpisała Antoniemu. Już знаła adres, kompanię i numer poczty polowej. Opowiedziała mu wszystko, co działo się w rodzinie i w Krakowie od dnia jego wyjazdu. Napisała, jak bardzo ucieszył ją ten list, bo poprzednie rzeczywiście musiały gdzieś zaginąć, i jak się martwiła tym brakiem wiadomości od niego.

Teraz jeszcze mocniej sobie uświadomiła, że bardzo jej zależy na Antonim i brakuje jej spokoju i poczucia bezpieczeństwa, jakie dawała jego obecność. Czasami czuła się słaba i bezbronna, tymczasem sama musiała się zajmować słabszymi od niej ludźmi. Inni podziwiali jej siłę i odwagę, nikt jednak nie wiedział, ile ją to wszystko kosztowało. Własny strach i bezsilność wyplakiwała nocami w poduszkę.

Wróć, kochany, wróć jak najprędzej, cały i zdrowy – zakończyła swój długi, pełen tęsknoty list. – Modlimy się tu wszyscy za Ciebie. A ja wypatruję Cię każdego dnia... Niechby już ta wojna się skończyła!

Wiadomość, że Antoni żyje i ma się względnie dobrze, uskrzydliła Wiktorię. Bała się przedtem, że zginął albo trafił do rosyjskiej niewoli, tymczasem żył i myślał o niej, tęsknił. Co za ulga!

Z niepokojem zaczęła szukać u siebie oznak starości. Przecież skończyła już dwadzieścia sześć lat, czy będzie mu się jeszcze podobała? Ale odbicie w lustrze mówiło, że nadal całkiem dobrze wygląda, mimo widocznego zmęczenia na twarzy i podkrążonych oczu. A może ja się tylko tak pocieszam, myślała, naciągając skórę na policzkach i szukając pierwszych zmarszczek. Może sama się oszukuję?

Nie miała nikogo, kogo mogłaby o to zapytać. Zuzanna Kasperkowa była cały czas w Mogile z Matyldą, zresztą ciocia i tak nigdy by nie powiedziała, że Wiktoria wygląda staro. Maryna? Nie, tamta by ją tylko wyśmiała, że przejmuje się takimi bzdurami. A może on wcale nie zauważy, że się postarzałam?, uznała w końcu i przestała o tym myśleć. Nigdy nie poświęcała sobie zbyt wiele uwagi, więc i tym razem szybko zapomniała o swoich obawach.

Tym bardziej że w Krakowie pojawił się nieoczekiwany gość.

Zadzwieczał dzwoneczek przy drzwiach apteki i Wiktoria zauważyła, że do środka wchodzi z trudem kobieta w zaawansowanej ciąży. Szła, a właściwie toczyła się, kołysząc ciężko na boki. Spod kapelusza błysnęły znajome oczy.

– Zosia?! – Wiktoria znieruchomiała zaskoczona, a potem z rozpostartymi ramionami rzuciła się do przyjaciółki. – Skąd ty tu? I czemu w takim stanie zdecydowałaś się na podróż? A gdzie mąż?

– Na które pytanie mam najpierw odpowiedzieć? – Zosia przytuliła się do Wiktorii, na ile pozwalał jej ogromny brzuch. – Ja też się cieszę, że cię widzę – dodała ze śmiechem.

Natychmiast została posadzona na najwygodniejszym krześle, dostała zimną wodę do picia, bo koniec sierpnia był wyjątkowo upalny, a następnie musiała szybko odpowiedzieć na pytania niecierpliwych koleżanek. Maryna także przybiegła, kiedy tylko się zorientowała, kim jest miły gość.

– No cóż, moje kochane – Zosia odetchnęła trochę i z przyjemnością rozejrzała się po aptecę –

przyznam, że tęskniłam się nawet za tym miejscem. Ale za wami najbardziej.

– Opowiadaj, skąd się tu wzięłaś teraz? Dlaczego przyjechałaś w takim stanie, zamiast siedzieć w domu? Przecież sama podróż musiała być dla ciebie męcząca. Nie wspomnę już, że i niebezpieczna. – Wiktoria nie darowała sobie.

– Iśka, jak zwykle opiekunka biednych i uciśnionych – zaśmiała się Zosia, gładząc ją po dłoni. – Kochana, nie miałam innego wyjścia. Rozwiązanie lada chwila, a ja tam byłam sama. Mój Włodek na wojnie, sama nie dałabym sobie rady z dzieckiem, więc przyjechałam do rodziców. Zresztą chciałam, żeby moje dziecko urodziło się w Krakowie. Jakoś nie mogę się przyzwyczaić do tej Warszawy. Stale dla mnie obca, ludzie inni, i w ogóle. – Zrobiła nieokreślony ruch ręką.

– Mama pewnie szczęśliwa, że wróciłaś?

– Oj tak. W każdym liście namawiała mnie do przyjazdu, ale to wcale nie było takie łatwe. Musiałam przecież postarać się o paszport i zezwolenie na wyjazd, a męża nie było i sama to wszystko załatwiałam. Dopiero jak urzędnicy zobaczyli mój brzuch, sprawa nabrała tempa. I takim to sposobem znów jestem w moim ukochanym Krakowie.

– Dobrze, że jesteś. A dziecko będzie miało i dziadków na miejscu, i dwie zwariowane ciotki. – Maryna, która sama nie miała szczęścia w miłości ani zbyt dużych szans na posiadanie własnych dzieci, uwielbiała wszystkie dookoła. Zwłaszcza mała Matylda była jej oczkiem w głowie.

– Podróż miałam koszmarną, tyle wam powiem – kontynuowała swoją opowieść Zosia. – Gdyby to był wyjazd gdziekolwiek indziej, nigdy bym się nie zdecydowała. Tory zniszczone działaniami wojennymi, wagony zapchane tak, że szpilki nie można wcisnąć. Dzięki mojemu stanowi udało mi się znaleźć jakieś miejsce, ale inni pasażerowie stali albo siedzieli na podłodze. A pociąg włókł się cały dzień i całą noc.

– Dzielną jesteś. – Wiktoria spojrzała z uznaniem na przyjaciółkę. – Chociaż i szalona, jak zwykle zresztą. Kiedy rozwiązanie?

– W połowie września, obawiam się jednak, że będzie wcześniej, bo jakoś tak dziwnie się czuję od kilku dni. Mam lekkie skurcze, ale to pewnie po tej podróży i tylu godzinach siedzenia. Wróciłam dopiero przedwczoraj, może to jeszcze przejdzie.

– A może nie. Lepiej jak najszybciej wybierz się do lekarza, niech cię zbada.

– Isiu, jestem już wśród swoich, pomoc jakby co mam zapewnioną. – Zosia z trudem wstała z krzesła. – Muszę już iść, mama będzie się denerwowała, czeka z obiadem, ale wpadnijcie do mnie po południu, dobrze? Porozmawiamy, opowiecie mi wszystko, co tu się działo.

Ustały, że tego popołudnia odwiedzi przyjaciółkę Wiktoria, a następnego Maryna. Ktoś musiał przecież zostać w aptece.

Wiktoria wybrała się więc na Bracką, do Zosi. Tak dawno nie wychodziła z domu wyłącznie dla przyjemności. Zwykle albo pędziła do szpitala, albo na dworzec, skąd pociąg wiozł ją do Matyldy. Tęskniła bardzo za córeczką, zdawała sobie jednak sprawę, że dziecko ma tam wymarzone warunki, o niebo lepsze niż w wyludnionym mieście.

Mimo że było wczesne popołudnie, prawie nie widziała na ulicy przechodniów. Nieliczne kobiety, wpatrzone w swoje stopy, bezszelestnie przemykały pod ścianami domów, ściskając pod pachą skromne zawiniątka. Zapewne niosły chleb, wydzielany nadal na kartki, może jarzyny z targu bądź jakiś ochłap na obiad. Większość sklepów była pozamykana, nieliczne otwarte miały ceny zbyt wysokie dla większości mieszkańców.

Zostało jeszcze trochę czasu do umówionej wizyty, Wiktoria postanowiła więc wstąpić do kościoła Mariackiego. W mrocznym wnętrzu, przy bocznym ołtarzu odprawiana była cicha msza, przyklękła więc i pomodliła się za swoich bliskich. Potem rzuciła jeszcze okiem na zamknięty ołtarz Wita Stwosza i wyszła.

Przejście z mroku do światła przed kościołem wywołało niemiłe wspomnienia. Przed oczami znów stała jej scena sprzed kilku lat, kiedy to rozwścieczony tłum omal nie rozszarpał jej ojca na strzępy. Przetarła powieki, jakby chciała zamazać tamten obraz. Niestety, niechciane wspomnienia nie dały się usunąć. Wiktoria wciąż słyszała ludzkie krzyki, które narastały i wwiercały się w jej uszy, miała wrażenie, jakby to wszystko działo się tu i teraz.

Zaskoczona zorientowała się nagle, że krzyk dobiega z linii A-B, gdzie panował dość duży ruch, przeważali tam spacerujący wojskowi. Jeden z austriackich oficerów, z czerwoną patką na kołnierzu, siedział na koniu i wymachując groźnie trzcinką, wrzeszczał coś do stojącego obok legionisty. Domyśliła się, że chodziło o salutowanie, a raczej o jego brak. Młody ułan stał nieporuszony, lecz z całej jego postawy widać było, że tylko czeka, aż oficer użyje trzcinki. Jego dłoń przesuwiała się coraz bardziej w stronę szabli u pasa. Kilku cywilów i wojskowych obserwowało tę scenę z bezpiecznej odległości, czując wiszącą w powietrzu awanturę. Austriak jednak zrezygnował, spiął konia i odjechał, obrzucając na koniec młodego chłopaka stekiem wyzwisk. Zawiedzeni gapie rozeszli się każdy w swoją stronę.

– Pamiętasz, jak stąd podglądałyśmy mieszkanie malarza i czekałyśmy na jego tajemniczą kochankę? – spytała Wiktoria, podchodząc do okna w pokoju Zosi. – Ileż złych rzeczy później się wydarzyło...

– Nie wracajmy do tego, Isiu. Lepiej mi opowiedz, co u ciebie nowego. Jest ktoś, prawda?

– Skąd się domyśliłaś? – Wiktoria była zdumiona przenikliwością przyjaciółki.

– Skąd? Z błysku w oku, z tego, jak się poruszasz, ze spojrzenia rzuconego w przelocie w stronę mojego lustra na toaletce. Opowiadaj.

Wiktoria rozsiadła się wygodnie w fotelu i westchnęła rozmarzona.

– Owszem, jest ktoś taki. Ktoś, kto chyba najpierw zakochał się w mojej Matyldzie, a dopiero później we mnie – odparła ze śmiechem.

– Brawo dla niego, rozegrał to strategicznie – Zosia z zadowoleniem pokiwała głową. – Mądry mężczyzna wie, że aby zdobyć serce matki, musi najpierw zwrócić uwagę na jej dziecko.

– Ale nie sądzę, żeby on tak specjalnie. Tak jakoś wyszło. I to właściwie Matysia pierwsza go zaczepiła, nazywając tatą.

– Tym większe brawa dla niego, skoro nie zrobił tego umyślnie.

Wiktoria opowiedziała przyjaciółce historię swojej znajomości z Antonim, zabawny początek i spokojny, pełen uczucia ciąg dalszy.

– Przyznam – powiedziała po krótkim namyśle – że nawet mi się specjalnie nie podobał. Jest trochę ode mnie starszy i niezbyt przystojny, ale ma w sobie to coś. Opiekuńczy, czuły, uwielbia Matysię.

– To dobrze, nigdy nie zainteresowałabym się mężczyzną, który by nie polubił mojego dziecka – Zosia z czułością pogładziła brzuch.

– Ze swojego uczucia – mówiła dalej Wiktoria – zdałam sobie sprawę dopiero wtedy, gdy zniknął na wojnie i przez dłuższy czas nie miałam od niego żadnych wieści. Jest taki odważny – dodała z dumą – i chociaż stara się umniejszyć swoje zasługi, czuję, że to prawdziwy bohater. Tylko skromny jak mało kto.

Do pokoju weszła matka Zosi, niosąc ciekawą herbatę w dzbanuszkach i kilka ciasteczek.

– Poczęstuj się, Isiu, czym chata bogata. Tak się cieszę, że Zosia nie będzie tu sama, zanim nasz drogi Władziu wróci z wojny.

Widać było, że „Władziu” był jej ukochanym zięciem.

– Czasami mam wrażenie, że mama bardziej kocha Władka niż mnie. – Zosia zachichotała dyskretnie, żeby wychodząca z pokoju matka nie usłyszała. – Ale to dobrze, bo to naprawdę wyjątkowy człowiek. Jediną jego wadą jest, że nie mieszka w Krakowie.

Wybuchnęły śmiechem. Wydawało im się przez chwilę, że znów mają po kilkanaście lat i dokazują w szkole. To było cudowne uczucie, zwłaszcza dla Wiktorii, która ostatnio musiała tyle dźwigać na swoich barkach.

– A wiesz, że Filip się odezwał? – spytała już całkiem poważnie.

– Coo?!... A ten czego jeszcze chce od ciebie? Mało ci życia zmarnował?

– Nie zmarnował, ożenił się, to fakt, ale skąd mógł wiedzieć, że nie jesteśmy rodzeństwem?

– Wiedziałby, gdyby kiedykolwiek odezwał się do ciebie albo do swoich rodziców. Uważam, że to jego wina, i nawet nie próbuj go bronić.

Wiktorii zamilkła. Nie wdając się w szczegóły i niczego nie komentując, opowiedziała Zosi, że Filip pojechał na front jako francuski lekarz. Ale i to nie znalazło uznania w oczach przyjaciółki.

– Taa... Szkoda tylko, że znalazł się po tej niewłaściwej stronie.

ROZDZIAŁ 12

Tydzień po swoim przyjeździe do Krakowa Zosia zaczęła rodzić. Wiktoria dostała wiadomość późnym wieczorem i natychmiast pobiegła do domu na Bracką, gdzie panowały nerwowa krzątanina i podniecenie. Bóle porodowe trwały od rana, lecz dopiero teraz nabrały intensywności i w każdej chwili spodziewano się rozwiązania.

Sprowadzona natychmiast akuszerka siedziała już przy rodzącej, służąca szykowała gorącą wodę, matka Zosi wydawała polecenia pewnym głosem, a ojciec zamknął się w swoim gabinecie, poprosiwszy, żeby wejść do niego, dopiero kiedy dziecko się urodzi. I tylko z dobrą wiadomością...

Wiktoria wpadła do domu tuż po sprowadzonym na wszelki wypadek lekarzu. Sądząc z wielkości brzucha Zosi, dziecko było raczej duże, toteż mogły wyniknąć jakieś kłopoty z jego przyjściem na świat. „Strzeżonego Pan Bóg strzeże”, powtarzała matka Zosi, wyłamując nerwowo palce.

Akcja porodowa przebiegała raczej szybko. Wiktoria siedziała obok przyjaciółki i trzymając ją za rękę, dodawała otuchy.

– Idzie ci dobrze, bardzo dobrze. Za chwilę będziesz tuliła do piersi dzieciątko. Jeszcze tylko jeden wysiłek...

Zmęczona Zosia zacisnęła zęby, żeby nie krzyczeć na cały głos. Nabrała powietrza w płuca i zaczęła przec z całej siły. Spocone włosy oblepiły jej twarz, Wiktoria odgarnęła je delikatnie z czoła.

– Już widać główkę! – zawołała akuszerka. – Zaraz będzie po wszystkim. Przemy jeszcze, przemy!

Zosia traciła już siły, ale wiadomość o główce ją zmobilizowała. Chwilę później dziecko było już na świecie.

– Chłopczyk! – Akuszerka podniosła krzyczącego noworodka do góry. – Ale jaki maleńki, aż dziw.

– Nic w tym dziwnego. – Teraz lekarz zajął miejsce przy położnicy. – Mamy tu chyba jeszcze drugie. Módlmy się teraz, żeby było prawidłowo ułożone.

Wiktoria pomyślała o swoich braciach bliźniakach i Stefanku, który urodził się, nie dając oznak życia, co później zaważyło na jego rozwoju.

Boże, spraw, żeby to dziecko urodziło się zdrowe. Błagam, nie doświadczaj tak mojej przyjaciółki. Błagam!

Kilkanaście minut później urodziło się drugie dziecko, bez żadnych komplikacji.

– Tym razem mamy dziewczynkę. – Lekarz pokazał maleństwo matce. – Zdrową, całą i o mocnych płucach, zupełnie jak jej brat. Gratuluję.

Oba noworodki krzyczały wniebogłosy, dając tym dowód, że są zdrowe i bardzo im się nie podoba to przejście z bezpiecznego brzucha mamy do zimnego i obcego świata.

– No, ty to możesz urodzić jeszcze niejedno dziecko. – Wiktoria ze łzami wzruszenia ucałowała przyjaciółkę. – Robisz to z taką łatwością, jakbyś była do tego stworzona.

– Muszę przedyskutować sprawę z Władkiem, jak tylko wróci. – Zosia zmrużyła oko. Była potwornie zmęczona, ale i nieopisanie szczęśliwa.

Niestety, Władkowi nie było dane wrócić z tej bezsensownej wojny. Kilka tygodni później przyszło z Warszawy zawiadomienie o jego śmierci. Zginął śmiercią bohatera podczas jednej z krwawych potyczek, usiłując przeciągnąć rannego kolegę poza linię ostrzału. Wśród przysłanych rzeczy osobistych był też list, w którym Zosia dzieliła się z mężem radością z narodzin dzieci.

– Dobrze, że chociaż zdążył się o nich dowiedzieć. Na pewno był szczęśliwy. – Wiktoria próbowała pocieszyć załamaną przyjaciółkę. – Żadnych innych słów nie udało jej się znaleźć.

Zosia nie miała już po co wracać do Warszawy. Postanowiła zostać na stałe w Krakowie, u rodziców. Teraz jak nigdy potrzebowała pomocy i wsparcia, które mogła otrzymać tylko tu, u rodziny i przyjaciół.

– Kiedy wojna się skończy – mówiła głuchym głosem – sprzedam naszą aptekę i znajdę sobie coś tutaj.
– Przyjęłabym cię znów na współpracowniczkę, ale co zrobię z Maryną? – zmartwiła się Wiktoria. – Trzy właścicielki to chyba trochę dużo, ale będziemy się nad tym zastanawiać po wojnie. Znajdziemy jakieś rozwiązanie, teraz zadbaj o siebie. Dzieci muszą mieć zdrową i silną matkę.

„Po wojnie”, „Jak wojna się skończy” to były najczęstsze zwroty używane w planach na przyszłość i marzeniach zmęczonych wojną zwykłych ludzi.

– Jeśli sprzedam aptekę, będę miała pieniądze na rozpoczęcie czegoś nowego. Poza tym mamy spore oszczędności. O ile bank nam ich nie zabrał... – dodała z goryczą Zosia.

Od Adama nadal nie było żadnych wiadomości, w ogóle przestał pisać. Do Kasi doszły słuchy, że podobno dostał się do niewoli i wywieziono go do jednego z obozów jenieckich w Rosji, jednak nikt tego oficjalnie nie potwierdził. Informacja pochodziła od sąsiada, który walczył razem z nim, a teraz wrócił ranny do domu. Opowiadał o Adamie niechętnie, jakby miał jakieś ponure tajemnice do ukrycia przed jego żoną.

– Niechby go wywieźli do budowy kolei murmańskiej – wyrwało mu się tylko z nagłą zawziętością – żeby jego tam zamęczyli...

Kasia bała się dopytywać o szczegóły, zresztą tamten mężczyzna wyraźnie dał jej do zrozumienia, że więcej już nie chce rozmawiać na temat Adama. Poza tym, jak pisała w liście do Wiktorii, od tego dnia ów sąsiad zaczął jej wyraźnie unikać i udawał na ulicy, że się nie znają.

Wszystko to ogromnie martwiło Wiktorię. Bała się o los brata, bała się też owej strasznej zmiany, jaka w nim nastąpiła. Wyglądało na to, że wojna wydobyła z niego najgorsze cechy charakteru, do tej pory ukrywane, które w czasie pokoju być może nigdy by się nie ujawniły.

Za to o Stefanku Kasia pisała coraz cieplej i więcej. Widać było, że podbił serce nie tylko Jasia, jej bratanka. I to też niepokoiło Wiktorię, bo pozycja Adama w rodzinie stawała się coraz słabsza i wszystko zapowiadało dalsze kłopoty. A znając porywczy charakter brata, będą to raczej poważne kłopoty.

Antoni Borucki pisał rzadko, za to jego listy były długie, wyczerpujące, przepełnione miłością i tęsknotą. Wiktoria miała wrażenie, że wraz z nim uczestniczy w wojnie, opisywał szczegółowo bitwy i życie codzienne legionistów. Dzięki swojemu charakterowi w każdej sytuacji potrafił jednak znaleźć coś zabawnego, unikał drastycznych opisów i skupiał się na sprawach pogodniejszych. Jego listy często ozdobione były bardzo udanymi rysunkami, które nieraz rozśmieszały Wiktorię do łez. Antoni miał dar podpatrywania ludzi i wychwytywania ich zabawnych cech. Jego karykatury dowódców i towarzyszy z kompanii były prawdziwymi majstersztykami. Wiktoria uwielbiała listy od niego.

Natomiast te od Filipa przepełnione były przygnębieniem i tęsknotą za rodziną oraz domem we Francji. Ze smutkiem doszła do wniosku, że on chyba nigdy nie kochał jej tak jak ona jego. W przeciwnym razie nie wyrzuciłby jej ze swojego serca tak szybko i z taką łatwością. To wciąż bolało, coraz mniej wprawdzie, ale nadal tkwiło gdzieś głęboko w sercu jak zadra. Zastanawiała się czasami, co by zrobiła,

gdyby Filip nagle pojawił się tutaj i oświadczył, że jednak kocha tylko ją i chce zacząć wszystko na nowo.

Z zaskoczeniem dla samej siebie stwierdziła, że nie potrafi odpowiedzieć na to pytanie.

W Mogile kończyły się powoli zapasy mąki. Michalscy mieli jeszcze trochę własnej pszenicy, ale nie było gdzie jej zemleć, bo w jedynym młynie we wsi przeważnie mielono mąkę dla armii. Brakowało też ziemniaków. Wprawdzie mieli mały zagonek za domem i zapowiadał się niezły zbiór, niestety, którejś nocy ktoś się zakradł i wykopał niemal wszystkie. Michalski podejrzewał, że zrobili to żołnierze stacjonujący w okolicach fortu.

– Gdybym miał broń, tobym do drani strzelał. – Zaciskał pięści w bezsilnej złości, patrząc z troską na dzieci. – Mogli zabrać trochę, ale nie wszystkie. Co my teraz damy jeść tym nieboraczkom?

Wiktoria chciała zabrać Kasperkową i Matyldę do miasta, lecz żal Michalskich, którzy pokochali oboje dzieci, był tak wielki, że postanowiła odłożyć to jeszcze na jakiś czas.

– Przynajmniej do świąt – prosiła kowalowa. – Jakoś damy sobie radę do Bożego Narodzenia, a później Wiktoria zrobi, co zechce. Julek będzie tęsknił...

Ustalono więc, że przeprowadzka do miasta nastąpi zaraz po Nowym Roku.

– Matylda zupełnie odzwyczai się ode mnie – argumentowała Wiktoria. – No i ja za nią też ogromnie tęsknię.

Rodzice Filipa, acz niechętnie, musieli się z tym pogodzić.

– Ale na lato znów ją tu panienska przyśle? Tu i tak zawsze lepiej niż w mieście.

– Mam nadzieję, że do lata wojna już się skończy, a wraz z nią wszystkie kłopoty – odrzekła z westchnieniem Wiktoria.

– Oby, oby Pan Bóg pozwolił...

W Krakowie rzeczywiście coraz trudniej było się wyżywić, nie należała więc zbytnio na zabranie małej do domu. W głębi duszy wdzięczna była rodzicom Filipa za ich pomoc. Sama dawała sobie jakoś radę, z dzieckiem jednak w mieście byłoby o wiele trudniej. Kiedy po powrocie z Mogiły poszła na targ, nie znalazła ani nabiału, ani masła, ani ziemniaków. Był za to drób, owoce i wręcz zatrzesienie rydźów. Wiktoria z przyjemnością upiekła je sobie na kuchennej blasze, jednak dla małej Matyldy nie byłyby to odpowiedni posiłek.

Podobne kłopoty z zaopatrzeniem mieli rodzice Zosi. Tam sytuacja wyglądała wręcz dramatycznie, bo młoda matka, zapewne z powodu przeżytej tragedii, nie miała pokarmu i maleństwa należało dokarmiać butelką. Tymczasem w całym mieście nie było mleka. Wiktoria przywiozła trochę w bańce z Mogiły, ale to nie załatwiało sprawy. Ojciec Zosi jeździł po okolicznych wsiach i kupował mleko po lichwiarskiej cenie. Na szczęście udało im się znaleźć mamkę, młodą dziewczynę, która zaraz po porodzie straciła własne dziecko. Miała dużo pokarmu i mogła karmić Jasia i Małgosię, bo tak właśnie ochrzczono bliźnięta.

– Strzeż je teraz od złej baby-jagi – śmiała się Wiktoria, trzymając do chrztu Jasia. Matką chrzestną Małgosi została Maryna.

– Nawet tak nie żartuj. – Zosia przeżegnała się z zabobonnym lękiem.

Od śmierci męża straciła poczucie humoru i chęć do życia. Gdyby nie dzieci, kto wie, co by się z nią stało. Wiktoria miała nadzieję, że przyjaciółka dojdzie w końcu do siebie, przykro było patrzeć w jej zgaszone oczy i pustą, obojętną twarz. Czasami wydawało się, że nawet dzieci nie są w stanie wyrwać biedaczki z wyniszczającego ją przygnębienia. Całymi dniami leżała w łóżku, ożywiała się tylko na chwilę, kiedy przynoszono bliźnięta.

– Może pójdziemy razem na spacer do miasta? – zaproponowała pewnego dnia Wiktoria. – Dzisiaj w miarę ładna pogoda, a ty dawno nigdzie nie byłaś. Zobacysz, jak ładnie są udekorowane niektóre budynki, uczniowie mają dziś wolny dzień, sporo ich na ulicach.

– Wojna się skończyła? – spytała obojętnym tonem Zosia. – To dobrze.

– Nie – zmieszkała się Wiktoria – jeszcze się nie skończyła, ale dzisiaj są imieniny cesarza, stąd to święto. Z tej okazji została odprawiona uroczysta msza na Wawelu, a teraz w mieście odbywa się kwesta na żołnierzy inwalidów, mogłybyśmy się dorzucić.

– Pójdę, jak będą zbierali na wdowy po żołnierzach. – Przyjaciółka odwróciła się do ściany. – Idź sama, jestem zmęczona.

– Zosiu...

Tamta gwałtownie usiadła na łóżku i ze złością odrzuciła kołdrę.

– Przestań mnie, do diabła, zamęczać swoją dobrocią! – krzyknęła. – Mam już dość słodkiej Wiktorii, opiekunki wszystkich pokrzywdzonych, chodzącej dobroci! Jesteś nie do zniesienia, nieprawdziwa! Ludzie mają jakieś wady, a ty zachowujesz się, jakbyś nie miała żadnych. To nienormalne. Rozumiesz? Nie-nor-mal-ne!

Wiktoria stała jak ogłuszona. Walczyła z łzami, czuła, że zaczyna jej brakować tchu. Oparła się o krawędź stołu, żeby rozluźnić mięśnie i złapać trochę powietrza.

– Naprawdę tak o mnie myślisz? – spytała w końcu, z trudem łapiąc oddech.

– O Boże, Isiu, wybacz! – Zosia rozpląkała się żałośnie. – Nie chciałam ci sprawiać przykrości. Jestem tylko wściekła na los, na Boga, na wszystkich. I nie potrafię sobie z tym poradzić. A ty jesteś przecież najlepsza na świecie...

– Nie jestem – przerwała jej Wiktoria. – Jedynie bardzo się staram, żeby nikt tego nie zauważył. Nie chcę w niczym przypominać mojego ojca i tyle.

– Isiu, co ty? Jak w ogóle możesz się z nim porównywać? Nigdy nie będziesz taka jak on.

– Czemu tak sądzisz? Dlatego że jestem dobra aż do mdłości? To wcale nie znaczy, że naprawdę jestem dobra. Staram się po prostu, żeby nie być potworem jak on. Może przesadziłam z tymi staraniami, ale już nie potrafię inaczej. Ilekroć mam złe myśli, a miewam je tak często jak wszyscy inni ludzie, natychmiast staje mi przed oczami ojciec. W moich żyłach płynie jego krew, Zosiu. Nie można o tym zapominać.

– A ja nie mogę tego słuchać. – Przyjaciółka zatkała uszy dłońmi. – Przecież nigdy nie zrobiłaś niczego złego.

– Nigdy? – Wiktoria uśmiechnęła się z goryczą. – Nigdy... nie przyznałam ci się, ile razy miałam ochotę usunąć ciążę. Nienawidziłam tego dziecka, bo przypominało mi o grzechu i wstydzie. Tylko ja wiem, ile mnie kosztowało, żeby nie zażyć środka na spędzenie płodu, tego samego, który nieraz sprzedają kobietom. Ale zawsze wtedy widziałam ojca. To on – zaśmiała się ponuro – uratował życie swojej wnuczki. Pokochałam ją dopiero wtedy, kiedy poczułam jej ruchy, a potem po raz pierwszy przytuliłam. Wcześniej chciałam ją zabić. Taka jestem dobra, Zosiu.

– Naprawdę sprzedajesz środki poronne ciężarnym? – Tamta spojrzała na nią z niedowierzaniem i oburzeniem.

– Tak. – Wiktoria uniosła hardo brodę. – Przychodzą do mnie znękanе, gwałcone przez mężów kobiety, mające już gromadkę głodnych dzieci w domu. Przychodzą prostytutki, o których wiem, że usuwały już poprzednie ciążę albo zabijały noworodki i robią to znowu, z obawy przed utratą zarobku. Więc im pomagam. Wiem, powiesz mi, że bawię się w Boga, zupełnie jak mój ojciec. I będziesz miała rację, w tym jestem do niego podobna. Nieodrodna córka swojego tatusia!

W pokoju zapadła cisza, słychać było tylko muchę tłukącą się o szybę zamkniętego okna. Z głębi mieszkania rozległ się cichy płacz dzieci. Po chwili umilkły, zapewne ukołysane przez czujną babcię albo

opiekunki.

– Isiu, nie wiem, co powiedzieć...

– Najlepiej nic nie mów. Pójdę już, jestem zmęczona.

Zosia zerwała się z łóżka, podbiegła do Wiktorii i objęła ją, płacząc.

– Isiu, wybacz mi, proszę! Naprawdę nie chciałam ci sprawić przykrości. Jesteś moją jedyną, najlepszą przyjaciółką. Wybaczysz mi?

– Wybaczę. – Wiktoria uśmiechnęła się gorzko. – Przecież jestem dobra aż do obrzydliwości.

Na ulicy uświadomiła sobie, że tego dnia przypadają również imieniny ojca. Za czasów Zoi obchodzono je bardzo uroczyście, Franciszek Bernat zapraszał mnóstwo gości, kucharka miała zajęcie na cały tydzień. Później, po ucieczce żony, przestał świętować ten dzień, podobnie zresztą jak i inne święta. Domownicy ograniczali się tylko do złożenia mu życzeń, co też zwykle zbywał niechętnym machnięciem ręki.

Wiktoria postanowiła wybrać się na cmentarz, by zapalić świeczkę na grobie ojca, a przy okazji odwiedzić obie matki. Dawno już tam nie zaglądała, stale brakowało jej czasu. Na grób ojca chodziła najrzadziej, podłużny kopczyk zarastały zielska i trawa, a spod płataniny chwastów ledwo było widać krzyż. Nikt oprócz Wiktorii nie odwiedzał miejsca spoczynku Bernata.

Wyrwała zielsko, wyrzuciła zeschnięte kwiaty pozostałe po jej ostatniej wizycie i zapaliła świeczkę. Nikły płomyk chwiał się na końcu knota. Próbowała się pomodlić, ale tym razem nie mogła.

– Nienawidzę cię, ojcie – wyszeptwała zamiast modlitwy. – Nienawidzę za to, że choćbym nie wiem jak się starała, i tak będę w czymś do ciebie podobna.

ROZDZIAŁ 13

Mijał kolejny, trzeci już rok wojny. Ludzie powoli tracili nadzieję, że ten koszmar kiedykolwiek się skończy. Ceny żywności galopowały, brak było pracy, panował głód i wynikające z niego choroby. Najbardziej cierpiały na tym dzieci.

Wiktoria już nawet nie próbowała zabierać Matyldy do miasta, zawsze na wsi było dziecku lepiej. Ze smutkiem jednak stwierdziła, że ich więzi coraz bardziej się rozluźniają. Dziewczynka kończyła już cztery lata, a wychowywana cały czas przez Kasperkową i Michalskich, matkę traktowała jak miłą, ale obcą osobę spoza rodziny. Przy swoim dość trudnym i zdecydowanym charakterze, nawet nie chciała słyszeć o powrocie do Krakowa.

– Chcę zostać z babcią Zuzą i babcią Helą. – Stanowczo kręciła głową. – Ty nie umiesz się bawić w teatr i nigdy nie masz czasu. I nie umiesz opowiadać bajek.

Nigdy nie masz czasu... Wiktorii zrobiło się przykro.

Ale to prawda, pomyślała, za dużo wzięłam na siebie obowiązków, za bardzo staram się udowodnić wszystkim, że jestem najlepsza – słowa Zosi nadal w niej tkwiły – a w efekcie tracę coś cennego.

– Obiecuję, kochanie – przytuliła opierającą się lekko córkę – że jak już wrócimy do Krakowa, zabiorę cię do teatru.

– Naprawdę? – Matylda aż otworzyła szeroko oczy z zachwytem. – Takiego prawdziwego?

– Najprawdziwszego pod słońcem. Z kurtyną, aktorami i dużą sceną.

– A Lul...

– A Lulka też – odrzekła poważnie matka.

Chociaż Matylda już od dawna mówiła poprawnie, Julek pozostał dla niej Lulkiem i nawet tak się zwracały do niego obie babcie. Chłopiec też przyzwyczaił się do tej wersji swojego imienia i zapytany, jak się nazywa, odpowiadał z szurnięciem nogą, czego zapewne nauczył go przybrany dziadek, że „Lulek Michalski”.

– No to mogę pojechać – zgodziła się mała – ale tylko na teatr. Potem zaraz wrócimy do domu.

– To będzie trudne – Wiktoria starała się nie zwracać uwagi na to „do domu”, chociaż sprawiło jej przykrość – ponieważ przedstawienia dla dzieci odbywają się dosyć często. Wydałybyśmy zbyt dużo pieniędzy na same przejazdy koleją.

– To ja się jeszcze po... postanowię – oświadczyła Matylda, uznając rozmowę za zakończoną, i pobiegła do swoich zabawek.

Jednak argument o braku pieniędzy najwyraźniej do niej trafił. Nie raz i nie dwa słyszała rozmowy dorosłych na ten temat.

– Kochana, nie przejmuj się tak bardzo. – Ciocia Kasperkowa starała się pocieszyć Wiktorię. – Wyrośnie z tego, to jeszcze dziecko. Teraz mało cię widzi, nic dziwnego więc, że nie jest taka przywiązana, ale potem to się zmieni, zobaczysz.

– Nie, ciociu. – Powstrzymywane przy dziecku łzy popłynęły po twarzy Wiktorii. – Jeśli ona teraz nic

do mnie nie czuje, później to się nie zmieni. Może tylko jeszcze bardziej się ode mnie oddali. Od początku coś nas rozdzielało. Wtedy, kiedy się urodziła, nie mogłam się nią zajmować, bo sama ledwo przeżyłam poród, potem znowu ta wojna... To chyba kara za to, że kiedyś chciałam...

Pani Zuzanna wiedziała o początkowym niechętnym nastawieniu Wiktorii do ciąży. Ze strachem patrzyła na zachowanie Wiktorii w tamtym czasie i odetchnęła z ulgą, dopiero kiedy po pierwszych ruchach dziecka jej ukochana Isia poczuła miłość macierzyńską.

– Przestań! – fuknęła. – Zabraniam ci nawet tak myśleć. Byłaś zagubiona i nieszczęśliwa, a w takich chwilach człowiek miewa różne myśli.

– Ciociu kochana. – Wiktorii przytuliła jej dłoń do policzka. – Moja mądra, kochana ciociu, ty wszystko wytłumaczysz.

Listy od Antoniego podnosiły ją na duchu. W każdym zapewniał o swoim uczuciu, tęsknota coraz bardziej dawała mu się we znaki. O wojnie prawie nie pisał, jakby chciał oszczędzić Wiktorii przykrych spraw. Wyobrażał sobie i opisywał tylko ich przyszłe, wspólne życie. Urządzał w marzeniach dom, prosząc, aby poprawiła to, co jej nie odpowiada. Pytał, czy woli mieszkać u niego, czy u siebie, na Grodzkiej.

Wiem, kochana, że jesteś bardzo związana z tym domem i apteką. Będzie tak, jak zdecydujesz, dostosuję się do każdego Twojego życzenia. Moje mieszkanie możemy sprzedać, tylko sklep sobie zostawię, bo na tych Twoich pigułkach nic a nic się nie znam.

Listy jak zwykle opatrzone były mnóstwem zabawnych rysunków. Rozbawiały one Wiktorię do łez, lecz kiedy kończyła czytać, do jej serca wkradał się podstępny lęk. Bała się, że to wszystko wygląda zbyt pięknie, żeby mogło być prawdziwe. Że oto stanie się coś, co zrujnuje jej z takim trudem budowane szczęście.

Znów odwiedziła Zosię, gdyż ich przyjaźni nie mogły zniszczyć drobne nieporozumienia. Poza tym zdawała sobie sprawę, że przyjaciółka ma rację. Nie było przyjemnie słuchać takich rzeczy, ale od tego właśnie są przyjaciele. Powinni mówić wszystko, o czym inni ludzie nie powiedzą.

– Boję się, żeby on na tej wojnie...

– Nawet tak nie myśl! – Zosia przerwała jej w pół słowa. – Tylko ściągniesz jakieś nieszczęście. I nie mów mi znowu o klątwie – pogroziła przyjaciółce palcem, widząc jej minę – bo już nie zdzierzę, jak Bożę kocham.

Wiktorii uśmiechnęła się, słysząc ich ulubione powiedzonko z dzieciństwa.

– No dobrze – mruknęła rozbawiona – ale mimo wszystko...

– Ostrzegam cię, Wiktorio Bernat...

– W porządku, już nic nie mówię – Wiktorii zrobiła ruch, jakby zamknęła usta na kluczyk i wyrzuciła go przez ramię.

– Powiedz lepiej, co mu odpisałaś na te jego plany. Gdzie zamieszkacie po ślubie?

– Wolałabym jednak zostać na Grodzkiej. Nie wyobrażam sobie innego domu, chociaż z tym akurat wiążą się raczej niemiłe wspomnienia.

– No właśnie, więc dlaczego?

– Czy ja wiem? Może dlatego, że tu mam aptekę, jedyne miejsce na świecie, w którym czuję się u siebie.

– Zawsze przecież mogłabyś przychodzić tu do pracy rano każdego dnia, a wieczorem wracać do siebie.

– To nie to samo, ludzie często przychodzą po godzinach, nieraz nocą, kiedy nagle potrzebują jakiegoś leku. Przyzwyczaiałam swoich klientów, że tak jest, i nie chciałabym ich stracić. To dla mnie bardzo

ważne.

Mamka przyniosła bliźnięta do pokoju i położyła je na szerokiej kanapie. Teraz był czas dla matki i Zosia skrupulatnie tego przestrzegała. Mimo że sama nie karmiła dzieci, chciała mieć z nimi jak najczęstszy kontakt. Nachyliła się nad maluchami i z czułością usiłowała pocałować wymachujące w powietrzu różowe stópki.

– Moje kruszynki, moje słońca – głos jej się załamał ze wzruszenia – jaka szkoda, że wasz ojciec nie może tego cudu natury zobaczyć. Byłby taki dumny...

Maleństwa odpowiedziały radosnym gaworzeniem, wkładały przy tym całe piąstki do buzi i śliniły się niesamowicie.

– Chyba lada chwila będziemy mieli ząbki, wiesz, ciociu Isiu?

Zosia przemawiała w ich imieniu, a Wiktoria zastanawiała się, czy Matylda w ich wieku też tak się śliniła i jak wyglądał jej pierwszy ząbek.

Ze smutkiem stwierdziła, że nie pamięta tego momentu. Przy jej córce zawsze była ciocia Kasperkowa i to ona zajmowała się wszystkim, ona łagodziła ból i nocami tuliła płaczące dziecko. Wiktoria dostarczała tylko odpowiednich ziół i lekarstw. Dbała, żeby córeczce niczego nie zabrakło. Niczego, oprócz bliskości matki.

– Czemu tak posmutniałaś? – Zosia dopiero teraz zauważyła zmianę nastroju przyjaciółki. – Co się stało?

– Uświadomiłam sobie nagle, ile błędów popełniłam jako matka. Ile wspaniałych momentów mi przez to umknęło. Zosiu, niektóre kobiety nie powinny mieć dzieci...

– Co za bzdury znowu opowiadasz? Jesteś najlepszą, najbardziej kochającą matką, jaką znam. Nie masz za dużo czasu dla swojej córki, to fakt, ale wszystko, co robisz, jest z myślą o niej, prawda? Nawet ta rozłąka teraz, skąd ona się wzięła? Tylko z troski o dobro Matyldy. Zapewniłaś jej najlepsze warunki, jakie można było zapewnić w tych ciężkich czasach, więc przestań sobie robić wyrzuty.

– Mam nadzieję, że kiedyś moja córka będzie myślała podobnie. Na razie mam wrażenie, że ją tracę. Biedne dziecko, ojca nie zna, matka stale zajęta.

– No właśnie – Zosia z ulgą zmieniła temat – wiadomo coś na temat tego... zapomniałam imienia?

– Pascala – podpowiedziała niechętnie Wiktoria. – Pisała do mnie niedawno Ivonne, jego siostra. Podobno znów uwiódł jakąś młodą dziewczynę, a kiedy zaszła w ciążę, kazał usunąć.

– Uwiódł jak ciebie, podły drań.

– Nie, Zosiu, mnie nie uwiódł. Sama tego chciałam. Wiedziałam, co robię.

– Ale wykorzystał twoją chwilę słabości. – Przyjaciółka nie ustępowała. – I złość na Filipa.

– To mnie nie usprawiedliwia. Ale nie roztrząsajmy tego na nowo, posłuchaj, co było dalej.

– To był jeszcze jakiś ciąg dalszy? Nie wystarczy, że kazał jej usunąć ciążę?

– Usunięto ją w podłych warunkach, podobno w jego mieszkaniu. I, co było do przewidzenia, biedaczka zmarła w wyniku zabiegu. Wykrwawiała się na jego oczach, ale nie wezwał pomocy, bo bał się konsekwencji.

– Jezus Maria! Co za potwór! Jakie to szczęście, że nie zostałam tam dłużej, bo ciebie też mógłby spotkać podobny los. A co zrobił potem z... z ciałem?

– Podrzucił nocą na schody pobliskiego szpitala.

Wiktoria ze znużeniem potarła czoło.

– Wiesz, co mi teraz spędza sen z oczu? Nie patrz tak na mnie, nie będzie nic o klątwie. Boję się, co wyrośnie z Matyldy, przecież w jej żyłach płynie krew dziadka-potwora i niewiele lepszego ojca...

– Co do dziadka, zgadzam się, natomiast Pascal nie zrobił tego z premedytacją. – Przyjaciółka

pokręciła stanowczo głową. – Jest tchórzem, uwodzicielem i człowiekiem bez charakteru, to prawda, ale nie mordercą. Nie możesz go porównywać ze swoim ojcem.

Wiktoria westchnęła ciężko.

– Może masz rację – przyznała – ale niewielka to pociecha.

ROZDZIAŁ 14

Isiu, droga moja przyjaciółko! Leżę teraz w Amiens, w klinice Perdu z reumatoidalnym zapaleniem stawów. To efekt ciągłego przebywania w ziemiankach i okopach. Nawet nie wiesz, jak mnie to leżenie cieszy. Już niemal zapomniałem, co to ciepłe łóżko i pościel. Wprawdzie jedyne, co mi tu podają, to aspiryna, ale samo wylegiwanie się w ciepło już mnie leczy. Teraz ja jestem pacjentem i przyznam, że to bardzo miła odmiana.

Po dłuższej przerwie znów zaczęły przychodzić listy od Filipa. Wiktoria zdążyła się już zacząć martwić, czy aby nic złego mu się nie przytrafiło. Czytała w gazetach o ciężkich walkach we Francji i wyobrażenia podsuwała jej przerażające obrazy. Mimo starań i coraz silniejszego uczucia do Antoniego nie mogła zapomnieć o tamtym. To było zdecydowanie ponad jej siły. Nawet nie przyznawała się do tych myśli Zosi, znała aż za dobrze jej zdanie na temat Filipa.

Chociaż ani razu nie napisał niczego osobistego, nie wspomniał o swojej tęsknocie, Wiktoria cieszyła się, że to właśnie jej powierzał swoje przemyślenia i opowieści z frontu. Starła się nie myśleć o tym, że gdyby żona chciała z nim korespondować, prawdopodobnie nie odezwałby się do niej, Wiktorii.

Co do moich rodziców, napiszę do nich przy okazji. Cieszę się, że utrzymujesz z nimi kontakt, dziwię się tylko, że chciało im się na starość brać na wychowanie jakieś obce dziecko. Zupełnie jakby nie mieli własnego wnuka.

A czy kiedykolwiek będą mieli szansę poznać swojego prawdziwego wnuka?, pomyślała ze smutkiem Wiktoria. Szczerze mówiąc, wątpię.

Pomijając fakt, że trudno byłoby im się porozumieć, Filip, syn prostych rodziców z polskiej wsi, był teraz zięciem francuskiego profesora i jego arystokratycznej żony. Zbyt wysokie progi dla skromnych Michalskich.

Westchnęła i wróciła do listu.

Chętnie zostałbym w tym szpitalu dłużej, ale trzeba będzie wracać do swojego pułku i do okopów. Najgorsze tam jest nie tylko zimno i wilgoć, które tak zrujnowały moje stawy, ale robactwo i muchy. Pamiętam jedną z dawnych niemieckich ziemianek nad Sommą. Miała chyba z osiem metrów głębokości, schodziło się tam po dobrze zachowanych schodach. Kiedy już byliśmy na dole, zaatakowały nas roje much. Wciskały się do oczu i ust, musieliśmy sporządzić sobie coś w rodzaju woalek z gazy i smarować kąciki oczu wazeliną, bo chybaby nas pożarły żywcem. To było tak straszne przeżycie, że nigdy go nie zapomnę.

List kończył się nagle, jakby autor został od niego niespodziewanie oderwany. Poniżej był dalszy ciąg, z inną już, późniejszą o trzy tygodnie datą.

Dopiero teraz mogę dokończyć moje pisanie, bo okazało się, że nasi szli w kierunku Reims i jeśli chciałem się z nimi zabrać, trzeba było w trybie natychmiastowym wypisać się ze szpitala. Musiałem z nimi iść, raz, że to mój pułk, dwa, że przecież moja rodzina tam mieszka. Miałem okazję się z nimi zobaczyć po tak długim czasie. Niestety, najpierw dwadzieścia dni spędziliśmy na wzgórzach na zachód od Reims, czekając na kolejne natarcie. Nocami mogłem tylko z daleka obserwować łuny pożarów nad miastem i umierałem z niepokoju o moich bliskich. Z nudów wydłubywałem z kredowych ścian okopu skamieniałe muszle amonitów. Tych skamieniałości było mnóstwo, wyobrazasz sobie, Isiu, że dokładnie w tym miejscu znajdował się kiedyś ocean? W końcu weszliśmy do miasta, a mnie aż serce ścisnęło się z bólu. Wszędzie zniszczenia i ruiny. Górne piętra domów kompletnie zmiecione, przemy gruzu zalegały ulice. Niemcy przede wszystkim chcieli zburzyć katedrę i niemal im się to udało. Nie wchodziliśmy do środka, bo to było zbyt niebezpieczne, zauważyłem tylko, przechodząc, że statua Joanny d'Arc została obłożona workami z piaskiem.

Ale najważniejsze, Isiu, najważniejsze odwlekam najdłużej, jak mogę, skupiam się na opisach miasta, żeby tylko nie dojść do tego, że w naszym domu nie zastałem nikogo. Ni-ko-go! Zamiast domu były tylko zgliszcza. Napotkany znajomy powiedział mi, że cała moja rodzina wyjechała do Paryża, niemal na samym początku wojny. Nawet nie dali mi znać... Kiedy wracaliśmy, na placu płonął ratusz. Topiły się ołowiane rynny i ozdoby, a metal spływał na bruk wielkimi kroplami. Takie też były i moje łzy, Isiu. Ciężkie, ołowiane.

Wiktoria musiała przerwać czytanie, bo i jej łzy napłynęły do oczu. Płakała nad niedolą Filipa i jego smutnym losem. Nad swoim również. Gdyby wszystko potoczyło się inaczej, ona byłaby z nim zawsze. Nie opuściłaby go w trudnych chwilach, jak ta jego żona. Wspierałaby go i podnosiła na duchu, a potem czekała na jego powrót w niezniszczonym Krakowie, gdzie tak naprawdę powinien być jego dom. Są pokrewnymi duszami i nigdy nie powinni byli się rozstawać.

W Krakowie wybuchła epidemia czerwonki. Do szpitala, w którym pracowała popołudniami Wiktoria, przyjmowano dziennie nawet ponad trzydziestu zarażonych. W jej aptece, tak jak i w innych, natychmiast wykupiono niemal cały zapas opium, które, podawane w kroplach na cukier, jakoby miało pomagać w początkowym stadium choroby. Wiktoria starała się uważać i jak najczęściej myć ręce po kontakcie z chorymi, niestety, po pewnym czasie zauważyła u siebie pierwsze objawy.

Wróciła do domu z silnym bólem głowy i gorączką. Początkowo sądziła, że to przeziębienie, gdyż ostatnie dni były zimne i deszczowe, jednak potworne bóle brzucha i towarzysząca im biegunka wyjaśniły wszystko. Pomyślała z ulgą, że na szczęście ostatnio nie miała czasu na odwiedziny u Matyldy w Mogile ani u Zosi i jej dzieci. Sama świadomość, że mogłaby ich wszystkich zarazić, podnosiła jej włosy na głowie. Do tej pory nigdy nie myślała o tym, że przecież może przenieść zarazki różnych chorób ze szpitala na swoich bliskich. Wszak nie tylko ranni żołnierze tam przebywali. Wydawało jej się, że skoro zachowuje ostrożność i czystość, nie może się stać nic złego. Teraz okazało się jednak, że higiena to nie wszystko.

Przez kilka dni z trudem podnosiła się z łóżka, schodziła z niego tylko za potrzebą, czyli niemal kilkanaście razy dziennie. Zabroniła Joasi przebywać z nią pod tym samym dachem i niemal siłą wymusiła, żeby dziewczynka zamieszkała w tym czasie u koleżanki. Zawiadomiona przez pomocnika

Wiktorii ciocia Kasperkowa chciała natychmiast przyjechać do Krakowa, by osobiście zająć się chorą, lecz ona również dostała surowy zakaz wstępu na Grodzką. Wiktoria nie chciała, żeby choroba rozprzestrzeniła się dalej. Zwłaszcza jej bliscy musieli pozostać w bezpiecznym oddaleniu.

Zaopatrzona przez Marynę w leki, zioła i wodę do uzupełniania płynów, uznała, że całkiem nieźle sobie radzi. Niestety, niedożywiony organizm nie miał zbyt dużo siły na walkę z chorobą. Maryna znalazła odwodnioną i nieprzytomną Wiktorię na podłodze obok łóżka, kiedy tknięta przeczuciem, zajrzała na górę przed zakończeniem pracy w aptece. Tylko szybka interwencja koleżanki i przewiezienie chorej do szpitala uratowały jej życie.

Przez kilka dni wydawało się, że osłabiona Wiktoria nie poradzi sobie z chorobą. Nieustannie nawadniana, natychmiast traciła płyny w niekończącej się krwawej biegunce. Zdana całkowicie na opiekę innych nie reagowała już niemal na żadne bodźce. Pracownikom szpitala przykro było patrzeć na tę zwykle pełną życia i energii kobietę, walczącą teraz o życie. W każdej chwili liczono się z najgorszym.

W końcu jednak, ku radości wszystkich, powoli, bardzo powoli choroba zaczęła się wycofywać. Wiktoria z dnia na dzień czuła się coraz lepiej, biegunka ustała i można było już wypisać pacjentkę do domu, żeby nie narażać jej na inne infekcje w szpitalu. Teraz potrzebowała tylko spokoju i specjalnego odżywiania. To pierwsze można było zapewnić rekonwalescentce bez trudu, z drugim jednak było gorzej. Ceny w Krakowie, co wydawało się już prawie niemożliwe, znów poszły w górę, a nieuczciwi kupcy zaczęli oszukiwać. Mieszali masło i miód z sobie tylko znanymi dodatkami, żądając przy tym zapłaty jak za pełnowartościowe produkty. Nierzadko od takiego „zdrowego” masła można się było pochorować.

Zakonnice z sierocińca, którym od lat opiekowała się Wiktoria, chciały ją zabrać do siebie, ale odmówiła.

– Kochane moje, nawet mowy nie ma – zaprotestowała niemal z irytacją. Drażniła ją własna słabość i uzalanie się innych nad jej stanem. – Doceniam waszą troskę, ale przecież same macie trudności z wyżywieniem dzieci, a ja nie dość, że wam teraz nie pomogę, to jeszcze objadałabym sieroty. Jestem silna i na pewno sobie poradzę. Mam wielu przyjaciół, przecież nie zostawią mnie w potrzebie.

Wtedy na Grodzkiej pojawiła się ciocia Kasperkowa. Ze stanowczą miną spakowała Wiktorię na wyjazd do Mogiły.

– Teraz, moja kochana, ja trochę pobędę tutaj z Joasią, a ty pomieszkasz w Mogile z Matyldą. Mała potrzebuje matki, a ty, Isiu, odpoczynku. Poza tym ja też stęskniłam się za swoją córeczką. Widuję ją zbyt rzadko.

Ten ostatni argument przekonał ostatecznie Wiktorię. Wprawdzie starała się być dla dziewczynki zarówno siostrą, jak i matką, ale nie mogła oszukiwać samej siebie: dla Joasi również nie miała zbyt wiele czasu.

Do Michalskich jechała już jak do rodziny. Przez ten cały czas żyła się z tymi prostymi, dobrymi ludźmi i wręcz nie mogła pojąć, że kiedyś matka Filipa mogła jej się wydawać oschłą i nieprzyjemną.

Kowalowa przywitała ją z radością, z jaką wita się bliską osobę. Mogłabym być jej synową, pomyślała ze smutkiem Wiktoria, z niechęcią wysuwając się z objęć matki Filipa. Ramiona kobiety były tak ciepłe i opiekuńcze, że najchętniej pozostałaby w nich na długo.

– Moje biedactwo, jakie to wynędzniałe! – Gospodyni, po serdecznym powitaniu, zaczęła uzalać się nad gościem. – Kurczaczek się zrobił z Wiktorii, chudziutki i oskubany. Zaraz odkarmimy, czym się da, odchuchamy.

Młoda kobieta ze wzruszeniem uświadomiła sobie, że od dawna nikt tak się o nią nie troszczył ani nie przejmował się jej zdrowiem. Przez chwilę poczuła się jak czyjeś ukochane dziecko. Nawet nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo brakowało jej takiej serdecznej opieki.

Dzieci powitały ją z trochę mniejszym entuzjazmem. Julek wprawdzie przywitał ją radosnym: „Ciocia przyjechała!”, ale zaraz pobiegł do kuźni pomagać dziadkowi Michalskiemu. Pomoc polegała wprawdzie na przyglądaniu się pracy kowala z bezpiecznej odległości, ale coraz to rozlegały się wykrzykiwane na cały głos rady: „Nie tak mocno, dziadku, bo pęknie!”, „O, jeszcze raz stuknij i będzie gotowe”. Był bardzo dumny, kiedy dziadek opowiadał potem wszystkim w domu, że gdyby nie Lulek, sam nie dałby sobie rady.

Matylda też podbiegła do matki z radosnym okrzykiem, zaraz jednak wyrwała się z jej uścisków.

– A gdzie babcia Zuza? – spytała, spoglądając z zawodem w stronę drzwi. – Kiedy tu przyjdzie?

– Babcia musiała zostać na trochę w Krakowie, kochanie. Teraz mamusia z tobą pobędzie, bo bardzo, ale to bardzo stęskniła się za swoją ukochaną córeczką. – Wiktoria poczuła bolesne ukłucie w sercu, jednak starała się nie okazywać po sobie smutku, jaki ją ogarnął po reakcji Matyldy.

– Nie chcę być z tobą. – Buzia małej wykrzywiła się w podkówkę. – Ja chcę babcię Zuze! – Rozpłakała się na dobre, odpychając od siebie matkę. – Idź sobie, nie kocham cię. Babciuuuuuu!

Skoro zabrakło babci Zuzy, pobiegła do babci Heli. Matka Filipa przytuliła zapłakaną dziewczynkę i zaczęła jej coś tam cicho tłumaczyć. Wiktoria patrzyła ze ściśniętym sercem na swoją córkę. Dopiero teraz do niej dotarło, jak bardzo oddaliły się od siebie przez cały ten czas. Bała się, że to może już być nie do odrobienia.

– Niech się tak Wiktoria tym nie martwi. – Gospodyni wysłała Matyldę do Julka, a sama podeszła do Isi. – Oswoi się, przyzwyczai i będzie dobrze. Może Pan wiedział, co robi, zsyłając na panienkę tę zarazę?

Załamana Wiktoria na razie nie widziała pozytywnych stron swojej choroby. Straciła siły i zdrowie, nie mogła pracować, nie mogła opiekować się chorymi w szpitalu, nie mogła... No właśnie, nie mogła nadal zajmować się wszystkim innym, tylko nie własną córką. Prosta, niewykształcona kobieta ujęła to najlepiej, jak tylko było możliwe.

Gdyby nie choroba, Wiktoria nadal nie miałyby czasu dla Matyldy.

ROZDZIAŁ 15

Późna wiosna 1918 roku przyniosła kolejne smutne wydarzenie – zmarła babcia Szczygłowa, matka Hanki.

Wiktoria miała wyrzuty sumienia, że ostatnio tak rzadko odwiedzała staruszkę, ale obowiązki, a później choroba uniemożliwiły te wizyty. Zatrzymała na noc wuja, który przywiózł jej tę wiadomość, a następnego dnia postanowiła zabrać się wraz z nim, żeby wziąć udział w pogrzebie.

Matyllda, która wprawdzie niewiele знаła prababcię, też chciała jechać. Przechodziła ostatnio fascynację śmiercią i pogrzebami. Na wsi często razem z babcią Helą żegnała zmarłych w ich domach. Leżący w otwartych trumnach, otoczonych płonącymi gromnicami i ciężko pachnącymi kwiatami, wzbudzali w niej fascynację pomieszaną z lękiem. Po powrocie do domu kazała kłaść się Julkowi na łóżku i udawać martwego, a sama w tym czasie modliła się za jego duszę tak długo, aż w końcu „nieboszczyk” zaczynał się niecierpliwić i wstawał z „trumny”.

Praktyki te martwiły Wiktorię, ale Michalska radziła jej dać spokój i nie zakazywać córeczce niczego na siłę.

- Minie jej to niedługo. Każde dziecko tak się zachowuje, a potem samo mu przechodzi.
- Ja nie pamiętam, żebym tak robiła – próbowała oponować Wiktoria.
- Bo panienka miała dość okropieństw w swoim domu, żeby jeszcze szukać innych...

Pogrzeb babci był cichy i skromny. Garstka sąsiadów, przeważnie kobiet, bo mężczyźni byli na wojnie, odprowadziła prostą, sosnową trumnę ze zwłokami Feliksy Szczygieł na cmentarz parafialny. Wołą zmarłej było spocząć wraz z ukochaną córką, Hanką, niestety, załatwianie spraw urzędowych w czasie wojny wymagało sporo czasu i zachodu, a zmarłą należało szybko pochować. Nie wolno było zostawiać nieboszczyka w domu na niedzielę, bo to wróżyło rychły zgon kogoś z rodziny. Zabobonna żona wuja dziękowała Bogu, że teściowa nie umarła na przykład w piątek, gdyż bez kilkudniowego czuwania przy zwłokach nie można by przecież nieboszczki pochować.

Wiktoria obiecała jednak zająć się tą sprawą osobiście i kiedy tylko będzie można załatwić wszelkie formalności, przenieść babcię do grobu Hanki na Cmentarzu Rakowickim.

Wcześniej jednak, zgodnie ze zwyczajem, odbyło się trzydniowe czwanie przy zmarłej. Zafascynowana tym Matyllda niemal nie odchodziła od trumny. Zazwyczaj uczestniczyła tylko w krótkich pożegnalnych wizytach, wraz z babcią Helą. Teraz mogła obserwować wszystko od początku do końca.

Leżąca w otwartej trumnie właściwie nieznaną prababcia nie wzbudzała lęku w Matyldzie. Dziewczynka nawet sama poprawiała monety na powiekach zmarłej, żeby się nie zsunęły. Zwracała szczególną uwagę na przynoszone przez sąsiadów bukiety i każdy kwiatek, który się oderwał od gałązki, umieszczała tam na powrót. Wiedziała od babci Heli, że wszystko, co było przy trumnie, musi być później zabrane ze zmarłym na cmentarz, bo inaczej śmierć może zostać w domu. Dotyczyło to również płonącej gromnicy; ona też powinna dopalić się na grobie.

– Mamusiu, chodź, zasypiemy piaskiem kałużę na podwórku. – Zaaferowana Matylda przybiegła do matki, dokonawszy lustracji otoczenia.

– A po co? – zdziwiła się Wiktoria.

– Jak to, nie wiesz? – Oczy dziewczynki zrobiły się okrągłe jak spodki. Jak można tego nie wiedzieć! – Przecież odbija się w niej dom zmarłego, a nie może. Widziałaś, że w środku wszystkie lustra zasłonięte są czarnymi szmatami?

– Widziałam. – Wiktoria usiłowała się nie uśmiechnąć na te „szmaty”. Wujenka przeznaczyła na zasłony najlepszy gęsty tiul. – I co z tego?

– Jak to co z tego? Mamusiu... przecież w tym wszystkim odbija się śmierć. W kałuży też.

Wiktoria była trochę przerażona wiedzą swojej pięcioletniej córki. Wiedziała, że to wpływ Michalskiej, i nie była pewna, czy jej się owa edukacja córki podoba. Dziecko w tym wieku nie powinno tak bardzo interesować się śmiercią. Podczas pobytu w Mogile starała się jak najbardziej zbliżyć do dziewczynki, żeby odbudować więź między nimi. Ponieważ w domu Michalskich nie było żadnych książek, sprowadziła bajki ze swojej domowej biblioteczki i czytała je dzieciom przed snem. Córeczka najbardziej lubiła historię o Śpiącej Królewnie; teraz Wiktoria nie miała już żadnych wątpliwości dlaczego.

Matylda uczestniczyła we wszystkich obrzędach pogrzebowych, bała się tylko nocy pod jednym dachem ze zmarłym. Zgodnie ze zwyczajem nie należało gasić światła w pomieszczeniu z trumną, a cień przez nią rzucany na przeciwległą ścianę budził w dziewczynce większy strach niż sama trumna.

– Mamusiu – tuliła się w nocy do Wiktorii. – Jak ty kiedyś umrzesz, to mogę zgasić światło w twoim pokoju?

– Oczywiście. Myślę, że nie będzie mi to wcale przeszkadzało. Nie chciałabym straszyć mojej ukochanej córeczki.

– Ale... ale czy możesz tak zrobić, żeby nigdy nie umrzeć? Nie chcę, żebyś umarła. Bardzo cię kocham, mamusiu.

– Ja też cię kocham, maleńka. Nad życie. – Wiktoria nie mogła powstrzymać łez wzruszenia. Na takie słowa czekała od dawna. – I postaram się jak najdłużej nie umierać.

Dzień pogrzebu był pogodny i słoneczny. Po trwających od tygodnia ulewach i zimnie w końcu zaświeciło słońce. Wiktoria czekała, co mała ma do powiedzenia na ten temat i jaka wróżba na przyszłość łączy się z taką zmianą pogody, ale Matylda była zbyt przejęta samą ceremonią, by myśleć o pogodzie. O wielu obyczajach wcześniej nie wiedziała i teraz nie mogła się doczekać, kiedy opowie babci Heli, że krzesła, na których stała wcześniej trumna, mają być przewrócone i „odczarowane”, żeby już więcej nie służyły do tego celu. Że wszystkie zegary zostały zatrzymane na godzinie śmierci prababci i nakręcone na nowo dopiero po powrocie z cmentarza, a podczas wyprowadzania zwłok drzwi w całym domu musiały być otwarte. Trzykrotne stuknięcie trumną o próg domu przeraziło ją trochę i ścisnęła mocniej dłoń matki.

– A nie wyleci prababcia z tej trumny, jak tak stukają?

Wiktoria zapewniła ją, że nie. Nie zamierzała uświadamiać dziecku, że zdarzały się, niestety, takie wypadki.

Po powrocie z pogrzebu Matylda wymogła na matce, by jak najszybciej wybrały się w odwiedzin do Mogiły. Nie mogła się doczekać, kiedy opowie babci Heli i Julkowi o tych wszystkich rewelacjach. Pojechały tam kilka dni później.

Zbiegiem okoliczności kotka mieszkająca w oborze urodziła jedno duże, ale słabe kociątko, które nie przeżyło trudów porodu. Zaniepokojona gospodyni zaprowadziła po cichu Wiktorię za dom, gdzie

odprawiono ceremonię pogrzebową. Wszystko, jak zapewniała potem dumna z siebie Matylda, odbyło się jak należy: „trumnę”, czyli pudełko po nabojach do strzelby dziadka, wyprowadzono z domu – czyli z obory. Nie było czasu na trzydniowe czuwanie, bo Wiktoria z małą wracały następnego dnia rano do Krakowa. W oborze nie było też, ku żalowi dziewczynki, luster do zasłonięcia. Kociak został pochowany za stodołą, pod drzewem. Julek musiał odegrać rolę księdza, Matylda była „rodziną”.

Babcia Michalska, na prośbę Wiktorii, odbyła długą i poważną rozmowę z Matyldą i wyjaśniła małej, że takie pogrzeby urządza się tylko ludziom, a nie zwierzętom. Dziewczynka była niepokieszona.

– To muszę czekać, aż umrzecie? A przecież zwierzątka umierają częściej.

Filip, mimo wcześniejszych zapewnień, nadal nie odzywał się do rodziców. Pisał listy tylko do Wiktorii, skarżąc się na samotność i tęsknotę, a o matce i ojcu jakby zupełnie zapomniał. Wiktoria nie mogła tego zrozumieć, dopiero Zosia ją uświadomiła.

– Dziwisz się, czemu do nich nie pisze? – Wzruszyła ramionami. – To proste. Przecież zmienił nazwisko, nie mówiąc o tym rodzicom. Oboje są niepiśmienni, więc list musiałyby im ktoś przeczytać, a wtedy sprawa rozniosłaby się na całą wieś. Tak więc, jak widzisz, sam się zaplątał i pogubił w tym wszystkim.

– O tym nie pomyślałam... Ale żeby ambicja była silniejsza od miłości do rodziców? Tego nie potrafię zrozumieć.

– Bo ty masz inny charakter. Filip zawsze myślał tylko o sobie. Tylko on był nieszczęśliwy, tylko on cierpiał po zerwaniu z tobą i wyjeździe do Paryża. Inni się nie liczyli. To zwykły egoista i tchórz. I zupełnie nie rozumiem, dlaczego przez cały czas nie możesz tego dostrzec. Powiedz lepiej, co u twojego legionisty. Na pewno jesteś z niego dumna.

Wiktoria uśmiechnęła się na samo wspomnienie Antoniego.

– A jestem, jestem, żebyś wiedziała. Pisał niedawno, że wojna pewnie już długo nie potrwa i że nie może się doczekać powrotu do nas, czyli do Matyni i do mnie. I cały czas marzy tylko o ślubie. Weźmiemy go w tym małym kościółku Świętego Ducha, bo to jego parafia.

– No widzisz, myśl o tym, nie zwracaj sobie głowy Filipem.

– Zamieszkamy razem, u mnie – ciągnęła Wiktoria z rozmarzonym uśmiechem. – Muszę być przecież tam, gdzie apteka.

– Tam dom mój, gdzie apteka moja? – zaśmiała się Zosia.

Cieszyła się, że przyjaciółka znalazła kogoś, kto zasługiwał na jej miłość i z pewnością odpłaci jej takim samym uczuciem.

A w kłótwę, o której tamta wciąż przypominała, nie wierzyła ani przez chwilę.

ROZDZIAŁ 16

Jesień przyniosła nadzieję na zmiany. Coraz częściej mówiono o zbliżającym się końcu wojny, aż wreszcie wypadki z trzydziestego pierwszego października wlały otuchę w serca mieszkańców Krakowa.

Już od samego rana w mieście wrzało. Wcześniej, tuż przed północą, grupa polskich żołnierzy rozbroiła austriacki posterunek w Prokocimiu. Z daleka słychać było salwy karabinowe i okrzyki. Wiktoria, podobnie jak większość mieszkańców miasta, nie spała, ze strachem nasłuchując tych odgłosów. Nikt jeszcze nie wiedział, co się dzieje, dopiero rano okazało się, że to początek wyzwolenia Krakowa.

Żołnierze z łatwością opanowywali kolejne koszary, Austriacy byli tak zaskoczeni, że poddawali się bez walki. Nad bramami wejściowymi zawisły biało-czerwone flagi w miejsce dwugłowego orła austriackiego. Żołnierze zrywali „bączki” z czapek i zastępowali je narodowymi kokardkami. Wznoszono okrzyki, że Austria upada i powstaje wolna Polska.

Zewsząd napływali ochotnicy, zaskoczeni przechodnie nawoływali swoich znajomych i tłumnie przyłączali się do pochodu. Broni z zajętych koszar było pod dostatkiem. Wszyscy razem ruszyli w stronę Starego Miasta, po drodze zajmując kolejne posterunki. Na Rynku do idących dołączyli studenci z Collegium Novum. Na wieść o wypadkach wyrzucili przez okno duży portret Franciszka Józefa, a stojący na dole gapie momentalnie rozerwali go na strzępy. W szkołach przerwano zajęcia, młodzież szybko zasilila szeregi pochodu, który wkrótce stanął pod Wieżą Ratuszową, gdzie nastąpiło zajęcie odwachu. I tu Austriacy poddali się bez oporu, a pierwsza warta Najjaśniejszej Rzeczypospolitej odbyła się bez rozlewu krwi.

Wiktoria wraz z Matyldą i Kasperkową śledziła to wszystko, stojąc w tłumie zgromadzonym na Rynku. Wszyscy czuli, że są świadkami historycznych chwil, kto mógł, spieszył pod odwach, w domach zostali tylko starcy i obłożnie chorzy. Joasia i jej koleżanki biegały wśród żołnierzy, rozdając im własnoręcznie robione kokardki narodowe, którymi zastępowano austriackie „bączki” na wojskowych czapkach.

– Kraków wolny! – wołano; ludzie z płaczem rzucali się sobie w objęcia.

Nikt nie miał wątpliwości, że za Krakowem pójda inne miasta i że ogłoszenie końca wojny jest już tylko kwestią czasu.

– Patrz, Matysiu! – Wiktoria podniosła do góry nieco przestraszoną córeczkę i obróciła się z nią dookoła własnej osi. – Patrz i zapamiętaj tę chwilę. Kraków jest wolny, a niedługo wolna będzie cała twoja ojczyzna!

– Teraz tylko patrzeć, jak nasi zaczną wracać do domów! – cieszyły się kobiety, a Wiktoria czuła miły ucisk w dołku na myśl o powrocie Antoniego.

Od miesiąca nie miała od niego żadnych wieści, martwiła się więc, ale jednocześnie miała nadzieję, że brak wiadomości oznacza dobre wiadomości. Tak często przecież była świadkiem odbieranych przez znajome kobiety zawiadomień o śmierci ich mężów. Wprawdzie Antoni jeszcze nie został jej mężem, ale utrzymywała z nim regularną korespondencję, więc w razie nieszczęścia takie zawiadomienie powinno było do niej dotrzeć. A przynajmniej tak sobie tłumaczyła.

Filip też przestał się odzywać. Ostatnim listem, jaki do niej wysłał, był ten z okolic Reims. Miała nadzieję, że nic złego się nie przydarzyło, bo nadal myślała o Filipie jak o kimś bardzo bliskim. Wprawdzie Zosia twierdziła, że Wiktoria bardziej chyba kochała wyobrażenie o nim niż jego samego, ale nie dała się przekonać.

Filip był jej pierwszą, prawdziwą miłością, i chociaż pogodziła się już z myślą, że nigdy nie będzie do niej należał, nie mogła go ot tak, po prostu, wyrzucić z serca. Kiedy czytała jego listy, wciąż na nowo poruszała ją wrażliwość Filipa, inteligencja i umiejętność przekazywania uczuć za pomocą słów, natomiast Antoni – mimo swojego cudownego charakteru, który gwarantował jej miłość i bezpieczeństwo – nie potrafił tak pięknie wyrażać swoich myśli.

Przypomniła kiedyś Zosi, że przecież w szkole bardziej kochały się w dzikim Bohunie niż w szlachetnym Skrzetuskim, ale ta tylko machnęła z irytacją ręką.

– Dorośnij w końcu, moja droga. Marzeniami dziecka nie wykarmisz.

Matylda teraz nie wspominała już o Antonim. Była zbyt mała, gdy wyjechał na wojnę, i Wiktoria zastanawiała się często, jak dziewczynka zareaguje na widok Boruckiego, kiedy ten wróci w końcu do Krakowa.

O ile wróci... cichutki głosik dobiegający gdzieś z głębi serca drażnił ją i niepokoił. Nie dzieliła się tymi obawami z Zosią, bo ta nawet nie chciała słyszeć o ewentualnym nieszczęściu.

– Uważam – oświadczyła kiedyś, ucinając stanowczo ledwie rozpoczętą myśl Wiktorii – że Bóg dość już cię doświadczył i najwyższy czas, by pokazał swoje łaskawsze oblicze.

I stało się; wreszcie nastąpił koniec czteroletniego koszmaru. W gazetach pisano o wyzwaniu kolejnych miast i ostatecznym zawieszeniu broni podpisanym przez Niemcy z państwami ententy. Dzienniki z tymi wiadomościami były rozchwytywane niemal w jednej chwili, a uliczni sprzedawcy uwijali się jak w ukropie, żeby wszyscy je otrzymali.

Najważniejsze w tym wszystkim było, że po tylu latach niewoli Polska odzyskała w końcu niepodległość. Nie było domu, w którym nie świętowano by tego faktu. Skończyły się złe i trudne czasy, nadchodziło nowe. Polacy jeszcze ostrożnie i z niedowierzaniem, ale i z rosnącą powoli nadzieją zaczęli spoglądać w przyszłość.

Tymczasem przez Kraków i okoliczne wsie ciągnęły tłumy powracających z wojny i niewoli żołnierzy. Głodni, zawszeni i obdarci stanowili zagrożenie dla cywilów. Obawiano się wybuchu zarazy, wydano więc odezwę nawołującą do zachowania ostrożności i izolowania w domach rodzinnych tych, którzy mieli objawy jakiegokolwiek choroby. Polecano jak najszybsze pozbycie się wszy, palenie brudnych łachmanów, golenie głów i nacieranie ich naftą. Wielu żołnierzy było zarażonych chorobami wenerycznymi. Nakłaniano ich do poddania się leczeniu, zanim nawiążą znów kontakty intymne ze swoimi żonami. Tym, którzy by nie posłuchali tego rozporządzenia, groziły surowe kary.

– Wrócił narzeczony mojej córki. No, nareszcie!

Do apteki weszła zamaszystym krokiem tęga matrona, znana ze swojego trudnego charakteru i złośliwego języka. Widywano nieraz jej męża, urzędnika magistratu, z siniakami na twarzy. Oficjalna wersja mówiła o niezręczności i nieuwadze drobnego mężczyzny, nieoficjalnie zaś wszyscy wiedzieli swoje. Podśmiewano się po cichu, że biedaczysko zawsze upada nieszczęśliwie na któreś oko. Raz na prawe, raz na lewe, w zależności od tego, którą nogą się potknął.

– Nie przystąpi nawet na krok do mojej Marianny, zanim nie przyniesie zaświadczenia od lekarza, że

nie ma żadnej wstydlivej choroby. No!

– Ma pani rację, droga pani – poparła ją druga. – Chłopom nie należy wierzyć za grosz. Bóg jeden wie, co oni tam robili przez te cztery lata. Puszczeni samopas, a po drodze tyle przecież wojennych słomianych wdów. Niech tylko mój wróci, to zaraz się za niego wezmę. Opowie się ze wszystkiego jak na świętej spowiedzi, zbereźnik jeden.

Wiktoria zacisnęła zęby, starając się nie reagować, ale w końcu nie wytrzymała. Ostatnio wszystko ją denerwowało, była spięta jak agrafka, jak trafnie określiła jej stan Kasperkowa, ale wynikało to z przemęczenia, przebytej niedawno choroby i niepokoju o bliskich. Ze ściśniętym sercem spoglądała na drzwi, w których w każdej chwili mógł się pojawić posłaniec ze złą nowiną. Lecz najbardziej denerwowała ją ludzka głupota.

– Naprawdę nie wiedzą panie, co nasi mężczyźni robili na wojnie? – Wyzywająco podniosła brodę. – Otóż walczyli, proszę pań, cierpieli głód, zimno i choroby. Wielu z nich zginęło z dala od swoich rodzin i zostało pochowanych w zbiorowych mogiłach, bezimiennie. To, do diabła, robili, podczas gdy panie siedziały bezpiecznie na tyłkach w swoich domach. I za to należy im się choćby odrobina szacunku.

Była pewna, że w ten sposób straciła co najmniej dwie klientki, ale jej to nie obchodziło. Takie osoby budziły w niej niemal krwiożercze instynkty.

Kobiety zamilkły jak niepyszne, zrezygnowały z zakupów i jedna po drugiej, robiąc miny obrażonej niewinności, wyszły z apteki, odprowadzane drwiącymi spojrzeniami innych klientek. Wszyscy uważali, że obie sekutnice dostały w końcu za swoje, wcześniej jednak nikt nie miał odwagi głośno im się przeciwstawić. Ich złe języki mogły narobić mnóstwo szkody. Wiktoria, przyzwyczajona do plotek na swój temat, przestała się już przejmować obmową. Wiedziała, że nawet jeśli do tej pory obie kobiety nie zajmowały się zbyt jej osobą, teraz nie pozostawią na niej suchej nitki. Ale było jej to już obojętne.

Od Adama nie przysłała dotąd żadna wiadomość, co też przyczyniało się do zdenerwowania Wiktorii. Niepokoiła się o obu braci, o Adama, czy nie stała mu się krzywda na wojnie, i o Stefanka, czy nie stanie mu się krzywda po powrocie brata. Wiedziała już z całą pewnością, że Stefanek zastąpił nie tylko ojca Jasiowi, lecz i męża Kasi. Bratowa zwierzała jej się w listach ze swoich rozterek i „grzechu”, jak nazwała swoją miłość do szwagra.

Jest taki dobry i delikatny – pisała, jakby chciała uzyskać od Wiktorii rozgrzeszenie – Adam nigdy taki nie był. I tak pięknie zajmuje się Jasiulkiem, ma dla niego tyle cierpliwości, że aż dziw. Boję się, co będzie, jak Adaś wróci, bo ja już sobie nie wyobrażam z nim życia. Dobrze mi ze Stefankiem, chociaż jest, jaki jest. Niepotrzebny mi mądry i uczony mąż, ważniejsze jest serce i dobro, a on taki właśnie jest. I pracowity jak nikt inny. Poproszę Adama o rozwód, ale boję się, że będzie się mścił na bracie. Nie wiem, Isiu kochana, nie wiem, co robić. Bywa, że chciałabym, żeby on z tej wojny nie wrócił... Ale to okropna myśl, która mnie nawiedza czasami przed zaśnięciem i modłę się, by Bóg mi wybaczył...

Wiktoria starała się nie oceniać bratowej, ponieważ w jakimś sensie rozumiała jej rozterki. Znała Adama i wiedziała, że życie z nim mogłoby być ciężkie dla Kasi.

Ale to nie było jej życie i nie powinna w ogóle się zajmować tymi sprawami. Młodzi muszą to wyjaśnić między sobą. Serce jednak ją bolało; żal jej było obu braci, bo każdemu z nich los spletał złośliwego figla.

Dostała też wspaniałe wieści od Ivonne. Przyjaciółka poznała w końcu mężczyznę swojego życia, również malarza. Zapraszała Wiktorię na ślub w Morannes, małym miasteczku niedaleko Le Gravier, gdzie mieli zamieszkać. Pascal, który nie zamierzał porzucić Paryża, przekazał dom siostrze, pobierając za to dość słoną opłatę. Na szczęście wybranek Ivonne był bogaty i stać go było na taki wydatek.

Kochana moja, nadal nie mogę uwierzyć w swoje szczęście. Victor jest cudowny, uzdolniony, bogaty i zakochany we mnie. Myślisz, że to jakiś sen? Ja na wszelki wypadek mało śpię, żeby się z tego snu nie obudzić... Musisz, koniecznie musisz odwiedzić nas tutaj z Matyldą. Nie mogę się doczekać, kiedy uściskam moją cudną bratanicę. A na ślubie musisz być bezwarunkowo!

PS. Czy uwierzysz, że matka zawiesiła w swojej sypialni portret, który jej przywiozłam, jak ją odwiedziliśmy? Musiał jej się jednak podobać...

– Czy dostanę jakieś krople na moje stęsknione serce? – Wysoki żołnierz w oficerskim mundurze wszedł do apteki, zasłaniając częściowo twarz zdjętą przed chwilą czapką.

Znajomy głos poderwał Wiktorię znad książki, w której zapisywano wszystkie receptury. Sprawdziała właśnie skład maści do nacierania dla stałego klienta, staruszka z wykręconymi przez artretyzm palcami. Oderwała wzrok od kartki i spojrzała zaskoczona w stronę zbliżającego się do niej mężczyzny. Nie usłyszała dobrze pytania, ale ten głos...

– Antoni?... Mój Boże, przecież to Antoni!

Kilka sekund później znalazła się już w ramionach przybyłego. Borucki całował jej zalaną łzami twarz, nie bacząc na ciekawskie spojrzenia klientów. Wszyscy mieli łzy w oczach, takie spotkania zawsze wzruszały ludzi. Nie każda kobieta miała szczęście witać swojego mężczyznę, niektóre odbierały tylko pamiątki po nich, ewentualnie odznaczenia za bohaterstwo.

– Moja najdroższa. – Głos Antoniego drżał z przejęcia. – Tyle lat czekałem na tę chwilę, tyle razy o niej śniłem, a teraz nie mogę uwierzyć, że to prawda. To ty, Isiu? To ty czy znowu tylko moje marzenie?

Delikatnie dotykał czubkami palców jej policzków, włosów i ramion, spoglądając na nią z miłością i uwielbieniem, a Wiktorii poddawała się tej pieśczości z zamkniętymi oczami. Bała się je otworzyć z obawy, że wszystko okaże się tylko pięknym snem.

– A gdzie moja Matysia? – Antoni spojrzał ponad ramieniem Wiktorii na wchodzącą do apteki Kasperkową.

Pani Zuzanna wydała cichy okrzyk radości i złapała się za serce. Widok szczęśliwej Wiktorii w ramionach Boruckiego był tak piękny, że kobiecie zabrakło tchu z wrażenia. Jej modlitwy w końcu zostały wysłuchane.

– A zaraz tu przybiegnie, szła ze mną – powiedziała łamiącym się z przejęcia głosem. – Zatrzymała się przy jakimś piesku przed wejściem. O, już jest!

Do apteki wpadła zaczerwieniona dziewczynka z płomiennorudymi lokami wokół bladej twarzyczki. Zatrzymała się zaskoczona na widok matki w objęciach obcego mężczyzny i już miała zamiar wybuchnąć płaczem, tak na wszelki wypadek, kiedy nagle w jej niebieskich oczach pojawił się błysk zrozumienia.

– Tata?... – Odwróciła twarz w stronę Kasperkowej, jakby oczekując od niej potwierdzenia.

– Jezu miłosierny! – Antonim wstrząsnął niepomamowany szloch. – Poznała mnie! Poznała, maleńka moja!

Żadna z kobiet nie miała sumienia powiedzieć mu, że Matylda w każdym mężczyźnie szukała ojca i że to raczej niemożliwe, aby go pamiętała po czterech latach nieobecności. Kiedy wyjeżdżał na wojnę, miała zaledwie roczek. Ale teraz to wszystko nieważne, mała odzyskała ojca, kimkolwiek on był.

– Wcale nie jestem maleńka – oburzyła się dziewczynka – mam już pięć lat. Prawda, mamo?

Wiktorii nie było w stanie odpowiedzieć. Poprzez płynące po twarzy łzy spoglądała z miłością to na Matyldę, to na Antoniego. Jeszcze nigdy nie czuła się tak szczęśliwa jak w tej chwili. Nigdy, w całym swoim dotychczasowym życiu.

Los uśmiechnął się w końcu do Wiktorii Bernat.

Następne dni miały jak w śnie, z którego nie miała zamiaru się budzić. Antoni zajęty był załatwianiem formalności związanych z demobilizacją. Marzył o powrocie do życia sprzed wojny, do swojego sklepu, a co najważniejsze, do ślubu z Wiktoria, lecz to wszystko musiało jeszcze trochę poczekać. Na razie bowiem panował ogólny bałagan i chaos. A Wiktoria marzyła na jawie. Uśmiech nie zniknął z jej ust, znów dla każdego miała życzliwe słowo i nikt nie mógł wyprowadzić jej z równowagi. Nawet plotkujące matrony, jak tamte dwie, które wszakże, zgodnie z jej przewidywaniami, nie pokazały się już w aptece.

Matylda natomiast z dumą opowiadała na podwórku, że wrócił z wojny jej tata bohater i teraz już będą wszyscy razem. Do tej pory musiała znosić docinki innych dzieci, wyśmiewających się z niej, że nie ma ojca. Teraz miała, w dodatku oficera i bohatera. Nie wiedziała wprawdzie, na czym miałyby polegać jego bohaterstwo, ale to dobrze brzmiało i budziło ogólny podziw. Zwłaszcza że wszyscy dorośli ciągle mówili o bohaterstwie jej nowego ojca i kazali sobie pokazywać jakieś jego odznaczenia, czego bardzo nie lubił. Powtarzał wtedy, że prawdziwą bohaterką jest jej mama, bo przez całą wojnę pomagała innym. A mama wtedy płakała i przytulała się do niego. Matyldzie trudno było w to bohaterstwo mamy uwierzyć, bo przecież bohaterowie nie płaczą, jednak nie chciała się sprzeciwiać ojcu. Skoro tak mówił, musiał mieć rację.

Chodziła z nim i z mamą na spacer; zatrzymywali się pod kościołem Mariackim na Rynku, a tata dawał jałmużnę żebrzącym tam inwalidom wojennym.

– Trzeba im pomagać – pouczał poważnie Matyldę – walczyli za nas, a teraz niektórzy z nich nie mają za co żyć. Stracili na tej wojnie wszystko: rodziny, dobytek, a są i tacy, co nawet ręce i nogi. Popatrz choćby na tamtego biedaka.

Dyskretnie wskazał jej mężczyźnię bez nogi, który wspierał się na kuli i nawoływał jęśliwym głosem:
– Wspomóżcie inwalidę wojennego, dobrzy ludzie, wspomóżcie!
– Ja go znam, on wcale nie był na wojnie. – Mała wzruszyła chudymi ramionkami. – Jemu tramwaj obciął nogę. Sama widziałam.

Rzeczywiście, Matylda wraz z Wiktoria były kiedyś świadkami wypadku pod Poczta Główną, w którym mężczyzna wpadł pod tramwaj i stracił nogę powyżej kolana.

– Może to nie on?
– On. Pamiętam go, bo nie miał też ucha. – Dziewczynka nie miała żadnych wątpliwości. – I mama mówiła wtedy do babci, że to jakiś pijak i że w końcu sam się doigrał.

– To prawda, tak powiedziałam – Wiktoria poczerwieniała gwałtownie – ale motorniczy mieli z nim prawdziwy kłopot, bo wiele razy po pijanemu szarżował na tramwaje, udając, że walczy z bykami. Odpędzali go, a on znowu wracał i nagle wyskakiwał z jakąś płachtą w rękach. W końcu któregoś dnia potknął się i wpadł pod koła.

– Kochanie – zwrócił się do Matyldy Borucki, z trudem opanowując rozbawienie – tak czy inaczej, teraz to nieszczęśliwy człowiek i trzeba go wspomóc. Nam nie ubędzie, a jemu choć trochę pomożemy.

Antoni i Wiktoria rozpoczęli już powoli przygotowania do ślubu. Z oczywistych przyczyn uroczystość miała być skromna, ale i tak mieli zamiar zaprosić kilka osób. Kasperkowa szyła już suknię ślubną ze zdobytego gdzieś białego atłasu i koronek.

– Będiesz najpiękniejszą panną młodą, jaką to miasto widziało, Isiu – obiecywała, biorąc jej miarę.
W końcu doczekała się tego wydarzenia. Traktowała Wiktoria jak swoją drugą córkę i jej szczęście było dla niej bardzo ważne. Ślub, jak już to wcześniej ustalono, miał się odbyć w małym kościółku Świętego Ducha, w parafii, do której należał Antoni. Matka Boruckiego, przywieziona z powrotem przez syna do Krakowa, nie posiadała się z radości.

– Nareszcie mój syneczek znów będzie szczęśliwy. Teraz mogę umierać spokojnie – powtarzała staruszka wszystkim dookoła. – A jaką będę miała piękną i mądrą synową! I od razu odchowaną wnuczkę.

Pukanie do drzwi wejściowych poderwało Matyldę od stołu. Zbiegła szybko po schodach, żeby otworzyć klientowi, zanim mama zejdzie na dół. Często się zdarzało, że ludzie przychodzili przed nocą po leki, kiedy dokuczliwy ból za nic nie chciał ustąpić. Mieszkanki domu przy Grodzkiej były już do tego przyzwyczajone.

– Mamusiu! – Wiktoria usłyszała z dołu podekscytowany głosik córki. – Jakiś straszny pan przyszedł, chyba po jałmużnę!

O tej porze po jałmużnę, pomyślała, schodząc, czy to aby nie przesada?

W słabym świetle latarni trudno było dostrzec twarz niespodziewanego gościa. Stojący w prostokącie otwartych drzwi przygarbiony mężczyzna sprawiał wrażenie wynędzniałego i zmęczonego. Pusty lewy rękaw kurtki zwisał żałośnie wzdłuż ciała, podpięty czymś w połowie długości. Na schodach, koło nóg nieznajomego, leżał żołnierski plecak. Widać było, że i plecak, i jego właściciel niejedno przeszli.

Ogarnięta współczuciem Wiktoria uniosła rękę, zachęcając przybyłego do wejścia. Bez słowa zrobił krok do przodu, a wtedy z mroku wyłoniła się jego twarz, przecięta szkaradną blizną po oparzeniu. W wykrzywionych rysach mężczyzny było coś znajomego, ale słabe światło w sieni nie pozwalało przyjrzeć mu się dokładnie.

Kiedy jednak podszedł jeszcze bliżej i podniósł wzrok, Wiktoria poczuła, że nagle ziemia usuwa jej się spod nóg. W ostatniej chwili oparła się o ścianę.

Tych niesamowicie zielonych oczu nie mogła pomylić z żadnymi innymi na świecie. W drzwiach jej domu stał Filip.

– Mogę wejść, Isiu? – spytał cicho. – Wróciłem.

Podziękowania

Serdecznie dziękuję mojej przyjaciółce i agentce Manuli Kalickiej za podsuniecie mi pomysłu. Gdyby nie ona, pewnie ta saga w ogóle by nie powstała.

Dziękuję moim redaktorkom: Annie Derengowskiej i Ewie Witan, za pracę nad tekstem, córce Magdzie za pierwsze uwagi oraz synowi Tomkowi i jego dziewczynie Karolinie za wstępną redakcję i czujne wyłapywanie momentów, w których zaczynałam za bardzo przynudzać. Siostrze Wandzie i moim przyjaciółkom pisarkom z Grupy Siedleckiej za dopingowanie mnie do pracy i wiarę we mnie, kiedy sama zaczynałam ją tracić.

Specjalne podziękowania należą się też moim nieocenionym Annie i Zdzisławowi Nowakom za ich rodzinne opowieści, którymi zechcieli się ze mną podzielić. I za ogromną wiedzę historyczną, dzięki której moja saga, mam nadzieję, wiele zyskała.

Spis treści

Część pierwsza

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

Część druga

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

Podziękowania